

PANNA. POTWÓR. MĘCZENNIK.

OKNO SKĄPANE W MROKU

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #1

RACHEL
GILLIG



RACHEL GILLIG

OKNO SKĄPANE W MROKU

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #1

**TŁUMACZENIE
ALEKSANDRA GÓRCZYŃSKA**

OŚWIĘCIM 2023

Copyright © 2023
Rachel Gillig
Wydawnictwo Nowe Strony
All right reserved
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Joanna Boguszevska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-996-8

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Przypisy

*Dla cichych dziewcząt, z głowami w chmurach.
Dla ich marzeń – i ich koszmarów.*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miałam dziewięć lat, kiedy uzdrowiciele przyszli po mnie po raz pierwszy.

Mojego wujka i jego ludzi nie było w domu. Kuzynka Ione i jej bracia bawili się w kuchni, przez co moja ciotka nie usłyszała walenia do drzwi. Zorientowała się, co się dzieje, dopiero gdy mężczyźni w białych kitlach pojawili się na środku jej salonu.

Nie miała czasu, żeby mnie ukryć. Spałam, zwinięta niczym kot, odpoczywając na parapecie. Potrząsnęła mną, jej głos był ochrypły ze strachu.

– Uciekaj do lasu – wyszeptała, uchylając okno, i delikatnie wypchnęła mnie na zewnątrz.

Niestety nie upadłam na miękką, nagrzaną letnim słońcem trawę. Moja głowa uderzyła o kamień, a ja zamrużałam, walcząc z mdłościami, wywołanymi zawrotami i majaczącymi mi przed oczami ciemnymi plamami. Poczułam, jak moją czaszkę pokrywa gorąca, lepka krew.

Słyszałam, że obcy chodzą po domu, ich kroki były ciężkie od złowrogich zamiarów.

W s t a w a j, rozbrzmiał głos w mojej głowie. W s t a w a j, E l s p e t h.

Podniosłam się na chwiejnych nogach, rozpaczliwie próbując ruszyć w kierunku linii drzew znajdujących się po drugiej stronie ogrodu. Spowiła mnie mgła i chociaż nie miałam przy sobie swojego talizmanu, skierowałam się ku drzewom.

Jednak ból w mojej głowie okazał się zbyt silny.

Ponownie upadłam, a sącząca się z głowy krew skapywała mi na szyję. *Złapią mnie, zapłakałam, czując, że ze strachu tracę zmysły. A potem zabiją.*

N i k t c i ę n i e t k n i e, d z i e c k o, burknął w odpowiedzi głos. A t e r a z w s t a w a j!

Próbowałam, naprawdę. Zawzięcie. Jednakże uraz był na tyle poważny, że po pięciu desperackich krokach – znajdując się tak blisko skraju lasu, że mogłam poczuć jego ziemisty, wilgotny zapach – upadłam nieprzytomna na ziemię.

Teraz już wiem, że to, co zdarzyło się później, nie było snem. Nie mogło nim być. Kiedy ludzie tracą przytomność, całkowicie się wyłączają. Nie są wtedy w stanie śnić. Dlatego wiem, że to wcale nie był sen. A jednak nie umiem inaczej nazwać stanu, w którym się wtedy znalazłam.

Zaczęła we mnie wnikać mgła, gęsta i ciemna. Nadal znajdowałam się w ogrodzie ciotki. Moje zmysły wzroku i słuchu były nienaruszone. Mogłam nawet poczuć

powietrze czy to, jak twarda była ziemia, na której spoczywała moja głowa. Jedyne, czego nie byłam w stanie zrobić, to się poruszyć.

Pomocy, załkałam cienkim głosem. Pomóż mi.

Wewnątrz mojego umysłu rozbrzmiały kroki, ciężkie i niecierpliwe. Po policzkach spływały mi łzy. Zamrugałam, próbując coś dostrzec, ale bez powodzenia. Wzrok miałam zamglony, odnosiłam wrażenie, jakbym próbowała dojrzeć coś pod wodą.

Przeraźliwie ostry ból rozszedł się po moich ramionach, a siateczka żył ukrytych pod skórą nagle pociemniała, zamieniając płynącą w nich krew w czarny tusz.

Krzyczałam. Krzyczałam, dopóki nie pociemniało mi w oczach, a otaczający mnie świat nie zniknął.

Obudziłam się pod drzewem starej olchy, osłonięta mgłą i bujną, leśną roślinnością. Ból, który czułam w żyłach, zniknął. Jakimś cudem, pomimo rozcięcia na głowie, udało mi się dotrzeć na krawędź lasu. Uciekłam uzdrowicielom.

Będę żyć.

Oddychając głęboko, zaszlochałam ze szczęścia, mój umysł nadal walczył z powoli ustępującą paniką, która próbowała mnie ogarnąć.

Tak było, dopóki nie usiadłam, a moich rąk nie przeszył ból. Spojrzałam w dół. Dłonie miałam zdarte do żywego mięsa, a palce mokre od krwi w miejscu, gdzie połamałam paznokcie. Trawa wokół mnie była mocno wzruszona. Coś albo ktoś ją zgniótł.

Coś albo ktoś pomógł mi bezpiecznie doczołgać się przez mgłę.

Nigdy mi nie powiedział, jak tamtego dnia poruszył moim ciałem, ratując mnie. To był jeden z jego wielu sekretów, milczących tajemnic spowijających ciemność, którą wspólnie dzieliliśmy.

A jednak wtedy po raz pierwszy przestałam się bać Koszmaru – głosu w mojej głowie, potwora z niepokojącymi żółtymi oczami i upiornym, głębokim głosem. Po jedenastu latach całkowicie przestałam się go bać.

Nawet jeśli wciąż powinnam.

Tamtego ranka ruszyłam przez las w stronę miasta, chcąc spotkać się z Ione. Deszczowe chmury przysłoniły śliską, gęsto porośniętą mchem ścieżkę. Las, błotnisty i wilgotny, gromadził w sobie wodę, jak gdyby przygotowywał się na nieuchronną zmianę pory roku. Pośród szmaragdowej zieleni gdzieś wyznaczały się krzewy derenia, a jego czerwono-pomarańczowe owoce lśniły we mgle, płomienne i dumne.

Musiałam wystraszyć ptaki odpoczywające wśród liści bukszpanu. Na widok mojego niezgrabnego chodu, pośpiesznie wzbiły się w powietrze, machając skrzydłami w spowijającej otoczenie gęstej mgłę. Naciągnęłam kaptur na oczy i zagwizdałam melodię. To była jego piosenka, jedna z wielu, które On wymrukiwał w ciemnych zakamarkach mojego umysłu. Stara, przesiąknięta smutkiem melodia przyjemnie rozbrzmiewała mi w uszach. Gdy ostatnie dźwięki wydoستاły się z moich ust, żałowałam, że to już koniec.

Sięgnęłam w głąb swojego umysłu – wyczuwałam ciemność. Jednak kiedy nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, skierowałam wzrok z powrotem na rozciągającą się przede mną ścieżkę.

Gdy droga stała się zbyt błotnista, weszłam w głąb lasu i zatrzymałam się przy krzaku jeżyn, pełnego czarnych, soczystych jagód. Zanim je zjadłam, wyciągnęłam z kieszeni talizman, kruczą nóżkę, i przesunęłam po niej palcami. Mgła mająca na skraju ścieżki kurczowo się mnie trzymała.

Mrówki, zanęcone zapachem jagodowego soku, zaczęły wspinać się po moich lepkich od soku palcach. Chociaż starałam się strząsnąć je wszystkie i tak poczułam na języku cierpki, kwaskowaty smak – najwyraźniej musiałam połknąć kilka razem z owocami. Wytarłam ręce o sukienkę, której ciemny, bawełniany materiał pochłoniął jeżynowe plamy.

Ione czekała na mnie na końcu drogi, tuż na skraju lasu. Objęłyśmy się, po czym ona złapała mnie za ramię, próbując dojrzeć moją twarz skrytą pod kapturem.

– Mam nadzieję, że nie zboczyłaś ze ścieżki, Bess?

– Tylko na momencik – odrzekłam, wpatrując się w roztaczające się przed nami ulice.

Stałyśmy na skraju Blunder, sieci wybrukowanych, wypełnionych sklepami zaułków napawających mnie o wiele większą grozą niż mający za moimi plecami ciemny las. Po tygodniach spędzonych w domu położonym w środku lasu miejski gwar, składający się z mieszanki ludzkich i zwierzęcych odgłosów, głośno dźwięczał mi w uszach. Przed nami szybko przejechał powóz, końskie kopyta głośno uderzały o starą, kamienną drogę. W budynku, koło którego stałyśmy, trzy piętra nad nami jakiś mężczyzna wylał przez okno pomyje. Brudna woda rozprysnęła się na wszystkie strony, w tym na rąbek mojej czarnej sukienki. Gdzieś rozbrzmiewał płacz dziecka oraz podniesione głosy kobiet. Stojący przy swoich kramach kupcy donośnie zachwalali swoje towary, w oddali zabił dzwon, a miejski krzykacz relacjonował najnowsze wieści o trzech aresztowanych rozbójnikach.

Wciągnęłam powietrze, klucząc uliczkami za Ione. Zwolniłyśmy tempo przy kupieckich straganach, przesuając palcami po nowych materiałach, wystających

zza sklepowych witryn. Ione zapłaciła miedziaka za kilka różowych wstążek i uśmiechnęła się do sprzedawcy, odsłaniając niewielką przerwę między przednimi zębami. Obecność tej dziewczyny działała na mnie kojąco.

Byłam bardzo przywiązana do mojej złotowłosej kuzynki.

Nie mogłyśmy się od siebie bardziej różnić. Ona była szczerą – prawdziwą. Dało się czytać z jej twarzy jak z otwartej księgi, podczas gdy moje myśli skrywała starannie wyćwiczona maska. Ona była żywa pod każdym względem, głośno wyrażała swoje potrzeby, niepokoje i wszystko inne. Miała w sobie tego rodzaju swobodę, która przyciągała do niej i ludzi, i zwierzęta. Zdawało się, że nawet drzewa ulegały jej czarowi, dostosowując ruch gałęzi do jej kroku. Wszyscy ją kochali. A ona kochała ich. Nawet jeśli jej to szkodziło.

Ione nie udawała. Ona po prostu istniała.

Zazdrościłam jej tego. W porównaniu do niej przypominałam raczej wystraszone zwierzątko, cały czas niespokojne. Dlatego potrzebowałam Ione, mojej ciepłej i spokojnej tarczy. Szczególnie w dni takie jak ten, dzień mojego imienia, kiedy odwiedzałam dom ojca.

Głęboko w zakamarkach umysłu rozbrzmiał dźwięk zgrzytających zębów. Zawtórowałam mu, robiąc to samo, jednocześnie zaciskając dłonie w pięści, jednak nic to nie dało – nie byłam w stanie kontrolować jego pojawiania się i znikania. W tej samej chwili przepychający się obok mnie chłopiec zbyt długo utkwiał spojrzenie w mojej twarzy. W odpowiedzi posłałam mu fałszywy uśmiech i odwróciłam się, przesuwając palcami po zmarszczonych brwiach, dopóki nie poczułam, że moja twarz nie wyraża żadnej emocji. To była sztuczka, którą mistrzowsko opanowałam przez lata wpatrywania się w lustro – modelując twarz niczym glinę, aż nie osiągnęłam oczekiwanego efektu – powściągliwego, niczym niewyróżniającego się wyglądu osoby niemającej nic do ukrycia.

Czułam Go, jak obserwuje Ione moimi oczami. Odezwał się w końcu gładkim głosem: Złotowłose dziewczę lico ma bez skazy. Złotowłose dziewczę zbyt zwyczajne jest na królewskie pokazy. Złotowłose dziewczę w cieniu pominięta. Złotowłose dziewczę serca króla nie spęta.

Cicho, zwróciłam się do niego, odwracając się plecami do kuzynki.

Ione nie miała pojęcia, co zrobiła ze mną infekcja. W każdym razie nie wiedziała, w jak wielkim stopniu na mnie wpłynęła. Nikt o tym nie wiedział. Nawet moja ciotka Opal, która wzięła mnie do siebie, kiedy majaczyłam, targana gorączką. Natomiast w nocy, kiedy mój stan się pogorszył, wciskała wełnę w szparę pomiędzy drzwiami a podłogą i nie otwierała okien, żeby nie obudziła pozostałych dzieci swoim

płaczem. Dawała mi wywary nasenne i okładała moje palące żyły zimnymi kompresami. Czytała książki, które kiedyś dzieliła z moją mamą. Kochała mnie i opiekowała się pomimo konsekwencji, jakie wiązały się z ukrywaniem zarażonego dziecka.

Gdy w końcu udało mi się wyjść z pokoju, mój wuj i kuzyni wpatrywali się we mnie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak magii – czegokolwiek, co mogłoby mnie zdradzić.

Jednak ciotka była stanowcza. Rzeczywiście, złapałam gorączkę, której tak się obawiano w Blunder, ale to by było na tyle – infekcja nie pozostawiła po sobie magii. Ani Hawthornowie, ani nowa rodzina mojego ojca nie zostaliby uznani za winnych ukrywania zarażonego dziecka tak długo, jak całe to zdarzenie pozostawało tajemnicą.

Dzięki temu, ja mogłam pozostać przy życiu.

Właśnie w taki sposób tworzyło się najlepsze kłamstwa – dodając odpowiednio małą ilość prawdy, żeby całość brzmiała wystarczająco wiarygodnie. Po pewnym czasie sama zaczęłam wierzyć, że nie dysponuję żadną magią. Ostatecznie nie wykazywałam żadnych oczywistych oznak, które zazwyczaj towarzyszyły zainfekowanym – żadnych nowych magicznych umiejętności czy niecodziennych przeczuć. Dorastałam w naiwnym przeświadczeniu, że byłam jedynym dzieckiem, które przeżyło infekcję bez szwanku.

Ale ten czas starałam się wymazać z pamięci – okres mojej niewinności, przed Kartami Opatrzności.

Przed Koszmarem.

Jego głos uleciał w nicość, pozostawiając po sobie jedynie cichy cień obecności, majaczący na obrzeżach mojego umysłu. Umysł na powrót stał się tylko mój, zgiełk miasta ponownie rozbrzmiał w moich uszach, a ja dalej podążałam za Ione, mijając kupieckie stragany na Market Street.

Przy kolejnym zakręcie do naszych uszu dotarł ostry dźwięk. Ktoś krzyczał. Gwałtownie uniosłam głowę. Ione podeszła do mnie.

– Kawaleria – oświadczyła.

– To albo Orithe Willow¹ i jego uzdrowiciele – odpowiedziałam, przyspieszając kroku i jednocześnie rozglądając się po drodze w poszukiwaniu białych kitli.

Rozbrzmiał kolejny krzyk, jego ostry, przeszywający ton sprawił, że uniosły się włoski na moim karku. Odwróciłam głowę w kierunku wybrukowanej, przepełnionej ulicy, ale Ione odciągnęła mnie na bok. Jedyne, co udało mi się dostrzec, zanim zniknęliśmy za kolejnym zakrętem, była kobieta. Z jej szeroko otwartych ust

wydobywało się pozbawione słów zawrodożenie, a z rozchylonego rękawa szaty wyłaniały się ręce pokryte czarnymi żyłami.

Chwilę później zniknęła za czterema mężczyznami w czarnych szatach – kawalerii, elitarnego oddziału królewskich żołnierzy. Krzyki towarzyszyły nam przez całą drogę, którą przebiegaliśmy przez kręte uliczki miasta. Gdy wreszcie dotarliśmy do bramy przed Spindle² House, zarówno Ione, jak i mnie brakowało tchu.

Dom mojego ojca był najwyższy na całej ulicy. Stałam przy bramie, a krzyki nadal dźwięczały mi w głowie. Ione, z policzkami zaróżowionymi po biegu, uroczym uśmiechnęła się do strażnika.

Ogromna drewniana brama stanęła otworem, a naszym oczom ukazał się szeroki, ceglany dziedziniec.

Weszliśmy, Ione szła pierwsza. Na środku wyłożonego piaskowcem dziedzińca rósł stary krzew trzmieliny, zasadzony przez dziadka mojego dziadka. W przeciwieństwie do szkarłatnego krzewu zdobiącego sztandar domu, ten znajdujący się na dziedzińcu nadal porastał zielonym listowiem. Błyszczące, sprawiające wrażenie nawoskowanych liście, kurczowo trzymały się wątłych gałązek. Uniosłam rękę i ostrożnie dotknęłam jednego z nich, uważając na rząd drobnych ząbków otaczających ich krawędzie. To nie było wielkie królewskie drzewo; było za to bardzo stare – dostojne.

Obok krzewu trzmieliny, rosła niewielka, jeszcze niewyrośnięta jarzębina.

Z kolei w północnej części dziedzińca znajdowały się stajnie, a po drugiej stronie zbrojownia. Nie zapuszczaliśmy się w żadne z tych miejsc, tylko ruszyliśmy prosto w kierunku głównego wejścia. Kiedy dotarliśmy do kamiennych stopni znajdujących się od frontu, wzięłam głęboki wdech, zapanowałam nad wyrazem twarzy, po czym zapukałam trzy razy w wielkie dębowe drzwi.

Powitał nas lokaj ojca.

– Dzień dobry – powiedział Balian, a jego brązowe oczy zwęziły się, gdy skierował na mnie spojrzenie.

Zarówno on, jak i inni służący pracujący w domu mojego ojca dawno temu nauczyli się obawiać najstarszego dziecka z rodu Spindle.

Minęły lata od mojej ostatniej wizyty. Mimo to, mdłe kolory wypełniające wnętrza rezydencji wyglądały znajomo, a ściany i podłogi pokrywały te same gobeliny i dywany. Balian zapalił świecę i ruszył, a ja wraz z Ione podążaliśmy za nim burgundową klatką schodową o długiej i szerokiej poręczy. Do tej pory nie zastanawiałam się, jak bardzo uwielbiałam zjeżdżać po niej jako mała dziewczynka ani nad tym, że od tamtego czasu dom ojca nawet trochę się nie zmienił.

W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Balian otworzył zaokrąglone drzwi prowadzące do salonu. Mogłam poczuć zapach paleniska, zanim zarejestrowałam na twarzy podmuch ciepła buchającego z kominka, aromatyczny zapach cedru połaskotał mnie w nos. W środku znajdowała się moja macocha, Nerium i moje przyrodnie siostry Nya i Dimia, które na nasz widok wstały z miękkich foteli.

Na ustach bliźniaczek widniały takie same delikatne uśmiechy, w ich pulchnych policzkach pojawiły się idealne dołeczki, które przywodziły mi na myśl przede wszystkim ojca, głównie dlatego, że twarz ich matki, Nerium, nie była stworzona do uśmiechów. W tej samej chwili macocha spojrzała na mnie, nawijając na eleganckie palce pasma długich, białych włosów.

Wyglądała jak przepiękny sęp, przyczajona na ulubionym krześle niczym na grzędzie. Siedziała, bacznie obserwując każdy mój ruch błękitnymi oczami i oceniając, czy byłabym wystarczająco smakowitym kąskiem, by warto było się na niego połasić.

Ione, która weszła przede mną, zasłoniła Nerium widok.

Objęłam delikatnie Nyę i Dimię. Dziewczynki przytuliły się bardzo ostrożnie, starając się zachować między naszymi ciałami niewielki dystans. Kiedy Balian zamknął za sobą drzwi, razem z Ione zajęłyśmy nasze miejsca na bogato tapicerowanych fotelach, stojących niedaleko paleniska.

Siedząc, czułam żar bijący od ognia.

Zachowywaliśmy się tak jak zwykle, spokojnie i dystygownie niczym aktorzy odgrywający swoje role.

Na stoliczku znajdującym się niedaleko mojego fotela stał wazon pełen ciemnofioletowych irysów. Przesunęłam palcami po ich płatkach, starając się ich nie zniszczyć. Odkąd pamiętam, w salonie zawsze były irysy.

– Cóż za nijakie kwiaty – przerwała ciszę Nerium, nadal mnie obserwując. Jej oczy się zwężyły, gdy przesunęła wzrok na irysy. – Nie wiem, co takiego widzi w nich twój ojciec.

Moje wnętrzości zacisnęły się boleśnie. Większość zawsze tak starannie dobieranych słów, które kierowała do mnie macocha, były podszyte jadem. Dobrze wiedziała, dlaczego akurat te kwiaty zawsze się tutaj znajdowały. Mój ojciec trzymał je w domu z bardzo prostego powodu.

Irys, tak nazywała się moja matka.

– Moim zdaniem są cudowne – wtrąciła Ione, posyłając mi uśmiech, po czym rzuciła mojej macosze złośliwe spojrzenie.

Dimia, która często wybuchała śmiechem, gdy nie wiedziała, co się dzieje, wydała się z siebie nerwowo chichot.

– Dobrze wyglądasz – zwróciła się do Ione, przysuwając się bliżej niej. – Czy to nowa sukienka?

Czułam na sobie spojrzenie Nyi siedzącej w drugim końcu pokoju i wpatrującej się we mnie, jakbym była książką, której zakazano jej czytać. Kiedy spojrzałam jej w oczy, szybko odwróciła wzrok, jej twarz wyrażała czujność.

Moje przyrodnie siostry nie pały do mnie miłością. A nawet jeśli kiedykolwiek żywiły do mnie cieplejsze uczucia, te już one zniknęły. Dimia i Nya miały po trzynaście lat, o siedem mniej ode mnie, i były identyczne niemal pod każdym względem, poza charakterystycznym znamieniem, które Nya miała pod lewym uchem. Obydwie obserwowały mnie przez całe moje życie z takim samym ostrożnym wyrazem malującym się na ich twarzach. Tylko siebie nawzajem obdarzały dobrymi siostrzanymi uczuciami.

Wymieniłam z Dimią grzecznościowe puste formułki, czując przy tym tak przejmujące zimno, że nie był go w stanie odgonić nawet palący się obok mnie ogień w kominku. Powiedziała, że zostały zaproszone na Ekwinokcjum, organizowane na królewskim zamku.

– Uwielbiam Ekwinokcjum – powiedziała Dimia. Głos miała donioślejszy niż jej siostra czy matka.

Jej oczy lśniły marzycielsko, kiedy sięgała po jeden z biszkopcików leżących na końcu stołu. Gdy się odezwała, kilka okruszków wypadło jej z ust:

– Ta muzyka, tańce, gry!

– Nie wszystkie gry są przyjemne – zauważyła Nya, wycierając pozostałości biszkopta z kącika ust siostry bliźniaczki. – Pamiętasz, co się wydarzyło rok temu?

Nozdrza macochy zadrżały. Ione zmarszczyła brwi, a Dimia zaczęła szarpać brzeg swojego rękawa. Z kolei ja wpatrywałam się w nie z pustym wyrazem twarzy. Nie brałam udziału w ubiegłorocznej imprezie.

– Książę Hauth lubi grać w „prawda czy fałsz” za pomocą swojej Karty Kielichów – wyjaśniła Nerium, nie kłopotząc się spoglądaniem w moim kierunku. – Doszło do walki pomiędzy nim a członkinią kawalerii, chyba Jespyr Yew. Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego król ma w swoich szeregach kobietę...

N a d c h o d z i t w ó j o j c i e c.

Głos Koszmaru w mojej głowie sprawił, że gwałtownie podskoczyłam. Poczułam jego obecność i to, jak porusza się nerwowo tuż za moimi oczami. *Jak możesz tego nie widzieć?*

Siedziałam kompletnie nieruchomo, pozwalając swoim powiekom opaść. Tam, pośród ciemności, dostrzegłam przybierające na sile światło w kolorze królewskiego błękitu: to jedna z Kart Opatrzności – Karta Studni. Wyglądała jak szafirowa latarnia

morska, unosząca się nad ziemią, najpewniej schowana w kieszeni mojego ojca. Podobnie jak inne Karty Opatrzności, ona też była obszyta aksamitem i miała wielkość zwyczajnej karty do gry, czyli była nie większa niż moja zaciśnięta pięść.

To właśnie ten starożytny aksamit wydzielał światło. Światło, które tylko ja widziałam. A raczej, które dostrzegało stworzenie mieszkające w moim umyśle.

Zawierając małżeństwo z moim ojcem, matka wniosła w posagu Kartę Studni, wartą tyle złota co całe Spindle House. To była jedna z dwunastu Kart Opatrzności, które razem tworzyły Talię. Opisane w starożytnej księdze, Starej Księdze Olch, Karty Opatrzności były nie tylko największym skarbem Blunder, ale także jedyną dopuszczalną formą uprawiania magii. Każdy mógł ich używać – wystarczyło dotknąć którejs z Kart i zażyczyć sobie konkretnej rzeczy. Oczyszczyć umysł, trzymając Kartę w dłoni, stuknij w nią trzykrotnie, a będziesz mógł się nią posługiwać. Nawet jeśli włożysz kartę do kieszeni albo umieścisz ją gdzie indziej, magia nadal będzie działać. Jeśli ponownie trzy razy stukniesz w Kartę, lub jeśli dotknie jej inna osoba, przepływ magii zostanie zerwany.

Należało przy tym pamiętać, że zbyt długie korzystanie z Karty wiązało się z poważnymi konsekwencjami.

Karty Opatrzności były niezwykle rzadkie, a ich liczba ograniczona. Jako dziecko miałam okazję tylko rzucić na nie okiem.

I tylko raz w życiu jakiegokolwiek dotknęłam.

Zadrżałam, nadal czując mentalne łaskotanie wywołane bliskością aksamitu otulającego Kartę mojego ojca. Niebieskie światło Karty Studni przybrało na sile. Kiedy drzwi od salonu się otworzyły, blask bijący z kieszeni na piersi jego kurty rozbłysnął, wlewając się do środka.

Eryk Spindle. Pan jednego z najstarszych rodów Blunder. Wysoki, surowy, przerażający. A najbardziej przerażające było to, że mój ojciec przewodził niegdyś polowaniom na ludzi noszących w sobie magię – takich jak ja.

Kawalerzysta do szpiku kości.

A jednak był dla mnie kimś więcej niż żołnierzem – moim ojcem. Tak jak jego przodkowie zachowywał wyjątkową oszczędność w słowach. Ale kiedy już zdecydował się odezwać, jego głos brzmiał głęboko i ostro.

Pokryte siwizną włosy, związane skórzanym rzemykiem, opadały mu na kark. Podobnie jak w przypadku Nerium jego szczeka również nie została stworzona do uśmiechania się. Jednak kiedy jego wzrok spoczął na mnie, ostre spojrzenie błękitnych oczu natychmiast złagodniało.

– Elspeth – zwrócił się do mnie.

Wyciągnął trzymaną za plecami dłoń, w której zaciskał naręczce dzikich kwiatów. Krwawników. W porównaniu do jego wielkiej pięści, trzymany przez niego bukiet zdawał się niezwykle delikatny.

– Wszystkiego najlepszego z okazji dnia imienia.

Poczułam ukłucie w klatce piersiowej. Cały czas, po tylu latach – po śmierci mojej matki, po moim zainfekowaniu – zawsze wręczał mi krwawniki w dzień mojego imienia. W dzieciństwie nazywał mnie dziewczynką „najjaśniejszą pośród wszystkich krwawników”.

Wstałam z fotela i ruszyłam w jego kierunku, oślepiona niebieskawym światłem przenikającym przez materiał kurty. Kiedy wręczył mi kwiaty, dotarł do mnie leśny, świeży zapach. Musiał je zerwać z samego rana.

Starłam się zbyt długo nie patrzeć mu w oczy, żeby nie wprawić nas w jeszcze większe zakłopotanie.

– Dziękuję, ojcze.

– Zamierzałyśmy spotkać się z tobą w holu – zwróciła się do niego uszczypliwie moja macocha. – Czy coś się stało?

Twarz ojca nie zdradzała żadnej emocji.

– Przyszedłem przywitać się z moją własną córką w moim własnym domu, Nerium. Czyżbyś miała coś przeciwko temu?

Usta mojej macochy zamknęły się z trzaskiem. Ione zakryła ręką twarz, skrywając uśmiezek.

O mało sama się nie uśmiechnęłam. Wiedziałam, że nie powinnam cieszyć się z tego, że mój ojciec się za mną wstawia. Nie aż tak. Silniejszy od chęci uśmiechnięcia się, był ostry ból zagnieżdżony głęboko w mojej piersi, który nawet teraz przypominał mi o wydarzeniach z przeszłości.

Ponieważ nie zawsze mój ojciec się za mną wstawiał.

W drzwiach pojawiła się łysiejąca głowa Baliana.

– Mój panie, obiad podano do stołu. Pieczona kaczka.

– Przejdźmy do holu. – Ojciec kiwnął głową.

Moje przyrodnie siostry opuściły salon, podążając za głową rodziny. Ione poszła za nimi, a ja ruszyłam tuż za nią. Jednak zanim udało mi się wyjść, Nerium zagroziła mi drzwi, a jej szczupłe palce wpiły się w moje ramię.

– Twój ojciec życzy sobie, żebyś w tym roku wzięła udział w Ekwinokcjum – wyszeptała, upiornie przeciągając słowa. – Na który oczywiście się nie wybierzesz.

Moje spojrzenie spoczęło na dłoni ściskającej moje ramię.

– A niby to dlaczego. Nerium?

Zwężała błękitne oczy.

– Jeśli dobrze sobie przypominam, kiedy byłaś na Świącie Równonocy po raz ostatni, zrobiłaś z siebie idiotkę z tym chłopcem, którego matka później nas nagabywała, żebyście mogli się ponownie spotkać.

Skrzywiłam się. Prawie zapomniałam o Alyxie. To wydarzyło się lata temu.

– Mogłaś jej po prostu powiedzieć, gdzie naprawdę mieszkam.

– I tłumaczyć się ludziom, dlaczego twój ojciec cię odesłał? – Wokół jej ust pojawiły się głębokie zmarszczki. – Mamy takie dobre porozumienie, Elspeth. Ty trzymasz się z dala od dworu i wszelkiej uwagi, a w zamian twój ojciec płaci Hawthornom, sownie, jeśli mogą dodać, za to, że cię u siebie trzymają.

Trzymają. Jak gdybym była koniem, którego mój wuj skrywa w swojej stajni. Wyszarpnęłam rękę z uścisku macochy. Apetyt, jaki jeszcze chwilę temu odczuwałam, zniknął bez śladu. Zerknęłam ponad jej barkiem w poszukiwaniu Ione, ale moja kuzynka zniknęła w holu.

– Nagle straciłam ochotę na kaczkę – wycedziłam przez zęby i odsunęłam się od Nerium.

Wychodząc z salonu, trzasnęłam za sobą drzwiami.

– Jestem pewna, że mnie usprawiedliwisz.

– Ależ oczywiście, moja droga, zawsze to robię. – Mogłam usłyszeć uśmiech w jej miękkim, podstępny głosie.

Zachowałam spokój, dopóki nie opuściłam Spindle House. Dopiero gdy zamknęły się za mną ogromne drzwi, pozwoliłam sobie na płacz.

Trzymałam głowę nisko, a gorące łzy spływały mi po policzkach, kiedy pobiegłam w stronę starego kościoła, znajdującego się na skraju miasta. Płuca paliły mnie z wysiłku, ale zatrzymałam się dopiero, gdy dotarłam do pustych uliczek.

Kaszląc, oparłam ręce na kolanach. Wściekłość zmieszana z bólem wypełniła moją pierś.

Koszmar wił się w ciemności niczym wilk wydeptujący legowisko, zanim się położy.

Wielka szkoda, że musieliśmy już iść, powiedział. Ubawiła mnie twoja porywająca rozmowa z Nerium.

Czubkiem buta kopnęłam leżący na bruku kamień, który zniknął w wysokiej trawie porastającej pas ziemi oddzielający drogę od płynącej niedaleko rzeki.

Ale nie martw się, szybko się z nią znowu spotkasz. Pytanie brzmi, czy po raz kolejny uciekniesz z podkulonym ogonem.

Oczekujesz, że spokojnie będę tam siedzieć? Po tym, co mi powiedziała?, zapytałam.

Dokładnie tak. Ponieważ ucieczka, moja droga, jest tym, czego ona chce.

Unikanie ich jest łatwiejsze. Wypuściłam powietrze. Uciekanie jest tym, co wychodzi mi najlepiej, to moje naturalne zachowanie. Poza tym jedenaście lat temu mój ojciec by mnie nie opuścił, gdyby miał ochotę na moje towarzystwo. Dobrze o tym wiesz – więc czemu miałabym znosić te katusze?, dodałam głuchym głosem.

Jego śmiech rozbrzmiał niczym szmer kropel wody głośno spływających po kamiennej ścianie jaskini. Odbijał się echem w mojej głowie, po czym powoli rozplątał w ciszy.

P o n i e w a ż, w ł a ś n i e t o, m o j a d r o g a, j e s t M O I M n a t u r a l n y m z a c h o w a n i e m.

Usiadłam nad brzegiem rzeki, rozkoszując się łagodnym szumem płynącej wody. Nadal trzymając bukiet krwawników, zaczęłam obrywać żółte płatki, jeden po drugim. Kiedy zgłodniałam, kupiłam sobie jabłko i kawałek ostrego sera i siedziałam tak, dopóki słońce nie zaczęło chylić się nisko na niebie. Żywiłam niewielką nadzieję, że Ione może wyjdzie wcześniej z domu mojego ojca i dołączy do mnie – dzięki czemu mogłybyśmy wrócić razem do domu – ale miejskie dzwony zabiły siedem razy, a jej nadal nie było.

Zaplotłam włosy w gruby warkocz, po czym wstałam i otrzepałam brud z tyłu spódnicy. Po raz ostatni rzuciłam spojrzenie w kierunku drogi prowadzącej do miasta, a następnie dotknęłam kruczej łapki spoczywającej w kieszeni i wkroczyłam do lasu.

ROZDZIAŁ DRUGI

*Nigdy nie ma nic za darmo.
Bezpieczeństwa szukaj próżno.
Magia to miłość, magia to zło.
Wszystko ma cenę, a już szczególnie to.
Da ci rozwiązanie, do zguby doprowadzi,
Choć jest miłościwa, to bardzo też szkodzi.*

Wszystko zaczęło się pewnej burzowej nocy. Wiatr szarpał okiennicami, które uderzały o okno mojego pokoju, a ostre światło błyskawic rzucało przerażające cienie na drewnianą podłogę. Słyszałam skrzypienie schodów, po których na palcach wspinał się mój ojciec, i niknący w korytarzu krzyk uciekającej pokojówki.

Gdy wszedł do mojego pokoju, leżałam nieruchomo, majaczyłam, a moje żyły były czarne jak smoła. Wyciągnął mnie z mojego dziecięcego łóżeczka i umieścił w powozie.

Obudziłam się dwa dni później w lesie pod opieką ciotki Opal.

Kiedy gorączka opuściła moje ciało, codziennie budziłam się o świcie, szukając na swoim ciele śladów magii, która jednak się nie objawiła. Zасыpiając każdej nocy, modliłam się, aby to wszystko okazało się jednym wielkim nieporozumieniem, i aby mój ojciec po mnie wrócił i zabrał mnie z powrotem do domu.

Czułam na sobie ich spojrzenia. Służących umykających przede mną czy wuja, który patrzył na mnie wyczekująco zmrużonymi oczami. Nawet konie przede mną uciekały, wyczuwając gnieźdzącą się we mnie infekcję – magię kiełkującą w młodym ciele.

Cztery miesiące później mój wuj wraz z sześcioma innymi mężczyznami wjechał przez bramę, ich konie błyszcząły od potu, a miecz wuja ociekał krwią. Ukryłam się wśród cieni za stajnią i obserwowałam, zaciekawiona triumfalnym uśmiechem mającym na jego ustach. Wuj wezwał Jedha, Mistrza Oręża. Mężczyźni przez chwilę rozmawiali ze sobą szybko przyciszonymi głosami, po czym ruszyli do domu.

Nadal spowita cieniami, podążałam za nimi przez hol aż do mahoniowej biblioteki, której drewniane drzwi pozostały lekko uchylone. Nie pamiętam, co mówili – w jaki sposób mój wuj odebrał rozbójnikom jedną z Kart Opatrzności – za to dokładnie pamiętam ich podeksytowanie.

Poczekalam, az opuszczą pokój, i wkradłam się do środka. Wuj był na tyle nierozważny, że nie ukrył Karty, pozostawiając ją na widoku. Na jej wierzchu było wypisane jedno słowo: Koszmar. Otworzyłam usta, a moje dziecięce oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Wiedziałam wystarczająco dużo o *Starej Księdze Olch*, żeby wiedzieć, że ta konkretna Karta Opatrzności była jedną z dwóch tego rodzaju, jej magia budziła grozę. Ten, kto jej użył, zyskiwał zdolność przemawiania do umysłów innych. Korzystanie z niej przez dłuższy czas mogło doprowadzić do tego, że Karta ujawniłaby najskrytsze obawy swojego właściciela.

Jednak to potwór, a nie reputacja tej Karty złapała mnie w swoje sidła. Stałam nad biurkiem, niezdolna do oderwania wzroku od koszmarnej kreatury widniejącej na Karcie. Futro monstrum było szorstkie, pokrywało kończyny stwora, przebiegając wzdłuż zgarbionego kręgosłupa aż do czubka ogona. Jego palce były niezwykle długie, pozbawione włosów i szare, zakończone wielkimi pazurami. Oblicze, ni to ludzkie, ni zwierzęce, stanowiło mieszaninę czegoś pomiędzy. Zbliżyłam twarz do Karty, przyciągana kłami wystającymi pomiędzy wykrzywionych warg kreatury.

Zatraciłam się w jego oczach. Żółtych, świecących, z wąskimi, kocimi źrenicami. Stwór wpatrywał się we mnie pomiędzy szeroko otwartych powiek, nieruchomy. Chociaż był tylko malunkiem na Karcie, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że patrzył wprost na mnie, obserwując mnie tak samo uważnie jak ja jego.

Próba opisanego tego, co zdarzyło się później, była jak próba sklejenia roztrzaskanego lustra. Nawet gdybym mogła ponownie ułożyć poszczególne kawałki wspomnień na swoje miejsce, nadal pozostałyby pęknięcia, luki nie do wypełnienia. Jedyne, czego miałam absolutną pewność, to wrażenie otaczającego mnie burgundowego aksamitu – niesamowitą miękkość krawędzi Karty, kiedy przesunęłam po niej palcem.

Pamiętam zapach soli i niewyobrażalny rozpalony do białości ból, który potem nastąpił. Musiałam upaść albo stracić przytomność, bo gdy się ocknęłam na podłodze w bibliotece, na zewnątrz panowały już ciemności. Gdy usiadłam, włosy zjeżyły mi się na karku, a kiedy podniosłam się z podłogi, zdałam sobie sprawę, że nie jestem w bibliotece sama.

Wtedy po raz pierwszy to usłyszałam, przerażający dźwięk stukających pazurów.

Stuk. Stuk. Stuk.

Zerwałam się na równe nogi, rozglądając się po pomieszczeniu w poszukiwaniu intruza, ale byłam całkiem sama. Dopiero gdy znowu rozległ się stukot – *stuk, stuk, stuk* – zdałam sobie sprawę, że to nie do biblioteki zakradł się nieproszony gość. Tylko do mojego umysłu.

Cześć? Odezwałam się łamiącym się głosem.

Głos stwora był męski, składający się z syczących i mruczących dźwięków – śliski i gładki, złowrogi i słodki – odbijających się echem w ciemnych zakamarkach mojego umysłu.

W i t a j.

Krzyknęłam i wybiegłam z biblioteki. Bez skutku. Po tym, co zrobiłam, nie miałam dokąd uciec.

Nagle wszystko stało się boleśnie oczywiste: infekcja wcale mnie nie oszczędziła. Dysponowałam magią. Dziwną, obrzydliwą odmianą magii.

Ledwo jej dotknęłam, jednak muśnięcie aksamitu zdobiącego Kartę sprawiło, że wchłonęłam coś z Karty Koszmaru mojego wujka. Wystarczyło raz ją pogłaskać, by jej moc została uwięziona w moim umyśle.

Z początku myślałam, że po prostu wchłonęłam samą Kartę – jej magię. Ale pomimo moich usilnych prób, nie byłam w stanie przemówić w umysłach innych osób. Mogłam zwracać się tylko do głosu, z którym dzieliłam własny umysł – do potwora, Koszmaru. Ślęczałam nad Starą Księgą Olch, tak długo szukając odpowiedzi na to, co się ze mną dzieje, że nauczyłam się jej na pamięć. Opisując Kartę Koszmaru, Król Shepherd wskazał, że Karta karmi się najgłębszymi lękami za pomocą wzbudzania przerażenia i nawiedzania swojego użytkownika. Czekałam na uczucie przerażenia i koszmary, które jednak się nie pojawiły. Za każdym razem gdy wchodziłam do ciemnego pomieszczenia, zaciskałam mocno szczęki, powstrzymując się od krzyku, przekonana, że Koszmar zaraz przerwie ciszę okropnym zgrzytliwym dźwiękiem. A jednak nigdy to nie nastąpiło. Stwór milczał, nie nawiedzał mnie.

Nie odezwał się do mnie ani słowem aż do pamiętnego dnia, kiedy przyszli po mnie Uzdrowiciele, a on mnie uratował.

Po tym, wydawane przez niego dźwięki – gdy pojawiał się w mojej świadomości i znikał – stały się znajome. Był tajemniczy i miał wiele sekretów, a co okazało się jeszcze dziwniejsze, sam Koszmar dysponował własną magią. W jego oczach Karty Opatrzności stawały się jasne niczym pochodnie, a ich kolory były charakterystyczne dla poszczególnej Karty i zdobiącego ich brzegi aksamitu. Przez to, że Koszmar został uwięziony w moim umyśle, widziałam karty w taki sam sposób jak on. W dodatku, gdy poprosiłam go o pomoc, stawałam się silniejsza – biegałam znacznie szybciej i na dłuższe dystanse, a moje zmysły robiły się bardziej wyostrome.

Zazwyczaj pozostawał w uśpieniu, jakby spał. Kiedy indziej zdawał się całkowicie przejmować moje myśli. Kiedy już się odezwał, jego gładki, upiorny głos recytował rytmiczne zagadki, nierzadko cytując *Starą Księgę Olch*. Czasami zwracał się do mnie tylko po to, żeby ze mnie zadrwić.

Bez względu na to, jak często go pytałam, nie chciał powiedzieć, kim był, ani w jaki sposób pojawił się na Karcie Koszmaru.

Byliśmy ze sobą związani od jedenastu lat.

Przez cały ten czas nie zdradziłam nikomu swojego sekretu.

Rzadko spacerowałam po lesie nocą, a jeśli już to robiłam, to nigdy w pojedynkę. Po raz kolejny obejrzałam się przez ramię, licząc, że zobaczę idącą za mną Ionę, dzięki czemu razem stawiłybyśmy czoła ciemności, ramię w ramię.

Niestety, jedyną rzeczą, która poruszała się na skraju lasu, okazała się biała sowa. Obserwowałam, jak wzbija się w powietrze, a po chwili zaskoczyło mnie jej nagłe pikowanie w dół. Ciemność powoli skradała się po drzewach, a wraz z nią nadeszły odgłosy nocnych zwierząt – stworzeń, których nie przerażały ciemności. Koszmar przesunął się do tyłu mojego umysłu, posyłając dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Poczułam zimno, pomimo powiewów ciepłego, letniego powietrza.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyspieszyłam kroku. Jeszcze tylko kilka zakrętów i zaraz w moim polu widzenia miały pojawić się pochodnie przytwierdzone do bramy mojego wuja, przyciągające mnie do domu.

Nie dotarłam nawet do drugiego zakrętu, kiedy dopadli mnie rozbójnicy.

Wyłonili się z mgły, niczym drapieżcy otaczający nową ofiarę – dwóch z nich było odzianych w długie, ciemne płaszcze. Mieli na twarzach maski, więc jedyne, co widziałam, to ich oczy. Pierwszy z nich chwycił mnie za kaptur jedną ręką, a drugą zatkał mi usta, tłumiąc wydostający się z nich okrzyk zaskoczenia. Drugi z nich wyciągnął zza pazuchy sztylet i trzymając go za rękojeść z kości słoniowej, przytknął mi ostrze do szyi.

– Bądź cicho, to go nie użyję – powiedział głębokim barytonem. – Zrozumiano?

Milczałam, dławiona ogarniającym mnie strachem. Wędrowałam po tych lasach przez połowę mojego życia. Nigdy nic złego mnie tu nie spotkało, nie zaatakował mnie żaden dziki pies, a już na pewno nie rozbójnicy, nie tak blisko posiadłości mojego wuja. Oznaczało to, że ci dwaj byli albo niezwykle odważni, albo głupi.

Sięgnęłam w głąb umysłu w poszukiwaniu Koszmaru. Z sykiem przesunął się naprzód mojej świadomości, poruszony strachem. Czujny i gotowy, znajdował się tuż za moimi oczami.

Ostrożnie skinęłam głową, cały czas pamiętając o sztylecie dotykającym mojego gardła.

Mężczyzna się odsunął.

– Jak masz na imię?

S k ł a m, wyszeptał Koszmar.

Wzięłam drżący wdech, mój kaptur nadal był przytrzymywany przez pierwszego z rozbójników.

– J-j-jayne. Jayne Yarrow³.

– Dokąd szłaś, Jayne?

P o w i e d z m u, ż e n i e m a s z p r z y s o b i e n i c z e g o w a r t o ś c i o w e g o.

Tak? Żeby zamiast tego zrobili użytek z mojego ciała? Nie sądzę.

Pod warstwą strachu zaczęła we mnie wrzeć wściekłość, dodatkowo podsycana gniewem Koszmaru, a ta mieszanka uczuć pozostawiała na moim języku metaliczny posmak.

– Ja... ja pracuję na służbie u pana Hawthorna – wykrztusiłam, modląc się, żeby waga nazwiska mojego wuja ich przestraszyła.

Zorientowałam się, jaki popełniłam błąd, gdy stojący za mną rozbójnik się zaśmiał.

– To pewnie wiesz o jego Kartach – zauważył. – Zdradź nam, gdzie je trzyma, to puścimy cię wolno.

Wyprostowałam się, ręce zacisnęłam w pięści. Karą za kradzież Kart Opatrzności była publiczna, powolna i makabryczna śmierć.

Oznaczało to, że ci dwaj nie byli zwyczajnymi rzezimieszkami.

– Jestem tylko pokojówką – skłamałam. – Nic nie wiem.

– Z pewnością wiesz bardzo dużo – oznajmił mężczyzna, ściągając kaptur z mojej głowy z taką siłą, że zapięcie peleryny zaczęło wrzynać mi się w gardło. – Gadaj.

W y p u ś ć m n i e, znowu odezwał się Koszmar, jakby cedząc każde słowo przez zaciśnięte zęby.

Zamknij się i daj mi pomyśleć, odwarknęłam do niego, nie odwracając spojrzenia od sztyletu trzymanego przez rozbójnika.

– Halo?! – zawołał mężczyzna za mną, ponownie pociągając za kaptur. – Słyszysz, co do ciebie mówię, czy nagle ogłuchłaś?

– Zaczekaj – rozkazał ten, który trzymał sztylet.

Chociaż jego twarz skrywała maska, to spojrzenie widocznych zza niej oczu przytrzymywało mnie w miejscu. Kiedy się zbliżył, wzdrygnęłam się, czując oblepiający jego płaszcz zapach cedrowego dymu i goździków.

– Przeszukaj jej kieszenie – zwrócił się do towarzysza.

Poczułam, jak wścibskie palce mężczyzny zaczęły wędrować po moich bokach, przez talię i w dół, w kierunku mojej spódnicy. Zacisnęłam zęby, unosząc wysoko brodę. Koszmar był cicho, jedynie jego pazury wybijały ostry rytm.

Klik. Klik. Klik.

– Nic nie ma – powiedział rozbójnik.

Jednak drugi nadal nie był przekonany. Cokolwiek dojrzał w moich oczach – jakiegokolwiek miał podejrzenia – sprawiło to, że przystawił sztylet do mojego serca.

– Sprawdź w rękawach – powiedział.

Pomóż mi, krzyknęłam głośno w swoim umyśle. Teraz!

Koszmar wybuchnął śmiechem – okrutnym, wężowym sykiem.

Po moich ramionach rozeszło się rozpalone do białości gorąco. Przygarbiłam się, miałam wrażenie, że moje żyły płoną. Wydałam z siebie stłumiony szloch, gdy moc Koszmaru zaczęła krążyć w mojej krwi.

– Co się z nią dzieje? – Mężczyzna stojący za mną zrobił ostrożny krok w tył.

Rozbójnik trzymający sztylet obserwując mnie szeroko otwartymi oczami, bezwiednie opuścił broń – tylko na chwilę, ale to wszystko, czego potrzebowałam.

Moje mięśnie, napełnione mocą Koszmaru, płonęły. Gwałtownie uderzyłam go w pierś, wytrącając mu z ręki broń i popychając w kierunku drogi. Jego głowa z łoskotem uderzyła o ziemię akurat w tym samym czasie, gdy drugi rozbójnik – ten stojący za mną – sięgnął do pasa po miecz.

Na próżno. Koszmar miał błyskawiczny refleks. Zanim mężczyzna zdążył wyciągnąć oręż z pochwy, chwyciłam go mocno za nadgarstek, pozostawiając na jego przegubie ślady paznokci.

– Nie przychodźcie tutaj nigdy więcej – odezwałam się głosem, który nie całkiem należał do mnie.

Następnie, nadal dysponując pełną mocą Koszmaru, zepchnęłam go z drogi prosto w mgłę.

Po chwili dało się słyszeć trzask łamanych gałęzi i przekleństwa rozbójnika wcześniej trzymającego sztylet. Teraz jego słowa unosiły się w wilgotnym, letnim powietrzu. Nie czekałam, aż się podniesie. Nie tracąc ani chwili, szybko pobiegłam do domu wuja.

Szybciej, zawołałam, przekrzykując głośne dudnienie mojego serca.

Nogi drżały mi z wysiłku, poruszałam się tak szybko, że buty niemal nie dotykały ziemi. Kiedy dotarłam do jednej z pochodni umieszczonych na bramie, rzuciłam się na ceglany mur otaczający dom, zatrzymałam się, pozwalając sobie na wzięcie kilku długich bolesnych wdechów.

Zerknęłam przez ramię w kierunku drogi, częściowo spodziewając się, że zobaczę ścigających mnie mężczyzn. A jednak spowijającą mnie ciemność zakłócała jedynie mgła i rosnące w pobliżu drzewa.

Został tylko Koszmar i ja.

Uspokoiliam oddech, nadal czujac palacy bol w calych rekach i ramionach. Podwinelam rekawy, wpatrujac sie w rozchodzacy sie po moich zyłach czarny atrament, magię, która splywała od zgięcia łokcia aż do nadgarstka. Wyglądalo to tak samo jak jedenaście lat temu, gdy dopadła mnie gorączka. Tak samo jak zawsze, gdy prosilam Koszmar o pomoc.

Zaciskajac z bólu zęby, czekałam, aż atrament zblaknie na mojej skórze, wypali się do cna.

Myślisz, że się zorientowali, że jestem zainfekowana?

To złodzieje Kart. Gdyby donieśli na ciebie, wydaliby równocześnie samych siebie.

Kilka chwil później piekące ciepło zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie delikatne dreszcze przeskakujące w górę i dół moich ramion. Oparłam się o ceglana ścianę, głośno wzdychając.

Dlaczego to tak piecze za każdym razem?, zapytałam, ale Koszmar już zaczął znikać w ciemnościach mojego umysłu.

Magia moja porusza, powiedział. Magia moja kąsa, Magia moja uspokaja i z równowagi wytrąca. Tyś jest młoda i strachliwa, ze mnie bestia wiecznie żywa.

ROZDZIAŁ TRZECI

*Urodziłem się w malignie z krwią koloru czarnej nocy,
Pełną bezlitosnej magii, wielkiej siły, strasznej mocy.
Z nieskończonym darem wzroku i ambicją zbyt rozległą,
Zapraǳnęłem więcej darów, zapraǳnęłem więcej mocy.
Duch ostrzegał mnie wyraźnie – nigdy nie ma nic za darmo.*

*Każdy pakt i każda zgoda musi zostać opłacona.
Chociaż cena była wielka, za swe dary zapłaciłem,
Krwią i kośćmi mego ciała.
Tak, że siebie utraciłem.
Posługując się Kartami, pozostawaj na baczności,
Pamiętając, że tak cuda, jak i wszelkie potworności,
To działanie dwunastu Kart Opatrzności.*

Posłaniec przybył, gdy akurat siedzieliśmy przy stole, jedząc śniadanie. Moi młodszy kuzyni kłócili się nad tacą z ciepłymi ciasteczkami, podczas gdy ja i Ione sączyłyśmy herbatę. Kiedy słuǳący wkroczył do holu, Ione zeskoczyła z krzesła, jej piwne oczy rozbłysły na widok niesionej koperty.

– Tak, tak, tak! – zanuciła.

Ciotka pomachała do niej nagle trzymanym w ręku nożem do masła. Ione podeszła do matki sprężystym krokiem, z zaróżowionymi policzkami i wręczyła jej list. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się uważnie w rząd drobnych literek, aż siedzący po drugiej stronie wuj zaczął się niecierpliwić.

– Co to? – zapytał.

– Zostaliśmy zaproszeni na Ekwinokcjum – odpowiedziała ciotka, marszcząc z niezadowolenia nos.

Ione wydała z siebie triumfalny pisk, a siwe wąsy mojego wujka zadrżały, gdy wykrzywił usta w uśmiechu. Ułożyłam ręce na podółku, zaczynając pracować nad wymówką, którą zamierzałam uraczyć wujostwo, żeby uniknąć pójścia na królewski bal.

– Nie bądź taka zadowolona – zwróciła jej uwagę ciotka, przekazując zaproszenie mężowi. – Nadal zalegamy z zapłatą zeszłorocznego podatku, a król Rowan ǳąda uiszczenia całej sumy, co do pensa – dodała, nerwowo bawiąc się materiałem

spódnicy. – Po mieście krążą pogłoski, że tegoroczne żniwa były najśłabsze od wieków.

Po drugiej stronie stołu moi kuzyni walczyli o ostatnią kiełbasę, zamieniając żelazną zastawę w wojenny oręż.

– A dlaczego żniwa były słabe? – zapytał Lyn. – Z powodu mgły?

– Kto by dbał o żniwa – zachnęła się Ione. – Tu chodzi o Ekwinokcjum! – dodała zachwycona, odwracając się w kierunku ojca. – Pójdziemy, ojcze, prawda? Proszę, powiedz, że pójdziemy.

Posmarował chleb dżemem truskawkowym w milczeniu, a gdy odłożył kromkę na talerz, wymruczał pod nosem:

– Tak, Ione – powiedział. – Pójdziemy na bal.

Kuzynka wybuchła radosnym okrzykiem, który w tej samej chwili został przerwany kaszlem ciotki, która z zaskoczenia musiała zakrztusić się herbatą.

– Naprawdę? – zapytała męża.

Wuj wziął jeszcze jeden kęs chleba, po czym wstał od stołu. Po chwili wrócił, a z jego kieszeni biło głębokie burgundowe światło. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, by wyciągnąć z niej jedną z Kart Opatrzności. Jego palce przez chwilę przesuwają się po bordowym wykończeniu Karty, a następnie położył ją na stole, burząc tym samym mój poranny spokój.

Zrobiło mi się zimno. Spojrzałam na Kartę Koszmaru – tę samą, na którą padł mój wzrok jedenaście lat temu.

– Oto twój zaległy podatek – powiedział mężczyzna. – Wart o wiele więcej, niż jesteśmy dłużni plus jeszcze trochę.

Po tych słowach jedynym dźwiękiem słyszonym w pokoju było skrzypienie krzeseł, gdy ciotka wraz z moimi kuzynami pochyliłi się nad stołem, by lepiej zobaczyć Kartę.

– Czy to jest...? – szepnęła Ione.

– Karta Koszmaru – dokończyła za nią ciotka. Z pobladłą twarzą skierowała spojrzenie z powrotem na mojego wuja. – Królowie szukali tej Karty dłużej niż ja żyję, Tyrn. Jakim cudem ją zdobyłeś?

– Kilka lat temu odebrałem ją rozbójnikowi napotkanemu w lesie.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć? – zapytała.

Wuj posłał jej znużone spojrzenie.

– Trzymałem ją na czarnej godzinę – przyznał ze wzrokiem utkwionym w Ione.

Z powrotem usiadł u szczytu stołu, krępy i posiwiał, taki jak zwykle. A jednak nic nie było takie jak zawsze. Coś dziwnego pojawiło się w jego oczach – coś niepokojącego w sposobie, w jaki się uśmiechał. Coś czego nie widziałam wcześniej. Fałszywość.

Pomimo pytań zadawanych przez ciotkę, nie zdradził szczegółów, w jaki sposób pozyskał Kartę Koszmaru – nie wspomniał o krwi, która zastygła na jego mieczu w dniu, w którym przyniósł ją do domu.

Oparłam się plecami o oparcie krzesła, obserwując go, przerażona świadomością, że wiem o nim o wiele mniej, niż myślałam.

– Co to? – zapytał Aldrich, pochylając się bardziej do przodu. Jego twarz wykrzywiła się, gdy mrużąc oczy, wpatrywał się w stworzenie namalowane na Karcie.

– To potwór – wyszeptał Lyn i wyciągnął do przodu rękę, chcąc jej dotknąć.

– Nie rób tego! – krzyknął Aldrich, odciągając rękę brata. – Jest bardzo stara. Rozerwiesz ją.

Wuj parsknął śmiechem.

– Czy matka nie czytała wam Starej Księgi wystarczająco wiele razy?

Kiedy moi kuzyni milczeli, sięgnął po Kartę i ujął ją w kciuki i palce wskazujące z dwóch stron. Kiedy szarpnął, chcąc rozerwać ją na pół, usłyszałam własne sapnięcie.

Karta pozostała nienaruszona.

Wuj położył ją z powrotem na stole. Nadal wyglądała na starą, lecz nic poza tym. Ani jednego zagniecenia czy zmarszczki.

– Karty Opatrzności są niezniszczalne – poinformował swoich synów. – Zostały stworzone przez bardzo starą magię.

Lyn pochylił się do przodu w kierunku młodszego brata, z wszechwiedzącą miną. Chociaż chłopców dzielił zaledwie rok, Lyn lubił odgrywać rolę nauczyciela wobec Aldricha, który z kolei nie do końca przepadał za byciem jego uczniem.

– Tata ma na myśli magię króla Shepherd.

W odpowiedzi Aldrich go odepchnął.

– Magia została mu подарowana przez Ducha Lasu, którą król następnie wykorzystał do stworzenia Kart Opatrzności – oznajmiła ciotka dudniącym głosem.

– Podarowana – wymruczał wuj. – Bardziej prawdopodobne, że został nią zainfekowany.

Odgłos zaciskania i rozluźniania szczęk przez Koszmar odbijał się echem w moim umyśle.

Serce ze złota też zboczyć może. Choć potomnym król ostrzeżenia spisał, nic to nie pomoże. Karty przez niego stworzone to broń w rzeczywistości, przez które królestwo pławi się w niegodziwości. A król to nikt inny jak pasterz⁴ głupoty, monarcha ciemnoty.

Ione przesunęła palcem po burgundowym aksamicie otaczającym Kartę Koszmaru. Wzdrygnęłam się, przypominając sobie dotyk aksamitu pod moją skórą.

– Musi być dla króla Rowana niezwykle cenna – powiedziała.

Wuj ponownie zwrócił spojrzenie w kierunku swojej jedynej córki.

– W istocie, moja córko – oznajmił, a jego uśmiech, choć nie był już fałszywy, to jednak sprawiał wrażenie równie niepokojącego. – Właśnie na to liczę.

Egzemplarz *Starej Księgi Olch*, który ciotka dzieliła niegdyś z moją mamą, leżał na stercie innych książek na podłodze w salonie. Podniosłam ją oburącz, wyblakła okładka była znajoma w dotyku. Pachnąca starą skórą księga znajdowała się w opłakanym stanie, zniszczona przez częste czytanie i upływ czasu. Na wewnętrznej stronie okładki widniało nazwisko rodowe ciotki, które dzieliła z moją matką, zanim ich ojciec podpisał kontrakt małżeński z Tyrnem Hawthornem.

Opal Whitebeam⁵. Obok, zapisane zamaszystymi literami, widniało imię mojej matki. Iris Whitebeam.

Przekartkowałam poźółkłe strony. Podobnie jak moi kuzyni jako dziecko też interesowałam się magią i Kartami Opatrzności. Pamiętam, że podczas lektury *Starej Księgi Olch* mama pozwalała mi wpełzać na swoje kolana. Na marginesach zielonym atramentem widniały narysowane przez nią obrazki drzew, dziewcząt i potworów. Kiedy mi ją czytała, jej czarne włosy opadały na ramię, a ja okręcałam ich końcówki wokół małego palca, pochłonięta uspokajającym i jednocześnie niesamowitym i pełnym grozy językiem, w jakim księga została napisana.

Pewnej wiosennej równonocy razem z mamą pojechałam z wizytą do cioci Opal. Pamiętam, jak razem z Ione, zwinięte w kłębek niczym kocięta na dywaniku z owczej skóry, słuchałyśmy z szeroko otwartymi oczami odpowiedzi kobiet na zadawane przez nas pytania o niezwykłą księgę króla Shepherd'a.

– Dlaczego król Shepherd stworzył Karty Opatrzności? – zapytałam. – I dlaczego akurat są to karty?

Ciotka zsunęła okulary do czytania, spoglądając na mnie z powagą, którą rzadko u niej widywałam.

– Aby odpowiedzieć na to pytanie – rzekła – musimy cofnąć się nieco dalej i zacząć historię od Ducha Lasu.

Zadrżałam pomimo trzaskającego w kominku ognia. Stworzony przez króla Shepherd'a opis Ducha Lasu był jedną z tych rzeczy, które wprawiały mój dziecięcy umysł w przerażenie. Nieśmiertelne bóstwo pachnące magią – solą – niewidzialne, czyhające we mgle.

– Dawno temu – zaczęła ciotka – przed powstaniem Kart Opatrzności, Duch Lasu był naszym bóstwem. Mniej więcej w tym samym czasie mieszkańcy Blunder poszukiwali soli, przeczesując las. Wreszcie, wiedzeni jej zapachem, natrafili na Ducha Lasu, którego poprosili o dary i błogosławieństwa. Na znak szacunku lud Blunder przyjął nazwy drzew, aby stały się one ich nazwiskami rodowymi. To stara magia oparta na starożytnych wierzeniach. – Jej spojrzenie pociemniało. – W zamian za tak duży przejaw szacunku, Duch Lasu obdarzył króla Shepherdą tajemniczą i potężną magią. Król bardzo chciał podzielić się zdobytą magią ze swoim królestwem, dlatego stworzył dwanaście Kart Opatrzności. – Nagle jej głos stał się bardzo poważny, mroczny. – Ale wszystko ma swoją cenę. Za każdą Kartę król Shepherd musiał poświęcić coś na rzecz Ducha Lasu.

– Coś takiego jak dusza? – zapytała Ione, nerwowo obgryzając paznokcie.

Ciotka skinęła głową.

– Jednak ostatecznie decyzje władcy odbiły się na Duchu Lasu. Dzięki Kartom Opatrzności, stworzonym i rozdanych poddanym przez króla, ludzie posiadli magię, którą od tamtej chwili mieli na wyciągnięcie ręki. Nie musieli już wędrować do lasu z darami, prosząc o pomoc czy błogosławieństwo. Porzucony, nieczczony przez nikogo Duch stał się mściwy i zdradliwy. – Zamilkła na chwilę, zaciskając usta. – Dlatego stworzył mgłę, za pomocą której zwabiał ludzi z powrotem do lasu.

Byłam dzieckiem, a nawet wtedy wiedziałam, że należy obawiać się mgły.

– Ci, którzy zbczyli z wyznaczonej ścieżki, wchodząc prosto w mgłę, często tracili rozum – dodała moja mama. – Mgła rozprzestrzeniła się, odizolowując nas od sąsiednich królestw. Co gorsza, dzieci nawykłe do zabaw w lesie zaczęły chorować. Trawiła je gorączka, a ich żyły ciemniały. Te, które przeżyły, często zyskiwały własną magię, otrzymując dary, którymi wcześniej obdarzał ludzi sam Duch Lasu. Niestety magia uzyskana w ten sposób okazała się zbyt niestabilna, o wiele bardziej niebezpieczna. – Kiedy głos jej się zatrzęsł, przyłożyła rękę do gardła, próbując się uspokoić. – Sprawiała, że takie dzieci stawały się wynaturzeniem, potwornością. Jednym magia powykręcała ciała, innym umysły. Niewiele z nich dożyło dorosłego wieku.

Razem z Ione siedziałyśmy jak zaczarowane, kompletnie pochłonięte opowieścią, zbyt młode i niewinne, by w pełni zrozumieć, w jak niebezpiecznym świecie żyjemy.

– Chcąc rozproszyć magię – ponownie odezwała się ciotka – król Shepherd ruszył w głąb lasu, by po raz kolejny pertraktować z Duchem. Kiedy powrócił, napisał to – powiedziała, stukając palcem w spoczywającą na jej kolanach *Starą Księgę Olch*. – Opisał ryzyko wiążące się z magią oraz zaklęcia, jakimi można uchronić się przed

mgłą. – Przerwała dla lepszego efektu, po czym dodała: – Na ostatniej stronie napisał nawet, jak zniszczyć mgłę.

– Przeczytaj nam! – krzyknęłyśmy jednocześnie.

Ciotka odchrząknęła, a następnie poprawiając okulary na nosie, zaczęła czytać:

Dwunastu wezwać musisz w najkrótszym dniu w roku,
W porze ciemności, najpotężniejszej dla Ducha i jego mroku.

Gdy przywołają Talię, a ona odpowie,
Zjednoczy dwunastu, wypędzając czarcie mrowie.

Monarsze drzewo to składnik konieczny, a krew atramentową dodaj dla równowagi,
By dwunastu mogło wreszcie pozbyć się z królestwa plagi.

To jest remedium na mgły rozstąpienie,
Co zrodzi początku i końca nowego zapewnienie.

Lecz pamiętaj,
Nigdy nie ma nic za darmo.

Zapisałam, czując, jak rymy otaczają mnie delikatnie niczym jedwab. Zerknęłyśmy na siebie z Ione, uśmiechając się, gdy tak pławiłyśmy się w przepysznej ciemności wyzierającej z każdego słowa króla Shepherd.

– Karty. Mgła. Krew – zwróciła się do nas moja mama tak cicho, że odnosiło się wrażenie, jakby szeptała. – Te trzy elementy są ze sobą połączone, a utrzymanie równowagi między nimi jest równie trudne co nieprzerwanie pajęczej nici. Należy połączyć dwanaście Kart Opatrzności z krwią pociemniałą od soli, a infekcja zniknie. Blunder wyzwoli się od mgły.

– Niestety, król Shepherd nie pozbył się mgły ani nie wyeliminował infekcji – wtrąciła ciężkim od smutku głosem ciotka. – Duch Lasu go oszukał. Powiedział Królowi, jak rozproszyć mgłę, dopiero gdy ten w zamian za tajemnicę oddał mu swoją Kartę Bliźniaczych Olch. Bez tej karty Król nie był w stanie zebrać całej Tali. Co za tym idzie, nie mógł zlikwidować otaczającej Blunder mgły. Nie udało się to dotąd żadnemu panującemu królowi.

– I żaden przyszły król tego nie dokona – dodała w zadumie moja mama. – Nie, dopóki nie znajdzie Karty Bliźniaczych Olch, kompletując tym samym całą Talię Kart Opatrzności. Do tego czasu...

Wymieniłyśmy z Ione posępne spojrzenia.

– ...mgła będzie nadal się rozprzestrzeniać.

Znalazłam ciotkę w ogrodzie, tam, gdzie rzadko bywał jej mąż. Śpiewała. Ogród był jej ulubionym miejscem w całej posiadłości. To kobieta, która wolała przebywać samotnie wśród zieleni, z dala od domowego zgiełku. Długie, złociste włosy spływały kaskadą loków po jej plecach. Z ziemią pod krótko ściętymi paznokciami i kurzymi łapkami wokół oczu, Opal Hawthorn nie była ani tak wyrafinowana ani delikatna, jak inne damy mieszkające w Blunder. To sprawiało, że wraz z wujkiem – mężczyzną bez skrupułów, o ograniczonych horyzontach, którego główny cel stanowiło zostanie jednym z najważniejszych ludzi w Blunder i który wydawał więcej pieniędzy, niż miał – stanowili kiepską, całkowicie niedopasowaną parę.

Uwielbiałam nieokiełznane piękno ciotki. Jego przebłyski dostrzegałam również w Ione. Czasami widziałam w ich rysach cechy własnej matki.

Zerwałam listek mięty, włożyłam go do ust i zaczęłam powoli żuć. Ptaki przebywające w ogrodzie wyczuwając moją obecność, ucichły. Ciocia zerknęła przez ramię z uśmiechem, przywołując mnie do siebie i piętrzących się wokół niej ziół.

– Przygotowuję nalewkę leczniczą.

Spojrzałam na zielone składniki, które kobieta ucierała na dnie moździerza razem z kawałkiem czegoś, co miało kredowobiały kolor. Kiedy zaintrygowana pochyliłam się jeszcze bardziej, do moich nozdrzy dotarł zapach przywodzący na myśl złocien.

– A to białe, to co to?

– Kora z białej wierzby – odparła. – Pomaga na ból głowy.

Przytaknęłam, po czym ułożyłam się na miękkiej trawie obok niej.

– Jeśli chodzi o Ekwinokcjum, ciociu... – zaczęłam. – Sądzę, że nie powinnam tam iść.

Ciotka parsknęła śmiechem, wracając do swojej pracy. Przez chwilę jednym dźwiękiem był odgłos ucierania ziół i chrobotanie nasion o kamień.

– Ach tak?

Aldrich i Lyn przebiegli przez ogród, krzycząc i dramatycznie wymachując drewnianymi mieczami. Po chwili zniknęli w głębi podwórza, bezwzględnie przedzierając się przez wojska wyimaginowanego wroga. Kiedy zniknęli nam z pola widzenia, zniżyłam głos.

– Minęło dużo czasu, odkąd byłam na dworze. Poza tym – wymamrotałam – jeśli się pojawię, Nerium się wścieknie.

– To tylko kolejny powód, żebyś właśnie poszła – mruknęła w odpowiedzi, mocniej zaciskając palce na kamiennym tłuczku. – Jestem pewna, że ten młody człowiek, ten, który ciągle pisze do ciebie listy, na pewno ucieszyłby się na twój widok. Jak on się nazywał? Alyc?

Jęknęłam. Drugi syn lorda Laburnuma, o oczach w kolorze rzecznych skał. Pamiętam, jak siedząc przy królewskim stole, rozśmieszał mnie podczas uczyty. Miałam wtedy siedemnaście lat i to był ostatni raz, kiedy pojawiłam się na Ekwinokcjum.

To też chłopak, przy którym okazałam się na tyle głupia i na tyle znudzona, żeby wówczas go pocałować.

– Alyx. Alyx Laburnum.

Ciotka spojrzała na mnie, na jej ustach błąkał się pełen rozbawienia uśmiech.

– I co? Już nie lubimy tego całego Alyxa?

Niedbale machnęłam ręką, zbywając jej pytanie.

– Chyba nigdy go tak naprawdę nie lubiłam. Może po prostu, wtedy się tylko... napatoczył.

Ciotka pokręciła głową, cmokając językiem z niezadowoleniem. Jednak natychmiast zepsuła efekt, uśmiechając się szeroko.

– Nie zawsze tak będzie. Prowadzenie pustelniczego żywota w domu wuja nie jest dobrym sposobem na życie dla młodej kobiety.

S t a r a c z a r o w n i c a m a r a c j ę .

Podskoczyłam, przypadkowo strącając kielich rosnącego nieopodal kwiatu.

Na szczęście moja ciotka niczego nie zauważyła. Wyciągnęła zza fartucha kremową kopertę. Kiedy mi ją podawała, zostawiła na papierze smugę brudu.

Jednak nie miało to żadnego znaczenia. Doskonale znałam widniejące na pergaminie pismo. List był od ojca. Wiedziałam też, jaka jest treść przesłanej wiadomości, identycznej jak poprzednie, które wysyłał mi przez ostatnie lata o tej porze roku, kiedy król rozpoczynał uroczystości Ekwinokcjum.

– Twój ojciec się stara, Elspeth – zwróciła się do mnie, patrząc na mnie uważnie.

Dotknęłam listu, rozmazując palcami litery zapisane niechlujnym charakterem pisma ojca. Prawda była taka, że nie chciałam świętować równonocy na zamku nie tylko z powodu obecności ojca, macochy i przyrodnych siostr. Owszem, zależało mi na ich unikaniu za wszelką cenę, ale to nie jedyny powód, dla którego nie przepadałam za przebywaniem na zamku w czasie Ekwinokcjum, czy w ogóle w mieście.

Zwyrodnienie, degeneracja. Właśnie tak król Shepherd opisał w *Starej Księdze Olch* chorobę umysłu lub ciała nachodzącą wraz z infekcją. Gdy gorączka ustępowała, infekcja piętnowała chorego, nadając mu niezwykle moce, magiczne dary. Lecz nie obywało się bez konsekwencji. Dla niektórych cena za nowe umiejętności była oczywista – magia powoli wysysała życiową energię, dopóki nie pozostawiała po sobie niczego innego poza bólem.

Dla innych, takich jak ja, była to wielka niewiadoma. Niczym żeliwne kowadło, przywiązane sznurkiem do mojej kostki, mogące spaść w każdej chwili, ciągnąc mnie w przepaść. Nie wiedziałam kiedy ani jak i dlatego czułam, że zbyt częste przebywanie wśród obcych byłoby lekkomyślne, skoro sama nie miałam pojęcia, kiedy zwyrodnienie może zapłonąć w mojej krwi i mną zawładnąć. Mogłabym wtedy zrobić coś okropnego na oczach samego króla, jego uzdrowicieli czy kawalerii, a ci bez wątpienia zaciągnęliby mnie prosto do lochów. A może po prostu znowu bym zachorowała i nieważne, jak bardzo starałabym się to ukryć, nic by to nie dało.

Tak, jak stało się to w przypadku mojej matki.

Odwróciłam wzrok od ciotki, przesuwając palcami po fioletowych płatkach irysa.

– Po prostu uważam, że wszystkim byłoby o wiele łatwiej, gdybym tu została.

Ciotka westchnęła delikatnie, po czym pochyliła się, by pogłaskać mnie po policzku.

– Nigdy w pełni nie zrozumieję, jakie to wszystko musiało być dla ciebie straszne – przyznała. – Ale chcę, żebyś pamiętała, że kocham cię i zawsze będzie tu dla ciebie miejsce. Nie możesz pozwolić, by gorączka sprzed jedenastu lat powstrzymywała cię przed życiem pełną piersią, Elspeth. Jesteś młoda, istnieje tyle rzeczy, których musisz jeszcze doświadczyć. – Zmarszczyła nos i wróciła do pracy. – A jeśli nie chcesz iść na Ekwinokcjum dla własnej przyjemności, zrób to przez wzgląd na mnie. Zapłaciłabym niezłą sumkę, byle tylko zobaczyć, jak Nerium Spindle wije się z wściekłości.

W noc poprzedzającą naszą podróż na zamek z okazji Ekwinokcjum, miałam sen. Było to niezwykle, ponieważ nie śniłam, odkąd jedenaście lat temu dotknęłam Karty Koszmaru. Pomimo wielu wad bestii, zakłócanie moich bezsennych nocy nie było jedną z nich.

Nie wiedziałam, co robił, kiedy spałam, a gdy go o to pytałam, nie odpowiadał. Wcześniej myślałam, że on też śpi, ale po tylu wspólnie spędzonych latach zdałam sobie sprawę, że on nigdy nie odpoczywa. Po prostu znikał w takiej części mojego umysłu, do którego nie byłam w stanie dotrzeć. Gdzie panowała cisza. A gdy spałam, wędrował sobie swobodnie po mojej świadomości, niezakłóconej nieustanną szamotaniną myśli.

W moim śnie po raz pierwszy odnosiłam wrażenie, jakbym to ja znalazła się w jego głowie.

Przebywałam w bardzo starym pomieszczeniu, którego ściany pokrywała dzika winorośl. Przez wiekowy spróchniały sufit przebijały złote promienie słońca,

gdzieniegdzie przeplatane zielonym baldachimem drzew. Latające nade mną ptaki śpiewały. Letni poranek pomimo otaczającego mnie surowego krajobrazu nadal był ciepły i przyjemny.

Nie mogłam sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazłam się w tym pokoju. Jak w przypadku wszystkich snów, tak i temu brakowało początku i końca. Na środku pomieszczenia znajdował się kamień, szeroki i wysoki jak stół, na którym siedział mężczyzna w złotej zbroi, mającej dni świetności już za sobą. Nieznajomy był stary, starszy od mojego ojca, przerażający i srogi. Sprawiał wrażenie, jakby jego ciężka zbroja nic nie ważyła – musiał być niezwykle silny. Przytroczony do jego pasa miecz był stary i zardzewiały, a rękojeść porastały gałęzie.

Pogrążony w myślach, z głową opartą na jednej ze złotych rękawic, nie zauważył mojego nagłego pojawienia się.

Czekałam, aż podniesie wzrok, szurając stopami po pokrytej listowiem posadzce.

Kiedy w końcu skierował na mnie spojrzenie, sapnęłam, rozpoznając znajome kocie oczy – żółte, o szerokich tęczęwkach i równie wąskich źrenicach.

Wpatrywał się we mnie bez słowa, a ja zorientowałam się, że zaskoczyłam go, przeszkodziłam mu w chwili – w miejscu – którego Koszmar nie zamierzał mi pokazywać.

Wtem starożytne pomieszczenie zniknęło, a świergot ptaków zastąpiła głucha cisza.

Drzewa ustąpiły wysokim półkom, pełnym książek, grubych tomiszczy i zakurzonych zwojów. Zamiast kamienia stało ciężkie biurko z drewna wiśniowego. Znajdowałam się w bibliotece wuja.

Mężczyzna w złocistej zbroi zniknął. Na jego miejscu tkwiło stworzenie przypominające bardziej zwierzę niż człowieka, z grubym czarnym futrem pokrywającym jego grzbiet. Pochyliło się nad biurkiem, a przez jego długie palce nie byłam w stanie powiedzieć, gdzie kończyła się skóra a gdzie zaczynały pazury. Porośnięty futrem ogon podrygiwał groźnie – jak u wściekłego kota – a spiczaste uszy nerwowo drgały.

Obserwowałam go, czując jednocześnie strach i fascynację.

Jego żółte oczy się zwęziły.

– Przyszłaś na przeszpiegi?

Zacząłam się jąkać, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Widziałam, że był wściekły. Mimo to odetchnęłam głęboko i próbując zdobyć się na odwagę, tłumaczyłam sobie, że przecież nie mam wpływu na to, gdzie ponoszą mnie własne sny.

– Kim był ten mężczyzna w zbroi? – zaryzykowałam pytanie.

Koszmar przeciągnął pazurem po biurku, zarysowując drewno. Jego wargi, wąskie i ciemne, wykrzywiły się ku górze.

– Obawiam się, że był to ktoś, kto od dawna nie żyje.

Stałam na środku biblioteki wuja, czując pod bosymi stopami znajomą fakturę dywanu z owczej skóry. To takie dziwne, nieustannie słyszeć jego głos, lecz nigdy nie widzieć kryjącej się za nim twarzy. Korzystając z okazji, bacznie mu się przypatrywałam – jego ciemnym wargom, krótkim, zaostrzonym zębom. Potwór, Koszmar czy człowiek – kimkolwiek był, z pewnością został stworzony z trwogi i przerażenia, zdolnych wystraszyć dorosłego mężczyznę.

Gdy krawędzie mojego snu zaczynały się rozmazywać, wyrzuciłam z siebie:

– Ale on miał żółte oczy.

Koszmar mlasnął językiem i się uśmiechnął. Usiadłszy na biurku mojego wuja, spojrzał na mnie z góry złotożółtymi oczami, tymi samymi, które widziałam u mężczyzny w zbroi.

– Chciałabyś usłyszeć pewną historię? – wyszeptał.

Jego słowa odbijały się echem od ścian w chwili, gdy mara zaczęła blaknąć. Zdążyłam tylko kiwnąć głową, po czym otaczająca mnie biblioteka pogrążyła się w ciemności.

Jedyne, co pozostało, to jedwabisty głos Koszmaru.

– Była raz sobie dziewczyna – wymruczał – mądra i dobra, która żyła w cieniu w głębi lasu. Był sobie też król, pasterz oszustw, który panował nad magią i napisał starą księgę. Tych dwoje było razem, więc oboje byli tym samym: Dziewczyną, Królem... i potworem, którym się stali.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Magia ma zapach soli.

Niczym oceaniczne fale, ona też odpowiada za równowagę.

Owija się wokół Ducha Lasu, przeplatając dobro i zło, miłość i nienawiść, życie i śmierć.

Czy potrafisz wyczuć ją we mgle, wśród kart, w swoim własnym domu?

Magia ma zapach soli.

Król Rowan mieszkał w Stone, nieopodal miasta. Jego zamek wzniesiono na bezdrzewnych wzgórzach, których urodzajna gleba była idealna pod uprawę. Nie potrafiłam stwierdzić, jak dokładnie wyglądały wzgórza ani czy były piękne. Ani ja ani nikt inny nigdy ich nie widział, nikt nie był w stanie ich dostrzec.

Mgła była zbyt gęsta, by cokolwiek zobaczyć.

Jakby utkana z grubej owczej wełny, magiczna i pachnąca solą mgła, spowijała w szarości całe Blunder. W lesie było jej najwięcej. Każdego roku gęsta biel się rozrastała, pochłaniając królestwo, izolując je od reszty świata, prześlizgując się po naszych polach i farmach. Jeśli Karty Opatrzności nie zostaną zgromadzone za mojego życia, zarówno miasto, jak i okolice królestwa wpadną w jej sidła.

A wtedy Duch Lasu będzie swobodnie krążył po świecie.

Rodziny zamieszkujące Blunder już dawno się nauczyły, by trzymać się z dala od mgły. Pomimo spowitych szarością ziem tłumnie szli drogą prowadzącą do zamku. Zapowiedź Ekwinokcjum i okazja do biesiadowania przy królewskim stole dodała wszystkim odwagi. Niektórzy jechali karocami, ale większość podróżowała tradycyjnie – pieszo. Szłam z Ione pod ramię, trzymając drugą rękę na zapięciu płaszcza.

Idąca obok mnie kuzynka nie przestawała mówić.

– Jak myślisz, co Król Rowan da ojcu w zamian za Kartę Koszmaru? Więcej Kart? Złoto? Ziemię? Wysokie stanowisko na dworze?

Król Shepherd stworzył siedemdziesiąt osiem Kart Opatrzności, w porządku malejącym. Dwanaście Czarnych Koni było w posiadaniu elitarniej jednostki króla – Kawalerii. Jedenaście Złotych Jaj. Dziesięć Proroczych. Dziewięć Białych Orłów, Osiem Dziewic. Siedem Kielichów. Sześć Studni. Pięć Żelaznych Bram. Cztery Sierpy. Trzy Lustra. Dwa Koszmary.

I tylko jedna Karta Bliźniaczych Olch.

Karta Koszmaru, jedna z dwóch istniejących, była niezwykle rzadka. Właśnie dlatego, pomimo że królowie Blunder poszukiwali tej Karty przez dziesięciolecia, mój wuj zdecydował się zachować jej istnienie w tajemnicy przez prawie jedenaście lat.

Zerknęłam przez ramię na wujka, który szedł wraz z synami.

Sprawiał wrażenie pogodnego, zajętego rozmową. Jego broda została elegancko przystrzyżona, jedwabny kołnierz koszuli, którą miał na sobie, był o wiele delikatniejszy od tych, które nosił zazwyczaj.

– Podejrzewam, że twój ojciec doskonale wie, co sobie zażyczy od króla w zamian za kartę. Miał dużo czasu, by się zastanowić – odpowiedziałam jej ponuro.

W mojej głowie rozbrzmiał głos niczym porywisty wiatr uderzający o domowe okiennice. *Drzewo Głogu⁶ trzy nasiona wydało. Drzewo Głogu bez życiodajnych liści powoli zmarniało. Strzeż się złodzieja pod płaszczykiem kupca, który w zamian za dary twoją duszę odda.*

Ione założyła za ucho zbłąkany złoty pukiel.

– Ojciec poprosił, żebym mu towarzyszyła, kiedy będzie pokazywać królowi Kartę Koszmarów.

Moje dotychczasowe skupienie na wuju odeszło jak ręką odjął.

– Co? Dlaczego?

Kuzynka zacisnęła usta w wąską kreskę jak zawsze, gdy nie do końca wiedziała, co powiedzieć.

– Chce mnie przedstawić księciu Hawthowi.

– To brzmi jak kara, nie nagroda. – Prychnęłam.

Ione zawsze była pełna uśmiechu i chętnie obdarzała nim innych – to była jedna z wielu rzeczy, które w niej kochałam. Dzięki niej czułam się o wiele zabawniejsza, niż byłam w rzeczywistości. A jednak tym razem kuzynka się nie roześmiała. Czoło miała zmarszczone, a spojrzenie odległe, zamyślane.

Zbyt wolno zaczęłam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Czekaś, chcesz powiedzieć, że twój ojciec zamierza oddać królowi Kartę Koszmaru, w zamian za możliwość zapoznania cię z księciem?

Ione wzruszyła ramionami, kopiąc znajdujący się przed nią kamień.

– Czy to byłaby taka straszna rzecz?

Mrugnęłam.

– Jak mogłoby to nie być straszne? – Zniżyłam głos, zerkając przez ramię, pamiętając, do czyjego zamku zmierzamy. – Przecież facet jest brutalem. Zarówno jeden, jak i drugi księżę.

– Skąd wiesz? – odbiła piłeczkę Ione. – Czy ty w ogóle kiedykolwiek ich spotkałaś?
– To kawalerzyści – odparłam nieco ostrzej, niż zamierzałam. – Są szkoleni na brutalnych i przerażających wojowników.

– Nie wszyscy są tacy. Spójrz na swojego ojca, jeszcze do niedawna był ich kapitanem.

Mięśnie wzdłuż mojej szczęki zadrżały.

– Poza tym – kontynuowała Ione – być może Hauth okaże się bardziej jak król Rowan, a nie jak ci, którzy rządzą przed nim.

Koszmar zawarczał na dźwięk imienia króla Rowana, jego pazury drapały mentalne ściany mojego umysłu. Szybko go uciszyłam.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytałam.

– Jest taki opanowany. Jak na prawdziwego przywódcę przystało. Być może pod jego rządami kawaleria stanie się symbolem ochrony, a nie ucisku. Możliwe, że zostanie królem, który nie będzie polować na dotkniętych infekcją, a skupi się na ich powrocie do zdrowia. Król dostatku, a nie strachu. Lepsza wersja króla Rowana.

Zacisnęłam zęby. Kiedy wreszcie się odezwałam, w moim głosie nie było ani krzty łagodności:

– Książę Hauth Rowan, którego opisałaś, nie istnieje, Ione. Stworzyłaś w głowie jego nierzeczywisty obraz.

Kuzynka wyszarpnęła ramię z mojego uścisku.

– Gdyby wszyscy byli tacy nieufni jak ty, Bess, Blunder nigdy by się nie zmieniło.

Wybuchłam pustym, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Wolę być nieufna, niż cierpieć na urojenia.

Na policzkach Ione zakwitły rumieńce, a w jej oczach zabłysła rzadko spotykana złość.

– Posiadanie nadziei nie sprawia, że mam urojenia, Elspeth – wytknęła.

Otworzyłam usta, chcąc dodać coś jeszcze, ale Ione potruchtała, zostawiając mnie w tyle. Szłam samotnie, a jej słowa kłuły mnie niczym żądła os. Resztę drogi przebyłam sama, wyczekując końca mojego pobytu na królewskim zamku, zanim ten w ogóle się zaczął.

O zachodzie słońca przekroczyliśmy most zwodzony. Aldrich i Lyn wrzucali kamienie do fosy, wyjąc z uciechy, dopóki nie zainteresowała ciotka, która zaciągnęła ich do zamku za uszy.

Unikałam Ione, niespiesznie idąc na spotkanie mojego ojca i przyrodnych sióstr, gromadzących się koło innych rodów Blunder. Wielu ludzi nie widziałam od lat, ale

rozpoznawałam ich po wyszytych na ich tunikach i sukniach drzew – insygniów ich rodów. Spindle, Hawthorn, Juniper, Beech, Gorse, Ash i tak dalej. Stanowiły historię naszego królestwa – starożytnego hołdu złożonego Duchowi Lasu poprzez przyjęcie imion drzew jako nazw Rodów.

Stojące nieopodal Nya i Dimia, na których jedwabnych niebieskich sukienkach zostały wyszyte krzewy trzmieliny, pomachały do mnie, gdy tylko mnie zauważyły. Nerium była razem z nimi, i na mój widok wytrzeszczyła oczy.

Ciocia miała rację. Przyjemnie było patrzeć, jak się wije.

Zesztywniałam, gdy spostrzegłam zbliżającego się ojca. Szedł, wielki jak dąb, przewyższając co najmniej o głowę pozostałych mężczyzn znajdujących się wokół nas. Miał na sobie karmazynową trzmielinową czerwień. Spojrzał na mnie tymi błękitnymi oczami, z emocjami głęboko skrytymi pod maską niewzruszenia.

– Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Sięgnęłam po swój talizman – kruczą nóżkę spoczywającą w kieszeni – i bezwiednie ją pogłaskałam, miałam to w zwyczaju, szczególnie gdy się denerwowałam.

– Minęły trzy lata, odkąd ostatnio byłam w Stone – odparłam, unosząc wzrok na zamkowe sklepienie. – Jest chłodniej, niż zapamiętałam.

– Dobrze wyglądasz. – Ojciec zamilkł, a jego spojrzenie na sekundę objęło całą moją twarz, a po chwili odwrócił wzrok.

Nie odpowiedziałam, wpatrując się w jego oczy, pragnąc, by znowu na mnie spojrzał, choć dobrze wiedziałam, że tego nie zrobi. Przesunął dłoń po szczęce, jego zrogowaciałe knykcie drapały po bujnej, nieostrzyżonej brodzie.

– Tegoroczne Ekwinokcjum nie będzie tak wesołe jak poprzednie uroczystości – powiedział. – Zbiory były bardzo słabe.

Pokiwałam głową w zrozumieniu.

– Mgła gęstnieje z każdym dniem.

Ojciec ponad moją głowę rozejrzał się po rozciągającym się tłumie.

– Król nie ustaje w wysiłkach, by zdobyć ostatnie dwie Karty. Jest gotowy zapłacić za nie krocie.

Drgnęłam, przypominając sobie moją rozmowę z Ione.

Koszmar poruszył się w moim umyśle. *D e s p e r a c k i e c z a s y w y m a g a j ą d e s p e r a c k i c h k r o k ó w*, rzekł.

Żadna Karta nie jest warta formalnego zapoznania z księciem Hauthem Rowanem.

Powiedziała dziewczyna, która rozmawia z potworem mieszkającym w jej głowie. Nie jesteś zbyt dobrym materiałem na księżniczkę, czyż nie, moja droga?

Zignorowałam go.

– Powiedz swojemu lokajowi, żeby zaniósł twój kufer do apartamentów rodziny Spindle. Będiesz tam miała własny pokój. – Ojciec zamilkł na chwilę. – Chyba że wolisz pozostać z Hawthornami.

Mogłam zostać z rodziną ciotki gdyby nie to, co wydarzyło się godzinę temu pomiędzy mną a Ione. To, gdzie spałam, nie miało znaczenia. Świątowanie Ekwinokcjum nie polegało na spaniu.

– Tak, dziękuję – odparłam.

Ktoś w tłumie przykuł uwagę ojca, a on pospiesznie poklepał mnie po ramieniu, kończąc rozmowę.

– Cieszę się, że cię widzę, Elspeth – pożegnał się, po czym zniknął, przedzierając się przez tłum w kierunku schodów.

Patrzyłam, jak odchodzi, rzucając ostatnie spojrzenie na wejście do zamku, zanim zostało zamknięte przez strażników – odcinając nas od ostatnich promieni dnia, niknących pośród złowieszczych chmur wieczornego nieboskłonu.

W drodze do wielkiej sali sprawdziłam swoje odbicie w ciemnym oknie. Wyglądałam blado, moje kości policzkowe rysowały się zbyt ostro, a duże ciemne oczy sprawiały wrażenie, jakby były nieskończenie głębokie, pozbawione dna. Wykrzywiłam się do kobiety w odbiciu i westchnęłam, obiecując sobie, że zanim udam się na wczesny spoczynek, postaram się poprowadzić chociaż kilka lekkich i swobodnych konwersacji.

Kiedy od wejścia dzieliły mnie ze trzy kroki, zorientowałam się, że o wiele lepszym planem byłoby już na samym początku ukryć się w moim pokoju. Ubrany w jaskrawożółte szaty swojego rodu do sali zmierzał powolnym krokiem, nie kto inny tylko Alyx Laburnum⁷. Jego brązowe włosy były nienagannie zaczesane na bok, poza kilkoma niesfornymi nie dającymi się ułożyć kosmykami na czubku głowy. Gdy spojrzenie jego popielatych oczu spoczęło na mnie, uśmiechnął się tak szeroko, że mogłam zobaczyć całe jego uzębienie.

– Cholera – wymamrotałam.

Koszmar w mojej głowie jęknął przeciągle.

– Elspeth – zwrócił się do mnie chłopak, szybko zmierzając w moim kierunku. – Tak myślałem, że widziałem cię wcześniej, ale obawiałem się, że cię wyśniłem. Tak długo życzyłem sobie tej chwili.

Na całe szczęście zamek Laburnum znajdował się po drugiej stronie Blunder, z dala od domu Hawthornów. Szansa wpadnięcia na Alyxa nawet w mieście równała

się zeru. Być może to powód, dla którego wdałam się z nim w bliższą relację w królewskich ogrodach, kiedy miałam siedemnaście lat – fakt, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Pod warunkiem, że przez resztę życia unikałbym Ekwinokcjum.

Zrobiłam unik, gdy chciał mnie uściskać, oferując mu w zamian dłoń.

– Witaj, Alyx.

Jego spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy. Kiedy usta chłopaka spoczęły na moim ręku, odsunęłam się, czując, że wokół moich trzewi zaciska się pętla poczucia winy, dyskomfortu i odrobina niesmaku. Zrobiłam krok do przodu.

– Powinniśmy wejść do środka.

– Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybyś zechciała usiąść obok mnie, panno Spindle. – Alyx błyskawicznie stanął u mojego boku.

– Powinnam siedzieć tam, gdzie mój ojciec – odparłam, nawet na niego nie patrząc.

– Czy mam poprosić go o zgodę, byś zamiast tego usiadła ze mną?

Koszmar przeklął szpetnie. Na drzewa, jak ja go nienawidzę.

Po prostu jest miły. Znowu ukłuło mnie poczucie winy. A ja byłam dla niego okropna.

I co z tego? Nie widzę w tym żadnego problemu.

Ogromna, rozbrzmiewająca echem sala była skąpana w kolorach. Długie stoły zostały nakryte srebrną zastawą i ozdobione nieskończoną liczbą świec. Za królewskim stołem, w zasięgu światła rzucanego przez świece, naliczyłam ośmiu kawalerzystów, każdego z Kartą Czarnego Konia za pazuchą.

Tylko dzięki jedenastu latom ćwiczeń udało mi się zachować pusty wyraz twarzy. Poczułam, że moje ręce pokrywa pot. W tej samej chwili pośród tłumu zobaczyłam mijającą mnie Nerium. Podążyłam za nią, oddalając się od Alyxa. Wokół lśniły kolory Kart Opatrzności, ich światło przebijało z kieszeni i pokrowców, w których były trzymane przez swoich właścicieli. Żółte światło – to Złote Jajo. Turkusowe – Kielich. Przenikliwa biel – Biały Orzeł. Szary – Karta Prorocza. Czerwień – Sierp. Czerni – Czarny Koń.

Koszmar poruszył się, pełzając w mojej głowie.

K o l o r y n i e w y r z ą d z ą c i k r z y w d y, wymamrotał. J e d n a k k a w a l e r z y ś c i i t e n n i e z n o ś n y c h ł o p a k t o j u ż i n n a k w e s t i a...

Wcisnęłam się na pierwsze wolne miejsce.

– Następnym razem – zwróciłam się do Alyxa, rzucając mu pospieszne spojrzenie przez ramię.

Rozczarowanie osłabiło jego uśmiech. Ukłonił się lekko, po czym zniknął wśród innych gości przy stole.

Zacisnęłam mocno zęby i przetarłam oczy grzbietami palców. Nie zdawałam sobie sprawy, że wszyscy wokół mnie stoją i wznoszą tost na cześć króla, dopóki czyjaś ręka nie pociągnęła mnie za łokieć, stawiając na nogi.

– Za Ekwinokcjum – zagrzemiał tłum, a dźwięk stukających o siebie kryształowych kieliszków rozbrzmiał echem w całej sali.

Uniosłam własny kielich w toaście, zderzając się delikatnie naczyniami z chłopcem stojącym obok mnie – tym samym, który postawił mnie na nogi. Zanim spojrzałam w jego niezwykle szare oczy, zauważyłam kilka uroczych piegów zdobiących jego nos.

– Dziękuję – zwróciłam się do niego.

Chłopak dolał wina najpierw sobie, a potem mnie.

– Wszystko w porządku?

Wzięłam potężny łyk trunku z kieliszka. Kiedy odpowiedziałam, chłopak nadal na mnie patrzył:

– Nigdy nie czułam się lepiej.

Zawtórował mi, pijąc z własnego szkła. Kiedy się uśmiechnął, złapałam się na tym, że chciałam odpowiedzieć mu uśmiechem. Jego żywiołowe usposobienie było zaraźliwe.

– Nie znam cię – powiedziałam.

Chociaż był ode mnie wyższy, to jednak bez wątpienia to ja byłam starsza.

Gdy się przedstawiał, zgarbił ramiona i pochylił się bliżej mnie, tak jakby miał się ze mną podzielić jakimś sekretem.

– Nazywam się Emory. Emory Yew.

Zakrztusiłam się winem, spływającym w dół mojego gardła. Moje przyrodnie siostry znajdujące się po drugiej stronie stołu obserwowały mnie z jednakowym zainteresowaniem wymalowanym na twarzach. Z pewnością, zastanawiały się – tak samo jak ja – jak udało mi się usiąść obok najmłodszego bratanka króla.

– Jestem Elspeth – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Emory wziął kolejny łyk wina.

– Do której rodziny należysz?

– Spindle.

– Elspeth Spindle – powtórzył, a jego wzrok powędrował na drugą stronę stołu i z powrotem na mnie. – Elspeth Spindle. Nie lada kąsek.

Służący przynieśli pierwsze danie – zupę z letnich warzyw, a głośny dotąd tłum nieco się uspokoił, najpotężniejsze rody w Blunder chętnie jadły przy królewskim

stole. Mimo to ja nie odczuwałam głodu. Wpatrywałam się w naczynie, nie wykonując żadnego ruchu, który sugerowałby, że sięgnę po łyżkę. Czułam, jak wypite wino nieprzyjemnie zalega mi na żołądku.

– W pełni się z tobą zgadzam – oświadczył Emory Yew, odsuwając swój talerz i sięgając po kielich z winem. – Po co marnować miejsce w żołądku na jakąś zupę?

Ktoś, kto siedział po jego drugiej stronie, szturchnął go i chłopak odwrócił się, słuchając słów wypowiedzianych niskim, szorstkim tonem. Zobaczyłam kępkę kasztanowych włosów, na które padał czerwonokrwisty blask bijący z Karty Sierpu.

Nie musiałam mu się długo przyglądać, żeby wiedzieć, kto to był. W Blunder istniały tylko cztery Karty Sierpu, które należały wyłącznie do rodu Rowanów. Książę Renelm Rowan, drugi w kolejności dziedzic tronu, usiadł po drugiej stronie Emory’ego, szepcząc mu do ucha coś, czego nie byłam w stanie wychwycić.

Emory z powrotem zwrócił się w moją stronę i osuszył swój kielich, po czym uśmiechnął się krzywo.

– Proszę o wybaczenie – zaczął. – Zazwyczaj jestem przyjemniejszy w obyciu. Ekwinokcjum ma na mnie niecodzienny wpływ. Zdaje mi się, że mówiła mi pani coś o sobie?

Czyżby? Nie byłam w stanie się skoncentrować, gdy wino burzyło się w moim pustym żołądku. Kręciło mi się w głowie i czułam się zmęczona. Alkohol skutecznie odciągnął moje myśli. Poczułam falę mdłości, a rosnąca wrzawa w wielkiej sali wcale mi nie pomagała. Chęć umknięcia do pokoju była tak wielka, że zorientowałam się, że kurczowo ścisnęłam brzeg krzesła, na którym siedziałam.

Zmusiłam się do mrugania, przypominając sobie o znajdującym się obok mnie chłopcu.

– Przepraszam – odparłam. – Nie czuję się sobą tego wieczoru.

– Jesteś chora?

– Nie. Po prostu... po prostu potrzebuję trochę powietrza.

Krzesło Emory’ego zaskrzypiało o kamienną podłogę. Kiedy bratanek króla zaoferował mi swoje ramię, pokręciłam głową.

– Nie ma potrzeby, poradzę sobie.

Emory znowu się uśmiechnął, jego usta i zęby były lekko fioletowe, zabarwione winem.

– Powiem wprost, Spindle. Nawet ja widzę, że wcale nie chcesz tu być. – Z tymi słowami sięgnął po moje ramię. Tym razem pozwoliłam mu się pociągnąć i postawić na chwiejnych nogach.

Wraz z Emorym szliśmy w przeciwnym kierunku do napływającego zewsząd nurtu służących i srebrnych tac. Podążałam za nim przez wielką salę aż do głównych

schodów. Byliśmy sami, nikt się wokół nas nie kręcił – żadnych Kart Opatrzności czy kawalerzystów. Zatrzymałam się przy schodach i trzymając się balustrady, wzięłam kilka głębokich wdechów, czując, jak z każdą chwilą moje ciało się uspokaja.

Nie zauważyłam dzbana z winem, który musiał wcześniej ukraść Emory, dopóki mi go nie podał.

– Masz ochotę na jeszcze? – zaproponował.

Pokręciłam głową, Emory sobie nie żałował. Wino spływało mu po brodzie, na zielony aksamit, z którego wyszyto misterny kołnierz. Wytarł usta rękawem i posłał mi uśmiech, jego spojrzenie było zamglone.

– Jesteś przeraźliwie blada – stwierdził, znowu przysuwając dzban z trunkiem bliżej mnie.

Kiedy po raz kolejny odmówiłam machnięciem ręki, przez przypadek musnęłam jego dłoń własną.

– Dziękuję za pomoc. – powiedziałam. – Dalej mogę iść już sama.

Przez chwilę Emory nie odezwał się nawet słowem, jego spojrzenie spoczywało w miejscu, gdzie moje palce dotknęły wierzchu jego ręki. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał nieswojo.

– Zaprowadzę cię, dokąd chcesz. Znam ten zamek lepiej niż mieszkające w nim szczury.

– Poradzę sobie. – Ruszyłam w górę po schodach.

Dogonił mnie w połowie długości stopni, szybko zmniejszając między nami dystans. Jego oddech cuchnął winem.

– Spindle – odezwał się, przeciągając pierwszą literę mojego nazwiska tak, że brzmiało to jakby syczał. Sięgnął po mnie, jego ręka zacisnęła się na moim ramieniu.

Odsuwałam się, aż dotknęłam kręgosłupem balustrady schodów. Pode mną rozciągało się wielkie pomieszczenie. Spojrzałam przez ramię, panika narastała w moim ciele, dusząca i ciężka. Czy jeśli spadnę – jeśli chłopak wypchnie mnie zza barierkę – czy taki upadek mnie zabije?

N i e z a b i j e c i ę , o d e z w a ł s i ę K o s z m a r . N a w e t c i ę n i e o k a l e c z y .
C o n a j w y ż e j p o ł a m i e .

Co on wyprawia?, zawołałam w myślach.

Wpatrywałam się w twarz Emory'ego, starając się wymyślić, jak uwolnić się od tego dziwnego, zmiennego w nastrojach chłopca. Kiedy drgnęłam, zarechotał – krótki i gwałtowny śmiech rozbrzmiewał w całej sali.

– Jest w tobie coś dziwnego, Spindle.

Jego palce zacisnęły się na moim ramieniu. Drugą ręką złapał na moim nadgarstku, dotykając lepką ręką nagiej skóry.

– Dostrzegam cię, Elspeth Spindle. – Jego głos wydawał się dobiegać zarówno z bliska, jak i z bardzo daleka. – Widzę ładną dziewczynę z długimi, czarnymi włosami i oczami w kolorze węgla. Widzę spojrzenie żółtych oczu zwężonych z nienawiści. Widzę ciemność i cień. – Jego usta wygięły się w upiornym uśmiechu. – Dostrzegam twoje palce, smukłe i blade, całe pokryte krwią.

Zamarłam – przerażenie i żelazny uścisk chłopaka skutecznie mnie unieruchomiły. Spróbowałam strząsnąć jego rękę z ramienia, jednak kiedy nic to nie dało, uniosłam drugą dłoń, a z moich ust wydobył się syk.

Spoliczkowałam go, mocno.

Ślad mojej dłoni zaczerwienił już i tak zarumienione policzki Emory'ego. Poruszyłam się, chcąc się uwolnić – uciec – ale nadal trzymał mnie za ramię, jego uścisk był tak mocny, że wydałam z siebie okrzyk bólu.

Jednak zanim zawołałam w ciemność mojego umysłu po pomoc Koszmaru, usłyszałam kroki na dole schodów. Chwilę później Emory uwolnił moje ramię, odepchnięty z wielką siłą przez kogoś w czarnym płaszczu.

Zatoczyłam się i pobiegłam w górę schodów, potykając się o własną suknię.

Kiedy spojrzałam w dół schodów, Emory leżał na półpiętrze. Nad nim stał wysoki mężczyzna. Nie słyszałam, co mówili – głos Emory'ego drżał od niekontrolowanych wybuchów śmiechu. Jednak niski, spokojny tembr głosu mężczyzny wystarczył, aby go uspokoić.

Nieznajomy podniósł bratanka króla z podłogi i pokierował go w stronę przeciwną do tej, z której przyszliśmy.

Chłopak szedł z trudem, bez życia, wracając do wielkiej sali. Potarłam ramię i patrzyłam, jak odchodzi, natomiast Emory ani razu nie spojrzał w moim kierunku, jak gdyby już zapomniał o moim istnieniu.

Do czasu aż tajemniczy wysoki mężczyzna do mnie podszedł, zdążyłam podnieść się z podłogi.

– Proszę wybaczyć zachowanie mojego brata, panienko – zwrócił się do mnie, patrząc w podłogę.

– Jego zachowanie jest niewybaczalne.

Wpatrywałam się w wysokiego, odzianego w czarny płaszcz mężczyznę, czując, że moje plecy sztywnieją.

– Elm, mój kuzyn, powiedział mi, że Emory dużo pił tego wieczoru. Przyszedłem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Kiedy nadal milczałam, mężczyzna podniósł wzrok, patrząc na mnie po raz pierwszy. Tak jak młodszego brata, wyróżniały go oczy, mieniające się szarością na tle

gładkiej twarzy, i miedziane włosy. Spoglądał na mnie przez długą budzącą grozę chwilę, a jego spojrzenie wędrowało po mojej twarzy.

Zrobiło mi się słabo, dreszcz przerażenia rozszedł się wzdłuż mojego kręgosłupa. Niezwykle przystojny, stał przede mną jak jedna z rzeźb w ogrodzie jego wuja – zimny i gładki jak kamień. Nie przedstawił się. Nie musiał. Wiedziałam, kim był.

Ravyn Yew. Najstarszy siostrzeniec króla. Następca mojego ojca – kapitan kawalerii.

Zamarłam pod jego spojrzeniem, ale nie odwróciłam wzroku, zdobywając się na odwagę, której wcale nie czułam.

– Nie widziałam cię w sali – powiedziałam. – To znaczy... nie to mam na myśli. – Wypuściłam powietrze. – Nigdy przedtem cię nie spotkałam.

– Ani ja ciebie – odrzekł. – Jaki jest twój ród?

W odpowiedzi Koszmar zasyczał, a ja zeszytywniałam, zdradzona przez wyszyte na rękawach gałęzie trzmieliny.

– Ród Spindle – oświadczyłam, robiąc krok do tyłu. – Mój ojciec jest...

– Wiem, kim jest twój ojciec – przerwał mi Ravyn, zwięźając podejrzliwie oczy. – Wiem też, że Erik ma tylko dwie córki, które mieszkają w rezydencji Spindle'ów. Dlaczego nie mieszkasz ze swoją rodziną, panno Spindle?

Założyłam za ucho luźny kosmyk włosów.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby cię to obchodzić.

Jeśli moja bezczelność go zaskoczyła, kapitan kawalerzystów nie dał tego po sobie poznać. Mimo to zbladłam, zdając sobie sprawę ze swojego zuchwalstwa, ze zgrozą przypominając sobie, z kim właśnie rozmawiam i jak bardzo było to niebezpieczne.

– Proszę mi wybaczyć – odezwałam się. – Jestem bardzo zmęczona.

– Oczywiście. – Ravyn wspiął się po schodach, jego czarny płaszcz przesiąknięty zapachami spoza zamku drzewem cedrowym, goździkami, dymem i mokrą wełną lekko zafalował. – Odprowadzę cię do twoich pokoi.

Zdjął pochodnię ze ściany i poprowadził mnie przez kręte korytarze zamku. Na ścianach wisiało więcej ogromnych gobelinów króla Rowana oddających cześć Kartom Opatrzności, bogato wyszytych kolorowymi nićmi. Przesunęłam palcami po szarym gobelinie Proroczej Karty, znajomy wizerunek starszego mężczyzny otulonego w długi, zakapturzony płaszcz był szorstki w dotyku.

Troje drzwi dalej zatrzymaliśmy się, światło pochodni migało między nami.

– Pokoje pana Spindle – odezwał się gładkim głosem Ravyn.

Mogłam mu podziękować za rycerskie zachowanie. Jednak wypite wcześniej wino zalegało w moim żołądku niczym kwas, co wraz z wydarzeniami na schodach,

spowodowało, że czułam się kompletnie wycieńczona. Nieudolnie gmerałam przy zatrasku drzwi, zahaczając rękawem o klamkę.

– Pomogę – powiedział, samemu otwierając drzwi.

Znowu drgnęłam i weszłam do pokoju, marząc o zamknięciu oczu i zapomnieniu o całym tym dniu.

– Dziękuję.

Pokiwał głową, światło pochodni rzucało nieregularne cienie na jego twarz.

– Nie przedstawiłem się. Jestem Ravyn Yew.

Sam dźwięk jego imienia sprawił, że moje wnętrzności zacisnęły się z przerażenia.

– Wiem.

Panując nad wyrazem twarzy, Ravyn ani się nie uśmiechnął, ani nie uklonił. Rzucił mi ostatnie spojrzenie i skierował się z powrotem w głąb ciemnego korytarza.

– Śpij dobrze, panno Spindle.

W kilka chwil moje łóżko pochwyciło mnie w swoje szpony. Zamknęłam oczy, na wpół unosząc się na jawie, i odpychając od siebie wszystkie wspomnienia związane z braćmi Yew, uciekłam w objęcia rozkosznego, spowitego ciemnością snu.

Jednak nawet odpływając, nie mogłam przestać się zastanawiać, w jaki sposób Ravyn Yew został poinformowany o niepokojącym zachowaniu Emory'ego – jakim cudem wiedział i przyszedł go poskromić, skoro nie było go tego wieczoru w wielkiej sali.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DZIEWICA

Uderzyło we mnie światło dnia. Kiedy uniosłam powieki, wydałam z siebie stłumiony okrzyk na widok wpatrujących się we mnie dwóch par oczu. Dimia i Nya siedziały po dwóch stronach mojego łóżka, wisząc nade mną niczym sępy.

Uniosłam się, głowa mi pękała.

– Która godzina?

– Dochodzi południe – odpowiedziała Nya.

Dimia, która wykazywała się znacznie mniejszą subtelnością od swojej siostry bliźniaczki, pochyliła się ku mnie tak mocno, że mogłam zobaczyć plamkę, którą miała na brodzie.

– Widziałyśmy, jak wyszłaś wczoraj z wielkiej sali z Emorym Yewem.

Zamrugałam.

– Dimia, pytasz mnie, czy stwierdzasz fakt?

Drzwi do mojego pokoju otworzyły się z hukiem. Usiadłam na łóżku, zwięzając oczy na widok wchodzącej do pomieszczenia Nerium.

– Śpiąca królowna wreszcie się obudziła – oznajmiła z nieprzyjemnym uśmiechem, wbijając paznokcie we framugę drzwi. Kiedy zauważyła swoje córki, ożywione, siedzące po bokach mojego łóżka, jej uśmiech natychmiast zniknął. – O czym rozmawiacie?

– O Emorym Yewie – powiedziała Dimia, trzepocząc rzęsami. – Jest niesamowicie przystojny.

Nerium zaśmiała się w odpowiedzi.

– To nie jest dobre towarzystwo dla wyrafinowanych młodych dam. – Jej wzrok skierował się na mnie. – Nawet tobie wyszłoby to na dobre, gdybyś go unikała, Elspeth.

Wygramoliłam się z łóżka.

– Twoje rady, jak zwykle, są zawsze mile widziane, Nerium. – Zwróciłam się w kierunku stolika łazienkowego, by przemyć twarz lodowatą wodą. Jeśli była kiedyś ciepła, musiało to być dobrych kilka godzin temu. – A jeśli musicie wiedzieć, Emory Yew to kompletna świnią.

Moje przyrodnie siostry miały identyczny wyraz twarzy – uniesione brwi, ciekawość i satysfakcja, że wyciągną ode mnie informacje. Nawet Nerium się

zbliżyła, spragniona nowych plotek.

– Z tym chłopakiem coś jest naprawdę nie w porządku – oznajmiła Nya, zakładając za ucho złoty kosmyk. – Kiedy nie jest trzymany w odosobnieniu w swoich pokojach z powodu kolejnej choroby, pije na umór i wygaduje niestworzone rzeczy. – Podeszła od mnie, jej głos drżał od słabo ukrywanego entuzjazmu. – Czy powiedział ci cokolwiek... dziwnego?

Śliski śmiech Koszmaru wślizgnął się we wszystkie zakamarki mojego umysłu.

Zadrżałam, nagle czując zimno niemające nic wspólnego z lodowatą wodą, którą się myłam. Wspomniał o żółtych oczach. Jakim cudem mógł wiedzieć, jakiego koloru są twoje oczy? Myślisz, że on...

...wie, że ponad pięćsetletni potwór zamieszkuje w twojej głowie?

Przecież to niemożliwe. Pociągnęłam za rąbek koszuli nocnej. *Chociaż... Było w nim coś niezrównoważonego.*

Zauważyłam zdezorientowane miny moich przyrodnych sióstr – często tak się działo, gdy zbyt długo odbywałam rozmowę w swojej głowie. Z roztargnieniem przesunęłam palcami po włosach i wzruszyłam ramionami z dobrze odegranym beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Był pijany – oznajmiłam. – Nie potrafił nawet samodzielnie wejść po schodach.

– Uznaj to za błogosławieństwo – skomentowała Nya. – Jest prawdziwym utrapieniem. Nie pamiętam kolacji w Spindle House, podczas której Emory czegoś nie zniszczył.

– To było wieki temu – poprawiła ją matka. – Mieszka tu dopiero od dwóch lat.

Zaskoczona, uniosłam brwi.

– Rodzina Yew wysłała Emory’ego, żeby zamieszkał w Stone wraz z królem? Dlaczego?

Nerium rzuciła mi dokładnie takie samo spojrzenie, jakie posyłała swojemu psu, kiedy ten nasikał na dywan – bezbrzeżnie zirytowane.

– Oczywiście po to, żeby ksiązę Renelm mógł nad nim zapanować i okiełznać jego okropny charakter.

Przypomniałam sobie czerwone światło bijące od mężczyzny siedzącego obok Emory’ego w wielkiej sali. Karta Sierpa księcia Renelma. Karta zarezerwowana wyłącznie dla rodziny królewskiej. Dzięki niej ksiązę miał dostęp do nieograniczonego kontrolowania każdego, kogo chciał – wedle uznania.

Zanim zdążyłam ukryć swoją minę, ojciec otworzył drzwi od własnych pokoi, zaskoczony obecnością żony i wszystkich córek. Odchrząknął.

– Masz się dziś lepiej, Elspeth?

Dziwnie się czułam, mając ich wszystkich naraz w swoim pokoju. Zaczynałam żałować, że nie zostałam z Hawthornami.

– O wiele lepiej – skłamałam.

– Opuściłaś śniadanie, ale gdy tylko mężczyźni ruszą na polowanie, rozpocznie się spacer po ogrodach.

Na myśl o mozolnym przemieszczaniu się po królewskich ogrodach z tłumem mieszkanek Blunder, poczułam ucisk w żołądku. Kiedy ojciec zamknął za sobą drzwi, moje przyrodnie siostry pobiegły do przylegających do siebie pokoi, z zapalem szukając idealnych kreacji.

Założyłam szarą suknię wykonaną z niezbyt szorstkiego, cienkiego lnu. Włosy przewiązane pasującą do sukienki szarą wstążką zaplotłam w warkocz, który upięłam w koronę dookoła głowy. Całość była idealna na ostatnie dni lata, w dodatku kolory zbliżone do mgły sprawiały, że czułam się, jakbym była niewidzialna.

Gdy zmierzaliśmy do wielkiej sali, mój wzrok zatrzymał się na barierce i na majaczącym za nią pomieszczeniu. Dziesiątki kobiet poruszały się w tłumie, nawiązując rozmowy, upajając się wzajemną uwagą, a jednak nie dostrzegłam wśród nich ani Ione, ani mojej ciotki.

Macocha i przyrodnie siostry szybko mnie opuściły, nie oferując ani swojego towarzystwa, ani pomocy w prezentacji. Ktoś otworzył przed nami drzwi prowadzące na zewnątrz. Zaganiane przez służących w fioletowych strojach, niczym owce na pastwisku, ruszyliśmy do ogrodu, w którym wakacyjny upał unosił się wokół mgły jak para wodna.

Wyszłam spokojnie na zewnątrz wraz z innymi kobietami. Moje buty nie miały modnych obcasów i cieszyłam się każdym cichym krokiem, jaki w nich stawiałam. Sięgnęłam ręką do otaczającej mnie roślinności i przesuwałam palcami po delikatnych płatkach i łodygach kwiatów rosnących w ogrodach króla Rowana.

Słuchałam kobiet idących nieopodal – przypływ i odpływ kolejnych rozmów działał na mnie usypiająco. Daleko przed nami rozbłyskiwało szare światło dwóch Kart Proroczych. Po drugiej stronie dostrzegłam uroczy różowy błysk Karty Dziewicy.

W y s t r z e g a j s i ę r ó ż u, odezwał się Koszmar, węsząc w powietrzu. Omijaj czerwienie. Nie ufaj piękności, co jest na każde twoje skinienie.

Zorientowałam się, że brakuje mi dźwięku głosu Ione. Zaczęłam rozglądać się w tłumie za jej złotymi włosami, chcąc jak najszybciej się z nią pogodzić. Być może to ona miała rację, a ja okazałam się zbyt nieufna, zbyt zamknięta w sobie i nigdy nie robiłam sobie żadnych nadziei. Podziwiałam sposób, w jaki bez wahania

przyjmowała wszelkie zmiany – z jakim zapałem chciała zobaczyć, jak stare okrutne rządy w Blunder znikają na dobre. Jeśli świat miałby kiedykolwiek się zmienić – jeśli zainfekowani mieliby zostać otoczeni opieką, a nie być wybijani niczym leśna zwierzyna – stałoby się to wyłącznie za sprawą kogoś takiego jak Ione.

Jednak nieważne, jak intensywnie przeczesywałam wzrokiem tłum, nie mogłam jej znaleźć. Zamiast tego odszukałam ciotkę. Zatrzymała się na uboczu, podziwiając zjawiskowe kompozycje kwiatów. Gdy położyłam jej rękę na plecach, zwróciła się ku mnie z uśmiechem.

Przyłgnęłam do niej, wdychając jej zapach – aromat rozmarynu zmieszanego z nagrzaną słońcem ziemią, miękką i życiodajną. Nie wspomniałam jej o mojej sprzeczce z Ione. Zamiast tego spacerowałyśmy pod ramię, rozmawiając przyciszonymi głosami i poruszając się wśród pozostałych kobiet.

– Co możesz mi powiedzieć o Emorym Yewie, ciociu?

Ciotka uniosła brwi.

– Jest dla ciebie nieco za młody, nie sądzisz, moja droga?

Koszmar zaśmiał się szorstko.

– Nie to miałam na myśli. – Zniżyłam głos, prowadząc nas w kierunku spokojniejszych drózek. – Myślisz, że ktokolwiek, poza mną oczywiście, przeżył jako dziecko gorączkę? – Mój żołądek się zacisnął. – I nie został złapany?

Cokolwiek spodziewała się ode mnie usłyszeć, na pewno nie było to to. Wyraz jej twarzy stał się napięty, kiedy odezwała się do mnie słabym głosem:

– Nie mam pojęcia, Elspeth. Wątpię.

– Z pewnością, jeszcze ktoś...

– Kawalerzyści i uzdrowiciele przyprowadzają każde zainfekowane dziecko tutaj, do Stone. Wprost do lochów. A dobrze wiesz, co się tam dzieje.

Zadrżałam.

– Obawiam się, że takie jest prawo.

– Tak, a mimo to nadal tutaj jestem – wyszeptałam. – Mój ojciec był kawalerzystą króla, a nie oddał mnie, gdy zaatakowała mnie gorączka. Z pewnością są inni rodzice, którzy zrobili to samo co on.

– Na pewno próbowali. Jednak chociaż infekcja była dla ciebie okropna, nie pozostawiła po sobie żadnych skutków. Nie masz w sobie żadnej magii, żadnych oznak, które mogłyby doprowadzić do ciebie kawalerzystów. Inni nie mieli tyle szczęścia.

Odwróciłam wzrok. Jednak zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, ktoś się do nas zbliżył. Kiedy się odwróciłam, uderzyło mnie różowe światło. Zatoczyłam się na ciotkę, popychając nas na wysoki żywoplot.

Spoglądała na mnie Ione, mieniąca się jaskrawym różem Karty Dziewicy.

Moja ciotka uniosła się z żywopłotu, wygładzając spódnice.

– Na niebiosy, Elspeth. – Pociągnęła mnie, pomagając mi stanąć na nogi, po czym zaczęła wyjmować liście z moich włosów, ale szybko się odsunęłam. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to jaskraworóżowe światło bijące z Karty spoczywającej w kieszeni mojej kuzynki.

I konsekwencji, jakie za tym szły.

W ciemności Koszmar zaczął się skradać, czujny, w stanie gotowości. *I n t e r e s u j ą c e*, zamruczał. *C z y ż b y b y ł t o p r e z e n t k r ó l a R o w a n a w z a m i a n z a K a r t ę K o s z m a r u t w o j e g o w u j a ?*

Nie, zastanawiałam się gorączkowo; po moim umyśle rozlewała się panika. *Karta Dziewicy nie jest nawet w połowie tak wartościowa jak Koszmaru.*

Być może Karta stanowi tylko część zapłaty.

Moje spojrzenie błędziło po twarzy Ione. Jej rysy były takie jak zwykle – twarz kuzynki nie uległa zmianie, nie stała się piękniejsza, tak jak obiecywała Karta Dziewicy. Poczułam niewielką ulgę. *Nie użyła jej.*

J e s z c z e, odparł Koszmar.

– Elspeth? – Ione uniosła brwi.

Tłum wokół nas zgęstniał. Słyszałam chichoty przechodzących kobiet, które mijając nas rzucały mi ukośne spojrzenia.

Wpatrywałam się w kuzynkę, moje spojrzenie cały czas uciekało w kierunku różowego światła bijącego z jej kieszeni. Po chwili znowu spojrzałam jej w twarz.

– Gdzie byłaś? – zapytałam ciężkim głosem. – Szukałam cię.

Róż bijący z Karty Dziewicy prawie ukrył rumieniec malujący się na twarzy dziewczyny. Prawie.

– Nigdzie – odpowiedziała. – Wędrowałam po zamku.

To było słabe kłamstwo, które jednak nie złagodziło ciosu. Ione coś przede mną ukrywała. Kiedy oczy kuzynki napotkały moje, byłam pewna, że zobaczyła malujące się w nich cierpienie. Zignorowała to. Cokolwiek wydarzyło się od czasu naszej wczorajszej kłótni i dzisiaj, nie sprawiło, że jej złość na mnie już minęła.

– Chodźmy – zwróciła się do nas ciotka. – Zaczniemy spacerować, bo blokujemy ścieżkę.

Nic nie odpowiedziałam. Po chwili, podjudzana własnym gniewem, złapałam Ione za rękaw sukni, ściągając ją ze ścieżki.

– Bess, co ty...

– Muszę porozmawiać z Ione – oznajmiłam, prowadząc nas w głąb zwirowej ścieżki wiodącej do różanych ogrodów. – Niedługo wrócimy.

Skręciłam za róg, ukrywając nas za rzędem wysokich krzewów. Powietrze było tak bardzo przesycone zapachem zwiędłych róż, że ten prawie całkowicie maskował smród zgnilizny. Ione wyrwała rękaw z mojego uścisku. Nawet skąpana w różowym blasku Karty Dziewicy, widziałam malujące się na jej policzkach rumieńce.

– Co się z tobą dzieje, Bess?

– Ze mną, Ione? A co z tobą? I z tym całym „wędrowaniem” po zamku?

– O co ci chodzi?

– O to, że to kłamstwo. – Przygryzłam wargę. – Spotkałaś księcia Hauth, prawda?

W odpowiedzi parsknęła z irytacją.

– Chyba bym ci o tym powiedziała, prawda?

– Nigdy mi nie powiedziałaś, że zamieszana w to będzie Karta Dziewicy.

Ione zamarła i zaczęła się we mnie ostro wpatrywać brązowymi okrągłymi ze zdumienia oczami. – Skąd wiesz o Karcie Dziewicy?

Zacisnęłam szczęki.

– Dał ci ją? Hauth Rowan?

Ione zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo nienawidzisz Rowanów, Elspeth. Dziedzictwo Hautha sięga pięciuset lat. Potrzebuję wsparcia i zrozumienia, a nie ślepej niechęci. – Jej na ogół spokojny głos nabrał twardszych nut. – Czy może potrafisz myśleć tylko o sobie?

Koszmar kręcił się w zakamarkach mojego umysłu, szepcząc: O w o c jarzębiny jest czerwony, zawsze czerwony. Jej korzeń, od krwi ciemny, burgundowy. Nie zmyje jej woda, nie zetrze tkanina. O rękę zostanie poproszona dziewczyna... A on ją zabije, biedna ptaszyna.

Zrobiło mi się słabo, moja wściekłość na kuzynkę przemieniła się w rozpacz. Sięgnęłam po jej dłoń, przytrzymując jej spojrzenie.

– Nie mam pojęcia, jakie porozumienie zawarł wuj w zamian za Kartę Koszmaru, ale błagam cię, Ione, błagam, nie używaj Karty Dziewicy. – Poczułam, jak z nerwów coś zaciska mi się na gardle. – A jeśli Hauth Rowan poprosi cię o rękę, musisz mu odmówić.

Kąciki ust kuzynki opadły, w jej oczach zamajaczyły łzy.

– Prosisz mnie o tak wiele, Elspeth. I robisz to tylko i wyłącznie przez wzgląd na siebie.

Pokręciłam gwałtownie głową.

– Nie rozumiesz? Jesteś idealna, Ione. Taka jaka jesteś. Mała przerwa między zębami, twój głos, zbyt głośny o poranku, linie w kącikach oczu, które pojawiają się,

gdy się uśmiechasz. Karta Dziewicy odbierze ci to wszystko. – Znów zacisnęłam szczęki, walcząc z dławiącą mnie gulą w gardle. – Rowanowie dali ci to jako prezent. Ale tak naprawdę dali ci to, żeby móc cię kontrolować, Ione. Żeby cię sobie podporządkować. Tak, żebyś była na każde ich skinienie. Błagam, nie pozwól im na to.

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Nie wytarła ich jednak, pozwalając, by swobodnie spływały po jej twarzy. Kiedy się odezwała, jej głos drżał.

– Kochasz mnie, Elspeth?

– Bardziej niż kogokolwiek na świecie. – Poczułam ból w piersi.

Wzięła jeden, a potem drugi głęboki wdech. Następnie, stopniowo, jak gdyby popchnięta przez niewidzialną siłę, podjęła jakąś decyzję, a jej wzrok nabrał hardości.

– Skoro mnie kochasz, to pozwolisz mi podejmować moje własne decyzje – powiedziała trzęsącym się głosem.

Wyrwała trzymaną przeze mnie dłoń. Ledwo słyszałam, jak odchodzi, nie odwróciwszy się za siebie ani razu, zostawiając mnie samą wśród więdnących róż.

Czując się kompletnie pusta w środku, ruszyłam przed siebie, praktycznie nie rejestrując różnych kolców kaleczących moje dłonie. Szłam w głąb ogrodu, a następnie zaczęłam biec. Nie dbałam o to, że zbaczam ze ścieżki wprost we mgłę. Biegłam do momentu, w którym zaczęłam odnosić wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi, a płuca płoną żywym ogniem. Oparłam się o jedną z topoli na skraju lasu i zapłakałam.

Usiadłam pod drzewem, przesuając palcem po wilgotnej ziemi, miejscu, gdzie opadłe z drzew liście zaczynały gnić. Drugą ręką chwyciłam swój amulet. Otarłam oczy dłonią, czując szczypanie tam, gdzie podrapały mnie kolce.

Jest za dobra dla tego nędznego królestwa. Jeśli będzie używać Karty Dziewicy zbyt często, przestanie być sobą. Stanie się zimna – bezduszna. Przestanie być dawną Ione.

Podniosłam z ziemi gałązkę i zaczęłam łamać ją na kilkanaście małych kawałków.

Koszmar kłapnął zębami. Karta Dziewicy to nie tylko Karta próżności. Magia nie służy próżności.

Służy, jeśli jest wykorzystywana tylko po to, żeby zaimponować księżciu.

Zarechotał. C ó ż z a k o m p l e t n y b r a k z n a j o m o ś c i K a r t y D z i e w i c y .

Siedziałam, nie odpowiadając. Wstyd i rozpacz kłębiły się we mnie.

Koniec końców, kontynuował Koszmar, nie ma znaczenia jak i po co używane są Karty. Nie ma nic za darmo i nic nie jest bezpieczne. Za magię zawsze trzeba ostatecznie zapłacić.

Przestań, powiedziałam i wstałam, rzucając na ziemię połamaną gałązkę. Chociaż raz, zamknij się i zostaw mnie sa...

– Panna Spindle?

Odwróciłam głowę, głęboki głos dochodzący z tyłu uderzył we mnie niczym cios pięścią.

Ravyn Yew obserwował mnie oczami w kolorze popiołu, jego głowa była przechylona na bok. Wyglądał jak zwierzę, któremu zawdzięczał imię – jak kruk – surowy, inteligentny i imponujący.

A jednak mój wzrok nie sięgnął twarzy kapitana. Byłam zbyt zapatrzona w kolor – światło – bijące z kieszeni na jego piersi. Ciemniejsze od Karty Dziewicy, ale równie mocne. Przerazenie rozlało się po mojej piersi, odcinając mi dopływ powietrza. Już kiedyś widziałam identyczny odcień aksamitu.

Burgundowy – głęboka, krwista czerwień.

Druga Karta Koszmaru.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ravyn przestąpił z nogi na nogę. Kiedy się poruszył, zaobserwowałam szereg noży przytroczonych do jego paska.

– Co zrobiła sobie pani w dłonie, panno Spindle? – zapytał.

– Podziwiałam róże. – Gdy wreszcie się odezwałam, mówiłam przez zaciśnięte zęby.

Niewidzialna lina uniosła kącik jego ust. Ravyn podszedł do mnie powoli.

– Mogę? – zapytał, wskazując na moje ręce.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, zmrożona strachem. Ujął moją lewą dłoń i przechylił, badając. Jego skóra była chropowata, za to dotyk niezwykle delikatny, jego ręka w zupełności przesłoniła moją. Nie dotknął skaleczeń, jedynie je obserwował.

To samo uczynił z moją drugą ręką. Kiedy skończył, spojrzał na mnie badawczo.

– Proszę o wybaczenie, panno Spindle, ale muszę o coś panią zapytać.

Wysunęłam dłoń z jego uścisku, czując obręcz strachu zaciskającą się na gardle.

– Tak?

– Dlaczego znajdowała się panienka sama w środku lasu, późno w nocy, piętnaście dni temu?

Szok wywołany zobaczeniem Karty Koszmaru w jego kieszeni zniknął, zastąpiony zimnym, mdlącym przerażeniem. Wspomnienie odgłosów leśnych insektów i huczenia sowy pojawiło się w mojej głowie w najdrobniejszych szczegółach. Wpatrywałam się w twarz Ravyna Yewa, być może po raz pierwszy tak naprawdę – i go nie rozpoznawałam.

Ale przecież rozbójnik miał na sobie maskę.

Moje oczy spoczęły na jego pasku. Oto on, bezapelacyjnie. Nóż z rękojeścią z kości słoniowej, który tamtego dnia przyciskał do mojej piersi.

To on, wydusiłam. Zaatakowałam cholernego kapitana kawalerzystów.

Koszmar zazgrzytał zębami, sierść porastająca jego grzbiet uniosła się.

Wypuść mnie, wysyczał.

Stojący naprzeciwko mnie Ravyn Yew był oazą spokoju, z rozluźnioną postawą i założonymi na piersi rękami. Nie zachowywał się jak mężczyzna z lasu, którego spotkałam na ścieżce pośród drzew – a jednak to był on.

A ja go zaatakowałam. Zaatakowałam kawalerzystę – czyn, za który groziła kara śmierci.

To on grasował po lesie w poszukiwaniu Kart, stwierdził Koszmar. Przesłębstwo również karane śmiercią.

Tyle tylko, że byłem jedynym świadkiem złamania przez niego prawa. Zrobiłem kilka kroków do tyłu.

– Musiał mnie pan z kimś pomylić, kapitanie. Dobrze wiem, że nie należy po zmroku wędrować po lesie.

Ravyn uniósł ciemne brwi.

– Nie sposób zapomnieć pani twarzy, panno Spindle – odparł, a kiedy ponownie się do mnie zwrócił, jego głos nabrał ostrzejszych barw: – Co pani tam robiła?

Znowu spojrzałem w kierunku sztyletu przytroczonego do jego paska, jednak mężczyzna nie wykonał żadnego ruchu, by po niego sięgnąć. Po prostu wpatrywał się we mnie surowym spojrzeniem, wyraźnie niewzruszony ściskającą mnie paniką.

Zrobiłem kolejny krok do tyłu. *Aresztuje mnie*, powiedziałam. *Albo gorzej, zabije mnie, żeby zachować w tajemnicy swój sekret.*

Wokół majaczyła gęsta mgła, zapach soli unosił się w ciężkim powietrzu. Nie słyszałem już głosów spacerujących kobiet. Nie wiedziałam nawet, gdzie dokładnie się znajduję, ani w którym kierunku powinnam iść, żeby dotrzeć do zamku. Ale miałam ze sobą swój amulet. Byłam w stanie utrzymać od siebie z dala Ducha Lasu wystarczająco długo, żeby wymyślić jakiś plan.

Niestety nie mogłam powiedzieć tego samego o deptającym mi po piętach kapitanie kawalerzystów.

– Bardzo mi przykro, kapitanie – powiedziałam, cofając się w mgłę. – Rodzina na mnie czeka.

Pomóż mi uciec, zawołałam w ciemność swojego umysłu. *Teraz.*

Umknęłam kapitanowi kawalerzystów, wkraczając wprost w gęstą, nieprzeniknioną mgłę, która natychmiast pochłonęła mnie i Koszmar. Drzewa porastające królewski ogród i kapitan zniknęli. Serce mi waliło w piersi, ręce się trzęsły. Jednak jeśli sama zgubię się pośród mgły, istniała szansa, że zgubię też Ravyna Yewa.

N a c h o d z i, odezwał się Koszmar.

Uniosłam suknię i gwałtownie skręciłam w lewo. Weszłam na pole pszenicy, której niezebrane zbiory gniły na twardej ziemi. Chociaż jej łodygi były śliskie, udało mi się nie potknąć.

Księżę wyłonił się zza mgły niczym drapieżnik polujący na swoją ofiarę, jego silne ręce sięgnęły po mnie. Zaplątałam się o własne nogi i zachwiałam, ale nadal stałam na obu nogach dzięki wsparciu Koszmaru. Zanim Ravynowi udałooby się mnie złapać, popędziłam dalej z dziko bijącym sercem.

– Zaczekaj! – Jego głos przebijał się przez mgłę. – Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy. Poczekaj!

W oddali usłyszałam ujadanie psów myśliwskich. Szybko odbiegłam w przeciwnym kierunku, raptownie tracąc orientację w terenie. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Jedyną dobrą wiadomością było to, że okazałam się szybsza od kapitana. Zamierzałam mu uciec i ujść z życiem. Musiałam tylko...

Uderzył we mnie zapach soli, jak gdyby ktoś oblał mnie morską wodą. Poczułam ją w uszach – oczach – nosie i ustach. Zakaszłałam, spazmatycznie łapiąc powietrze, a moje ciało i umysł zostało schwyte w coś, czego nie umiałam nazwać.

Zaczekaj, Elspeth Spindle, w mojej głowie odezwał się głęboki głos. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Krzyknęłam.

Zahaczyłam nogą o grudę ziemi i mocno uderzyłam o podłoże, ciągnięta w dół przez grawitację i dźwięk głosu Ravyna Yewa w mojej głowie. Mocno zatkałam uszy, znowu krzycząc, przerażenie cięło mnie niczym cierniste gałęzie jeżyny.

Stanął nade mną, skąpany w burgundowej poświacie. Padł na ziemię tuż obok mnie, jedną ręką zasłonił mi usta.

– Cicho! – powiedział bez tchu. – Usłyszają nas.

Ujadanie psów przybierało na sile. Przez mgłę dało się słyszeć rytmiczne uderzanie końskich kopyt o glebę i rubaszny śmiech dosiadających zwierzęta mężczyzn. To król wraz ze swoimi ludźmi wracał z polowania.

Palce mi drżały, a ręce paliły żywym ogniem, kiedy rozchodziła się po moim ciele moc Koszmaru. Odtrąciłam rękę Ravyna od moich ust, próbując stanąć na nogach, gotowa zbiec w mgłę.

Zanim mi się to udało, kapitan kawalerzystów chwycił mnie za nogę, przez co znowu padłam na twardą ściółkę.

– Puszczaj! – zawyłam.

Moc Koszmaru napinała wszystkie moje mięśnie. Kiedy Ravyn nadal nie zwalniał uchwytu, obróciłam się do niego i posłałam w kierunku jego torsu i twarzy kilka kopniaków.

Słyszałam zza mgły głosy mężczyzn, coraz wyraźniejsze, coraz bliższe nas.

– Wystarczy! – rozkazał kipiący ze złości Ravyn, jego nos krwawił, a szczeka była zaczerwieniona w miejscu, gdzie dosięgnął jej mój but. – Jeszcze chwila i oboje zginiemy.

U s p o k ó j s i ę, wysyczał niecierpliwie Koszmar. K r ó l n i e j e s t przyjacielem.

Żyły paliły mnie żywym ogniem, nadal czułam w nosie zapach soli. Rękaw sukni był rozdarty, a włosy w nieładzie. Nerwowo pocierałam kruczą nóżkę spoczywającą w mojej kieszeni.

Ravyn obserwował mnie, jego spojrzenie skupiło się na moim ramieniu. Spojrzałam w dół i gwałtownie wciągnęłam powietrze, starając się zasłonić nagą skórę strzępami rękawa. Ale było już za późno; zobaczył moje żyły – czarne i wynaturzone.

Kiedy wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć, wyrwałam się szybko.

– Nie zamierzam cię zranić – powtórzył. – Mimo tego, że ty... – Wytarł zakrwawiony nos rękawem, krzywiąc się z bólu. – Kurwa. – Odchylił głowę, łapiąc się za grzbiet nosa – To już drugi raz kiedy skopałaś mi dupę i uciekłaś.

Wątpiłam, żebym była pierwszą osobą, która obrała sobie za cel wydatny orli nos kapitana. Było to najłatwiejsze miejsce do zaatakowania. A jednak nie czułam żadnych wyrzutów sumienia.

Nie widziałam w nim młodego mężczyzny o dzikim spojrzeniu i zakrwawionym nosie.

Jedyne, co widziałam, to kawalerzystę.

– Użyłeś na mnie Karty Koszmaru – wysyczałam. – Wynocha z mojej głowy.

Ravyn sięgnął do kieszeni, z której wydobywało się burgundowe światło, po czym wyciągnął Kartę, tak żebym ją widziała. Jego Karta była identyczna z egzemplarzem mojego wuja, przedstawiała budzącego grozę potwora. Ravyn spojrzał na mnie z ukosa, po czym trzykrotnie postukał w Kartę palcem wskazującym i schował ją do kieszeni.

– Już – poinformował mnie. – Już jej nie używam.

Był zbyt spokojny – zbyt opanowany, nie mogłam go wybadać. Nie mogłam zaufać mężczyźnie, którego zachowania nie potrafiłam przewidzieć. Uwaga Ravyna z powrotem skupiła się na moim ramieniu. Kiedy spojrzałam w dół, w miejscu gdzie mój rękaw został rozerwany, oboje przyglądaliśmy się mojemu blademu ramieniu naznaczonemu czarnymi żyłami.

Magia infekcji miała kolor bezgwiazdnej ciemnej nocy.

Koszmar patrzył na Ravyna moimi oczami, jego głos był oślizgły i pełen nieufności.

Kimże jest postać z licem kamiennym? Kapitanem? Rozbójnikiem? Czy może innym potworem tajemnym?

W miarę jak król i jego ludzie się oddalali, robiło się coraz ciszej.

Z początku kapitan nie odezwał się ani słowem, jego szare oczy pogrążyły się w studiowaniu ciemności przesuwającej się po moim ramieniu. Czekałam, nie

wykonując żadnego ruchu. Kiedy Ravyn wreszcie się odezwał, jego głos był opanowany.

– To dlatego uciekałaś?

Nikt nigdy nie mówił o infekcji otwarcie. Istniała niczym zły omen pod postacią demonicznego psa, obserwującego Blunder, czającego się tuż za linią drzew. Budzący strach wzniesiony za sprawą uzdrowicieli i kawalerzystów króla Rowana, który sam podsycił w ludziach strach przed infekcją. Sąsiedzi zwracali się przeciwko sobie, gdy tylko pojawiały się jakiegokolwiek oznaki gorączki. A za tak wielkim zaniepokojeniem – przerażeniem – zawsze podążała nienawiść.

Widziałam to w oczach ludzi słyszałam w ich głosach. Mieszkańcy Blunder nienawidzili zainfekowanych równie mocno co samej infekcji. Przez to stali się nieustannie czujni – ich oczy były zmęczone i pełne niepokoju – usta zaciśnięte w wąskie linie i napełnione lękiem.

A jednak kiedy patrzyłam na Ravyna Yewa, jak jego szare oczy śledziły ciemne żyły na moim ramieniu, nie widziałam w jego twarzy ani strachu, ani obrzydzenia. Tylko zmartwienie. Zmartwienie i zdumienie.

Spodziewałam się kajdan, tego, że zostanę zaciągnięta przez martwe pole i wtrącona do lochów. Tymczasem bezruch jego ciała stojącego tuż obok, wystarczył, by chwilowo zagłuszyć te myśli.

Nawet Koszmar czekał w ciszy na rozwój wydarzeń.

– Co teraz? – zapytałam.

Spojrzał mi w twarz.

– A jak myślisz, co teraz się wydarzy, panno Spindle?

Moje obawy powróciły równie szybko, co wcześniej zniknęły, a ramiona zeszywniały.

– Nie pójdę do lochów. Prędzej dam się zabić, niż pozwolę ci się tam zaprowadzić.

– Nie zamierzam cię zabijać – oznajmił, podnosząc się na nogi. – Nie zamierzam cię nawet aresztować. Ale byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili do środka.

Kiedy zaoferował mi pomoc przy wstawaniu, wyciągając ku mnie rękę, zignorowałam ją. Potarłam kruczą nóżkę, spoglądając na twarz kapitana kawalerzystów, w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak, że planuje mnie wpędzić w pułapkę.

– Co usłyszałaś? – zapytałam, badawczo wpatrując się w jego twarz.

Ravyn wyrównał materiał swojej koszuli i strzepnął brud ze spodni.

– Usłyszałam?

– Użyłeś na mnie Karty Koszmaru. Co usłyszałaś wtedy w moim umyśle?

Spojrzał na mnie. Być może to pytanie było zbyt bezpośrednie. Widziałam po jego zmarszczonymi brwiach, że nie rozumiał, co miałam na myśli.

Była to jednak odpowiedź, której potrzebowałam. Oznaczało to, że nie odkrył potwora zamieszkującego w mojej głowie.

– Nic takiego – odpowiedział. – Załedwie słaby hałas, coś jak rytmiczne stukanie czy pukanie. Czemu pytasz?

Koszmar zaśmiał się złowieszczo, jego szpony wybijały rytmiczny, nieustanny dźwięk. *Klik. Klik. Klik.*

– Moja głowa należy tylko i wyłącznie do mnie – powiedziałam chłodno. – Nie pozwoliłam ci na wtargnięcie.

– Nie miałem czasu, żeby poprosić o pozwolenie – odparł. – Nie przy twoich wymachujących pięściach pod nosem mojego wuja, tuzina kawalerzystów i praktycznie całego rycerstwa. – Przeszedł przez mgłę, kierując się na północ.

Kiedy nie wykonałam żadnego ruchu, żeby za nim pójść, odwrócił się, a jego spojrzenie było nieprzeniknione.

– Powiedziałam ci – krzyknęłam do niego – nie zamierzam dać się wtrącić do lochu!

– Ja też nie, Elspeth Spindle – odkrzyknął, a kiedy nadal się nie poruszyłam, założył ramiona na piersi i ostro dodał: – Nic ci nie grozi, masz na to moje słowo. Twoja infekcja mnie nie martwi. Chcę załedwie zrozumieć, jakie dzięki niej zyskałaś moce. Nie zamierzam też tego rozgłaszać.

Powoli podniosłam się z ziemi, wyginając plecy w łuk jak kot i nie spuszczać wzroku z kapitana.

– Oszczędzę ci fatygi – oznajmiłam. – Nie mam żadnych mocy.

Nie nazwałabym ledwo uniesionego kącika ust uśmiechem, a jednak chyba tylko na tyle mógł się zdobyć po otrzymanych ode mnie kopniakach.

– Dobry z ciebie kłamca – zauważył, odwracając się z powrotem w kierunku mgły. – Bez problemu się dopasujesz.

Czyli jeszcze nieznaną potwór, wymamrotał Koszmar.

Zacisnęłam zęby, nie rozumiejąc, jak to się stało, że ja, Elspeth Spindle, z własnej woli podążałam za kapitanem kawalerzystów wprost do królewskiego zamku.

– Pójdę – oświadczyłam. – O ile nie będziemy przechodzić przez ogrody. – Pomyślałam o Ione. – Chciałabym uniknąć kobiet i ich Kart Opatrzności.

– Wejdziemy wschodnim wejściem – zapewnił, po czym, jak gdyby dopiero co usłyszał wszystko, co powiedziałam, odwrócił głowę w moją stronę. – Skąd wiesz, że w ogrodach znajdują się Karty Opatrzności?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Talizman nie jest ani żywy, ani martwy.

Kiedy zwierzę urodzone w Blunder wyda z siebie ostatnie tchnienie, pochowaj je głąboko w ziemi.

Jeśli z ziemi wykiełkują nasiona, odkop truchło. Weź jakąś jego część, lecz nie większą od twojej dłoni.

Nieważne, czy to będzie kość, sierść, czy pióro, taki amulet pozwoli ci bezpiecznie przejść przez mgłę, albowiem zwierzęta z Blunder pozostają wolne od zdradzieckiego wpływu Ducha.

Talizman nie jest żywy ani martwy.

Znaleźliśmy starą, porzuconą przez rolników linę, która pokierowała nas przez mgłę z powrotem do Stone. Szłam niespokojnym krokiem, jak gdyby moje nogi w każdej chwili były gotowe do ucieczki. Podążający obok mnie kapitan szedł pewnie i spokojnie.

Zielsko i przerośnięta trawa porastały wschodnie skrzydło Stone. Ręce zaczęły mi się trząść, gdy natrafiliśmy na zaokrąglone drewniane drzwi pokryte pajęczynami. Ravyn wyciągnął zza pazuchy mosiężny klucz. Usłyszałam kliknięcie zamka, a chwilę później książkę popchnął drzwi – gruba warstwa kurzu i rosnących pnączy sprawiła, że wejście niechętnie się przed nami otworzyło.

Ravyn przytrzymał je dla mnie, jego szare oczy były utkwione w mojej twarzy.

– Panie przodem.

Zastygłam niczym zwierzę obawiające się pułapki.

– Ty pierwszy. – Przyjrzałam się badawczo ciemnemu korytarzowi. – Dokąd prowadzi to przejście?

Kapitan kawalerzystów przesunął ręką po twarzy, a w jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Panno Spindle, nie musi się pani mnie obawiać.

Ciekawe usłyszeć coś takiego od mężczyzny, który mógł wbić ci sztylet w serce w środku lasu.

Wstrzymując oddech przekroczyłam spowity w ciemności korytarz, moje oczy powoli przyzwyczajały się do panującego wokół mroku.

– Tędy – powiedział Ravyn zamykając za nami drzwi, po czym poprowadził mnie przez zakręty i zaułki. Istny labirynt korytarzy i opuszczonych pomieszczeń.

Dotarliśmy do skąpanych w ciemności kamiennych schodów.

Głos Koszmaru drażnił moje uszy.

W chłodzie i ciemności kamień nie kruszeje. Światło nie dociera tam, gdzie szaleją cienie. Na końcu schodów sidła czekają, w które zainfekowane dzieci do lochów wrzucają.

Zadrżałam. Królewskie lochy i plotki o tym, co się w nich dzieje, od dawna były przedmiotem moich myśli. Spoglądałam w dół, na krążące cienie, długie i poskręcane, wyciągające po mnie swoje okrutne macki.

Nie zdawałam sobie sprawy, że się zatrzymałam, dopóki Ravyn nie odchrząknął, znajdując się kilka kroków przede mną. Musiał dostrzec trwogę malującą się na mojej twarzy. Na moment, jego twarde spojrzenie złagodniało i skierował wzrok na klatkę schodową.

– Nigdy cię tam nie zabiorę, panno Spindle. Masz moje słowo.

Po tych słowach podążył w dół, nie pozostawiając mi żadnego wyboru, więc ruszyłam za nim. Poprowadził mnie przez kolejny korytarz stanowiący galerię obrazów przedstawiających króla Rowana z przeszłości. Skręciliśmy w lewo, do słabo oświetlonego korytarza dla służby. Stamtąd weszliśmy po niewielkich schodach, a gdy znaleźliśmy się na ich szczycie, stanęliśmy przed drzwiami wykonanymi z drewna tak ciemnego, że nie sposób było zgadnąć z jakiego drzewa pochodziło. Różniły się od innych drzwi wyrytym poniżej framugi wizerunkiem jelenia.

Ravyn zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu kolejnego klucza, jego ciemny płaszcz w połączeniu z szerokimi barkami, na których był ułożony, pochłaniał te niewielkie ilości światła, jakie zostały się jeszcze na korytarzu. W odróżnieniu od lodowatego zimna bijącego od strony lochu, czułam promieniujące od niego ciepło. Nagle się zorientowałam, jak blisko siebie stoimy – mogłam dostrzec kształt jego łopatki – kiedy on zrogowaciałymi palcami szukał odpowiedniego klucza. Jego płaszcz pachniał mgłą i goździkami.

To było zbyt intymne doznanie, czuć na sobie ciepło jego ciała. Próbowałam się odsunąć, ale nie miałam jak. Ravyn sięgnął po kolejny klucz – tym razem wykuty z żelaza – włożył do zamka i przekręcił, otwierając drzwi. Kiedy rzucił mi spojrzenie przez ramię, odniosłam wrażenie, że doskonale wiedział, że go obserwuję.

Popchnął drzwi, wpuszczając mnie do środka.

Chwilę później uderzyłam o kamienną ścianę, a do moich uszu dotarło ujadanie psów. Warczały na mnie z obnażonymi zębami – dwa wielkie ogary z ostrymi,

białymi zębiskami, na dźwięk wchodzących do pomieszczenia intruzów wstały ze swoich posłań.

W ciemności rozległ się syk Koszmaru, który wyciągnął pazury. Jednak zanim psy zdążyły się na mnie rzucić, Ravyn odciągnął je za obroże, wydając kilka krótkich poleceń.

Psy wróciły na swoje posłania, nieufnie na mnie spoglądając.

– Nie są groźne – uspokoił mnie. – Rzadko kiedy chce im się chociaż zaszczekać, leniwe bestie. Nie mam pojęcia, co w nie wstąpiło.

Odsunęłam się od ściany.

– Zwierzęta za mną nie przepadają – wymamrotałam, serce waliło mi w piersi jak szalone. Rozejrzałam się dookoła.

Pomieszczenie wyglądało jak opuszczona piwnica, pozbawiona okien, bez żadnego dostępu do naturalnego światła. W głębi na ścianie wisiała mała pochodnia oświetlająca pokój. Przy okrągłym stole stały niepasujące do siebie krzesła. Regał zawalony, wyglądającym na stare, książkami, opierał się o jedną ze ścian; jego zawartość była zapewne starsza od całego pomieszczenia.

Czyli nie są to lochy.

Nie bądź taka pewna, powiedział Koszmar. Jest wiele rodzajów klątek.

Zignorowałam uszczypliwość w jego głosie i skierowałam się do stołu, ostrożnie omijając psy.

– Co teraz? – zapytałam.

Kapitan przecesał palcami ciemne włosy, skóra wokół jego oczu się napięła.

– Poczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Pospiesznie wyszedł. Nie zwracałam sobie głowy nasłuchiwaniami szczerku zamka – wiedziałam, że zamknie mnie na klucz. Zbliżyłam się do regału, w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – czego mogłabym użyć jako broni. Psy cały czas mnie obserwowały, wyrażając swoje niezadowolenie pomrukiwaniem. Jednak nie ruszyły się ze swoich miejsc.

Teraz czekamy.

Koszmar zaczął uderzać pazurami, wydając nieprzyjemne dźwięki. W i e, że jesteś zainfekowana. W dodatku w pewnym stopniu zdaje sobie sprawę z twojej umiejętności wyczuwania Kart Opatrzności obecnych na zamku.

Skrzywiłam się. Nie zamierzałam tego zdradzić, tam we mgle, sam na sam z kapitanem kawalerzystów. W chwili, w której wspomniałam o Kartach Opatrzności, oczy Ravyna zabłyśły. Zacisnęłam usta, jednak było już za późno.

Nerwowo postukałam nogą. Koszmar kontynuował leniwie, niewzruszony moim zaniepokojeniem. *Z a ł ó ż m y, ż e p o p r o s t u p o w i e s z m u, ż e w i d z i s z K a r t y O p a t r z n o ś c i. A l b o j e s z c z e l e p i e j, ż e t o j a j e w i d z e.*

Przestałam przeglądać jeden z zakurzonych tomów. *Nie bądź niemądry.*

M ó g ł b y c i e z a s k o c z y ć.

Już to zrobił, powiedziałam w myślach, zerkając na drzwi i nasłuchując odgłosów kroków. *Ale nie wszystkie niespodzianki są przyjemne.*

Koszmar zaśmiał się, jak gdybym powiedziała coś śmiesznego.

P r z y p o m n i s z s o b i e m o j e s ł o w a. Z a m i e r z a p r z e t e s t o w a ć t w o j e u m i e j ę t n o ś c i. P o s t u k a ł p a z u r a m i. A r a c z e j p r z e t e s t u j e M O J Ą m a g i ę.

Stęknęłam, po czym usiadłam na jednym z drewnianych krzeseł. W pomieszczeniu nie znalazłam żadnej broni. Gdyby pojawiło się niebezpieczeństwo, będę musiała polegać na swoim umyśle.

Na kamiennych schodach rozbrzmiały kroki, po których usłyszałam szcęk otwieranego zamka. Psy położyły po sobie uszy, a ja zebrałam się w sobie.

Do piwnicy weszło troje ludzi. Ravyn Yew, nieznany mi mężczyzna i młoda kobieta. Od razu rozpoznałam ją po surowych rysach twarzy i krótko przyciętych czarnych włosach oraz dopasowanej, bogato obszytej kreacji, która krojem przypominała bardziej tunikę niż sukienkę.

Jespyr Yew – młodsza siostra Ravyna i jedyna kobieta w szeregach kawalerzystów.

Stali naprzeciwko mnie, przypatrując mi się ostrożnie. Mężczyzna stojący między rodzeństwem Yew był starszy, ubrany w gładką tunikę, a jego broda aż prosiła się o strzyżenie. Wpatrywałam się w niego, ale nie potrafiłam go rozpoznać.

A potem zobaczyłam małą wierzbę wyszytą białą nicią na jego piersi.

Szybko podniosłam się z krzesła.

– Przyprowadziłeś uzdrowiciela? – załkałam. – Czemu po prostu nie wbiłeś we mnie sztyletu?

– Spokojnie – powiedział Ravyn gładkim głosem. – Chcemy tylko zadać ci kilka pytań. Nie doniesie na ciebie. Prawda, Filick?

– Przyrzekałem kapitanowi posłuszeństwo – odparł starszy mężczyzna. Posłał Ravynowi spojrzenie, zanim ostrożnie zbliżył się do mnie, jakby podchodził do spłoszonego dzikiego konia. Usiadł na krześle po mojej prawej stronie.

– Nazywam się Filick Willow. A ty?

Posłałam Ravynowi nienawistne spojrzenie. Przez całe życie udało mi się unikać uzdrowicieli. Tym razem nie miałam gdzie się ukryć.

Z powrotem osunęłam się na swoje miejsce, prostując plecy w próbie okazania odwagi, której wcale nie czułam.

– Elspeth Spindle – przedstawiłam się lodowatym tonem.

– Ile masz lat, Elspeth?

– Dwadzieścia.

Pochylił się ku mnie, cały czas mnie obserwując.

– Ile miałaś lat, kiedy zaatakowała cię infekcja?

– Dziewięć.

– Rozumiem. Jakie magiczne zdolności zyskałaś?

Starałam się nie wiercić, kiedy tak rozważałam swoje opcje. *Jeśli skłamię i powiem, że nie dysponuję żadną magią, z pewnością mnie stąd nie wypuszczą. W końcu widziałam, jak kapitan kawalerzystów grasuje po lesie w przebraniu rozbójnika.*

A czego wtedy szukał, moja droga, ubrany cały na czarno, przeczesując leśne drogi?

W moim umyśle zaświeciła się lampka. Był sposób na to, żeby skłamać i jednocześnie powiedzieć prawdę.

W taki sposób budowało się najlepsze kłamstwa – dodając do niego szczyptę prawdy.

Wzięłam głęboki wdech, potem jeszcze jeden. Powoli, rozluźniłam mięśnie twarzy – przestałam zaciskać zęby i marszczyć brwi.

Przy trzecim wdechu, moja twarz nie wyrażała niczego.

– Moja magia ukazuje mi Karty Opatrzności – powiedziałam.

Brwi Filicka wystrzeliły do góry tak bardzo, że praktycznie zniknęły za linią włosów. Jespyr opadła szczęka. Stojący obok niej Ravyn pochylił się ku mnie z zszokowaną miną, jego kamienna maska zniknęła.

Filick znowu na mnie spojrział.

– Co to znaczy, że ukazuje ci Karty?

Niezbyt lotny z niego uzdrowiciel.

– Każda Karta ma własny kolor, coś jak magiczny podpis – odpowiedziałam. – Kolor Karty odpowiada aksamitowi, w który jest oprawiona. Czarny Koń jest czarny. Studnia jest błękitna. Dziewica różowa i tak dalej.

– I ty widzisz te kolory? – zapytał Ravyn. – Nawet przez mgłę?

Wypuściłam powietrze.

– Tak.

Jespyr zaśmiała się krótkim, triumfalnym chichotem.

– Niesamowite. To jest dokładnie to, czego potrzebujemy, żeby znaleźć...

– Poczekaj chwilę – przerwał jej Filick. – Jeśli panna Spindle mówi prawdę i rzeczywiście żyje od jedenastu lat z tą magią, to z pewnością wiąże się to też z konsekwencjami. – Zmarszczył brwi. – Magia infekcji wyniszcza zainfekowanego. Nie ma nic za darmo.

Zachowałam spokojny wyraz twarzy.

– Jestem w pełni świadoma ceny, jaka się wiąże z moją magią, uzdrowicielu. – Ściszyłam głos. – Ale jeszcze nie odkryłam, jak wielka ona będzie. Nic mi nie wiadomo o jakimkolwiek wyniszczeniu ciała czy umysłu.

Ktoś zapukał do drzwi. Pięć uderzeń – trzy szybkie, a czwarte i piąte w krótkich odstępach czasu. Ravyn podszedł do drzwi. Nie zauważyłam jaskrawej czerwieni przez dziurkę od klucza, a już na pewno nie spodziewałam się żywej rubinowoczerwonej barwy Karty Sierpa.

Książę Renelm Rowan wkroczył do piwnicy, błoto z polowania nadal obklejało jego buty. Kiedy jego wzrok napotkał moje spojrzenie, zauważyłam, że ma niezwykle zielone oczy.

– Kto to, do cholery, jest? – zagrzmiął.

– Elspeth Spindle – powiedziała Jespyr.

– Córka Erika – dodał Ravyn, rzucając kuzynowi ostre spojrzenie.

Książę zaczął mnie obserwować. Wyglądał jak lis z szopą rudych, nieokiełznanym włosów i przeszywającym, inteligentnym spojrzeniem.

– Jestem Renelm – zaczął, zwięźając oczy. – Ale możesz mi mówić Elm.

Wiedziałam, kim był. Od zawsze. Renelm i jego starszy brat, Hauth, byli książętami, których losy wydiera się z bajek dla dzieci. Przystojni, bystrzy kawalerowie. Tyle że w opowieści Koszmaru nie byli tylko ukochanymi książętami.

Byli również złoczyńcami.

Koszmar zawarczał i obnażył zęby, patrząc na Elma moimi oczami.

Owoc jarzębiny od wieków czerwony, zawsze czerwony. Jej korzeń od krwi ciemny, burgundowy. Nie ufaj mężczyźnie co krwawą kartą dysponować będzie. Pokój, wraz z ostatnim tchnieniem Rowana nadejdzie.

Opanowałam dreszcze i napięłam mięśnie twarzy, walcząc z przejmującym chłodem, wywołanym słowami Koszmaru. Żywił on do Rowanów ogromną, nieskończoną nienawiść. I wiedziałam dlaczego. Król Rowan, tak samo jak jego poprzednicy, wykorzystał wiedzę zawartą w *Starej Księdze Olch*, żeby wpajać ludziom strach – a nie zachwyty – wobec magii. Przeinaczył nasz starożytny tekst dla swoich celów. Splugawił tak, żeby stanowiła jego osobiste narzędzie do kontrolowania mieszkańców Blunder – w taki sam sposób, jak przy użyciu Karty Sierpa.

Czerwona Karta. W całym królestwie były tylko cztery. A Rowanowie mieli je wszystkie, skupiając w swoich rękach całą moc do wpływania na umysły innych. Trzy uderzenia w Sierp i zrobisz wszystko, co zażyczy sobie Rowan. Gdyby Elm zażądał, żebym zeskoczyła na jednej nodze z klifu, zrobiłabym to ochoczo i bez wahania nie dlatego, że Sierp poruszał moimi nogami – ale dlatego, że sprawiłby, że sama chciałabym to zrobić.

Wpatrywałam się w czerwone światło migoczące w kieszeni Elma, niepewna, czy odczuwana przeze mnie nienawiść należy do mnie, czy do Koszmaru.

Elm był wyższy i szczuplejszy od Ravyna. Kiedy wstałam, musiałam unieść podbródek, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– Miło mi cię poznać, panie – wykrztusiłam przez zaciśnięte zęby. – Nazywam się Elspeth Spindle.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Spindle, czyżby? A nie Jayne Yarrow?

Rzuciłam spojrzenie na Ravyna, czując, że żołądek pochodzi mi do gardła. Jednak kapitan wbijał wzrok w swoje buty, na jego szyi i szczęce pojawił się niewielki rumieniec.

Zrobiłam krok w tył, przypominając sobie drugiego rozbójnika, jego mocno zaciskające się na moim kapturze palce i groźny głos. Wezbrała we mnie wściekłość, kiedy uświadomiłam sobie, że znajduję się w pomieszczeniu z tymi niezwykłymi, niebezpiecznymi mężczyznami, którzy niespełna trzy tygodnie temu robili, co w ich mocy, żeby mnie skrzywdzić.

Opadłam na krzesło, zakładając ramiona na piersi. Gdybym miała więcej odwagi, splunęłabym pod nogi księcia.

– Fantastyczną masz rodzinę – zwróciłam się do Ravyna, posyłając mu ostre jak brzytwa spojrzenie. – Jedna napaść w zupełności mi wystarczy. Każ księciu zabrać swoją Kartę Sierpa i odejść albo nie powiem ani jednego słowa więcej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

*Za Czarnego Konia, za siłę i szybkość wojownika,
Duch zażądał krwi mojego bojowego druha, mojego konika.
Za Złote Jajo, Karta urodzaju, Karta bogata,
Oddałem życia zdrowego dwa lata.
Prorok był następny, to Karta co przyszłość widziała,
Chciała w zamian mojego przerażenia i przerażenie dostała.
W zamian za Kartę Białego Orła, dla odwagi dodania,
Zmusiła mnie do własnej skóry oddania.
Dlatego błagałem Dziewicę, by urodę mi przywróciła,
Zażądała włosów, nożem mnie ich pozbawiła.*

Włożyłam rękę do kieszeni, by dotknąć mojego talizmanu. Filick, Elm i Jespyr opuścili piwnicę, jedno po drugim. Ravyn ruszył za nimi, mówiąc coś, czego nie byłam w stanie usłyszeć.

Być może koniec końców mnie zabiją.

Koszmar poruszał się tuż za moimi oczami, czujnie obserwując drzwi.

Brak okien utrudniał mi określenie, która jest godzina. Oparłam się całym ciężarem na krzesło, czułam się zmęczona. Chwilę później pojawił się Ravyn z tą różnicą, że tym razem z jego ubrań biło światło.

Wyprostowałam się, szeroko rozchyłając powieki. W jego kieszeni znajdowała się Karta Opatrzności. Koszmar miał rację – ten mężczyzna zamierzał mnie sprawdzić.

Ravyn usiadł naprzeciwko mnie, jego twarz na powrót zamieniła się w surową maskę. Tak szybko, że ledwo zdążyłam zarejestrować jego ruchy, sięgnął do kieszeni, po czym rzucił na stół Kartę Białego Orła. Potarłam oczy, bardziej zmęczona niż myślałam, ponieważ przez ułamek sekundy wydawało mi się, że światło bijące z Karty zamigotało.

Biały Orzeł przedstawiał ptaka unoszącego się nad polem pszenicy, z oczami w kolorze oranżu i długimi, czarnymi szponami. Słowo: „Odwaga” widniało na jeden stronie Karty. Natomiast to na rewersie brzmiało: „Strach”.

Wpatrywałam się przez chwilę w Kartę, po czym uniosłam wzrok na Ravyna.

– Po co to?

– Co widzisz? – zapytał. – Jakiego koloru jest ta Karta?

Założyłam ręce na piersi.

– Czy chwilę temu nie udowodniłam, że widzę Sierp w kieszeni twojego kuzyna?

– Wielu ludzi wie, że Elm nosi ze sobą swoją Kartę Sierpa – odparł Ravyn. – Mogłaś szczęśliwie zgadnąć.

– To, co się dzisiaj dzieje, nie ma nic wspólnego ze szczęściem, kapitanie.

I znowu lekkie uniesienie kącika ust – namiastka uśmiechu w wykonaniu Ravyna. Odchrząknął i ponownie zapytał:

– Jaki kolor?

– Biały.

Sięgnął do drugiej kieszeni, po czym wyjął chustkę z czarnego jedwabiu.

– Proszę mi powiedzieć, panno Spindle, czy potrafi pani dostrzegać kolory Kart z zamkniętymi oczami?

– Tak. – Moje serce zabiło nieco szybciej.

– Dobrze. – Owinął materiał wokół knykci. – Miałaby pani coś przeciwko, gdybym zasłonił jej oczy?

Zawahałam się. Ravyn cierpliwie czekał, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, kiedy patrzył na mnie z oczekiwaniem. Kiedy kiwnęłam głową, wstał z chustą w dłoni. Uderzałam paznokciami o blat stołu i przymknęłam powieki.

Pomimo tego, z jaką stanowczością jego wielkie dłonie trzymały materiał, sam dotyk Ravyna był niezwykle delikatny. Odsunął luźne kosmyki włosów, zakładając mi je za ucho, a następnie dwukrotnie owinął materiał wokół moich oczu, zanim usatysfakcjonowany zawiązał go w supeł z tyłu mojej głowy.

Niczego nie widziałam, chusta była gładka, nieprzejrzysta. Poruszyłam powiekami, po czym odetchnęłam, wiedząc, że nie ma na świecie wystarczająco nieprzeniknionej opaski, aby zdołała ukryć kolory Kart Opatrzności przed Koszmarem znajdującym się za moimi oczami.

Usłyszałam, że Ravyn wraca na swoje miejsce.

– Możemy kontynuować? – zapytał.

Jednak to nie zmęczenie płatało mi figle – kolory znajdujące się w jego kieszeni znowu zamigotały. Dopiero, gdy Ravyn rzucił na stół kolejną kartę, dotarło do mnie, jaki miała kolor.

Czerń.

Nawet z zakrytymi oczami, spowita w ciemności, nadal wyraźnie dostrzegałam tę czerń. Czerń jak moje oczy – czerń jak magia.

– Czarny Koń.

Stara Księga Olch opisywała Talię Dwunastu Kart Opatrzności, moce, jakie posiadały, jak ich używać oraz konsekwencje niesione przez ich nadmierne

używanie.

Ten, kto dzierżył Czarnego Konia, stawał się mistrzem walki. Złote Jajo dawało ogromne bogactwa. Prorok przyznawał możliwość zajrzenia w przyszłość. Biały Orzeł obdarzał swojego właściciela odwagą. Dziewica sprawiała, że było się pięknym. Kielich przemieniał wodę w serum prawdy. Studnia pozwalała na rozpoznawanie wrogów. Żelazna Brama gwarantowała błogi spokój, bez względu na napotkane problemy. Za pomocą Sierpa można było kontrolować innych. Lustro gwarantowało niewidzialność. Dzięki Koszmarowi można było porozumiewać się telepatycznie, mówić do umysłów innych. Z kolei za sprawą Bliźniaczych Olch zyskiwało się możliwość komunikowania się z Duchem Lasu.

Jednakże to tylko jedna strona medalu, każda Karta Opatrzności miała dwie strony, rewers i awers. Użycie magii zawsze niosło za sobą konieczność zapłaty odpowiedniej ceny. Jeśli właściciel Czarnego Konia będzie korzystał z niej zbyt często, magia sprawi, że stanie się słaby. Złote Jajo doprowadzi do destrukcyjnej chciwości. Odwaga przyznana przez Białego Orła zostanie zastąpiona przez strach. Prorok sprawi, że jej właściciel nie będzie miał żadnego wpływu na zmianę przyszłości. Stworzone dzięki Kielichowi serum prawdy zamieni się w truciznę. Piękno Dziewicy skuje serce w lód. Użytkownik Studni zostanie zdradzony przez przyjaciela. Żelazna Brama pozbawi swojego właściciela lat życia. Sierp wywoła ogromny fizyczny ból. Lustro podniesie zasłonę pomiędzy dwoma światami, odkrywając niematerialny świat duchów. Koszmar ujawni największe lęki.

Z kolei Bliźniacze Olchy... Nikt nie wie, co się stanie, jeśli użyjesz ich zbyt długo. Nie istnieją zapiski o osobie, która tego dokonała.

Chwilę później ciemność bijąca z Karty Czarnego Konia zniknęła, zastąpiona kolejną Kartą.

Róż. Przenikliwy jasnoróżowy.

Zaczęłam się wiercić na swoim krześle.

– Dziewica – powiedziałam. – Widziałam, jak kilka z nich unosi się podczas tegorocznego Ekwinokcjum.

– Doprawdy?

– Niestety. – Odetchnęłam.

– Brzmisz, jakbyś tego nie pochwałała.

Przeszywający ból uderzył w moje trzewia, kiedy oczami wyobraźni zobaczyłam ostry wyraz twarzy Ione.

– To, co myślę, nie ma znaczenia.

Kapitan zaśmiał się w odpowiedzi. Różowa poświata Dziewicy zniknęła, a zastąpił ją gładki turkus – kolor morza.

– Kielich.

Wyciągnął kolejną. Mglista szarość rozlała się po pomieszczeniu.

– Prorok – powiedziałam.

Karta Proroka migotała przez chwilę.

– Proszę mi powiedzieć, panno Spindle, czy posiada pani jakąś Kartę na własność?

Przygryzłam dolną wargę.

– Nie.

– Ale mieszka pani z wujem. Z pewnością ma on jakieś Karty.

Poruszyłam się na swoim krześle.

– Wydawało mi się, że to właśnie myślałeś, kiedy zaatakowałeś mnie wtedy na drodze.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy Ravyn Yew czuł z tego powodu wyrzuty sumienia, czy nie. Jego spokój był wyćwiczony, a ton głosu nigdy się nie podniósł. Mężczyzna szybko zmienił temat.

– Jak wielu ludzi wie o pani infekcji? – zapytał.

Ugryzłam się w język i ściągnęłam przepaskę z oczu. Ravyn siedział naprzeciwko, obserwując mnie uważnie. Szukałam w jego twarzy jakichkolwiek oznak wrogości, ale nie dopatrzyłam się niczego poza ostrożną ciekawością.

– Skąd mam wiedzieć, że nie aresztujesz ich za ukrywanie mnie? – zapytałam.

– Nie dowie się tego pani, tak myślę – odparł. – Jednak, jak sama pani widzi, nie aresztowali nawet ciebie, dziewczyny zainfekowanej magią.

Kiedy nie odpowiedziałam, przechylił głowę na bok, niczym drapieżny ptak.

– Po prostu staram się zrozumieć powagę sytuacji, w jakiej się pani znalazła.

– Właściwie dlaczego? Dlaczego mnie nie aresztowałeś? – Zacisnęłam zęby.

– Ponieważ nie zrobiła pani niczego złego. – Zamilkł na chwilę. – Ale też dlatego, że pani umiejętności są niezwykle przydatne.

– Nie zrobiłam niczego złego? – powtórzyłam za nim, unosząc brwi. – Złamałam prawo.

– Nie wszyscy tak na to patrzą. – W odpowiedzi Ravyn zaledwie pokręcił głową.

– Twój wuj tak na to patrzy i tylko to ma znaczenie.

Kapitan kawalerzystów wpatrywał się we mnie, a spojrzenie jego szarych oczu spoczęło na moich ustach.

– Chciałbym kontynuować, panno Spindle. – Gestem pokazał mi, bym nałożyła z powrotem opaskę na oczy. – O ile nie ma pani nic przeciwko.

Zasłoniłam oczy z lekkim westchnieniem. Pomieszczenie zalało złote światło.

– Złote Jajo.

Kiedy usłyszałam, że kolejna karta uderzyła o stół, poruszyłam w ciemności powiekami, czekając.

– Możesz położyć kolejną Kartę – powiedziałam.

– Już to zrobiłem. – odparł gładko Ravyn.

– Nie widzę żadnej Karty.

– Nie dostrzegasz żadnego koloru?

Koszmar poruszył się, jego szept załaskotał mnie w ucho. N i e m a t u ż a d n e j K a r t y. O s z u k u j e.

– Nie pojawił się żaden kolor – powtórzyłam. – Karta nie leży na stole.

– Zapewniam panią, że leży.

Ściągnęłam opaskę z oczu, a kiedy dostrzegłam rysunek dwóch złączonych ze sobą drzew, otoczonych zielonym aksamitem, z moich ust wydostało się sapnięcie. Karta Bliźniaczych Olch.

Wraz z Koszmarem w tym samym momencie odkryliśmy prawdę. Zaśmiałam się.

– Nie ma tu żadnej magii. To tylko kawałek papieru i aksamit. Podróbka.

Ravyn uśmiechnął się, cienie zatańczyły na jego imponującym nosie.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie, kapitanie.

Kiedy chował fałszywą Kartę, pozostałe zamigotały. Kątem oka dostrzegłam znajome burgundowe światło w kalejdoskopie kolorów. Zwęziłam oczy.

– Dużo się mówi o Kartach Koszmaru – zaczęłam ostrym tonem – ale zdaje się, że nikt nie wiedział, że Król posiada już jedną z nich. Albo że tak swobodnie korzysta z niej jego kapitan.

Ravyn nie odpowiedział. Kiedy cisza między nami zaczęła gęstnieć, zniecierpliwiona, zaczęłam stukać paznokciami o blat stołu.

– Więc? Zdałam twój test?

Kapitan oparł się na krześle, spojrzenie jego szarych oczu nie opuszczało mojej twarzy.

– Bez wątpienia, potrafisz, pani, dostrzegać Karty Opatrzności. Co więcej udało ci się ukryć infekcję zarówno przed uzdrowicielami, jak i kawalerzystami, pomimo tego, że jesteś córką jednego z nich. – Ponownie odchylił głowę. – Kto jeszcze wie o twoich umiejętnościach?

– Nikt. – Spięłam się.

– Czyżby to kolejne kłamstwo, panno Spindle? – Ravyn uniósł brwi.

– Nie! – Pochyliłam się do przodu, spoglądając mu w twarz. – Przysięgam. Moja rodzina wie tylko tyle, że miałam gorączkę.

Ravyn nie odpowiedział, tylko mi się przyglądał. Jego twarz była, jakby wykuta w kamieniu.

Im dłużej był cicho, tym bardziej wściekła się robiłam.

Cokolwiek nim kieruje, zwróciłam się do Koszmaru, nadal jest kawalerzystą. Brutal, który poluje na zakażone dzieci i wybija ich rodziny. Jeden niewłaściwy ruch, a z pewnością zrobi to samo mnie.

Więc stań się dla niego kimś niezbędnym, wymruczał Koszmar, podjudzając mój gniew. No dalej, zmusz go do złożenia oferty. Zobaczmy, co mu chodzi po głowie.

Wstałam tak gwałtownie, że przewróciłam krzesło, na którym dopiero co siedziałam.

Leżące w rogu psy zaszczekały, a ręka Ravyna błyskawicznie powędrowała do paska, jakby coś go zaalarmowało. W jego spojrzeniu dostrzegłam niepokój.

– Co się stało? – zapytał.

– Wiem, że chcesz Karty Opatrzności – powiedziałam, słowa same wylewały się z moich ust. – Wiem też, że nie chcesz, żeby znalazł je król. Inaczej nie zaprzętałbyś sobie głowy zabawą w przebieranki w lesie – oświadczyłam, a potem dodałam spokojnie: – Pomogę ci odnaleźć Karty. Nie powiem nikomu o tobie i księciu przebranych za rozbójników, a w zamian oczekuję, że zachowacie mój sekret. Jednak potrzebuję jeszcze jednej rzeczy.

Ravyn skrzyżował ramiona na piersi, znowu mi się przyglądając.

– Obawiam się, że decyzja odnośnie do tego, co począć z pani magią nie zależy wyłącznie ode mnie.

Wpatrywałam się w niego zdeterminowana. Pomimo tego, że na wpół leżał na krześle, spokojny i opanowany, Ravyn Yew nadal mnie przerażał.

– Czego dokładnie chcesz, panno Spindle?

Ręce mi się trzęsły.

– Chcę, żebyście zostawili moją rodzinę w spokoju. Nie karzcie ich za ukrywanie mojej infekcji.

– Jeśli takie jest twoje życzenie. – Pokiwał powoli głową.

– I nie idźcie do domu mojego wuja – dodałam. – Nie ma innych Kart niż te, które mi dzisiaj pokazałeś.

– Myślałem, że nic nie wiesz o Kartach swojego wuja.

– Nie zamierzałam zdradzać jakiemuś obcemu facetowi, który przykładał mi nóż do gardła, jak okraść moją rodzinę. – Zamrugałam.

– Jakże odważnie z pani strony. – Ravyn poprawił się na krześle. – Coś jeszcze?

Da ci wszystko, w zamian za twoją magię, zagruchał Koszmar.
Poproś o coś nietypowego.

Może o magiczny środek na pozbycie się pasożyta z mojej głowy?

– Ostatnia rzecz. – Zachowałam neutralny wyraz twarzy, patrząc w oczy kapitana kawalerzystów.

– Tak?

Oparłam się rękami o stół i nachyliłam ku niemu, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

– Masz mi przyrzec, kapitanie, że bez względu na okoliczności nigdy więcej nie użyjesz na mnie Karty Koszmaru.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Musi być dotyk, musi być intencja.

Postukaj w Kartę trzy razy, by obudzić magię. Uderz w nią znowu trzykrotnie, a magia zniknie. Strzeż jej w swoim płaszczu – w swoim domu. Bądź ostrożny i pamiętaj – magia nie wie, co to lojalność. Jeśli ktokolwiek inny dotknie twojej karty, stanie się jego, posłuszna rozkazom nowego pana.

Musi być dotyk, musi być intencja.

Ravyn odprowadził mnie na klatkę schodową.

Dochodził wieczór, noc Ekwinokcjum. Za moment miała się rozpocząć druga uczta, po której miały nastąpić dworskie zabawy – tańce, gry i wszelka rozpusta napędzana królewskim winem.

– Muszę porozmawiać z pozostałymi. Ufam, że sama znajdziesz drogę do swoich pokoi – zwrócił się do mnie Ravyn, po czym odwrócił się w przeciwnym kierunku. Jednak po chwili, jakby sobie o czymś przypomniał, spojrzał na mnie. – Do zobaczenia na kolacji, panno Spindle.

To groźba czy obietnica? zapytał Koszmar.

Patrzyłam, jak kapitan kawalerzystów oddalał się pospiesznym krokiem.

Nie ufa mi.

Powiedziałas mu, że nie ma wstępu do twojego umysłu. Gdyby wcześniej nie podejrzewał, że coś przed nim ukrywasz, teraz ma już co do tego pewność.

Przecież ukrywam, odparłam i szarpnęłam niespokojnie rękaw sukni, przemierzając schody. *Ciebie.*

Korytarz był zatłoczony. Mężczyźni kręcili się przed drzwiami swoich apartamentów, stojąc w niewielkich grupkach, śmiejąc się i paląc. Trzymałam się od nich z daleka, praktycznie ocierając się o szary gobelin przedstawiający Proroka. Bolesna potrzeba powrotu do domu wujostwa – znalezienia się z dala od wszystkiego i wszystkich – wywołała ból w moim żołądku.

Kiedy otworzyłam drzwi do naszych pokoi, zastałam Nyię w saloniku.

– Na litość boską! – zapiszczała.

Ręce towarzyszącej jej służącej były białe od ciągnięcia za tasiemki jej niezwykle wytrzymałego gorsetu.

– Zamknij drzwi. Chcesz, żeby wszyscy zobaczyli mnie w samej bieliźnie?

Zignorowałam ją i ruszyłam do swojego pokoju, trzaskając drzwiami. Usiadłam na łóżku, obserwując, jak ostatnie promienie dnia znikają w gęstniejącej ciemności. Przez kilka ostatnich godzin siedziałam uwięziona w piwnicy pod zamkiem, większość dnia straciłam na Ravyna Yewa. Dziwny był z niego mężczyzna, w dodatku kapitan kawalerzystów. Od osoby z jego pozycją oczekiwałam znacznie cichszego, bardziej szorstkiego, a już na pewno o wiele bardziej brutalnego zachowania.

Dobrze, że się pomyliłam.

A jednak, w ciszy, jaką roztaczał wokół siebie Ravyn, była ciemność. Widziałam to w jego rysach – w sposobie, w jaki kontrolował swoją ekspresję. On, tak jak ja, musiał nauczyć się, jak zachowywać beznamiętny wyraz twarzy – jak ukrywać swoje myśli za maską opanowania i surowości.

Co oznaczało, że tak samo jak ja, on też miał coś do ukrycia.

Dlaczego w innym wypadku on i jego kuzyn mieliby przeczesywać samodzielnie las, kiedy mieli na swoje skinienie cały zastęp kawalerzystów? Jeśli Koszmar miał mieć w czymkolwiek rację, to na pewno w tym, że cokolwiek kieruje kapitanem, pożądał on mojej magii.

Magii, która go zaintrygowała.

Kapitan kawalerzystów, poważny i mroczny, siedzi na drzewie cisu, czujne są jego szare oczy. Skrzydła i dziób narzędziem w jego rynsztunku. Strzeż się, dziecko, bo inaczej dla twojego serca nie będzie ratunku.

Dimia bez pukania weszła do środka, jej włosy nadal były wilgotne po myciu. Kiedy mnie zobaczyła, ułożyła usta w cienką linię.

– Gdzieś ty się podziewała? Wyglądasz okropnie.

– Byłam w ogrodzie.

– Wszystkie byłyśmy w ogrodzie – wtrąciła Nya, podążając za swoją siostrą bliźniaczką. – A tylko ty wróciłaś całą pokryta ziemią, z patykami we włosach.

– Pospieszcie się – dobiegł nas głos Nerium z drugiego pokoju. – Musimy być na dole przed ósmym gongiem.

Wyciągnęłam z włosów gałązkę.

– Wiedziałyście, że Ione podarowano Kartę Dziewicy?

Głowy moich przyrodnych sióstr gwałtownie odwróciły się w moim kierunku.

– Co masz na myśli, mówiąc, że podarowano jej Kartę Dziewicy?

Dimia rzuciła się na łóżko, a materac zatrzeszczał niebezpiecznie.

– Kto jej ją podarował?

– Ile ona musiała kosztować?

– Czy wygląda inaczej?

Udałam się do pokoju łazienkowego, zrzucając po drodze brudną suknię.

– Wszystko, co wiem – zaczęłam – to to, że miała ją przy sobie rano na spacerze. Czy mówiła wam coś na ten temat?

– Nikt mi nigdy nic nie mówi. – Dimia wydeła wargi.

Z kolei Nya weszła za mną do łaźni, ciągnąc za sobą moją ciemnozieloną suknię. Przyłożyła kreację do mojego ciała, przyglądając mi się badawczo.

– Ujdzie. – oceniła. – Chociaż kolor jest nieco zbyt ciemny jak na Ekwinokcjum. Dał ci ją ojciec?

– Nie – odpowiedziałam, zdejmując z siebie mokry ręcznik, zanim sięgnęłam po sukienkę. – Wujek.

Siostra uniosła w zdumieniu brwi.

– Jest o wiele bardziej hojny, niż sobie wyobrażałam, skoro zapewnia ci nowe suknie i wydaje prawie połowę swojej fortuny na Kartę Dziewicy. Kto by pomyślał, że życie w środku lasu, może się tak opłacić?

– Nie opłaca się – wtrąciła się Nerium, wkraczając do mojego pokoju, nawet nie próbowała udawać, że nie podsłuchiwała. – Co oznacza, że musiał pożyczyć pieniądze. Albo wymienić to za coś o równie wielkiej wartości.

Uderzył we mnie śmiech Koszmaru.

– Proszę – zwróciła się do mnie Nya, podając mi grzebień – Użyj tego. Twoje włosy są poplątane bardziej od ptasiego gniazda.

W części wspólnej znajdowało się lustro w srebrnej ramie. Kiedy wreszcie się ubrałam, stanęłam przed nim, mrugając z wrażenia na widok kobiety w odbiciu. Ledwo się poznałam w zielonej sukni. Dimia stanęła obok mnie, wydymając policzki do swojego odbicia.

– Alyx Laburnum pytał mnie o ciebie wczoraj wieczorem.

Pacnęłam się ręką w czoło.

– Nic mu nie powiedziałaś, prawda?

Nya posłała mi gniewne spojrzenie, usta zacisnęła w wąską linię.

– Nie rozumiem, dlaczego go tak lekceważysz – oświadczyła. – Jest uprzejmy i życzliwy. I o wiele dla ciebie za dobry.

– To prawda – odparłam, nie czując ani krztyny wyrzutów sumienia.

Za naszymi plecami pojawiła się Nerium, która zaczęła zaganiać swoje córki do wyjścia, dokonując ostatnich poprawek i szczypiąc policzki, by nadać im koloru.

– Zabił gong. – Szybko obejrzała mnie od góry do dołu. – Ufam, że tego wieczoru nie dasz nam powodu do wstydu, Elspeth.

Pomyślałam o kilku rzeczach, które mogłyby wprawić moją macochę w zażenowanie. Dla przykładu uciekanie przed kapitanem kawalerzystów we mgle.

I posłanie mu kilku kopniaków, nie żeby to coś dało, dodał Koszmar.

Zadrzały mi usta, jednak nie pozwoliłam sobie na uśmiech.

Mój ojciec wraz z innymi mężczyznami czekał na nas w korytarzu, ubrany w karmazynową tunikę. Zaoferował swoje ramię Nerium. Bliźniaczki ruszyły za nimi, trzymając się pod rękę, zmuszając mnie do samotnego podążania za nimi, niczym cień ciągnący się za olśniewającą czerwienią rodziny Spindle.

Wyszliśmy z korytarza, kierując się w stronę wielkiej sali. Szukałam wzorkiem Ione i otaczającego ją różowego światła, lecz zamiast tego zauważyłam kilka innych Kart. Złote Jajo, Kielich i Sierp zapełniły pokój – Karty trzymających straż kawalerzystów.

Kiedy służący zapowiedział nazwisko Spindle, w pierwszej kolejności ruszył mój ojciec z Nerium, następnie moje przyrodnie siostry, a na końcu ja. Tłum poruszył się, obserwując nasze wejście. Poczułam przypływ gorąca na policzkach i zacisnęłam pięści na materiale sukni, zdeterminowana, by nie czuć się przy mojej rodzinie jak piąte koło u wozu.

Księżę Elm Rowan stał na dole, oświetlany przez czerwony blask Sierpa.

Księżę rzucił w naszym kierunku przyjazny uśmiech, który jednak nie sięgnął jego oczu.

– Erik – zwrócił się do mojego ojca, wyciągając na przywitanie rękę. – Przykro mi, że minęliśmy się na polowaniu. Witaj na Ekwinokcjum.

– Wasza książęca mość. – Ojciec uklonił się głęboko. – Bardzo dziękujemy za zaproszenie.

– To wielka przyjemność gościć ciebie i twoje córki.

Dimia zachichotała, na co Nya posłała jej kuksańca w bok, ich łabędzie szyje pochyliły się w ukłonie.

Elm mrugnął do nich, marszcząc piegowaty nos, jak gdyby poczuł coś nieprzyjemnego. Następnie przerzucił swoje spojrzenie na mnie.

– A to musi być córka twojej pierwszej żony.

Mój ojciec obejrzał się do tyłu, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o mojej obecności.

– Elspeth od lat nie pojawiała się na Ekwinokcjum – oznajmił ojciec, przywołując mnie do siebie. – Elspeth, z pewnością pamiętasz księcia Renelma.

Ukloniłam się. Elm wyciągnął ku mnie rękę, przedłużając powitanie, a gdy nasze palce się dotknęły, poczułam chłód i dyskomfort.

– Witamy z powrotem w Stone, panno Spindle – zwrócił się do mnie, po czym dodał z przebiegłym uśmiechem: – Czy mogę pani towarzyszyć podczas kolacji?

Rowanom nie można ufać. Zbyt kurczowo trzymają swoje Sierpy, wiecznie spragnieni władzy – kontroli, krzyknął Koszmar. Bądź ostrożna.

Zesztywniałam, mój wzrok spoczął na czerwonej Karcie umieszczonej w kieszeni Elma.

Mimo to przyjąłam jego ramię, tworząc barwne połączenie ze stykających się ze sobą materiałów naszych rękawów. Był ode mnie starszy tylko o dwa lata – miał dwadzieścia dwa, tak samo jak Ione. Jego zielone oczy pięknie współgrały z oliwkową cerą, a kiedy na włosy mężczyzny, gęste i potargane, padało światło, miały ten sam kolor, co mieniące się jesiennymi barwami ozdoby z okazji Ekwinokcjum, zwisające z łuków wielkiej sali.

Bez wątpienia był przystojny. Jednak czerwone światło jarzące się z Karty Sierpa, rzucało na jego piękną twarz niepokojące cienie. Odwróciłam wzrok, nagle wytrącona z równowagi.

Sunęliśmy przez salę, z rodziną ojca tuż za nami, ludzie na naszej drodze rozstępowali się, ustępując nam miejsca. Świece i pochodnie płonęły, oświetlając ciepłym blaskiem salę, podkreślając kosztowne tkaniny rodów Blunder ozdobione drzewami, symbolami noszonych przez nich nazwisk.

Rozglądałam się za Ione i Hawthornami, ale nie znalazłam ich pośród gęstniejącego tłumu.

Służący przebiegali ze srebrnymi tacami, z zapełnionymi po brzegi kielichami. Elm sięgnął po dwa, po czym jeden z nich wepchnął mi w dłoń, tak gwałtownie, że część wina wylała się na podłogę. Chwyciłam kielich dwoma rękoma, zadowolona, że mam wymówkę, żeby przestać dotykać księcia.

Elm wziął potężny łyk trunku ze swojego kielicha, a spojrzeniem zielonych oczu przeczesywał pomieszczenie.

– Musisz być niezwykle wyjątkowa – powiedział, praktycznie nie otwierając ust, machając i kiwając jednocześnie mijającym nas członkom dworu jego ojca. – Nieczęsto Ravyn dopuszcza kogokolwiek do swojej tajemnicy.

– Tajemnicy?

– Spędziliście razem kilka godzin. – Na jego twarzy pojawił się oschły uśmiech. – Co więcej, domagał się ciebie, a raczej twojej magii, upierając się, że jest przydatna.

Wpatrywałam się w drugiego syna króla, czując, że z nerwów zaciskają mi się trzewia. Z jaką łatwością przyodziewał maskę serdeczności – uroku osobistego. A jednak mogłam wyczuć w jego głosie niechęć i zwątpienie. Emocje osiadły na nim niczym dym.

Zrobiłam krok do tyłu, nie ufając mu tak samo jak on nie ufał mnie. Ale zanim udałoby mi się oddalić, podszedł do nas mężczyzna – wysoki, przystojny o szerokich ramionach, za którym podążały wszystkie spojrzenia.

– Bracie – odezwał się wielki książę Hauth Rowan, którego spojrzenie przesunęło się z Elma na mnie. – A cóż to za cudowne stworzenie?

Jeśli mojego zdania o Księciu Elmie nie dało się nazwać pozytywnym, to opinia, jaką miałam na temat wielkiego księcia, była fatalna. To typowy brutal. Skąpany w czerwonym świetle Karty Sierpa, Hauth nie miał żadnych skrupułów w zmuszaniu innych do wykonywania jego poleceń, szczególnie wobec tych, którzy łamali prawo.

Słyszałam, że ulubionym sposobem na stracenie przestępców było zmuszenie ich do robienia okropnych rzeczy wbrew ich woli, za pomocą swojej Karty Sierpa. Często zwoływał tłumy gapiów na skraju miasta, następnie, po trzykrotnym uderzeniu Sierpa, posyłał oskarżonego, którego wcześniej pozbawiał talizmanu, wprost we mgłę – by zgubił się pośród jej kłębow, stając się ofiarą wygłodniałego Ducha Lasu.

Samo stanie obok niego sprawiło, że po moim ciele rozeszły się ciarki.

Hauth wpatrywał się we mnie. Miał szersze ramiona i klatkę piersiową od brata – jego mięśnie wyraźnie rysowały się pod złotą tuniką, skóra była oliwkowa, a oczy miały ten sam odcień zieleni, co Rowana, ale w przeciwieństwie do ukradkowego i przebiegłego spojrzenia Elma, spojrzenie Hautha było bezpośrednie, pełne agresji.

– Jesteś najstarszą córką Erika?

– To przyjemność pana poznać, sir – odpowiedziałam, nisko pochylając głowę.

– Nie spotkaliśmy się wcześniej?

– A więc stąd to przywitanie, bracie. – Elm odetchnął przez nos.

Hauth podszedł bliżej, sięgnął po moją dłoń, by ją pocałować.

– Cóż. Lepiej późno niż wcale.

Elm zaczął wydawać z siebie dźwięki, jakby za chwilę miał zwymiotować.

– Wystarczy tego – odezwał się, odsuwając mnie od swojego brata, zanim wysoki książę mógłby coś jeszcze dodać.

Czułam na plecach spojrzenie Hautha, ale nie odwróciłam się, miejsce, gdzie dotknęła mnie jego ręka, zaczęło mnie swędzieć.

– Muszę się napić – wymamrotał Elm i nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, zostawił mnie samą, rzucając na odchodne: – Nie oddalaj się za bardzo, Spindle.

Zauważyłam ciotkę przy jednej z tac z jedzeniem.

Gdy dotknęłam jej ramienia, najpierw podskoczyła, a następnie porwała mnie w mocny uścisk. Kiedy się odsunęła, obejrzała mnie od góry do dołu, jej oczy zabłyśły uznaniem.

– Wyglądasz przepięknie!

Rozejrzałam się w tłumie, jak zwykle dostrzegając kłócących się ze sobą kuzynów, przebiegających przez pomieszczenie, z ich otwartych ust wypadały okruszki jedzenia.

– Gdzie jest Ione? – zapytałam ciotki. – My... posprzeczałyśmy się. Chcę się z nią pogodzić.

Zmarszczka pomiędzy brwiami kobiety się pogłębiła. W jej oczach zalśniły łzy.

– Ione przebywa ze swoim ojcem i królem. Och, Elspeth. – Otarła rękawem oczy. – Twój wuj jest upartym mężczyzną.

– Czego chce od niej król? – Zakłuło mnie w dołku.

Kiedy ciotka się odezwała, jej głos drżał.

– Twój wuj oddał królowi Kartę Koszmaru i zawarł z nim porozumienie, bez konsultowania tego ze mną.

Obok nas dało się słyszeć huk uderzających o podłogę srebrnych tac. W tej samej chwili minęli nas moi młodszy kuzyni, głośno się śmiejąc.

– Na święte drzewa! – załkała ciotka. – Czy żadne z moich dzieci nie jest normalne? – Pokręciła głową, po czym rzuciła się w pogoń za swoimi synami.

Patrzyłam za nią, czując, że skręcają mi się wnętrzności.

U szczytu stołu zagrzmiął gong, pomieszczenie zaczęło się zapełniać gośćmi. Cały czas stałam w tym samym miejscu, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Suknia mocno opinała moje ciało i przez moment tkwiłam zupełnie nieruchomo, otulona miękką tkaniną i pogrążona w myślach.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

– Wyglądasz pięknie, Elspeth.

Jęknęłam, rozpoznając głos Alyxa.

Kiedy się odwróciłam, stał przede mną w żółtej tunice, uśmiechał się szeroko, a z jego oczu biło wyczekiwanie.

– Właśnie zapytałem twojego ojca, czy mogłabyś usiąść ze mną i moimi rodzicami – powiedział, po czym dodał: – Wyraził zgodę. – Zamilkł. – Oczywiście, jeśli masz na to ochotę.

Wiem, że nikt nie pyta mnie o to, czego ja chcę, odezwał się Koszmar, złośliwy do szpiku kości. Ale gdy byś się jednako zastanawiała, to moja odpowiedź brzmi: „nie”. Nie, stanowczo nie mam na to ochoty.

Nikogo to nie dziwi, wymamrotałam.

– Posłuchaj Alyx, jestem...

– Moja mama bardzo chce cię poznać. Tyle jej o tobie opowiadałem...

Nie usłyszałam reszty tego, co mówił. Moje spojrzenie przesunęło się z ramienia Alyxa i zatrzymało się na znajomej sylwetce mającej w tłumie. Ravyn Yew stał kilka kroków dalej, rozmawiając z dwoma kawalerzystami, trzymając ręce za plecami. Przebrał się, odkąd widziałam go po raz ostatni. Zniknął pas ze sztyletami, zastąpiony przytroczonym do pasa ceremonialnym mieczem o złotej rękojeści. Jego tunika była ciemnoniebieska, obszyta złotą nicią. Nie dostrzegłam za to burgundowej poświaty Karty Koszmaru przebijającej przez jedną z kieszeni na piersi.

Nie wziął ze sobą Karty.

Nie widzieliśmy się przez godzinę, a mimo to nie mogłam nic na to poradzić, że za każdym razem, gdy go widziałam, Ravyn Yew wyglądał jak zupełnie inny mężczyzna.

Przyciągnięty moim spojrzeniem, Ravyn odwrócił wzrok. Jego wzrok padł na mnie, następnie na moją suknię, a po chwili na stojącego obok mnie Alyxa. Przez sekundę wydawało mi się, że zadrżał mu kącik ust.

Alyx nadal coś mówił, kiedy podszedł do nas Ravyn.

– I... Och, proszę o wybaczenie kapitanie Yew – zwrócił się do niego chłopak, kłaniając się. – Nie zauważyłem pana.

Ravyn również się uklonił.

– Dobrze się bawisz na Ekwinokcjum, Laburnum?

– Znakomicie. Właśnie zapraszałem pannę Spindle do dołączenia do mnie i mojej rodziny na dzisiejszą ucztę.

Oczy Ravyna zwróciły się ku mnie. Znowu to samo – ledwo zauważalny uśmiezek.

– A jak się pani bawi, panno Spindle? – zapytał.

– Najlepiej, jak potrafię. – Mój głos brzmiał słabo. Na przekór tej jawnej słabości dodałam: – Chociaż jest tu zbyt wielu kawalerzystów, jak na mój gust.

Ravyn uniósł brew.

– Ma pani coś przeciwko kawalerzystom, panno Spindle?

– Może nie przeciwko wszystkim. – Popatrzyłam na jego twarz. Kiedy dostrzegłam ślad na jego kości policzkowej, w miejscu, gdzie uderzyłam go parę godzin wcześniej, na moich ustach pojawił się delikatny uśmiech. – Ale większości.

Spojrzenie Alyxa przeskakiwało pomiędzy nami.

– Tak, cóż, powinniśmy zająć nasze miejsca, Elspeth, moi rodzice...

Położyłam rękę na ramieniu chłopaka.

– Jesteś bardzo kochany. Jednak powiedziano mi, że tego wieczoru mam usiąść z rodziną Yew. Czyż nie, kapitanie?

Alyx zastygł w półmroku. Z kolei Ravyn przesunął dłońią po twarzy, ukrywając rozbawienie.

– Zaiste.

Alyx przycisnął swoją dłoń do mojej, przytrzymując mnie ramieniem.

– Ale ja mam zgodę twojego ojca, Elspeth.

– Ale nie masz mojej – oznajmiłam bardziej szorstko, niż planowałam. – A teraz, jeśli pozwolisz...

Alyx, ze zmarszczonymi brwiami, otwierał usta, wyglądając, jakby zamierzał zaprotestować, ale lodowate spojrzenie Ravyna wystarczyło, by go pohamować. Puścił moją dłoń, rzucając mi na wpół wściekłe, na wpół zranione spojrzenie, po czym oddalił się, wtapiając się w tłum.

Ravyn z założonymi rękami obserwował, jak mój niechciany adorator odchodzi.

– Nie na taki wynik liczył biedny Laburnum.

– Przestań – powiedziałam, pocierając rękę, targana poczuciem winy. – Alyx jest zbyt miły, aby to było dla niego dobre. Nie zasłużył na takie traktowanie.

– Powinna pani szukać właśnie takich miłych towarzyszy jak on – stwierdził Ravyn.

Spojrzałam na niego.

– A co z tobą, kapitanie? Ty też jesteś zbyt miły, aby to się dla ciebie dobrze skończyło?

Obserwował mnie, w jego szarych oczach zamajaczyło coś, czego nie umiałam nazwać.

– Nie, panno Spindle. Nie jestem ani trochę miły.

Ponownie zabił gong, tym razem bardziej nagłaco niż ostatnio. Tłum pospiesznie ruszył do oświetlonych światłami stołów, ustawionych na środku sali, chcąc zająć jak najlepsze miejsca.

– Moja rodzina siedzi tam – oświadczył, wskazując na stół nieopodal. – W końcu tak żarliwie chciałaś usiąść ze mną.

– Myślę, że nie mam zbyt dużego wyboru. – Rzuciłam mu spojrzenie, mój ton zabrzmiał zimniej, niż zamierzałam.

Wzruszył ramionami.

– Możesz usiąść z Jespyr. Łatwo się z nią rozmawia. Albo, jeśli wolisz, z Elmem, jest tuż obok.

– Raczej znowu usiądę z Emorym. – odgryzłam się. – Czy może jest dzisiaj niedysponowany?

Zauważyłam lekkie drgnięcie na twarzy Ravyna. Chwilę później, jego oblicze znowu wyglądało tak jak zwykle – malowało się na nim spokojne opanowanie.

– Mój brat nie będzie brał udziału w dzisiejszych uroczystościach. – Wyciągnął do mnie ramię. – Idziemy?

Poprowadził mnie w ciszy do naszych miejsc, ustawionych niedaleko szczytu stołu, gdzie staliśmy, tak jak pozostali, czekając na przybycie króla. Moja ręka, spoczywająca na rękawie tuniki Ravyna, stawała się coraz cieplejsza. Zesztywniałam, nie wiedząc, kiedy mogę go puścić.

Przed nami ustawili się kawalerzyści, spowici światłem Czarnych Koni.

– Zbyt wielu kawalerzystów – wymamrotałam.

– Obawiam się, że to norma w domu mojego wuja.

– To też twój dom, czyż nie?

– Moje obowiązki zmuszają mnie do pozostawania tutaj, z królem – stwierdził, jego wyraz twarzy nie uległ zmianie. – Ale to nie jest mój dom. Rezydencja mojej rodziny znajduje się w mieście. Kawalerzyści często tam trenują, tak jak robili to niegdyś w Spindle House.

Zmarszczyłam brwi.

– Chodzi o zamek na wzgórzu?

– Dokładnie.

Zamek Yew był stary, a jego ziemie zabytkowe. Wykuta z żelaza brama i ciemny, porastający rezydencję bluszcz, skąpany w cieniu wiekowych cisów, wysokich i budzących grozę. Poniżej znajdowały się rzeźby, labirynt kamieni i żywopłotu, a następnie ogromny, złowieszczy dom. Jako dziecko często mijałam bramę rezydencji Yewów, przekonana, że coś przerażającego czai się wśród tych drzew.

Nigdy nie weszłam do środka.

Gong zabił po raz trzeci. Zwróciliśmy twarze ku szczytowi stołu. Wszyscy zamilkli, kiedy pojawił się służący, zapowiadając nadejście króla.

– Przedstawiam, jego królewską mość, króla Quercusa Rowana, władcę Blunder, strażnika praw i obrońcę Kart Opatrzności.

Ukloniliśmy się, gdy kroczył do sali. Nieco pamiętałam, jak wyglądał z czasów, kiedy byłam dzieckiem. Przez lata widywałam króla z daleka i tylko przez chwilę. A mimo to nie sposób było pomylić go z kimkolwiek innym z rodziny królewskiej. Ubrany w złote szaty obszyte futrem, z drzewem jarzębiny bogato wyszytym na jego piersi. Pojawił się król Rowan, wysoki i śmiały. Oprószone siwizną blond włosy okalały kwadratową szczękę, jego szeroki nos był lekko skrzywiony – pamiętka po złamaniu sprzed lat.

Nie był czarującym, łagodnym władcą. Budzącym szacunek, bezwzględny – te określenia bardziej do niego pasowały i chociaż Blunder od setek lat nie toczyło wojen, król Rowan prezentował się bardziej jak wielki wojownik, stacjonujący w obozie ze swoimi żołnierzami, niż król żyjący na dworze.

– Oraz jego książęca mość – kontynuował służący – Hauth Rowan, wielki książę, dziedzic Blunder, kawalerzysta i strażnik praw.

Ponownie się pokłoniliśmy. Chociaż o wiele przystojniejszy od swojego ojca, nadal wyglądał jak prawdziwy Rowan. Szeroki w barach, silny i brutalny. Czerwone i czarne światło emanowały z kieszonki na piersi jego srebrnej tuniki.

Poruszyłam się, chcąc zająć swoje miejsce, ale Ravyn pokręcił głową, kładąc mi poczekać.

– Świątujemy wspólnie Ekwinokcjum na cześć naszego wspaniałego królestwa – odezwał się wielki książę. – Tegoroczne zbiory nie należały do najlepszych, Duch Lasu coraz mocniej zaciska na nas swoje szpony. Jednak są też inne powody, dla których świątujemy. Radujmy się z sukcesu naszej rodziny, z dobrego zdrowia, a co najważniejsze z pozyskiwania i wykorzystywania Kart Opatrzności.

Wielką salę zalała fala aplauzu.

– Wielu z was podzieliło się bogactwami z moją rodziną – kontynuował Hauth. – I za to wam dziękuję. Jednak o wiele większą wartość od bogactw ma poczucie obowiązku. Jako wysoki książę Blunder mam obowiązek podążać za dziedzictwem mojego ojca, kontynuować jego drogę nałożoną na nas w *Starej Księdze Olch*.

Koszmar zasyczał.

Hauth spojrział na swojego ojca, który w odpowiedzi skinął mu głową.

– Tak jak królów przed nim misją mojego ojca było zebranie wszystkich dwunastu Kart Opatrzności – oznajmił Hauth, a jego głos przybrał na sile. – Dzięki nim pozbedziemy się mgły i wypędzimy Ducha Lasu, zwalczając infekcję raz na zawsze. – Zamilkł na chwilę. – Z radością informuję, że dzisiaj wieczorem, znacząco przybliżyliśmy się do osiągnięcia tego celu.

Hauth odwrócił się, gestem przywołując kogoś, kogo nie mogłam dostrzec.

Dwa światła walczyły o dominację. Jedno burgundowe, drugie różowe, niesione przez uderzająco piękną kobietę o złotych włosach. Serce podeszło mi do gardła, głos Hautha przebijał się przez wrzawę.

– Tego wieczoru – ogłosił – dzięki niezwykle hojnemu darowi, mój ojciec nadał szlachecki tytuł Tyrnowi Hawthornowi. Jesteśmy szczęśliwi, mogąc ofiarować jego córce miejsce w naszej królewskiej rodzinie.

Wokół mnie wybuchły oklaski.

Stojący obok mnie Ravyn Yew wciągnął gwałtownie powietrze, jakby zabrakło mu tlenu w płucach. Po drugiej stronie stołu Elm Rowan i Jespyr Yew mieli identyczne trupio blade twarze, ich miny zastygły w szoku.

Hauth wziął za rękę piękną kobietę. Z wykrzywionymi w uśmiechu pełnymi wargami, podała mu burgundowe światło, a Hauth, zachęcony wyciem tłumu, uniósł

Kartę Opatrzności, obszytą burgundowym aksamitem.

– Przed wami – krzyknął – nieosiągalna dotąd Karta Koszmaru oraz moja przyszła żona Ione Hawthorn.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Za Studni Kartę, co przed wrogami mnie ostrzegać miała,
Poprosiła o komnatę, miejsce, w którym by zamieszkała.
Kartę Żelaznej Bramy stworzyłem dla spokoju świętego,
W zamian oddając kawałek pancerza złocistego.
Za siłę Sierpa zapłaciłem srodze,
Zabrała mi odpoczynek, pozostawiając bezsenne noce.
Następne było Lustro, co dawało moc niewidoczności,
Dla niej poświęciłem mej Królowej kości.
Lecz nadal pustkę czując, o Kartę Koszmaru poprosiłem,
Dostałem ją, a w zamian, swą duszę utraciłem.*

Nie byłem w stanie oderwać wzroku od Ione. Pomimo różowego światła unoszącego się wokół jej sylwetki niczym smugi dymu, widziałam kuzynkę bardzo wyraźnie. Uruchomiła magię, uderzając w Kartę trzy razy. W porównaniu do dzisiejszego poranka jej wygląd uległ diametralnej zmianie – teraz była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam.

Jej widok napełnił mnie grozą.

W oczach pojawiły mi się łzy, kiedy uzmysłowiłam sobie, że jej nowa aparycja zaczyna wpływać na moje wspomnienia o jej naturalnej urodzie – przyjemnych, miękkich rysach jej poprzedniej twarzy.

Twarzy, która zniknęła. Teraz jej usta były pełniejsze, a kiedy się uśmiechała, nie widziałam już przerwy między zębami. Włosy były dłuższe – bardziej lśniące – opadające złocistą kaskadą, jednocześnie ciężkie i zwiewne. Miała długie rzęsy i nieznacznie zwężony nos. Brązowe oczy lśniły dziwnym niezziemskim blaskiem. Kiedy spojrzała w dół, na stojących przy stole ludzi, zmusiłam się do odwrócenia wzroku.

Była jednocześnie Ione i zupełnie obcą osobą.

Krzesała zaszurały o podłogę, kiedy mieszkańcy Blunder zasiadali na swoich miejscach, a ja nadal stałam, zagubiona.

Ravyn sztywno pociągnął mnie za ramię, kiedy odsunął mi krzesło. Gdy nie wykonałam żadnego ruchu, jego szeroka dłoń spoczęła na moich plecach.

– Proszę usiąść, panno Spindle.

Wesoła wrzawa trwała w najlepsze, kiedy podano pierwsze danie. Nie tknęłam go. Nieobecny wzrokiem wpatrywałam się w widelec, czując, jak moje dotychczasowe życie właśnie poszło z dymem.

– Twój wuj miał drugą Kartę Koszmaru? – wyszeptał Ravyn.

– Tak. – Kilka zdradzieckich łez spłynęło mi po policzku.

– Nie uznałaś, że dobrze byłoby o tym wspomnieć?

Coś w jego głosie sprawiło, że spojrzałam na kapitana kawalerzystów. Jego miedziana skóra straciła kolory, a kiedy się odezwał, mogłam zobaczyć napinające się mięśnie jego szczęki.

Nagle spadły mi klapki z oczu.

– Okłamałaś mnie – zwróciłam się do niego, a przerażenie ścisnęło mnie w piersi.

– Dlaczego król chciałby Karty Koszmaru mojego wuja, skoro jego kapitan ma już jedną z nich? – Powietrze uleciało mi z płuc. – Chyba że... on o tym nie wie.

– Milcz – ostrzegł mnie Ravyn. Spojrzał na stół, przy którym zasiadł król. Następnie, jak gdybym wydusiła z niego kolejne słowa, ściszył głos. – Nigdy nie skłamałam. Po prostu założyłaś, że Król wiedział, że jestem w posiadaniu Karty Koszmaru.

Koszmar zastukał pazurami ze śmiechem. W p r o s t c u d o w n i e, powiedział. P r z e c u d o w n i e.

Zamknij się i daj mi pomyśleć.

Czyż to nie oczywiste? Kapitan kawalerzystów jest podstępny, zasługującym na pogardę zdrajcą.

Musiałam usiąść na swoich dłoniach, żeby przestały się trząść.

Odpowiedz mi na zagadkę, powiedział. Co ma parę oczu, żeby widzieć, parę uszu żeby słyszeć i jeden język do opowiadania kłamstw?

Kiedy nie odpowiedziałam, zaśmiał się.

Rozbójnik, kochana dziewczyno.

Ale przecież Ravyn nie działa sam, odparłam, rzucając spojrzenie na Elma, siedzącego po drugiej stronie stołu.

Robi się coraz ciekawiej, zamruczał Koszmar. Czyżby młody książę zdawał sobie sprawę, że jego kuzyn ukrywa przed Królem drogocenną Kartę? A może on też jest częścią spisku?

Ravyn obserwował mnie, czekając. Kiedy wreszcie się odezwałam, w moim głosie pobrzmiwała niepewność.

– Powiedz mi, o co tutaj chodzi – zażądałam. – Nie będę ryzykować napiętnowaniem nie tylko jako użytkowniczki magii, ale też jako zdrajczynie.

Kapitan oparł brodę na rękę, więc kiedy się odezwał, palce tłumiły jego słowa.

– Powiem ci to, co musisz wiedzieć. Ale nie zrobię tego sam. Tworzymy radę.

B a d ź o s t r o ż n a, wysyczał Koszmar, jego słowa były niczym pajęcza nic nawijana na moje uszy. Banda to podstępna w cieniu się kryjąca. Nic ci nie powie, lista ich sekretów nie ma końca. Zaglądaj przez poskręcane gałęzie, kop głęboko, aż do samych kości. Sprawdź czego ród pożąda – tronu czy Kart Opatrzności.

Odwróciłam się do Ravyna, czując nagły przyływ śmiałości.

– Masz mi powiedzieć wszystko.

– Są rzeczy, które muszę zrobić... – Uniósł brew, patrząc na mnie wilkiem.

– Chcesz mojej magii? – przerwałam cicho kapitanowi kawalerzystów. – Zwołaj swoją radę. Chcę poznać prawdę. Natychmiast.

Odeszliśmy od stołu oddzielnie. Kiedy wreszcie udało mi się wyjść z wielkiej sali i spotkać się z Ravynem na końcu korytarza dla służby, czekał na mnie ze słabo ukrywanym zniecierpliwieniem.

– Ktoś cię widział?

– Nie sądzę – odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. – Być może moja macocha.

Musiałam unieść suknię, żeby za nim nadażyć, dziękując w duchu mojemu szewcowi za płaskie obuwie. Ravyn szybko przechodził między pokojami, których nigdy wcześniej nie widziałam na oczy.

Jeden z nich – kilka pięter pod wielką salą – był zamknięty.

Mój towarzysz sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej klucz. Kiedy drzwi się otworzyły, szybko wszedł do środka, po czym machnięciem głowy nakazał mi podążyć za sobą.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam, poruszając się na tyle nieporadnie w ciemności, że uderzyłam butem o coś niewielkiego i kruchego. To była książka.

– W moim pokoju. Zamknij drzwi.

Poza bursztynowoczerwonym światłem rzucanym na ściany przez dogasający na kominku ogień, pomieszczenie było skąpane w ciemnościach. Ravyn przeszedł przez pokój, przeklinając szpetnie. Potknął się o kilka książek, które – odsunięte kopniakiem – poleciały na drugi koniec pokoju. Szybko podszedł do kominka, by

rozniecić na nowo żar, chuchając i dmuchając z siłą mogącą rozpalić pojedynczy ognek.

Zapach dymu i subtelne nuty goździków oraz drzewa cedrowego wypełniły mój nos. Rozejrzałam się po pokoju. Nic dziwnego, że się potknął. Książki pokrywały całą podłogę, niektóre były ułożone w stosy, inne leżały grzbietami do góry z kartkami rozłożonymi na boki, przypominając skrzydła martwego ptaka. Poza tym wszędzie walały się ubrania – tuniki, kamizelki, płaszcze – leżały na stercie na podłodze. Pozostałe części garderoby zwisały z oparcí krzeseł i zagłówek szerokiego, sprawiającego wrażenie rzadko ścielonego łóżka.

Gdyby pokój był chociaż trochę mniejszy, z tymi wszystkimi rzeczami porzucanymi gdzie popadnie i rzucającymi makabryczne cienie na podłogę, sprawiałby wrażenie zagraconego. Komnata kapitana była obszerna i wydawała się jeszcze większa przez brak jakichkolwiek ozdób, wyposażona jedynie w łóżko, kilka krzeseł, mały stolik z cebrzykiem i miską do mycia w rogu – nad którym zwisało wyglądające na stare lustro – oraz szafę.

Nie tego spodziewałam się po kimś tak poważnym. Bardziej oczekiwałam porządku, schludności i dyscypliny – tak jak u mojego ojca. To były cechy, które przypisywałam kapitanowi kawalerzystów. Albo Ravyn Yew był w trakcie przemeblowywania swojego pokoju, albo było to coś, co z każdą chwilą zaczynało wydawać się coraz bardziej jasne...

Nie był mężczyzną, za jakiego go miałam, zanim go poznałam.

Brzdęk kluczy oderwał mnie od moich rozmyślań. Po drugiej stronie pokoju świeca Ravyna zamigotała przy szafie, za którą błyszczało ciemnoburgundowe światło, tak ciemne, że prawie niewidoczne.

Druga Karta Koszmaru. Karta Ravyna.

Złapałam za klamkę.

– Co ty robisz?

– Chciałaś, żebym zwołał radę, tak? Spodziewałaś się, że zrobię to na oczach całego dworu mojego wuja?

Usłyszałam szcęk zamka. Ravyn otworzył drzwi szafy, ujawniając jeszcze więcej burgundowego światła. Wyjął Kartę Koszmaru i uderzył w nią trzy razy. Wzięłam głęboki wdech, drżąc na całym ciele. Nic się nie wydarzyło, cisza między nami była ogłuszająca.

– Jak to działa? – zaczęłam paplać. – Karta Koszmaru?

– Muszę się skoncentrować.

– Tak, ale co powstrzymuje cię przed słyszeniem wszystkich ludzi znajdujących się w zamku? Czy potrzeba...

Ravyn posłał mi spojrzenie z ukosa.

– Koncentracja, panno Spindle. Bardzo duże pokłady koncentracji. Dlatego, proszę, jeśli możesz, zamknij się.

Zacisnęłam zęby, modląc się, żeby Ravyn nie złamał danego mi słowa i nie wtargnął do mojego umysłu.

B ą d ź c i c h o. B ą d ź s p r y t n a. N i e u s ł y s z y t w o i c h m y ś l i, c h y b a ż e s i ę n a t o b i e s k u p i.

Jak możesz być tego pewien?, zażądałam odpowiedzi.

Jego śmiech zagrzmiął w ciemności. *W i e m c o n i e c o o K a r t a c h O p a t r z n o ś c i, m o j a d r o g a.*

Wątpię.

Nic nie powiedział, pozostawiając po sobie ciężką ciszę. Nawet jego milczenie odczuwałam jako jedną z jego gier.

I tak, jak w przypadku większości gier, w które grałam z Koszmarem, byłam na przegranej pozycji. *Naprawdę wiesz coś o Kartach?*, zapytałam.

Znowu usłyszałam jego śmiech, tym razem bardziej okrutny.

Pokręciłam głową. *B e z u ż y t e c z n y, j a k z w y k l e. A t e r a z z a m k n i j s i ę, ż e b y n i e u s ł y s z a ł t e g o h a ł a s u d o b i e g a j ą c e g o z m o j e g o u m y ś l u.*

T o t y k r z y c z y s z, E l s p e t h.

Ze złości zadrżały mi nozdrza. *J e d y n i e s t a r a m s i ę o d n a l e ź ć w t e j b e z n a d z i e j n e j s y t u a c j i, b e z z d r a d z a n i a k a p i t a n o w i k a w a l e r z y s t ó w, ż e w m o j e j g ł o w i e ż y j e p i ę ć s e t l e t n i P O T W Ó R.*

Chyba chciałaś powiedzieć „zdrajcy króla i królestwa”, a nie kapitanowi. W końcu, najdroższa, istnieją tylko dwie Karty Koszmaru. Rowanowie szukali ich przez bardzo długi czas, a okazuje się, że jedna z nich znajdowała się tuż pod ich nosami, w królewskim zamku.

Wpatrywałam się w Ravyna, który stał tak nieruchomo, że mógłby uchodzić za kolejny mebel w tym spowitym cieniami pokoju.

N i e w i e m y d l a c z e g o u k r y w a s w o j ą K a r t ę K o s z m a r u p r z e d w u j e m, powiedziałam. *M o ż e b y ć k u t e m u p r z e k o n y w a j ą c y p o w ó d.*

Przekonywające powody to zaledwie cień na szubienicy. Tak czy inaczej, rozbójnik spotyka Kata.

Ravyn ponownie uderzył trzy razy w Kartę Koszmaru, po czym schował ją do kieszeni. Odwrócił się na pięcie i ruszył w moim kierunku tak szybko, że podskoczyłam.

– Rozmawiałem z moją rodziną – oświadczył. – Spotkamy się z nimi w piwnicy.

Nacisnęłam klamkę, zastanawiając się, ilu członków rodziny Ravyna wiedziało o jego podwójnym życiu – i jego Karcie Koszmaru. Już otwierałam usta, ale zanim zdążyłam się odezwać, kapitan był tuż przy mnie, jego ręka złapała moją, powstrzymując mnie przed otwarciem drzwi.

– Co ty...

– Cicho! – rozkazał, przykładając palec do moich ust.

Zamarłam, nasłuchując dźwięku zbliżających się kroków.

– Jego humor był ostatnio paskudny. – Usłyszałam męski głos w korytarzu. – Agresywny, niezrównoważony.

– Można się było tego spodziewać – odezwał się ktoś tuż pod drzwiami pokoju Ravyna. – Bez Sierpa będzie trudno kontrolować chłopaka.

Pierś Ravyna zapadła się, a gdy brał głęboki wdech, jego twarz stężała. Nadal stałam jak sparaliżowana, wpatrując się w niego, jego palec cały czas spoczywał na moich ustach.

Ciepła, chropowata skóra. Starłam się nie ruszać ustami – próbując zmniejszyć uczucie niepokoju spowodowane byciem tak blisko kapitana kawalerzystów. Ale jedyne, co mi się udało, to wstrzymanie oddechu.

Lecz nawet to nie pomogło. Nie, kiedy moje serce wyrywało się z piersi. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, moje usta otarły się o jego palec. Wzrok Ravyna zsunął się na moje usta, po czym zabrał z nich palec, a nasze spojrzenia spotkały się na moment, zanim odwrócił wzrok. I chociaż było zbyt ciemno, żebym mogła mieć pewność, wydawało mi się, że zobaczyłam na jego szyi rumieniec.

Mężczyzna znajdujący się na korytarzu, znowu się odezwał:

– Może zwiększę mu dawkę środków uspokajających. Ale mogę mieć z tym trudności, biorąc pod uwagę, jak opiekuńczy w stosunku do niego jest kapitan kawalerzystów.

– Nie zaprzataj kapitanowi głowy informacjami o jego bracie – odparł drugi. – Jeśli Emory przysporzy ci jeszcze jakiś kłopotów, masz przyjść do mnie. I cokolwiek zrobisz – ostrzegł go – nie pozwól, żeby chłopak cię dotknął. Tylko wyprowadzi cię to z równowagi.

Ich głosy odbijały się echem na korytarzu, cichnąc z każdą chwilą. Chwilę później już ich nie było, a jedynym źródłem hałasu stało się moje walące serce.

Spojrzałam na Ravyna w poszukiwaniu odpowiedzi na niewypowiedziane pytania. Emory. Rozmawiali o Emorym – jego niebezpiecznej, niestabilnej naturze.

– Kim byli ci mężczyźni? – wyszeptałam.

– Uzdrowicielami – odparł Ravyn, marszcząc czoło. – Kuzynami Filicka.

– Orithe Willow? – zgadłam.

– Znasz go?

W mojej głowie pojawiło się wspomnienie małego mężczyzny z bladymi, mlecznobiałymi oczami.

– Przyszedł do domu mojego wuja, szukając jakichkolwiek oznak infekcji.

– Nigdy nie sprawdził twojej krwi? – Ravyn zamarł.

– Nie. – Wydałam z siebie krótki dźwięk, jak gdyby niewidzialna ręka zaciskała się na moim gardle, coraz mocniej i mocniej. – Ciotka mnie ukryła.

Ravyn spojrzał na mnie, jego twarz wydawała się mniej napięta niż chwilę temu. Oderwał dłoń od mojej, tej, którą trzymałam klamkę, jego ciepły, zrogowaciały kciuk przesunął się po moich knykciach. Był to drobny gest wsparcia – cicha świadomość tego, że widzi mój strach.

Jednak to nie tłumaczyło, dlaczego zaraz po tym spojrzeliśmy w przeciwnym kierunku.

Ravyn podszedł do otwartej mahoniowej szafy, znajdującej się w głębi pokoju. Usłyszałam szelest tkanin, które odsuwał na bok, ujawniając solidny drewniany tył.

Zmrużyłam oczy. W szafie znajdowała się Karta, byłam tego pewna. Jednak nie potrafiłam określić jej koloru – jedynie to, że był ciemny.

Ravyn popukał w tył szafy. I znowu. Za czwartym razem usłyszałam głuchy odgłos, jak gdyby z tyłu rozciągała się pustka. Stękając, Ravyn podważył coś, czego nie widziałam, za ukrytą deską szafy. Dopiero gdy Karta została wyjęta, zrozumiałam jej kolor. Bogata i królewska purpura, przywodząca na myśl ametyst, który kiedyś widziałam na rynku w mieście. Druga ukryta Karta, równie rzadka co Karta Koszmaru – i prawie tak samo przerażająca.

Lustro.

Koszmar zacisnął pazury w moim umyśle, jak gdyby trzymał się żelaznych krat. Poczułam, że się uśmiecha, a jego ogon podryguje. Z każdą chwilą robiło się coraz lepiej.

Ze wszystkich Kart Opatrzności opisanych w *Starej Księdze Olch*, pamiętałam, że gdy byłam dzieckiem, największą grozę budziło we mnie Lustro. Teraz odsunęłam się od drzwi, bojąc się stać choćby w pobliżu Karty Lustra.

I l e ż w y c z u w a m l ę k u, powiedział Koszmar. I l e ż w y c z u w a m m o c y. C ó ż z a c u d o w n a p e r s p e k t y w a, b y ć n i e z a u w a ż o n y m i m ó c s i ę g n ą ć d a l e j z a z a s ł o n ę ś m i e r t e l n e j n o c y.

Nie ma nic cudownego w byciu niewidzialnym, powiedziałam. Albo w widzeniu martwych.

Przez chwilę, nie powiedział ani słowa.

Niektórzy oddaliby wszystko, żeby móc porozmawiać z ukochanymi, którzy nie żyją.

Ravyn wyszedł zza drzwi, zamknął szafę i znieruchomiał, gdy nasze oczy się spotkały.

– Co się stało?

Wpatrywałam się w trzymaną przez niego Kartę Lustra.

– Zamierzasz tego użyć?

– Jest dla ciebie.

Całe nagromadzone w płucach powietrze, wyleciało ze świstem z moich otwartych ust. Wcisnęłam ręce głęboko w kieszenie sukni. – Nie mogę – powiedziałam zbyt szybko.

Ravyn uniósł brew.

– Uwierz mi, chcesz uniknąć Orithego.

T e r a z m a s z s z a n s ę, odezwał się Koszmar, a jego głos ociekał niegodziwością. P o w i e d z m u, j a k ą m a g i ą w ł a d a s z t a k n a p r a w d ę. N o d a l e j. P o w i e d z m u, d l a c z e g o n i e c h c e s z d o t k n ą ć K a r t y O p a t r z n o ś c i.

To nie jest gra, powiedziałam. Jeśli powiem mu, że wchłaniam magię z każdej Karty, której dotknę, będzie chciał poznać szczegóły. Wtedy na pewno się o tobie dowie!

Czy to byłoby aż takie straszne?

Zignorowałam go, zbierając się w sobie.

– Nie zamierzam używać Kart Opatrzności – zwróciłam się do Ravyna.

Spojrzenie szarych oczu kapitana wbijało się w moją twarz.

– A to dlaczego, panno Spindle?

– Nie ma niczego za darmo – oznajmiłam, starając się, by mój głos zabrzmiał twardo i zdecydowanie. – Nie podejmę takiego ryzyka. Nie z Kartami. Proszę, kapitanie, nie zmuszaj mnie.

Po kilku chwilach, w czasie których badawczo mi się przyglądał, Ravyn odchrząknął, kapitulując.

– Niech tak będzie. Ale nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ja z niej skorzystam, prawda?

Kiedy otworzyłam drzwi od jego pokoju, zalało nas światło z korytarza. Odwróciłam się, czekając na kapitana, który miał prowadzić, ale mój wzrok napotkał pustkę. Zniknął.

Krzyknęłam, z oczami wielkimi jak spodki.

Do moich uszu dotarł delikatny śmiech z miejsca, w którym jeszcze chwilę temu stał kapitan kawalerzystów.

– Jak? Czy nadal...

– Jestem tutaj – powiedział Ravyn, sprawiając, że aż podskoczyłam.

Wyciągnęłam rękę, spodziewając się, że natrafię na nicość, a jednak moje palce natknęły się na jego jedwabną tunikę i musnęły twarde mięśnie brzucha. Szybko zabrałam rękę.

– W porządku. Dobrze. Eee, przepraszam.

– Lepiej, żebym pozostał niezauważony – wyjaśnił. – Tego wieczoru powinienem pilnować tłumu. Widzisz Kartę?

Fioletowe światło wyraźnie unosiło się nad jego sylwetką.

– Tak.

– Dobrze. A teraz podnieść swoją opadniętą z wrażenia szczękę z podłogi i idź za mną.

– Karty Opatrzności – mamrotałam, podążając za fioletowym i burgundowym światłem przez podziemia Stone. Wystarczyły trzy uderzenia w Lustro, żeby Karta zadziałała. I chociaż moja umiejętność wchłaniania Kart Opatrzności sprawiała, że na bliskość jakiegokolwiek Karty żołądek przewracał mi się ze strachu, nie mogłam nic poradzić na tę odrobinę fascynacji, jaką czułam wobec Kart i ich mocy.

Nie zamierzałam jednak zaspokajać swojej ciekawości. Wolałabym umrzeć z głodu ze świadomością, że nigdy więcej nie dotknę żadnej Karty Opatrzności. W mojej głowie rozległ się głos Koszmaru:

N i e m a n i c z a d a r m o, wymruczał. N i c n i e j e s t b e z p i e c z n e. M a g i a t o m i ł o ś ć, l e c z M a g i a t o t e ż n i e n a w i ś ć. P o t ę g a, k t ó r a w i ą ż e s i ę z k o n s e k w e n c j a m i. T o r o z w i ą z a n i e, t o z g u b a. M a g i a t o m i ł o ś ć, l e c z M a g i a t o t e ż...

Przestaniez wreszcie? Odgryzłam się. Chociaż na jedną noc – na jedną cholerną noc – możesz dać spokój ze Starą Księgą Olch?

Jednak moja frustracja tylko go rozochociła. Przez następne kilka minut, kiedy szłam za Ravynem Yewem przez zamek, w mojej głowie dźwięczał śmiech Koszmaru.

Kiedy dotarliśmy do końca głównego korytarza, słyszałam w oddali zgiełk dobiegający z wielkiej sali. Fioletowe światło poruszało się w powietrzu, po czym gwałtownie się zatrzymało.

Wpadłam na Ravyna, uderzając twarzą o jego łopatkę.

– Co ty...

– Elspeth – zagrzmiął czyiś głos.

Znałam ten głos nazbyt dobrze – chłodny, wyniosły ton Nerium.

Zrobiło mi się niedobrze, każdy stukot jej obcasów był jak gwóźdź do trumny.

– Nerium – odpowiedziałam, masując nos, świadoma, że widzę Nerium przez niewidzialne ciało Ravyna. – Jak się bawisz na Ekwinokcjum?

– Całkiem dobrze – odparła, podchodząc tak blisko mnie, że Ravyn musiał się przesunąć i stanąć obok, jego Karta świeciła z boku. Głos mojej macochy przybrał fałszywie miękki ton.

– Dopóki nie zauważyłam, że opuszczasz salę z Ravynem Yewem.

– On tylko mnie odprowadzał...

– Daruj sobie – przerwała mi, ścisząc głos, na widok przechodzących obok nas Waylanda Pine'a i jego trzech córek. – Nie interesuje mnie, z kim kalasz swoją reputację, głupia – powiedziała – dopóki nie robisz tego z kapitanem kawalerzystów. Zastanowiłaś się, co mogłoby się z nami stać, gdyby on – rozejrzała się dookoła, zwężając błękitne oczy – dowiedział się, czym tak naprawdę jesteś?

Powoli wypuściłam powietrze.

– A czym jestem, Nerium?

Jej lodowatobłękitne oczy jeszcze bardziej się zwężyły.

– Tym samym co twoja matka. Dziwadłem, które zapadło na gorączkę – wycedziła przez zęby. – Obrzydlistwem.

Nigdy nie słyszałam, żeby kiedykolwiek wypowiedziała te słowa. Nie odważyłaby się, nie w obecności mojego ojca. Najwyraźniej królewskie wino dodało jej na tyle odwagi, by uwolnić tak długo trzymany na wodzy wstręt do mnie.

Jej nienawiść choć bolesna, nie była dla mnie zaskoczeniem. Co więcej, czułam odrobinę ulgi, że zasłona pozorów między nami wreszcie została zerwana. Ale przekroczyła linię, wspominając moją matkę, a to nie mogło ująć jej płazem. Zbyt długo traktowała moje milczenie za słabość.

– Nie ma znaczenia, czym była moja matka ani czym ja jestem. Ponieważ zawsze będzie ktoś, kto zadba o takich ludzi jak my, Nerium.

– Niby kto? Twój ojciec? – Jej śmiech był ostry, mający na celu mnie zranić. – A jednak odesłał cię, moja droga. Twój ojciec cię oddał. Jak możesz myśleć, że dba o ciebie i o to, co się z tobą stanie.

Przygryzłam wewnątrz policzka, ciepło rozlewało się po mojej szyi i twarzy.

– Zachowuje pokoje w takim stanie, jak ona je urządziła, Nerium. Dlatego stale odmawia twoim prośbom, żeby zmienić wystrój wnętrza w Spindle House. Zachowuje je dokładnie w takim samym stylu jak wtedy, kiedy żyła. – Zacisnęłam zęby, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. – Nie wiem, czy dba o mnie, czy nie. Ale wiem, że na długo po mojej i twojej śmierci, kiedy rezydencja popadnie w ruinę, tylko

dwie rzeczy w Spindle House pozostaną nienaruszone. Drzewo trzmieliny rosnące na środku podwórza – powiedziałam bez mrugnięcia okiem – i jarząb, który mój ojciec posadził obok niego w dniu śmierci mojej matki.

Oczy Nerium zaszyły łzami. Zacisnęła usta, ręce zwinęła w pięści. Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy. Lecz nic nie powiedziała, wbijając we mnie lodowate spojrzenie.

Po chwili odwróciła się, wracając do ucztującej gawiedzi, znikając tak szybko, jak się pojawiła. Patrzyłam, jak odchodzi, starając się nie zwracać uwagi na unoszące się obok mnie fioletowe światło.

– Czy miałeś przyjemność poznać moją macochę, kapitanie? – wyszeptałam, a pozostałości mojej wściekłości, w postaci pojedynczej łzy, spłynęły po moim policzku. – Przeurocza kobieta.

Ten sam zrogowaciały kciuk, który musnął wcześniej moje kłykcie w pokoju Ravyna, zgarnął zbłąkaną łzę z mojego policzka. Po chwili już go nie było, a głos mężczyzny rozbrzmiał tuż przy moim uchu.

– Chodźmy.

Podziemne korytarze były słabo oświetlone. Nie potknęłam się tylko dzięki światłu rzucanemu przez Karty Ravyna. Za to jak on widział w ciemności, było dla mnie zagadką. Być może znał drogę na pamięć.

Rozpoznałam trasę chwilę przed tym, jak doszliśmy do drzwi z wyrytym jeleniem, prowadzących do tego samego pokoju, w którym byliśmy kilka godzin temu. Podskoczyłam, zaskoczona nagłym pojawieniem się kapitana kawalerzystów obok mnie w pełnej krasie.

– Dobrze sobie poradziłaś – powiedział, spoglądając na mnie. – Ze swoją macochą.

– Nie dogadujemy się. – Przesunęłam ręką po twarzy.

– Zawsze się tak do ciebie zwraca?

– O ile w ogóle się do mnie odzywa. Myślę jednak, że gdyby wiedziała, że mamy towarzystwo, ostrożniej dobierałaby słowa.

Ravyn schował Lustro do kieszeni, fioletowe światło zmieszało się z burgundowym Koszmaru.

– Powinienem cię ostrzec – oświadczył, kiwnięciem wskazując na drzwi. – Tutaj też nie będzie zbyt przyjemnie.

– Co masz na myśli?

– Powiedziłaś, że chcesz wiedzieć wszystko. Ten kij ma dwa końce, panno Spindle.

Zapukał do drzwi – trzy razy szybko, potem raz wolno i po chwili znowu.

Drzwi się otworzyły, powitało nas znajome warczenie psów. Weszłam za Ravynem, ściskając w dłoniach suknię i czując, że serce podchodzi mi do gardła.

Cała piątka siedziała przy stole: Jespyr Yew, Elm Rowan, Filick Willow i dwie starsze osoby, których nigdy wcześniej nie poznałam, ale które rozpoznałam po wyszytym na ich ubraniach drzewie cisu. Fenir i Morette Yew. Rodzice Ravyna.

Pojedyncze krzesło stało na środku pokoju, padały na nie cienie z paleniska.

Ravyn gestem zaoferował mi miejsce właśnie na nim.

Koszmar usadowił się w pierwszym rzędzie mojego umysłu, czujny.

C z a s r o z p o c z ą ć p r z e s ł u c h a n i e .

ROZDZIAŁ JEDENASTY

SIERP

W pomieszczeniu poza należącymi do Ravyna znajdowały się jeszcze trzy inne Karty Opatrzności. Sierp należący do Elma, Kielich umieszczony w kieszeni Jespyr i szare światło Proroka bijące od Morette Yew. Złapałam się krawędzi krzesła, szukając w ich twarzach odrobiny łagodności.

Zderzyłam się z ciszą – ich oblicza stanowiły maski opanowania.

Drzwi piwnicy zamknęły się z trzaskiem. Powinnam już się przyzwyczaić do dźwięku szczękającego w zamku klucza, znaku, że znowu jestem tutaj zamknięta. Kiedy nikt się nie odezwał, Ravyn odchrząknął.

– To Elspeth Spindle, pierwsza córka Erika, siostrzenica Tyrna Hawthorna.

Gdy w wypowiedzi pojawiło się nazwisko mojego wuja, rozległ się pomruk. Po chwili Ravyn zwrócił się do mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– To moi rodzice, Morette i Fenir Yew. Uzdrowiciela Willow, mojego kuzyna i siostrę już znasz.

Przyćmione światło panujące w pokoju utrudniało dostrzeżenie podobieństwa pomiędzy Ravynem a jego rodzicami. Morette była siostrą króla – tak jak u wszystkich Rowanów jej oczy miały zielony kolor. Jespyr odziedziczyła kolor oczu po ojcu – brązowe, o wiele ciemniejsze od szarych tęczówek Ravyna i Emory’ego. Jedyne podobieństwo, jakie udało mi się zauważyć, to to, że Fenir miał charakterystyczny nos, który odziedziczył po nim Ravyn.

– Z tego, co zrozumiałem, panno Spindle – Fenir zwrócił się do mnie głębokim głosem – chciałaby pani poznać prawdę o nas. Poznać powody, dla których poszukujemy Kart Opatrzności.

Skinęłam głową, mięśnie miałam napięte jak postronki.

– Zanim jednak ujawnimy pani te informacje, musimy się przekonać, czy zasługuje pani na ich poznanie – kontynuował. – Czy wyraża pani zgodę na poddanie się testowi wiarygodności przed niniejszą radą?

Ravyn poruszył się za moimi plecami.

– Poddać się?

– Czy nie tego chciałaś? Naszego zaufania? – Założył ręce na piersi.

– Chciałam uzyskać odpowiedzi.

– A ja nocy wypełnionej pijacką rozpustą – odezwał się siedzący przy stole Elm, trzymając w długich palcach Kartę Sierpa. – A mimo to, po raz drugi tego dnia, jestem w tym ponurym pomieszczeniu. Więc jeśli nie jest to zbyt duży kłopot, panno Spindle, zajmij swoje cholerne miejsce i zacznijmy.

Ravyn rzucił kuzynowi nieprzyjazne spojrzenie i potarł ręką czoło. Wyglądał na zmęczonego. Zmęczonego i bardzo zirytowanego.

– Tylko w taki sposób otrzyma pani swoje odpowiedzi, panno Spindle – powiedział. – Nie ma nic za darmo.

Nie ma nic za darmo, zawtórował mu Koszmar.

Westchnęłam.

– W porządku. Poddam się waszej radzie. – Chciałam zabrznieć na zirytowaną, ale zdradził mnie drżący głos.

Elm i Jespyr podnieśli się ze swoich krzeseł i podeszli do mnie. Ravyn też się zbliżył, stając obok mnie.

– To nic trudnego, panno Spindle – oznajmił ojciec Ravyna. – Każde z nas pokaże ci Kartę Opatrzności. Wybierz jedną i będziemy kontynuować.

Elm, Jespyr i Ravyn wyciągnęli z kieszeni swoje karty: Sierp, Kielich i Koszmar. Czerwień albo turkus, albo burgund. Pełna kontrola, serum prawdy albo wtargnięcie do mojej głowy. Lustro nadal spoczywało w kieszeni płaszcza Ravyna.

Moje wnętrzości gwałtownie się zacisnęły.

– Mają na celu zweryfikować twoją prawdomówność.

Kiedy nadal milczałam, Jespyr zwróciła się do mnie miękkiem głosem:

– Obawiam się, że jest to test, który każdy z nas musi przejść.

Koszmar przysiadł w ciemności, jego myśli sączyły się do mojego umysłu.

Wy b i e r z S i e r p , d z i e c k o . Z a u f a j m i .

Spojrzałam na Elma. Chociaż książę się garbił, nadal był najwyższy z całej trójki. Kasztanowe włosy opadły mu na czoło. Kiedy złapał moje spojrzenie, mrugnął do mnie z szyderczym uśmiechem na ustach. Rzucił mi wyzwanie.

Poczułam narastający gniew.

– Sierp – zdecydowałam, krzyżując ręce na piersi.

Książę uśmiechnął się szeroko.

Jespyr wzruszyła ramionami, wracając do Filicka i swoich rodziców, nadal siedzących przy stole. Elm cały czas podrzucał Kartę, przekładał ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, kiedy ruszył do kominka i oparł się o niego.

Ravyn nie zajął miejsca. Schował Kartę Koszmaru do kieszeni i oparł się o ścianę naprzeciwko mnie. Psy ziewnęły przeciągle, zanim podniosły się ze swoich posłań i dołączyły do niego. Połowa jego twarzy pozostawała skryta w cieniu, a mimo to

wiedziałam, że jego spojrzenie skierowane jest na mnie. Czułam, jak wbija się we mnie para oczu w kolorze burzowych chmur.

Serce zaczęło mi walić jak szalone.

Elm uderzył w czerwoną Kartę trzy razy.

– Znajdowałaś się kiedyś pod wpływem Karty Sierpa, Spindle?

– Nie.

– Jest o wiele mniej nieprzyjemne, niż sobie wyobrażasz. Nie mogę zmusić cię do powiedzenia prawdy, nie tak jak za pomocą Kielicha. Mogę jedynie wpłynąć na twoje emocje, twoją chęć powiedzenia mi wszystkiego, co chcę wiedzieć.

– Brzmi okropnie.

Książę się uśmiechnął, jednak w jego zielonych oczach nie błąkało się rozbawienie.

– Niektórzy uważają, że Sierp zmusza umysł, aby zwrócił się przeciwko sobie, zmusza do czucia emocji, które nie należą do niego. Nic bardziej mylnego. Karta cię do niczego nie zmusza. Poczujesz się odrobinę nieswojo, twoje oczy mogą stać się szkliste. Ale koniec końców będziesz chciała zrobić wszystko, co powiem. Brzmi trochę mniej przerażająco, prawda?

– Nie boję się – wycedziłam przez zęby.

Poczułam spływające na mnie ciepło – wewnętrzną lekkość. Zniknął strach i towarzyszące mi napięcie. Nagle pokój wydał mi się o wiele jaśniejszy. Psy zwinięte u stóp Ravyna stanowiły najbardziej uroczy obrazek, jaki widziałam. Kiedy spojrzałam na pozostałych, poczułam radość, zmarszczone czoło zniknęło, ustępując szerokiemu uśmiechowi.

K o c h a n a, odezwał się Koszmar. N i e m o ż e s z t a k b a r d z o u ł a t w i a ć m u s p r a w y.

Nic nie mogłam na to poradzić. Byłam szczęśliwa – w euforii. Mój śmiech wypełnił pomieszczenie. Starłam łzy z kącików oczu i przyłożyłam dłoń do ust, starając się powstrzymać narastający chichot. Rzuciłam okiem na Ravyna, chcąc zobaczyć jego ulotny półuśmiech. Wpatrywał się we mnie, spowity cieniami, i zaciskał usta w wąską linię. Świadomość, że spojrzenie jego oczu spoczywało na mnie, tylko sprawiła, że stałam się jeszcze szczęśliwsza. Zgięta w pół, z rękami na brzuchu, śmiałam się jak jeszcze nigdy w życiu, beztroska.

Moja radość ustąpiła poczuciu beznadziei i nagłej potrzebie wyrządzenia sobie krzywdy.

Spoliczkowałam się. Mocno.

Koszmar zasyczał, jego gniew zapłonął w moim umyśle. Spojrzałam na Elma szeroko otwartymi oczami.

Ale chęć ponownego uderzenia się cały czas rosła, nienasycona, a zaspokajał ją jedynie kolejny policzek. Znowu się spoliczkowałam. Załkałam, czując nieprzyjemne pulsowanie twarzy, świadoma, że nie mam żadnej kontroli nad własnymi emocjami.

Siedzący przy stole członkowie rady poruszyli się niespokojnie.

– Elm – upomniała go Morette Yew.

– Muszę się upewnić, że jest pod moim wpływem, zanim zaczniemy – powiedział księżę, jego twarz była niezwykle spokojna. – Inaczej wpływ będzie niepełny.

Kiedy spoliczkowałam się po raz trzeci, Ravyn gwałtownie odsunął się od ściany, wywołując niezadowolone pomruki odpoczywających wokół niego psów.

– Wystarczy – wycedził lodowatym głosem.

– Dobrze już, dobrze – skapitulował Elm, mrugając do mnie. – Wybacz. Musiałem mieć pewność, że jest pod kontrolą.

Mój policzek był na wpół zdrętwiały, a na wpół palił.

– Nie mogłeś zmusić mnie do kręcenia się dookoła pokoju? – wysyczałam przez zaciśnięte zęby.

– Każdy może się kręcić. Ale nie każdy jest gotowy do uderzenia samego siebie.

Mogłam wybrać Kielich. Ona nie jest szalonym dupkiem.

S p o k o j n i e, uspokoił mnie Koszmar. P o z w ó l m u m y ś l e ć, ż e p a n u j e n a d s y t u a c j ą.

Przecież on panuje nad sytuacją!

Elm oparł się o kominek, przyglądając się leniwie swoim paznokciom i sprawiając wrażenie, jakby całe zajście bardzo go nudziło.

– Jest wasza – zwrócił się do swojego wuja.

Fenir Yew ułożył dłonie na stole.

– Proszę zacząć od powiedzenia nam nieco o sobie, panno Spindle.

Starałam się zignorować ból w policzku. Impuls nakazujący mi wyrzucić sobie krzywdę zniknął, a zamiast tego czułam silną potrzebę mówienia prawdy. Rzuciłam Elmowi krzywe spojrzenie, czując, że Sierp ponagla mnie do udzielenia odpowiedzi.

– Urodziłam się dwadzieścia lat temu w Spindle House w Blunder – zaczęłam. – Ale żyłam tam tylko do dziewiątego roku życia.

– Wtedy złapała pani infekcję i została przeniesiona do Hawthornów?

Pokiwałam głową.

– Twój ojciec był kapitanem kawalerzystów. Dlaczego nie zgłosił twojej gorączki?

Spodziewałam się tego pytania.

– Uznał, że byłam zagrożeniem dla jego drugiej żony i dzieci, więc odesłał mnie do ciotki. – Mój głos nabrał twardych tonów. – Ale nie chciał przyczynić się do mojej śmierci.

Elm nadal przyglądał się swoim paznokciom.

– Kto by pomyślał, że Erik Spindle ma serce? – wtrącił.

Fenir zignorował bratanka.

– Dlaczego umieścił cię u Hawthornów?

– Moja matka i ciotka były ze sobą bardzo blisko. – Zamilkłam na chwilę. – Chociaż fakt, że Hawthorn House znajduje się głęboko w lesie, poza zasięgiem wzroku, też bardzo odpowiadał mojemu ojcu. W zamian za opiekę nade mną przysyłał im pieniądze.

Jespyr pochyliła się nieco do przodu. Nie umknął mi wyraz zaskoczenia malujący się na jej twarzy.

– Erik zapłacił, żeby cię przyjęli?

Zabrzmiało to żałością, jakby przyjęto mnie tylko z litości. Nie chciałam, żeby mi współczuli.

– Płacił mojemu wujowi – odgryzłam się. – Moja ciotka nie chciała żadnych pieniędzy.

– Stary Tyrn jest łasy na bogactwa – wymamrotał Elm.

Fenir obserwował mnie, oceniając moje słowa i ich wiarygodność.

– Mieszkasz u Hawthornów od wielu lat. Musisz wiedzieć, jak twój wuj wszedł w posiadanie Karty Koszmaru.

Poczułam, że z nerwów zaciskają mi się trzewia.

– Nie wiem. To znaczy, byłam wtedy dzieckiem. Jedyne, co pamiętam, to to, że kiedy wrócił, jego miecz był zakrwawiony.

– Dzieckiem? Od jak dawna Tyrn ma Kartę? – Fenir zamrugał zaskoczony.

– Od jedenastu lat. – Skrzywiłam się.

Pomieszczenie wypełniło zbiorowe, zszokowane westchnienie.

– Przecież ta Karta jest warta fortunę! – krzyknęła Jespyr. – Dlaczego Tyrn Hawthorne trzymał ją w ukryciu przez tak długi czas?

– Czekał na odpowiedni moment – odezwała się Morette Yew, jej długie, czarne włosy spływały po ramieniu. – A teraz, z córką zaręczoną z Hauthem, ród Tyrna odziedziczy tron.

Chłód i wyrachowanie wuja sprawiło, że zrobiło mi się słabo. Zorientowałam się, że chociaż spędziłam w jego domu większość swojego życia, tak naprawdę wcale nie znałam tego mężczyzny.

Stojący w cieniu Ravyn odezwał się głębokim i szorstkim głosem:

– Mam kilka pytań.

Elm wyprostował się, z jego twarzy zniknęła maska znudzenia, a zastąpiona została lisim uśmiechem. Spojrzenie jego zielonych oczu przeskakiwało pomiędzy

mną a kapitanem kawalerzystów. Czegokolwiek się spodziewał, liczył na dobrą zabawę.

Ravyn wyszedł z cienia i stanął naprzeciwko mnie, jego oczy wbijały się we mnie. Odczułam nagłą potrzebę poruszenia się na krześle.

– Ufasz nam, panno Spindle? – zapytał.

Poczułam silny nacisk Sierpa. Wszystko, czego chciałam, to powiedzieć najszczerzą prawdę. Jednak ani Ravyn Yew, ani jego kuzyn nie zdawali sobie sprawy, jak wielkie mam doświadczenie w toczeniu wojny z własnym umysłem. Jedenaście lat praktyki.

Mocniej zacisnęłam ręce na krześle, moje dłonie były mokre od potu.

– Jeszcze nie wiem, w co wierzyć – odparłam.

– A co z Ravynem? – zapytał Elm, nie ruszając się ze swojego miejsca przy kominku. – Wydaje się, że jemu ufasz.

Spojrzałam na kapitana kawalerzystów, na wpatrujące się we mnie szare oczy. Stał nade mną, z rękami założonymi za wyprostowanymi plecami. Żołnierz w każdym calu – surowy i opanowany.

Ale wiedziałam, że Ravyn Yew był kimś więcej niż żołnierzem. Był cieniem na leśnej drodze. Powiernikiem kluczy i sekretów, praktycznie niewidzialny, gdyby nie fioletowe i burgundowe światło. Mężczyzna o wielu twarzach.

Z d r a j c a , odezwał się Koszmar.

Kat, odparłam.

Gdy tylko nasze oczy się spotkały, wróciłam myślami do chwili, gdy stałam pod drzwiami pokoju Ravyna, jego ciało trwało przyciśnięte do mojego, jego palec spoczywał na moich ustach.

Szybko odwróciłam spojrzenie.

– Jak mogę mu ufać? – zwróciłam się do Elma. – Dopiero go poznałam.

– Ale uważasz, że jest przystojny? – Uśmiech Elma nie był ani trochę przyjemny.

Książę bawił się mną niczym kot swoją ofiarą. Przygryzłam usta, zdeterminowana, by nie odpowiadać, ale wpływ Sierpa był zbyt przytłaczający.

Głowa zaczęła pulsować, a pot zrosił moje czoło i kark. Kiedy się odezwałam, mój głos był zduszony.

– Tak, uważam, że jest przystojny... – Po czym na złość dodałam: – Jak na kawalerzystę.

Elm zarechotał, ubawiony, na co Ravyn rzucił mu krzywe spojrzenie. Mimo to nie umknął mi sposób, w jaki uniosły się kąciki ust kapitana, ujawniając jego nieuchwytny półuśmiech.

– Powiedz nam więcej o swojej magii – odezwał się Filick Willow zza stołu. – Czy ogranicza się wyłącznie do dostrzegania kolorów Kart Opatrzności? A może dysponujesz innymi umiejętnościami?

Teraz ostrożnie, ostrzegł mnie Koszmar. Czujesz wpływ Sierpa?

Owszem, czułam. Nigdy nie pragnęłam tak bardzo, żeby zdradzić radzie wszystko, co chcieliby wiedzieć. Byłam uwięziona w rozpadającym się azylu własnych myśli, Sierp uderzał o fundamenty, krusząc moją silną wolę.

Kiedy się zawahałam, Ravyn uniósł brew.

– Wybacz mi, panno Spindle, ale nie wydajesz się kimś zaprawionym w walce. Zwalenie z nóg Elma mogło być czystym przypadkiem – powiedział, posyłając kuzynowi drwiący uśmiech. – Ale ze mną to się nie uda. A teraz proszę powiedzieć. Jakie masz magiczne zdolności?

Chciałam być szczerą. A raczej Elm Rowan i jego Sierp domagali się mojej szczerości. Spojrzałam na pozostałych, którzy pochylali się na swoich krzesłach, wpatrując się we mnie bystrymi oczami i czekając na moją odpowiedź. Moje dłonie były śliskie od potu. Jedno niewłaściwe słowo i dowiedzą się, że to nie mojej magii pożądamy... lecz potwora znajdującego się w mojej głowie.

Pomóż mi, krzyknęłam w nicość.

Koszmar prześlizgnął się przez wspólną ciemność, obracając się przeciwko obecnemu wpływowi Elma.

Będzie łatwiej jeśli nie będę się wychylać. W końcu, Sierp nie ma na mnie żadnego wpływu.

Zamrugałam. *Co? Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?*

Nie pytałaś.

Poczułam przyływ magii. Wrażenie było takie, jakby słona woda zalała mi nozdrza. Koszmar poruszył się, rozluźniając więzy, w jakie chwycił mnie Elm Rowan. Magia Karty osłabła, potrzeba bycia szczerą stała się bardziej elastyczna, a posłuszeństwo zniknęło całkowicie, wszystko zmyte falą soli.

Westchnęłam, jakbym chciała zaczerpnąć powietrza. Poczułam, jak znikają ostatnie więzy kontroli Sierpa. Kiedy się wreszcie odezwałam, mój głos brzmiał pewnie:

– Nie – odpowiedziałam Ravynowi. – Nie mam innej magii. Widzę tylko kolory Kart Opatrzności.

Kapitan zwęził oczy, odwracając głowę w moim kierunku. Przytrzymałam jego spojrzenie, zmuszając się do zachowania spokojnego wyrazu twarzy. Jeśli podejrzewał, że złamałam przymus wywierany przez Kartę, nie dał tego po sobie

poznać. Nie umknął mi jednak ledwo dostrzegalny błysk zwątpienia, czający się w kącikach jego oczu.

– Kto uczył cię walczyć? – zapytał.

– Nikt – odpowiedziałam. – Uczyłam się sama.

– I nikomu nigdy nie powiedziałaś o swojej magii?

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

– Tak jak już mówiłam, kapitanie, nikt inny nie wie. Ani mój ojciec, macocha czy przyrodnie siostry, ani wuj, ciotka i kuzyni. – Zwróciłam twarz ku pozostałym, czując narastającą wściekłość. – Unikam miasta, kawalerzystów i uzdrowicieli. Przebywam głównie w lesie, który aż do niedawna – dodałam z naciskiem, posyłając Ravynowi chłodne spojrzenie – stanowił dla mnie najbezpieczniejsze miejsce. – Założyłam ręce na piersi. – Do dzisiaj moje życie skupiało się przede wszystkim na zachowaniu ostrożności, a nie na magii i podejmowaniu ryzyka.

Pomieszczenie wypełniła ciężka cisza, którą przełamał surowy głos Morette Yew.

– W takim razie, kontynuujmy. – Rozłożyła ręce. – Czy ktokolwiek z was ma jeszcze jakieś pytania do panny Spindle?

Nikt się nie odezwał. Po kilku chwilach ponownie spoczął na mnie wzrok Morette. Jej głos nabrał głębi, mogłam usłyszeć w jej tonie żelazne nuty zdecydowania.

– Elspeth Spindle, czy przyrzekasz, że to, co ci zaraz zdradzimy, nie opuści tego pomieszczenia? – zapytała. – Czy dajesz nam swoje słowo?

Sięgnęłam w głąb ciemności, ale Koszmar milczał. On, tak jak pozostali, czekał na moją odpowiedź.

Sierp nie miał już nade mną kontroli. Mogłam kłamać, ile wlezie.

Ale tego nie zrobiłam.

– Tak – oświadczyłam. – Przyrzekam.

Podszedł do mnie Ravyn i uklęknął przy moim krześle. Oparł ręce na ugiętych kolanach. Gdyby nie to, że był ubrany cały na czarno, poważny niczym kruk, uznałabym go za księcia z bajki, klęczącego przed damą swojego serca.

– Potrzebujemy twojej pomocy w zebraniu Talii Kart Opatrzności, panno Spindle – oznajmił.

Nagle znowu byłam małą dziewczynką, siedzącą obok Ione, chłonącą każde słowo ciotki, która czytała nam *Starą Księgę Olch*. W mojej głowie rozległ się gładki głos matki, odczytującej wiersz spisany na ostatniej stronie, trafiający wprost do mojej duszy. Karty. Mgła. Krew. Te trzy elementy są ze sobą połączone, a utrzymanie między nimi równowagi, jest równie trudne, co nieprzerwanie pajęczej nici. Należy połączyć dwanaście Kart Opatrzności z krwią pociemniałą od soli, a infekcja zniknie. Blunder wyzwoli się od mgły.

Wpatrywałam się w znajdujące się przede mną twarze.

– Król Rowan i pozostali królowie z jego dynastii od zawsze chcieli zebrać całą Talię. – Tak mocno złapałam siedzisko krzesła, że poczułam ból w rękach. – Ale wy nie współpracujecie z królem Rowanem. W przeciwnym razie już dawno dalibyście mu waszą Kartę Koszmaru. Zbieracie Karty dla siebie... – Rzuciłam każdemu z nich spojrzenie. – Zamierzacie zrobić przewrót? Pozbawić króla tronu?

Fenir odezwał się, jego głos był surowy.

– Nic z tych rzeczy. Bunt zniszczyłby Blunder.

Więc dla czego nie współpracuj z królem? zapytał Koszmar, owijając się wokół mojego umysłu. Coś ukrywają.

Czekałam. W pokoju zapadła grobowa cisza.

– Z kompletną Talią Kart Opatrzności – zaczął Fenir – król zlikwiduje mgłę otaczającą Blunder, pozbawiając władzy Ducha Lasu. – Ze ściągniętą twarzą, złapał żonę za rękę. – I będzie w stanie wyleczyć infekcję.

Czekałam, mój oddech przyspieszył.

– Ale, jak uwielbia przypominać nam *Stara Księga Olch* – wtrącił się Elm ze swojego miejsca przy kominku, znowu bawiąc się trzymaną w palcach Kartą – nie ma niczego za darmo. Teraz, kiedy mój ojciec zyskał Kartę Koszmaru, potrzebuje tylko dwóch rzeczy, żeby zgromadzić całą Talię: zaginioną Kartę Bliźniaczych Olch i krwi. Zainfekowanej krwi. – Zapatrzył się w tańczące płomienie, jego ramiona były napięte. – Zabije Emory’ego, żeby ją pozyskać.

Ten dziwny chłopiec – o nieobliczalnej, niespokojnej naturze. Zarazony. Oznaczało to, że Emory Yew nie był wcale przyjęty na zamek króla z dobroci serca.

Był więźniem.

A oni zamierzali dopuścić się zdrady, byle go uratować.

Nawet Koszmar milczał, zaskoczony.

Odwrociłam wzrok, nagle zawstydzona swoimi przemyśleniami na temat Emory’ego. Chłopak był chory – skażony magią. A jego wuj zamierzał go poświęcić.

Jak łatwo mogłam znaleźć się na jego miejscu.

– Jest jeszcze dużo rzeczy, które należy powiedzieć – oznajmił Fenir, przerywając posępną ciszę. – Ale nie tutaj. Jest zbyt późno i nadal znajdujemy się na terytorium króla. Jeśli zgodzisz się nam pomóc, zabierzemy cię do naszej rezydencji.

Tym razem odezwała się Jespyr. Jej głos był zachrypnięty i ciepły, przywodzący na myśl przyjemnie trzaskający ogień.

– Potrzebujemy Studni, Żelaznej Bramy i Bliźniaczych Olch – oznajmiła. – Mając je, będziemy mieli całą talię. – Splotła palce. – Odnalezienie Bliźniaczych Olch nie będzie łatwe. Ale z twoimi umiejętnościami widzenia Kart, zyskalibyśmy przewagę

nad poszukiwaniami króla. Pomóż nam, Elspeth, a razem wyleczymy Emory'ego. – Przyglądała mi się badawczo czekoladowymi oczami. – Pomóż nam, a będziesz mogła sama się uleczyć.

Uderzyło we mnie jej błaganie. Spojrzałam w dół na Ravyna, chcąc coś powiedzieć – klócić się, stwierdzić, że nie byłam pewna. Ale nie potrafiłam znaleźć słów. Nagle zobaczyłam klęczącego przede mną młodego mężczyznę. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że pod powagą zajmowanego przez niego stanowiska kapitana kawalerzystów, skrywał się niewiele starszy ode mnie chłopak.

A mimo to nadal miałam obawy przed dołączeniem do nich. Ravyn nie został kapitanem najbardziej niebezpiecznej grupy mężczyzn w Blunder przez wzgląd na jego wyjątkowo atrakcyjną aparycję.

– W takim razie czyją krew wykorzystacie, by zjednoczyć Talię, zamiast krwi Emory'ego? – zapytałam, zaciskając dłonie na sukni.

– Kogoś z bliskiego kręgu króla – odpowiedział kapitan, jego ramiona były napięte.

– Kogoś, kto dopuścił się strasznych rzeczy.

Upewniając się, że mój wyraz twarzy niczego nie zdradza, sięgnęłam w głąb umysłu.

Jeśli Talia zostanie zjednoczona, to czy naprawdę będę mogła się uleczyć?

A kto powiedział, że potrzebujesz lekarstwa?

Bądź poważny!

Jego śmiech odbił się echem w ciemności. S e k r e t y t r z y m a m w u k r y c i u, s e k r e t ó w m a m w i e l e. Z n i k i m s i ę n i m i n i e p o d z i e l i ł e m i n i g d y n i e p o d z i e l ę.

Zamknęłam oczy, wzdychając. Tak jak nie mogłam wyobrazić sobie Blunder bez otaczającej go mgły, nie mogłam wyobrazić sobie, jak będę w stanie odnaleźć Kartę Bliźniaczych Olch, która zaginęła wieki temu. Co gorsza, na myśl o poświęceniu kogoś, czy na to zasługiwał, czy nie, i przelaniu jego czy też jej krwi tylko po to, żeby zjednoczyć Talię Kart, przewracało mi się w żołądku. Być może właśnie dlatego ostatnia strona *Starej Księgi Olch* zawsze wydawała mi się jak bajka na dobranoc – mroczna, niezwykła. Niemożliwa.

Czułam w ich spojrzaniach, sztywnych ramionach, a nawet w powietrzu wypełniającym pokój elektryzujące napięcie, podszyte nutą nadziei. Byli zdesperowani i potrzebowali mojej magii.

Zsunęłam dłonie na ramiona, wiedząc, jaki widok czeka mnie, gdy tylko odsłonię rękawy sukni. Poczułam to w moich żyłach w chwili, gdy poprosiłam Koszmar o pomoc – w chwili, gdy złamałam wpływ Sierpa. Zawsze tam była, tak samo jak potwór w mojej głowie, gotowa, czujna.

Ciemność. Czarna jak atrament. Magia.

Magia wystarczająco potężna do odnalezienia Karty, która zaginęła pięćset lat temu.

– Zrobię to – oznajmiłam z walącym sercem. – Pomogę wam odnaleźć Kartę Bliźniaczych Olch.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

PROROK

Czekałam na zewnątrz piwnicy, siedząc na kamiennych schodach i trzymając się za głowę. Chociaż od mojego spotkania z radą minęła zaledwie godzina, miałam wrażenie, jakby minęła wieczność. Ponad sobą słyszałam gong wybijający jedenastą. Uczta dobiegła końca – zabawy przeniosły się na parkiet, obfitujący w tańce i wino.

Natomiast w pokoju, w którym przed chwilą siedziałam, toczyła się dyskusja nad moim losem.

Ścisnęłam talizman między palcami, słysząc przytłumione głosy, w szczególności ten należący do lady Yew, wybijał się na tle pozostałych. Ktoś zakaszał. Zmęczona, potarłam oczy. *Dlaczego mi nie powiedziałaś?*

C z e g o?

Tego, że nie działa na ciebie Sierp.

W mojej głowie rozległ się okropny dźwięk skrobania pazurów o kamień. To Koszmar grzebał w swoich wielkich zębiskach. *Żadna z nich na mnie nie działa, moja droga.*

Rozdziawiłam usta z wrażenia. *I nie raczyłeś mi tego powiedzieć? Ani razu przez JEDENAŚCIE lat?*

Ależ wspomniałem o tym, moja nieuważna, mała towarzysko. Jego pazury zazgrzytały o kły. Jednakże nie mogę odpowiadać za twoje marne zdolności łączenia faktów.

Miałam wielką ochotę sięgnąć przez ciemność i uderzyć go w jego paskudny pysk. *Ty to wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowa.*

Zaśmiał się. Zrozumiesz raczej szybciej niż później. Prawda zawsze wychodzi na jaw.

Gdybym nie była zmęczona do szpiku kości, być może zaczęłabym się z nim kłócić – bardziej naciskając – spragniona sekretów, które skrywał niczym chciwy smok pilnujący swoich kosztowności. Było jeszcze tyle rzeczy, których o nim nie wiedziałam.

Ale musiałam przyznać, że wybrał idealny moment na zrzućnięcie takiej bomby. Wiedziałam, że jeśli chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, musiałam na to zapracować.

Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby robić to teraz.

Ze szczytu schodów rozległ się śmiech bawiących się gości. Ziewnęłam, czując, jak opadają mi powieki. Zmarszczyłam gniewnie czoło. *Czemu to tak długo trwa?*

Koszmar zamachnął się ogonem ze świstem. *D o w i e d z s i ę.*

A jak niby mam to zrobić?

Najlepiej trzymać się starych, sprawdzonych metod.

Czyli jakich?

Wydaje mi się, że przyłożenie cholernego ucha do drzwi zda egzamin.

Drewno było grube, a głosy trudne do rozróżnienia. Zsunęłam się w dół i wstrzymałam oddech, przykładając ucho do wąskiej przerwy pomiędzy drzwiami a framugą, i modliłam się, żeby znajdujące się po drugiej stronie psy mnie nie zdradziły.

– Hawthornowie będą potrzebowali powodu, żeby pozwolić jej na przeniesienie do Zamku Yew – odezwał się jeden z nich. – Erik też.

– Nie ufam jej – rozległ się inny głos. Elm. – Jej zachowanie jest zbyt wyuczone, a słowa o wiele za ostrożne.

– To chyba oczywiste – zripostowała Jespyr. – Gdyby nie była ostrożna, inaczej nie udałooby jej się uniknąć tak długo kawalerzystów i uzdrowicieli.

– Powinna być tutaj – rozbrzmiał kolejny głos. Filick. – Morette to widziała. Elspeth pomoże nam ukończyć Talię. O czym tu więcej dyskutować?

– Ciocia Morette zobaczyła postać czającą się w cieniu na leśnej ścieżce – odgryzł się Elm. – Wybacz mi, ciociu, nie wątpię w twoją Kartę Proroka. Ale twój opis był mało precyzyjny. Ravyn i ja mogliśmy się tamtego wieczoru natknąć na kogokolwiek.

– A jednak spotkaliście kobietę ze zdolnością do widzenia Kart, akurat gdy do odnalezienia pozostały nam tylko trzy – ponownie zabrał głos Fenir.

– Karta Proroka ukazała mi zakapturzoną postać spowitą cieniem. – Głos Morette Yew przebił się przez toczącą się wrzawę. – Cień pozostał, nawet gdy światła wokół niej gasły. Szła przez las, a za nią podążały Karty Opatrzności. Jedna za drugą, a na końcu sunęła trzynasta Karta, której nigdy przedtem nie widziałam. A za nimi szedł Emory, cały i zdrowy. To zobaczyłam. Dlatego powiedziałam wam, żebyście obserwowali leśne ścieżki.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Serce waliło mi w piersi, a kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. Układanki, której nadal nie rozumiałam.

Czekali na mnie na leśnej drodze, Ravyn i Elm, chociaż nie zdawali sobie wtedy z tego sprawy. A ja... Ja byłam częścią przepowiedni o tak wielkim znaczeniu, że doprowadziła mnie do Yewów, jednej z najstarszych rodzin Blunder... i jednocześnie do zdrady.

Przygryzłam wargi, mocniej przyciskając ucho do drzwi i modląc się o usłyszenie kolejnych informacji.

Fenir był tym, który przerwał ciszę.

– Musimy iść naprzód, nie ma innej możliwości – oznajmił. – Zabierzemy Elspeth do naszej rezydencji i poznamy zasięg jej magii. Kiedy ruszymy na poszukiwania Kart, dołączy do nas.

– Nie mamy czasu bawić się w strażników płochliwej dziewczyny. – Ktoś parsknął szyderczo. Elm.

– Płochliwej? – zaśmiała się Jespyr. – Nie to mówiłeś, gdy utykając, wróciłeś z lasu. Głos Ravyna zabrzmiał w pomieszczeniu.

– Kimkolwiek jest, na pewno nie jest płochliwa. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy jej nie doceniali.

– Spindle House jest niedaleko – odezwała się Filick. – Może umieścimy ją u jej własnej rodziny?

– Nie – powiedział pospiesznie Ravyn. – Jeśli ma zostać wtajemniczona w nasze plany, musi być blisko nas. Nie możemy mieć Spindle'ów albo kogokolwiek innego wtykającego nos w nasze sprawy.

– Co sprowadza nas z powrotem do kluczowego pytania – wtrącił Fenir. – Co powiemy jej rodzinie? Muszą mieć powód, dla którego ją odeślą.

Zaległa pełna napięcia cisza. Z całych sił starałam się oddychać jak najciszej. Coraz trudniej było zachować mi spokój, gdy tak trzymali mnie z dala od pokoju, niczym nadąsane dziecko, i dyskutowali o mojej przyszłości.

– Mam pomysł – odezwała się Jespyr, jej głos był spokojny i delikatny, jakby zwracała się do groźnego zwierzęcia. – Ale nie spodoba ci się.

– No tak, bo do tej pory mieliśmy ubaw po pachy.

– Nie miałam na myśli ciebie, Elm – odpowiedziała mu kuzynka – tylko Ravyna.

Tak mocno przycisnęłam ucho do drzwi, że zaczęła boleć mnie głowa.

– Co masz na myśli, Jes? – warknął Ravyn.

– Tylko nie mów od razu „nie”.

– Jespyr.

– A co jeśli powiemy Erikowi Spindle i Hawthornom, że zapraszamy Elspeth do naszej posiadłości, żebyś... mógł się do niej zalecać. – Zamilkła.

Zaparło mi dech, moje zmęczenie nagle zniknęło. Czułam się całkowicie rozbudzona, puls mi przyspieszył, a po mojej szyi i twarzy rozlał się niepożądany rumieniec.

Zza drzwi rozległo się głośnie parsknięcie Elma.

Z kolei głos Ravyna nie był ani trochę rozbawiony.

– Nie. Nie ma mowy.

– Ale przecież to bardzo dobry pomysł! Widziano was dzisiaj razem, więc nikt nie będzie podejrzewał prawdziwego powodu, dla którego miałyby się znaleźć w Zamku Yew.

Gdy w odpowiedzi zapadła przejmująca cisza, Jespyr westchnęła głośno.

– Nie musisz jej tak naprawdę uwodzić, tylko udawać, że to robisz. Po prostu, sama nie wiem, uśmiechnij się do niej od czasu do czasu. Pamiętasz chyba, jak to się robi, prawda?

Wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Nie ma potrzeby wchodzenia w szczegóły – dodał Fenir. – Oczywiście pojawią się plotki, bo Ravyn nigdy nie zabiegał o żadną dziewczynę.

– Na święte drzewa – wymamrotał Ravyn, jego głos ociekał irytacją.

– To mogłoby zadziałać. Jeśli ktokolwiek zapyta, mogę powiedzieć, że zaprosiłam pannę Spindle w imieniu Ravyna. – Z kolei w głosie Morette pobrzmiwała ekscytacja. A po chwili jej ton stał się bardziej karcący, najpewniej skierowany do syna. – Nie musiałby nawet udawać, że się do niej zaleca, skoro sam pomysł jest dla niego tak odpychający.

– Jak widać, nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie – odezwał się Ravyn, wzdychając głośno.

– Nie – powiedziała Jespyr ze słabo skrywanym zachwytem. – Ani trochę.

Fenir odchrząknął.

– Czemu tak konkretnie się sprzeciwiasz, Ravyn? Jest inteligenta, atrakcyjna.

Też się nad tym zastanawiałam. Stanowcza odmowa kapitana, żeby się do mnie zalecać, a raczej udawać, że się do mnie zaleca, nie tylko dotknęła mnie do żywego, ale wzbudziła we mnie wściekłość.

– Nie ulega wątpliwości, że jest piękna. Tylko że ja... – Ravyn się zaciął, po czym, jak gdyby wypowiedane przez niego słowa miały gorzki smak, powiedział: – Jeśli ten fortel ma pomóc... – westchnął – Spróbuję. Chociaż wątpię, żebym był przekonujący w roli jej konkurenta.

Wściekła, odetchnęłam przez nos.

– Nie chcę od ciebie żadnych względów – wyszeptałam, zagłuszona hałasem za drzwiami. Tak jakbym kiedykolwiek zechciała kogoś takiego jak on. Miałam wystarczająco dużo własnych problemów, nie potrzebowałam dodawać do swojej listy nieudanych prób wywołania uśmiechu na ustach Ravyna Yewa.

W ciemności mojego umysłu rozległ się przerażający pomruk.

Jak brzmiało to stare przysłowie, moja kochana? Coś o kobietach i nadmiernym protestowaniu?

Zasyczałam, uciszając go. Jednak w chwili, gdy przekonywałam się, że odgrywanie zalotów z Ravynem Yewem było ostatnią rzeczą na świecie, jakiej chciałam, rada po drugiej stronie drzwi doszła do zupełnie odmiennej konkluzji.

– A więc ustalone – oznajmiła stanowczo Morette. – Zostanie w Zamku Yew pod pozorami zaaranżowanych zalotów z Ravynem. Jeszcze dzisiaj wieczorem wystąpię z prośbą do jej ojca i Hawthornów. Jeśli zapewnię ich, że będę występować w charakterze jej przyzwoitki, nie odmówią jej dłuższemu pobytowi.

W pomieszczeniu rozległ się zgodny pomruk.

– Powinniśmy zabrać ją jeszcze dzisiaj.

Parsknięcia Elma nie dało się pomylić z niczym innym.

– A czy kapitan nie powinien zostać zauważony podczas uroczystości w towarzystwie jego fantastycznej wybranki?

Nie usłyszałam odpowiedzi Ravyna, ale bez wątpienia brzmiało to jak groźba.

– Dajmy sobie godzinę na pokazanie się na Ekwinokcjum – zdecydował Fenir – a następnie ruszymy do Zamku Yew. – Zamilkł na moment. – Przedstawisz jej nasz plan, Ravyn?

W pomieszczeniu zaszurały krzesła.

– Tylko nie zapomnij się uśmiechnąć! – krzyknęła do niego Jespyr. W tej samej chwili przekreśliła się klamka.

Odsunęłam się od drzwi, chwiejąc się na niskich obcasach. Upadłam na tyłek z głuchym odgłosem. Kiedy Ravyn Yew otworzył drzwi, spojrzałam na niego z podłogi przy schodach, moje policzki były wściekle czerwone.

Popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami.

– Pani ciotka nigdy nie mówiła, że nieładnie jest podsłuchiwać, panno Spindle?

Wstałam i zaczęłam otrzepywać suknię, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

– Nie podsłuchiwałam.

W moim umyśle Koszmar wybuchnął śmiechem. **M u s i m y p o p r a c o w a ć n a d t w o j ą z d o l n o ś c i ą k ł a m a n i a .**

Ravyn zamknął za sobą drzwi.

– Jak dużo usłyszałaś?

Stałam, stopień wyżej, tak że nasze oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie. Prawie.

– Wystarczająco.

– I co? Czy plan przypadł ci do gustu? – Intensywnie się we mnie wpatrywał.

Ukłucie w mojej piersi wróciło. Wściekle zmrużyłam oczy.

– Jeśli ten fortel ma pomóc, spróbuję.

Nie wydawał się zadowolony, że jego własne słowa obróciły się przeciwko niemu. Ravyn nadal mi się przyglądał, przez moment zatrzymując spojrzenie na moich ustach, zanim odwrócił wzrok.

– A co z Laburnumem?

– Co z nim?

– Jest w tobie zakochany. – Ravyn przechylił głowę.

Wzruszyłam ramionami, zbywając jego słowa machnięciem ręki.

– Nie jesteśmy ze sobą blisko. – Z trudem wypowiedziałam kolejne słowa. – Jego zaloty nie mają żadnego znaczenia. Niczego mu nie obiecywałam.

Ravyn nie spuszczał ze mnie wzroku, ale też nie odezwał się ani słowem. Przysiadł na stopniu, pocierając powieki. Przez moment wydawał się wyczerpany, zmęczony do cna. Po raz pierwszy naszła mnie myśl, że ktoś mógł mieć gorszy dzień ode mnie.

Ravyn znowu na mnie spojrział oczami czerwonymi od tarcia.

– Zakładam, że bycie pod wpływem Sierpa nie jest przyjemnym doświadczeniem. Wszystko z tobą w porządku?

– Twój kuzyn jest kompletnym... – Uderzyłam nogą o kamienną podłogę.

– Dupkiem. Wiem. Ale miałaś do wyboru albo Sierp albo Kielich, skoro Koszmar nie wchodzi w grę.

Nie umknął mi jego ostry ton. Zacisnęłam usta w wąską kreskę, nie zamierzałam niczego zdradzać. Kapitan cały czas mi się przyglądał. Kiedy nadal milczałam, ponownie się odezwał:

– Odszukiwanie kart będzie niebezpieczne, panno Spindle. Zdaje sobie z tego pani sprawę?

Próbowałam skwitować jego słowa wzruszeniem ramion, ale uniemożliwił mi to obezwładniający lęk, który odczuwałam.

– Na szczęście już od jakiegoś czasu balansujemy na granicy bezprawia. Wiemy, jak zapewnić pani bezpieczeństwo.

– A jeśli mnie złapią? Co się stanie, jeśli twój wuj dowie się, że jestem zainfekowana?

Podniósł się ze schodów.

– Wtedy wrócisz do punktu wyjścia. Jedyne różnica będzie taka, że zyskałaś sobie kilku znaczących sojuszników.

Patrzyłam na królewskiego siostrzeńca w poszukiwaniu czegoś, czego nie mogłam znaleźć. Strachu – lęku – czyli tego, co sama odczuwałam. Ale Ravyn Yew był spokojny, niewzruszony niczym tafla wody, nieczuły na potworne ryzyko, na jakie mnie narażał.

– A jeśli zechcę wrócić? – Mój głos zadrżał.

– Nie jesteś więźniem. – Przytrzymał moje spojrzenie.

Są różne rodzaje klatek, powiedział Koszmar.

Starałam się go zignorować.

– Mogę wrócić do ciotki, kiedy tylko zechcę?

– Oczywiście – zapewnił Ravyn. – Jednak wydawało mi się, że chciałaś znaleźć lekarstwo.

– Chcę.

– Więc pomóż nam. Pomóż nam, żebyśmy my mogli pomóc tobie.

Sięgnęłam do ciemności, umysłem chwytając sierść pokrywającą grzbiet Koszmaru. *Nie wyjdę z tego bez szwanku, jeśli mi nie pomożesz.*

Obrócił się, strzygąc uszami. *Dajesz mi wolną rękę?*

Zacisnęłam zęby. *Proszę cię o utrzymanie mnie przy życiu, Koszmarze. Chociażby na tyle długo, żebym mogła się ciebie pozbyć, raz na zawsze.*

Zagrzmiał śmiechem.

Spojrzałam na Ravyna. Przez jedenaście lat infekcja zaciskała się wokół mnie jak imadło. Tak długo żyłam w strachu, że nigdy nawet nie marzyłam o wyleczeniu.

Jednak gdy spojrzałam w szare oczy kapitana – mężczyzny, który zgodnie z prawem powinien od razu zaciągnąć mnie do lochów – imadło zaczęło się poluzniać. Otworzył przede mną drzwi do tej części Blunder, o jakiej nie śniłam. Znowu byłam dzieckiem, zapamiętałe czytającym *Starą Księgę Olch*. Magia była rzeczywista. Okropna i cudowna, unosząca się wokół nas. Magia wystarczająco potężna, by odczynić inną magię. By wyleczyć z infekcji.

I wyrzucić z mojej głowy Koszmar.

– Kiedy zaczynamy?

Kapitan kawalerzystów stanął na tym samym stopniu co ja, nasze stopy się stykały, a jego cień otulił całą moją sylwetkę.

– Powiedziałbym, że już zaczęliśmy.

Z tymi słowami, zaczął pokonywać po dwa stopnie naraz, Karty w jego kieszeni rzucały upiorne światło na pogrążone w ciemności kamienne ściany. Kiedy nie ruszyłam za nim, odwrócił się ku mnie.

– Godzina, panno Spindle. Tylko po to, żeby nas zauważono. Po tym będziemy wolni od tego nieszczęsnego zamku.

Tańce i picie przeniosły się do ogrodów. Zewsząd dobiegała wrzawa gości, odbijająca się echem na królewskich ziemiach odgradzonych przez mgłę, unoszącą się tuż nad żywopłotem.

Ravyn skierował się do głównego korytarza i poprowadził nas dalej przez wielki hol, w kierunku schodów.

– W tamtym kierunku odbywają się uroczystości – powiedział, gestem wskazując na szerokie pozłacane drzwi wiodące do ogrodów. Minęliśmy je.

– Chciałbym pokazać ci, dlaczego kroczymy tą ścieżką, panno Spindle – zwrócił się do mnie. – Dlaczego ryzykujemy wszystkim, żeby zdobyć trzy ostatnie Karty. – Obejrzał się na mnie przez ramię. – Idziemy zobaczyć się z Emorym.

Przerażenie kłębiące się w moich trzewiach zmieszało się z ciekawością. Wydawało się to zbyt pokręcone i okrutne, by król poświęcił własnego siostrzeńca – nawet jeśli miałyby to na zawsze odmienić losy Blunder.

Królewskie rządy pociągają za sobą ciężkie brzemie, wyszeptał Koszmar, jego głos był bardzo poważny, zupełnie nie w jego stylu. O d wieków królestwem wstrząsały trudne decyzje. A niestety, decyzje mają to do siebie, że trzeba je podjąć.

– Dlaczego Emory? – zapytałam. – Wiem, że infekcja jest rzadko spotykana... ale z pewnością jest ktoś inny...

– Krew musi zostać przelana – oznajmił Ravyn, jego głos był odległy, zamyślony. – Czy to w ogóle może być łatwy wybór?

Znajdowaliśmy się piętro wyżej, nad apartamentem, który dzieliłam z ojcem, macochą i przybranymi siostrami. Stone wydawało się jedną niemającą końca klatką schodową, tak stromą, że zaczęły boleć mnie kolana. Uniosłam suknię, starając się nie potknąć. Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko uniknąć badawczego spojrzenia Ravyna Yewa. Kiedy dotarliśmy na czwarte piętro, oparłam dłoń na balustradzie, udając, że podziwiam gobelin z wyszytym Złotym Jajem, wciągając kolejne hausty powietrza.

Jeśli Ravyn zauważył, że brakuje mi tchu, był na tyle uprzejmy, żeby o tym nie wspominać.

– Znajdujemy się w królewskim skrzydle – poinformował mnie. – Emory ma zapewnione komfortowe warunki. Tak komfortowe, jak tylko można. – Kiedy nic nie powiedziałam, ściszył głos. – Jest umierający.

Szybko spojrzałam na jego twarz, zapominając o palących płucach.

Ravyn kontynuował:

– Właśnie dlatego król zdecydował, że to krew Emory’ego zjednoczy Talię. Uważa, że dzięki temu uchroni mojego brata przed długą, bolesną degeneracją. Według niego to akt miłosierdzia. – Zaszurał butami o dywan znajdujący się pod naszymi stopami. – Mój wuj mógł wysłać go do uzdrowicieli i zabić go od razu, gdy dowiedział

się o jego infekcji. Ale tego nie zrobił. Nagiał zasady, pozwalając żyć Emory'emu. – Przesunął dłonią po twarzy. – A ja odpłacam mu się kłamstwami.

Poczułam nagłą potrzebę wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego ramienia. Ale byłby to zbyt intymny gest.

– Nie musiałbyś kłamać, gdyby król odwołał swoich uzdrowicieli i pozwolił ludziom, takim jak Emory odejść wolno – zauważyłam.

– Staralem się o to setki razy. Król nie przyjmował do wiadomości żadnego argumentu. Magia Emory'ego jest zbyt widoczna, zbyt wielu ludzi zorientowało się, że jest zainfekowany. – Zacisnęła zęby. – Mój wuj jest związany swoim pochodzeniem. Co oznacza, że każdy, kto jest zainfekowany, musi umrzeć. Dlatego nie mamy wyjścia i jeśli chcemy ocalić Emory'ego, musimy zebrać Talię na własną rękę. Do zimowego przesilenia.

– Dlaczego akurat do tego czasu?

– Magia Emory'ego rośnie w miarę upływu pór roku. A w *Starej Księdze Olch* jest wyraźnie napisane, że Karty muszą zostać połączone w najciemniejszej porze roku.

– Wziął głęboki wdech. – Emory może nie przeżyć kolejnego roku. Mogę zostać uznany za kłamcę i zdrajcę, nie dbam o to – powiedział. – Ale przynajmniej mogę zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uratować brata.

Przeszliśmy przez jasno oświetlony korytarz. Dywan pod moim stopami był ciężki i wełniany, w kolorze ciemnej czerwieni.

Przy wąskich drzwiach stało dwóch strażników, nad ich głowami majaczyły światła pochodni. Byli uzbrojeni w miecze i długi zwój liny. Kiedy zauważyli Ravyna, odsunęli się szybko.

Ravyn zignorował ich i otworzył drzwi. Po jego stęknieniu, uznałam, że skrzydła były ciężkie i wzmocnione. Weszłam za kapitanem kawalerzystów do komnaty, rozglądając się szeroko otwartymi oczami.

Pokój był spowity w ciemnościach. Wszystkie świece zostały zgaszone przez wlatujący przez otwarte okno porywisty wiatr. Podczas gdy Ravyn zamykał okiennice, podeszłam do dębowego stołu, stojącego na środku pokoju.

Kominek wygaszono. Smród wina i stęchlizny pochodzący od setek ksiąg ułożonych na mahoniowym regale wypełnił moje nozdrza. Naprzeciwko wejścia do pokoju, wzdłuż ściany znajdowało się ogromne łóżko, na którym spoczywały koce i jeszcze więcej książek.

To przytulne i bogato umeblowane wnętrze komnaty było nieruchome – pozbawione życia. Puste.

Emory Yew, więzień króla, zniknął.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Wynaturzenie spada
niczym liście z drzewa.
Nagle, albo powoli i stopniowo.
Wraz z infekcją przychodzi potężna magia.
Wynaturzenie jest ceną za tak bogaty prezent.
Dla wielu zapłatą jest ich zdrowy rozsądek, dla innych ich życie.
Wynaturzenie spada
niczym liście z drzewa.*

Całą drogę w dół korytarza – przez szerokie schody aż do ogrodów przebyliśmy biegiem. Ravyn uaktywnił swoją Kartę Koszmaru, widziałam, jak mocno spięte były mięśnie jego szczęki.

– Moi rodzice i siostra przeszukają zamek – powiedział, zatrzymując się ze ślizgiem tuż pod drzwiami prowadzącymi do ogrodu, zza których słychać było odgłosy zabawy. – Możesz poczekać na nich tutaj, jeśli chcesz.

– Co się stanie, jeśli go nie znajdziemy? – Walczyłam, by opanować przyspieszony oddech.

– Znajdziemy – zapewnił Ravyn. – Kiedy już Emory’emu uda się uciec strażnikom, zazwyczaj wędruje po zamku. Ale wolałbym, aby znalazła go moja rodzina, a nie uzdrowiciel czy kawalerzysta.

Rozejrzałam się po ogrodzie, spoglądając na panujący tam tłum

– Będziesz potrzebować dodatkowej pary oczu – oznajmiłam. – Idę z tobą.

Muzyka wlała się do zamku przez otwarte drzwi. Królewscy goście byli głośni, maski przyzwoitości coraz cieńsze. Wszechobecny śmiech odbijał się od kamiennych ścian. Dookoła krzatali się służący, dbając o pełne kielichy. Rozpoczęły się tańce, światła pochodni spowijały ogrody miękkim światłem, podczas gdy kolejne pary dołączały do kołysania się w rytmie muzyki. Wieczne powietrze było pełne wilgoci.

Jednak zanim udało nam się wmieszać w tłum, rozległ się gong wybijający północ, a zza naszych pleców zagrzmiął donośny głos.

Gdy się odwróciłam, spojrzałam w kierunku osnutego w ciemnościach holu. Trzech kawalerzystów uzbrojonych w Czarne Konie maszerowało w naszym kierunku. Przed

nimi, skąpany w czerwonym świetle Sierpa szedł, szeroki i nieustraszony jego królewska mość, władca Blunder, strażnik praw i obrońca Kart Opatrzności.

Król Quercus Rowan.

Ravyn schował swoją kartę do kieszeni.

– Wuju – przywitał się spokojnie.

– Dobrze się bawisz? – zapytał król, zatrzymując się przed nami.

– Bardzo.

– Wyglądasz, jakby brakowało ci tchu. – Tak samo jak jego synowie miał zielone, błyszczące inteligencją oczy. – Co się dzieje?

– Nic takiego, panie – odpowiedział Ravyn, jego twarz nie wyrażała niczego, sprawiała wrażenie wykutej z kamienia. – Oprowadzam pannę Spindle po ogrodach.

Kiedy spojrzenie króla skierowało się na mnie, moje uszy wypełnił dźwięk łomoczącego serca.

– Panna Spindle – zwrócił się do mnie. – Oczywiście. Córka Erika. Nie widziałem cię na dworze.

Musiałam zebrać całą siłę woli, żeby się uśmiechnąć.

Koszmar, podjudzany moim strachem, nastroszył się, wyciągając ostre pazury. Zrobiłam krok do tyłu i ukloniłam się na drżących kolanach.

– Nieczęsto opuszczam domowe zacisze, wasza królewska mość.

Czułam przesuwające się po mojej twarzy spojrzenie króla.

– Wielka szkoda – oznajmił, jego wzrok przeskakiwał pomiędzy mną a Ravynem. – Wygląda na to, że zrobiłaś nie lada wrażenie.

Kapitan stał nieruchomo jak posąg, mocno zaciskając szczęki.

– Z niecierpliwością oczekuję naszego kolejnego spotkania, panno Spindle – zwrócił się do mnie król, po czym rzucił Ravynowi ostre spojrzenie.

Chwilę później znowu pochłonęła nas ciemność, gdy minęli nas Rowan i jego kawalerzyści, by zniknąć w ogrodach.

Patrzyłam, jak odchodzi, starając się nie patrzeć stojącemu obok mężczyźnie w oczy.

– Powinniśmy znaleźć twojego brata, zanim król zorientuje się, że uciekł ze swojego pokoju.

Znowu to poczułam. Zawahanie Ravyna – jego niezadowolenie, że władca zobaczył nas razem. Czy przeszkadzała mu odgrywana przez nas maskarada, udawanie, że się do mnie zaleca?

A może to mojego towarzystwa nie mógł znieść?

Upojeni królewskim winem i beztroską wywołaną tańcami goście bez protestu ruszyli w głąb ogrodu.

– Jak ja, kurwa, nienawidzę Ekwinokcjum – mamrotał pod nosem Ravyn, kiedy przeciskaliśmy się przez ciżbę.

Tłum się poruszył, wpadając na nas. Uchwyciłam błysk dwóch Białych Orłów, Kart Odwagi. Migotały niczym płatki śniegu unoszone przez wiatr, białe i nieskalane, w mniej zatłoczonej części ogrodu, niedaleko drzew jarzębiny.

Pomiędzy białymi światłami stał ciemnowłosy chłopiec, poruszał się niespokojnie, jakby utracił kontakt z otaczającą go rzeczywistością.

Emory.

– Tam! – odezwałam się, wskazując palcem. – Widzę go.

Ravyn przepychał się pomiędzy ludźmi, zostawiając mnie z tyłu. Staralam się nie stracić go z oczu, ale grupa pijanych mężczyzn zepchnęła mnie ze ścieżki.

Jeden z upojonych zaśmiał się, klepiąc mnie po głowie jak jakieś zwierzątko. Kiedy odtrąciłam jego dłoń, tłum znowu się poruszył. Mężczyźni ponownie na mnie wpadli, tym razem siła zderzenia była na tyle duża, że poleciałam na ziemię.

Uderzyłam o ziemię, a powietrze uciekło mi z płuc. Moment później czyjeś ramię złapało mnie mocno pod pachami. Poruszyłam się, chcąc się wyrwać, jednak szybko rozpoznałam mężczyznę, który mi pomógł.

Elm Rowan spoglądał na mnie zza zielonych irysów. Kiedy już stanęłam na własnych nogach, otoczył mnie ramieniem, osłaniając przed tłumem.

– Wszystko w porządku, Spindle?

– Spadaj – powiedziałam, mając w pamięci świeże wspomnienie uderzenia się w policzek.

– Chyba chciałaś powiedzieć: „dziękuję” – odgryzł się książę, ciągnąc mnie przez tłum w górę ścieżki.

– Puszczaj. – Wykręcałam się w jego uścisku.

Koszmar zaczął syczeć, czając się tuż pod moimi powiekami.

– Żebyś znowu się potknęła? – zadrwił Elm. – I zniweczyła nasze plany, zanim na dobre się rozpoczęły?

Przybywało coraz więcej ludzi, ścisk był tak wielki, że praktycznie przylegałam do Elma, a nagle wokół nas wybuchł pijacki śmiech.

– Na przekłete drzewa – przeklął książę, jego palce zabłysły czerwienią, kiedy wyciągnął z kieszeni Sierp i uderzył w niego trzykrotnie palcem.

Jego oczy zaszklily się na krótką chwilę, wpadając w trans – sięgał po magię.

Obserwowałam go, jednocześnie przerażona i zafascynowana.

Oczy tłumy zwróciły się w naszą stronę. Mimo to, kierowani czerwoną Kartą, mężczyźni i kobiety poruszyli się, rozstępując się niczym popiół rozwiewany na wietrze, dopóki naszym oczom nie ukazała się ścieżka.

Dopiero gdy droga była wolna, Elm ponownie uderzył trzy razy w Sierp, uwalniając zebranych spod jej kontroli.

Z wahaniem weszłam na utworzoną ścieżkę.

Właśnie sprawił, że pięćdziesiąt osób stało się potulnych jak baranki.

Koszmar mlasnął językiem. Ale nie kontrolował ciebie, czyż nie? Ścieżka zmieniła kierunek, wijąc się wśród wypiełgnowanych bukszpanów. Elm prowadził mnie, przyciskając rękę do czoła.

– I co? – zapytał, chowając Sierp do kieszeni tuniki.

– Jest tam. – Wskazałam. W moim polu widzenia znowu pojawił się Emory Yew i bijące niedaleko światła Kart Białych Orłów.

Śmiech Emory'ego rozbrzmiewał w zagajniku. Chłopak kołysał się i rozpychał między dwoma mężczyznami z Białymi Orłami. Byli od niego wyżsi, starsi, szersi i o wiele bardziej zdenerwowani. Nie mogłam usłyszeć co mówili, ale po ich postawie – sztywnych ramionach, wyprostowanych plecach – było jasne, że nie wymieniali uprzejmości z najmłodszym siostrzeńcem króla. Kilka chwil później, po tym, jak jeden z mężczyzn zdzielił go w twarz, Emory padł na ziemię, a z jego nosa trysnęła krew.

– Znowu się zaczyna – odezwał się Elm, przyspieszając.

Chłopak leżał na ścieżce, wyrzucając z siebie słowa pomiędzy kolejnymi wybuchami szaleńczego śmiechu. Nadal byliśmy zbyt daleko, by rozróżnić co dokładnie mówił, ale cokolwiek to było, wystarczyło, by jeden z mężczyzn złapał go za kołnierz.

Jednak zanim zbrojny zdążył znowu uderzyć Emory'ego, został odrzucony do tyłu, a czarny rękaw owinął się wokół jego szyi.

Przybył kapitan kawalerzystów.

Kątem oka widziałam ciemną roślinność. Ścieżka znowu zakręcała, prowadząc Elma i mnie między rzędami żywopłotów. Kiedy wyjrzałam zza bujnych krzaków, zobaczyłam Ravyna, otoczonego przez głębokie barwy Koszmaru i Lustra, które wyraźnie kontrastowały z Białymi Orłami, pozostającymi we władaniu nieznanym mężczyznom.

Jeden z nich zrobił krok do przodu.

– Ten mały pokurcz grzebał mi w kieszeni!

Ravyn wypuścił drugiego z żelaznego uścisku.

– To tylko głupi chłopak – powiedział. – Odejdźcie. Teraz.

– Nie, dopóki nie odzyskam swojej monety!

Zachęcony i podbudowany odwagą, jaką napełniała go jego Karta Białego Orła, mężczyzna zamachnął się pięścią na Ravyna, z czystą, brutalną siłą. Ravyn zrobił unik, okręcając się wokół własnej osi. Stanął pomiędzy Emorym a mężczyznami, odpychając brata z linii ognia.

Emory wycofał się pod najbliższe drzewo, nadal się śmiejąc. Wspiął się na niską gałąź, wymachując nogami, oczy miał szeroko otwarte i szkliste.

Zaczęłam przedzierać się przez żywopłot, ale Elm zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie zamierzasz mu pomóc? – zapytałam.

Książę oparł się o krzak i ziewnął.

– To był długi dzień. Dajmy Ravynowi się zabawić.

Koszmar obserwował walkę moimi oczami, jego ogon podrygiwał w podnieceniu. Mężczyźni ruszyli na kapitana jednocześnie, próbując go zaskoczyć, a on ledwie się odwrócił, okrutny w swojej celności, pojedynczym ciosem posyłając jednego z nich na ziemię.

Mężczyzna wylądował pod drzewem jarzębiny. Emory zawył ze swojego miejsca, uśmiechając się tak szeroko, że widziałam wszystkie jego zęby.

– Przepraszam za lepkie paluszki – zawołał z góry, rzucając złote monety na pierś mężczyzny, jedna po drugiej. – Obawiam się, że to rodzinna przypadłość.

Wpatrywałam się w niego, sparaliżowana. Wyczułam to wczoraj na schodach. Było coś dziwnego w Emorym Yewie. A teraz zrozumiałam wreszcie, co to było. To infekcja – żywiła się nim, pozbawiając go zdrowego rozsądku.

Staje się w naturze, odezwał się Koszmar. Kawałek po kawałeczku. Za magię zawsze trzeba zapłacić.

Dotknęłam kruczej nóżki w mojej kieszeni.

– Jaką moc zyskał Emory, gdy został zakażony?

Spojrzenie Elma przesunęło się na kuzyna.

– Potrafi czytać w ludziach – powiedział. – Jak gdyby wszystkie ich sekrety były spisane na kartce papieru. Musi jedynie dotknąć danej osoby.

Poczułam zimno rozchodzące się w dół mojego kręgosłupa. „Widzę spojrzenie żółtych oczu zwężonych z nienawiści.”, tak powiedział do mnie ten chłopiec. „Widzę ciemność i cień. Dostrzegam twoje palce, smukłe i blade, całe pokryte krwią”.

Elm, nie zdając sobie sprawy z mojego zdenerwowania, mówił dalej:

– Ale infekcja zebrała swoje żniwo. Przez ostatnie dwa lata stał się słabszy, bardziej niezrównoważony i agresywny. Czasami nie pamięta nawet własnej rodziny. Każde Przesilenie i Ekwinokcjum tylko to pogarsza.

Ravyn i drugi mężczyzna nadal się bili. Ravyn odparował cios, rewanżując się brutalnym sierpowym od dołu. Elm obserwował ich ze stoickim spokojem, strzelając po kolei knykциями.

– Emory powiedział mi o wczorajszym wieczorze – powiedział nagle. – Stwierdził, że w zamku znajduje się kobieta o czarnych oczach i mrocznej magii. – Wygiął usta w uśmiechu, który nie sięgał jego oczu. – Biedny chłopak był zbyt podekscytowany. Nigdy nie poznał nikogo innego, kto byłby zainfekowany. Poza swoim bratem, oczywiście.

Odniosłam wrażenie, jakby moje płuca zostały zalane lodowatą wodą, przez co musiałam walczyć o oddech. Miałam problemy z zaczerpnięciem tchu, ogień wzbierał w mojej piersi, owijając się wokół gardła.

Ravyn Yew. Zainfekowany.

Wiedziałaś o tym?, zwróciłam się do Koszmaru.

Zamruczał, jego głos ociekał satysfakcją. *Miałem swoje podejrzenia.*

I nie pomyślałaś, żeby mi o tym powiedzieć?

S p e d z i ł a ś z f a c e t e m c a ł y d z i e ń. Z p e w n o ś c i ą d o s t r z e g ł a ś w n i m c o ś w i ę c e j n i ż t y l k o ł a d n ą b u ż k ę.

Elm obserwował mnie, wpatrując się w moją zszokowaną twarz. Tym razem uśmiechał się szczerze.

– Nie powiedział ci?

– On...On jest... – Zamrugałam, mój język się plątał.

– Zainfekowany – oświadczył. – Tak, obawiam się, że tak.

K i m ż e j e s t p o s t a ć z l i c e m k a m i e n n y m? K a p i t a n e m? R o z b ó j n i k i e m? C z y m o ż e i n n y m p o t w o r e m t a j e m n y m?

Koszmar i ja z powrotem spojrzeliśmy przez żywopłot. Napięcie wywołane walką sięgało zenitu. Zbliżał się punkt kulminacyjny. Obaj przeciwnicy stali, z kieszeni ich ubrań przebijało światło Kart Białego Orła. Emory zapiał na nich ze swojej gałęzi. Kiedy pierwszy mężczyzna ruszył do ataku, Ravyn przyjął cios w brzuch, po czym odepchnął go jak psa.

Drugi – ten, który uderzył Emory’ego – rzucił się do przodu. Ravyn odparł atak, chwytając go za łokieć. Chwilę później mężczyzna wydał z siebie przeraźliwy krzyk, jego ramię zostało wykręcone pod dziwnym kątem.

Wpatrywałam się w kapitana kawalerzystów, samotnego i zwycięskiego, pochylającego się nad mężczyznami. Nie słyszałam, co do nich powiedział, ale nie umknęło mi, że skupili się w jednym miejscu, jakby pokonani, i ze strachu nie byli w stanie albo po prostu nie chcieli wstać.

Ravyn stał nad nimi z otwartą dłonią, czekając.

Koszmar pochylił się do przodu, wyostrozając mój wzrok. Patrzyliśmy, jak obydwaj mężczyźni, posiniaczeni i zakrwawieni, kładą na jego wyciągniętej dłoni swoje Karty Białego Orła.

W chwili, gdy Karty zetknęły się ze skórą kapitana, białe światło zniknęło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*Ostatnią z Kart Opatrzności, zapragnąłem mieć blisko siebie,
By była w pogotowiu, na każde me skinienie.
Jej sekrety zakopane tak jak złoto w smoczej jamie.
Nie zdradziła mi niczego – Nic o cenie, o wymianie.
Jednak zbyt długo cierpiałem, krwi za wiele upuściłem.
„Wszystko oddam za tę kartę”, wykończony oznajmiłem.*

*Sól zalała moje nozdrza, doszedł mnie jej wściekły ryk.
Obudziłem się w komnacie, z całą talią w rękach mych.
Wszystko dla was to zrobiłem, krwią i ciałem okupiłem.
Karty składam wam na ręce, moje dzieło, moje serce.
I choć nadszedł koniec ofiar, koniec spotkał również mnie.
Bo choć Talię sam stworzyłem, nie użyłem nigdy jej.*

Zanim się zorientowałam, ruszyłam do przodu, a konfundowanie, złość, kompletne oszołomienie walczyły o dominację w mojej głowie i piersi. Kiedy się zbliżyłam, usta Ravyna wygięły się w półuśmiechu, który jednak natychmiast zniknął, gdy tylko zobaczył wyraz mojej twarzy.

– Co się stało? – zapytał.

– Wiem, czym jesteś – powiedziałam, oskarżycielsko wymierzając palec w jego twarz.

Kapitan się wyprostował. Nie dostrzegłam w nim ani złości, ani strachu, tylko cichą inteligencję. Podszedł bliżej, zmniejszając dystans między nami. Kiedy się odezwał, jego głos był cichy.

– Doprawdy?

– Kim jest ta piękna dama? – zapytał Emory, zrywając gałązkę jarzębiny i odrywając z niej liście, jeden po drugim. – Ja myśleć, że jest leśnym duchem. O nie! Królem! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Czarnym charakterem.

– Emory! – warknął Ravyn, spoglądając na brata przez ramię. – Zabawiłeś się, wystarczy. A teraz się zamknij.

– Przecież powiedziałem, że jest ładniutka, prawda? – Chłopiec zaczął dziko wymachiwać gałęzią. Po chwili zaklął, gdy ugodził się w oko.

– Dobrze, już dobrze – odezwał się Elm, wychodząc zza żywopłotu, z Sierpem w dłoni. – Czeka nas dużo picia, czyż nie, mój chłopcze?

Emory pacnął kuzyna gałęzią.

– Odejdź ty i twoja karta, Rrrrenelm. Nie jestem dzieckiem, którym trzeba się zajmować.

Kiedy Elm spojrział na mnie i Ravyna – na nasze wyprostowane jak struny plecy i ściągnięte usta – uśmiechnął się z udawanym poczuciem winy.

– Wasza dwójka ma kilka spraw do przedyskutowania. Ja zajmę się bestią.

– Bestią? – Emory ponownie zaczął się wspinać po jarzębinie. – Jestem Emory Tydus Yew. Syn wojowników, przodek potężnych mężczyzn, zwiastun wszystkiego, co dopiero nadch...

Spadł z drzewa z głuchym łoskotem, a Elm zarechotał.

– Chodź ze mną – zawołał Ravyn, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Zdołałam zobaczyć, że mięśnie jego szczęki były napięte.

Podążyłam za nim w górę ścieżki, głośno tupiąc, słowa wylewały się ze mnie potokiem.

– Najpierw Karta Koszmaru, teraz to. Zaczynam mieć dosyć twoich kłamstw polegających na pomijaniu istotnych informacji, kapitanie.

Ravyn nie odpowiedział. Odgłosy Ekwinokcjum – śmiech i muzyka – zaczęły przybierać na sile. Jednak zanim dołączyliśmy do tłumu, Ravyn zszedł ze ścieżki, kierując się pod rzucający cień klon.

Nie miałam innego wyjścia, jak podążyć za nim.

– To, czego nie potrafię zrozumieć – zaczęłam, odtrącając gałęzie, dopóki nie znaleźliśmy się twarzą w twarz – to to, jak udaje ci się prowadzić to życie. Jesteś kapitanem pieprzonych kawalerzystów. Myślałam, że ty ze wszystkich ludzi będziesz najbardziej nieskazitelny. – Zamilkłam, moje słowa przepełniała wściekłość. – Ale nie jesteś, czyż nie? Jesteś zainfekowany.

– Mów ciszej, do cholery – ostrzegł, górując nade mną.

Gdzieś z tyłu mojej głowy zawyły dzwonki alarmowe. Całe życie starałam się nie zwracać na siebie uwagi, nie wspominając o wzbudzaniu gniewu kawalerzysty. Ale bez względu na to, jak głośno wyły, zostały zagłuszone przez zupełnie inny hałas.

Wściekłość.

– No więc? – wycedziłam przez zęby. – Jesteś zainfekowany czy nie?

Ravyn odwrócił wzrok. Milczał dłuższą chwilę, jego usta tworzyły cienką linię. Wreszcie się odezwał:

– Jestem.

– Król wie?

– Tak. – Przystąpił z jednej nogi na drugą, krzyżując ramiona na piersi. – Byłabyś zaskoczona, ile sekretów skrywa mój wuj.

– W takim razie kim lub czym dla niego jesteś? Jego magicznym pupilkiem? W zamian za służbę otrzymałeś prawo do normalnego życia, podczas gdy reszta z nas, naznaczonych infekcją, jest zmuszona egzystować w tajemnicy, z plutonem egzekucyjnym czyhającym za każdym rogiem miasta?

Ravyn wzdygnął się, zwężając oczy.

Mimo to mówiłam dalej, czując, że krew się we mnie gotuje.

– Kiedy byliśmy w piwnicy, światła bijące z twoich Kart migotały. Nie rozumiałam tego, aż do teraz. – Mój wzrok zatrzymał się na jego dłoni. – Białe Orły. Gdy tylko ich dotknąłeś, ich światło zgasło. – Przyjrzałam się jego twarzy, mając wrażenie, że widzę go tak naprawdę po raz pierwszy w życiu. – Na czym polega twoja magia?

Ravyn spojrzał na mnie przelotnie. Przechylił dłoń, w której trzymał Karty, pozwalając im spaść.

W chwili gdy Białe Orły straciły kontakt ze skórą Ravyna, ponownie zaczęły emanować blaskiem. Zamrugałam, oślepiona bijącą od nich łuną. Karty leciały w dół, świecąc w ciemności niczym latarnie morskie. Upadły dokładnie między naszymi stopami, jarząc się tak samo intensywnie, jak każda inna Karta Opatrzności.

Patrzyłam na nie, mój oddech przyspieszył.

Koszmar zrozumiał to szybciej ode mnie. Złapał mój umysł w swoje szpony i utkwiał spojrzenie w Ravynie tak, jakby też widział kapitana po raz pierwszy.

Dwanaście Kart Czarnego Konia, chociaż kawalerzystów jest trzynastu, wyszeptał. Widziałas go kiedyś z Czarnym Koniem? Nie, ponieważ nie może z niej korzystać. Nie jest w stanie uruchamiać magii Kart Opatrzności. A przynajmniej niektórych z nich.

Wbiłam wzrok w Ravyna, białe światło rzucało na jego twarz nowe cienie.

– Nie możesz ich używać?

Twarz Kapitana nie wyrażała niczego.

– Nie. Ale działa to też w drugą stronę. Nie można ich użyć przeciwko mnie. Na tym polega moja magia. Karty takie jak Kielich czy Sierp na mnie nie wpływają.

Moje myśli wirowały niczym liście podczas wichury.

– Ale przecież widziałam Karty w twojej kieszeni. Kiedy zawiązałeś mi oczy, widziałam ich światła. Używałeś też przy mnie Lustra i Koszmaru.

Pochylił się, by zgarnąć z ziemi Białe Orły, po czym schował je do kieszeni.

– Karty w kontakcie z moją skórą tracą swoją moc. Lustro i Koszmar, i być może Bliźniacze Olchy, to jedyne, których nadal mogę używać.

– Dlaczego tylko tych? – Nadal nie rozumiałam.

Na jego twarzy pojawiła się wyraźna frustracja. Otworzył usta, chcąc mi odpowiedzieć, ale dobiegający zza klonów chichot sprawił, że szybko je zamknął.

Odwróciłam się. Niewiele widziałam przez usiane liśćmi gałęzie. Dworzanie przeszli ścieżką, nieświadomi naszej obecności, ich głosy były donośne i nieskrępowane, kiedy tak przechodzili przez ogrody.

Ravyn odczekał, aż nas miną. Pochylił się ku mnie na tyle blisko, by móc szeptać mi do ucha.

– To nie jest ani czas, ani miejsce na tego typu rozmowę, panno Spindle.

Z tymi słowami precyzyjnie przesunął się obok mnie i wyszedł spod naszego drzewnego azylu, kierując się z powrotem na ścieżkę.

Zamierzał mnie uciszyć – zapewne chciał zakończyć rozmowę na temat jego infekcji. Jednak było zbyt wiele niewiadomych, za dużo niedopowiedzeń. Zacisnęłam dłonie w pięści, podążając za nim w kierunku centralnej części ogrodu, gdzie zabawa trwała w najlepsze.

Nie zważając na nic, chwyciłam go za materiał tuniki i pociągnęłam. Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Był jak potężne ptaszysko spoglądające na swoją ofiarę. Jednak zanim zdążył się odezwać – uwalniając całą nagromadzoną frustrację – ktoś zawołał moje imię.

– Elspeth!

Zerknęłam ponad ramieniem Ravyna, rozpoznając zbyt donośny głos Dimii. Stała z grupą dziewcząt kilka kroków od nas. Kiedy na nią spojrzałam, pomachała mi, rozlewając wino z trzymanego kielicha. Uniosła suknię i pospiesznie ruszyła w naszym kierunku. Za nią, niechętnym krokiem, podążyła Nya, której zazwyczaj zwężone i przenikliwe niebieskie oczy miały szklisty wyraz.

Ravyn przewrócił oczami, przeklinając pod nosem.

– Złap mnie za rękę.

Szybko spojrzałam na jego twarz. Twarz, którą w tym momencie miałam ochotę rozszarpać na kawałki.

– Co?

– Mamy się do siebie zalecać – warknął, przysuwając się do mnie. – Czy może już zapomniałaś?

Moje siostry dzieliło od nas już tylko kilka kroków. Nie było czasu do namysłu. Wsunęłam dłoń w wyciągniętą wierzchem do góry rękę Ravyna. Poczułam ucisk w gardle, gdy splótł swoje palce z moimi. Jego skóra była szorstka, odciski drażniły delikatne ciało między palcami.

Odwróciliśmy się, stając twarzą w twarz z moimi przyrodnymi siostrami.

– Nya, Dimia – odezwałam się. – Dobrze się bawicie?

Bliźniaczki trzymały na wpeł opróżnione szklanki, wstążki luźno zwisały z ich włosów, a policzki pokrywały czerwone plamy. Niestety, moje przyrodnie siostry mogły być lekko podpite – ale z pewnością nie były ślepe. Ich spojrzenia przeskakiwały ze mnie na Ravyna i nasze splecione ze sobą ręce. Dimia wytrzeszczyła oczy, z jej ust wymknął się mrozący krew w żyłach pisk.

Nya nie odezwała się ani słowem, tylko wpatrywała się w nas z rozdziawioną buzią – jak ryba, której brakuje tlenu.

– Wygląda na to, że ty też nieźle się bawisz, Elspeth – zwróciła się do mnie Dimia, szturchając w bok siostrę bliźniaczkę.

Nya zamrugała, jej spojrzenie znów wędrowało pomiędzy mną a Ravynem.

– Ale jak... Co wy...

– Właśnie zamierzaliśmy zatańczyć – przerwał jej Ravyn. – Bardzo mi miło was widzieć – dodał, nie brzmiąc na ani trochę zadowolonego ze spotkania, po czym odciągnął mnie od przyrodnych sióstr wprost w tańczący tłum.

Taniec dopiero się zaczął, lutnie i bębny wybijały jednostajny rytm. Wsunęliśmy się pomiędzy bawiących się gości, jego ręka nadal zaciskała się na mojej. Nie umknęło mi kilkanaście spojrzeń rzuconych w naszym kierunku, szepty podążały za naszymi krokami.

Zacisnęłam zęby, czując, że znowu budzi się we mnie wściekłość, gdy zaczęliśmy tańczyć. Nie chciałam kołysać się w rytmie melodii, żeby ułagodzić moje siostry, a już na pewno nie zamierzałam brać udziału w zabawie.

Jedynym powodem, dla którego trzymał mnie za rękę przed połową mieszkańców Blunder, było powstrzymanie mnie od zadawania dalszych pytań.

Wokół nas narastały szepty, ich jednostajny szum rywalizował z rytmiczną melodią.

– Czy to naprawdę jest konieczne? – zapytałam, kiwając się do muzyki, moja suknia wirowała, gdy przechylaliśmy się z jednego boku na drugi.

Ravyn spojrział na mnie. Poczulałam, że przyciska rękę do mojego krzyża.

– Zaufaj mi – powiedział. – Udawanie to zaledwie połowa pracy.

Odpowiedziałam spojrzeniem.

– Ale ja ci nie ufam, kapitanie. Jak mogę ufać mężczyźnie, który nie był ze mną szczery?

Taniec zwolnił, muzyka chyliła się ku końcowi. Ravyn przesunął powoli rękę z mojego krzyża w górę kręgosłupa o wiele wolniej, niż by wypadało. Kiedy nachylił się ku mnie, jego szczeka otarła się o moje ucho.

– Przyznanie się do knucia i zdrady stanu w ciągu jednego dnia wydaje się całkiem szczerym zachowaniem, panno Spindle – wyszeptał.

Piosenka zakończyła się triumfalną kakofonią, po której nastąpiły pijackie oklaski. Ręka Ravyna zsunęła się z moich pleców. Kiedy puściliśmy swoje dłonie, kapitan przejechał zeszywniałą ręką po swoich czarnych włosach. Szarymi oczami bacznie przyglądał się rumieńcom na mojej twarzy, zmarszczonym brwiom i zaciśniętym ustom.

Nic nie powiedział.

Powietrze było wręcz ciężkie, a tę duchotę podsyczał tłum i milczenie Ravyna Yewa. Uniosłam brwi i przez chwilę piorunowałam go wzrokiem, po czym wycofałam się w stronę zamku.

Natknęłam się na Emory’ego i Elma niedaleko wielkiej sali, w drodze do pokoi Emory’ego zrobili sobie przystanek na napicie się wina.

Kiedy Elm mnie zauważył, uśmiechnął się promiennie, uniósł kielich, jakby wznosił toast.

– Za króla i królową balu. Wygląda na to, że się pogodziliście.

Zignorowałam go, pocierając kark, jakby miało to zetrzeć palący rumieniec. Mój wzrok padł na najmłodszego z rodzeństwa Yew, który zsunął się ze swojego krzesła. Kiedy mnie zobaczył, otworzył szeroko szare oczy.

Chłopak odezwał się, cytując *Starą Księgę Olch* i machając palcami, niczym dyrygent niewidzialnej orkiestry:

– Strzeż się ciemnej nocy. Unikaj przerażenia. Uważaj na głos, który nadchodzi z mrocznego cienia.

– Emory, daj już spokój – wyjęczał Elm.

Gdy w odpowiedzi uśmiech Emory’ego się pogłębił, poczułam, że unoszą mi się włoski na karku. Nagle nabrałam pewności, że w chwili gdy jego ręka dotknęła mojej na schodach, Emory Yew, z jego niezwykłą i mroczną ciemnością, poznał wszystkie moje sekrety.

– Owija się i woła. Uważaj na głos, który nadchodzi z mrocznego cienia.

Zanim zdołałam się odezwać – czy chociażby zadrzeć – Emory zachwiał się i zgięty wpół, zaczął kaszleć krwią.

J a k a s z k o d a, skomentował Koszmar. A już zaczynałam go lubić.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Więzy Blunder są silne.

Rodzina, magia, królestwo. Trzymają nas razem, uziemiając, niczym sizalowe liny, które pozostawiamy we mgle, żeby odnaleźć drogę powrotną do domu. Sól, krew, kamień. Zbierz wszystkie trzy i trzymaj je przy sobie.

Więzy Blunder są silne.

Galopujące konie zwolniły dopiero, gdy dzieliły nas jakieś dwa kilometry od Stone, tuż za pierwszym wzgórzem. Dopiero wtedy upiorne echo Ekwinokcjum ustąpiło odgłosom jadącej karety należącej do rodziny Yew.

To nie było łatwe pożegnanie. Ciotka przytuliła mnie ze łzami w oczach, chociaż obiecałam jej, że niedługo wrócę. Wuj odciągnął mnie na bok, mamrocząc pod nosem, jaki to cud, że rodzina Yew w ogóle dowiedziała się o moim istnieniu, nie mówiąc już o umożliwieniu zalotów. Udali się po Ione, ale nie czekałam, żeby się z nią pożegnać. Nie byłabym w stanie skłamać kuzynce. Udawać przed nią zadurzonej w Ravynie dziewczyny, a już na pewno nie byłabym w stanie udawać, że jej zaręczyny z Hauthem Rowanem mnie nie przeraziły.

W dodatku nie dałabym rady zmierzyć się z jej nowym wyglądem wywołanym Kartą Dziewicy. Jej magia całkowicie zmieniła tę Ione, z którą dorastałam.

Moi sprzymierzeńcy nie radzili sobie lepiej. Emory wypłuł jeszcze więcej krwi i szlochał niepokieszony, kiedy w końcu przypomniał sobie, dlaczego nie może wrócić z nami. Elm zaoferował, że zostanie i go pocieszy, szczególnie, że Sierp był najlepszym sposobem na zapewnienie chłopcu odpoczynku, którego tak desperacko potrzebował.

Siedziałam w milczeniu, gdy podążaliśmy wiejską, wyboistą drogą prowadząca ze Stone do miasteczka, nie wiedząc która jest godzina. Byłam wyczerpana – zmęczona i samotna, a podskakiwanie powozu uniemożliwiało odpoczynek. Chcąc poczuć coś znajomego, sięgnęłam w głąb umysłu w poszukiwaniu Koszmaru.

Siedział spokojnie w mojej głowie, zwinięty niczym kot na skraju mojej świadomości, cichy.

Siedząca naprzeciwko mnie Jespyr oparła głowę o ramię swojej matki, zamykając oczy. Fenir zajął miejsce z drugiej strony i wpatrywał się w czerń majaczącą za oknem powozu.

Z kolei ja miałam nieprzyjemność, zapewne za sprawą jego siostry, dzielić siedzenie z Ravynem. Siedzieliśmy w mrożącej krew w żyłach ciszy, trzymając się od siebie tak daleko, jak to możliwe w tak małej przestrzeni. Nie spojrzałam na niego ani razu, od kiedy opuściliśmy królewskie ogrody. Jednak to nie zmniejszyło mojego niepożądanego i niewyjaśnionego gniewu, jaki odczuwałam do kapitana kawalerzystów i ściśle strzeżonych tajemnic. Nie mogłam też zapomnieć uczucia naszych splecionych palców czy tego, jak zachłysnęłam się letnim, przesyconym zapachem ogrodu powietrzem, kiedy Ravynem przyciągnął mnie do siebie.

Westchnęłam ciężko, próbując pozbyć się dziwnego trzepotania w piersi. Morette spojrzała na mnie, myśląc moje zdenerwowanie z niepokojem.

– Nasz dom jest stary i dziwny – zwróciła się do mnie ciepło. – Ale Zamek Yew jest bezpieczny. Będzie ci tam wygodnie.

Przez resztę drogi nikt się nie odezwał. Zanim koła uderzyły o miejski bruk, musiałam się szczytać, żeby nie zasnąć.

Powóz gwałtownie się zatrzymał.

Wpatrywałam się w ciemność. Ogrodzenie z kutego żelaza otaczało zamek stojący na szczycie wzgórza. Za płotem stały rzeźby, posągi i labirynt z żywopłotu, tonące w cieniu ogromnych, wiekowych cisów.

Fenir wyciągnął zza pazuchy kościany klucz i otworzył bramę na tyle, by powóz mógł swobodnie wjechać na teren posiadłości.

Wpatrywały się we mnie kamienne anioły i gargulce. Wzdrygnęłam się, przypominając sobie słowa ciotki, że Zamek Yew jest nawiedzony.

Wyszliśmy z powozu. Kiedy dotarliśmy do wysokich wzmocnionych drzwi, Fenir trzykrotnie uderzył otwartą dłońią w wiekowy dąb.

Przywitał nas służący, otworzywszy szeroko drzwi, gestem zapraszając do środka.

– Spodziewałem się was szybciej – powiedział, a na jego twarzy zamajaczyły cienie, wewnątrz było słabo oświetlone.

– Mieliśmy kłopoty z Emorym – odezwała się pełnym napięcia głosem Morette.

Służący skierował twarz w moją stronę. Był zaokrąglonym mężczyzną, mniej więcej mojego wzrostu, tęgim, z gęstymi siwymi brwiami, spoczywającymi nad dużymi, czujnymi oczami. Kiedy się do mnie odezwał, jego wąsy zadrżały.

– Witaj w Zamku Yew, milady. Nazywam się John Thistle.

– Elspeth. – Próbowałam odwzajemnić uśmiech, ale zamiast tego ziewnęłam.

– Musisz być wyczerpana – stwierdził Thistle. – Pozwól, że wskażę ci twój pokój.

Drzwi zamku zamknęły się z hukiem.

– Zaprowadzę ją – odezwał się Ravyn.

Sięgnął po stojący nieopodal świecznik i zaczął podpalać knoty, a gdy czekał, aż chwyci je ogień, cienie tańczyły na jego twarzy – czoło, nos i szczęka rysowały się jeszcze ostrzej w przyćmionym świetle. Oczy miał zmrużone i chłodne.

Przeszedł przez korytarz, mijając dogasający kominek, zmierzał w kierunku długich, krętych schodów, po raz kolejny nie pozostawiając mi innego wyboru, jak tylko podążyć za nim. Szłam ciężkim krokiem, spojrzeniem ciskając w niego gromy. Miałam ochotę krzyknąć, zderzyć z niego tę maskę opanowania, ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Słów skradzionych przez dzień i pogrzebanych przez noc.

Znużenie było królem, a ja jego wiernym poddanym.

Ravyn poprowadził mnie ciemnym korytarzem z ciągnącymi się na całą jego długość niepokojącymi portretami, po czym przeszedł przez drzwi znajdujące się na samym końcu. Koszmar zaczął węszyć, zgrzytając zębami, podczas gdy ja rozglądałam się po otoczeniu. Źrenice mojego lokatora rozbłysły, rozpraszając mrok panujący w zamku.

Zatrzymaliśmy się na końcu długiego korytarza wypełnionego pokojami. Ravyn otworzył drzwi, zawiasy zaskrzypiały zapraszająco. Odwróciłam się, chcąc zamknąć drzwi, ale kapitan nadal stał w progu ze ściągniętymi brwiami.

– Coś jeszcze? – Mój głos zabrzmiał ostro.

Przejechał dłonią po szczęce, kręcąc gwałtownie głową.

– Nie zamierzałem być bezduszny, panno Spindle – powiedział z trudem. – Udaję przez tak długi czas, skrywając poszczególne części siebie, swoją magię, tak głęboko, że zapomniałem, jak o nich mówić. – Napotkał moje spojrzenie, szukając w moich oczach czegoś, czego nie umiałam nazwać. – Czy może pani to zrozumieć?

Mogłam. Lepiej niż większość ludzi. Czy od samego początku naszej znajomości nie ukrywałam przed Ravynem mojej zdolności do wchłaniania Kart Opatrzności? Czy nie okłamałam jego rodziny, mówiąc, że to ja widzę Karty, podczas gdy robił to za mnie pięćsetletni potwór mieszkający w mojej głowie? Ja również nie zdradzałam swoich sekretów, omijając prawdę przez niedomówienia. Mrocznych, niebezpiecznych tajemnic.

Być może właśnie dlatego Ravyn Yew tak mnie rozwścieczył.

Łatwiej mi było go nienawidzić za skrywanie sekretów i brak szczerości, niż przyznanie się, że dokładnie z tych samych powodów nienawidzę samej siebie.

A jednak nie mogłam mu tego powiedzieć, kiedy tak trudno przyznawałam to nawet przed sobą.

Ruszyłam do przodu, zmuszając Ravyna do wyjścia z pokoju, czym zdobył się na uprzejmość, której wobec niego nie czułam.

– Twój dom wydaje się bardzo odosobniony, taki stojący na skraju miasta, blisko lasu. Z dala od ciekawskich oczu.

Z uniesionymi brwiami Ravyn błędził spojrzeniem po mojej twarzy, jak gdybym mówiła w obcym języku.

– I co w związku z tym?

Czułam satysfakcję, obserwując, z jakim trudem próbował zrozumieć, o co mi chodzi. Ugodził w moją dumę, a teraz ta sama duma domagała się krwi.

– To pozbawi nas ciężaru udawania zalotów, które, jak rozumiem, są dla ciebie odrażające. – Mój uśmiech nie sięgnął oczu. – Tutaj, z dala od plotek, nie musimy udawać, że jesteśmy dla siebie kimkolwiek.

Ravyn nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Jeśli moje słowa w jakimś stopniu go dotknęły, nie dał tego po sobie poznać. Pochylił się do przodu.

– A kim dla siebie jesteśmy, panno Spindle?

Intensywność jego spojrzenia zmusiła mnie do zrobienia kroku w tył.

– Nikim – oznajmiłam, po czym dodałam na złość: – Czy nie tego chciałeś?

Coś błysnęło w szarych oczach Ravyna. Nie gniew – ale równie silna emocja. Przez moment na jego nieruchomej twarzy zamajaczyło napięcie. Mocniej zacisnął palce na trzymanym świeczniku, jego ramiona były sztywne, a ciało napięte jak struna i skupione całkowicie na mnie.

Ale nic nie powiedział – nie zaoferował żadnego wyjaśnienia, nie zaprzeczył moim słowom.

Jego milczenie było kroplą, która przelała czarę goryczy. Pałący ból przeciął moje wnętrze. Chcąc zranić jego, tylko bardziej zraniłam samą siebie.

– Tak właśnie myślałam – warknęłam, trzaskając drzwiami przed nosem kapitana kawalerzystów.

Sen był duchem, który wymknął się, gdy tylko się obudziłam i znikł w chłodnym powietrzu nagromadzonym przez noc w moim pokoju. Owinęłam się kocami, bezskutecznie starając się zapaść ponownie w sen. Nie pozostało mi więc nic innego, jak leżeć, niespokojna, zmarznięta i przerażona nadchodzącym dniem. Nie tylko przerażona, ale i pełna nadziei.

Zasnęłam w swojej sukni balowej. Kiedy usiadłam, na moich ramionach w miejscach, w których tkanina wbiła się w skórę, zarysowały się linie.

W pokoju panowała ciemność, zasłony były zaciągnięte, a mimo to mój wewnętrzny zegar wskazywał, że świt już dawno minął. Rozejrzałam się dookoła

zaczerwienionymi oczami.

– Przydałaby mi się mała pomoc – powiedziałam na głos.

Nie odpowiedział od razu. *Nie możesz tego zrobić sama?*

I pozbawić cię przyjemności napawania się moją bezradnością?

Koszmar prychnął. Chwilę później, jakby z tyłu mojej głowy nacisnął przełącznik, moje źrenice rozszerzyły się jak u kota, ujawniając kształt pokoju – kontury mebli i niewielkie smugi światła przebijające przez zasłony.

Zeszłej nocy nie zwracałam zbytnej uwagi na wygląd sypialni, tylko rzuciłam się na łóżko, zapadając w sen tuż po tym, jak trzasnęłam drzwiami przed twarzą Ravyna Yewa. Pomieszczenie było małe, ale bogato zdobione, wyposażone w eleganckie meble – ramę łóżka ozdobiono delikatnymi zawiasami. Stojące w rogu krzesło zostało obite zielono-złotym brokatem. Na mahoniowym gzymsie wyrzeźbiono orła z rozchylnym dziobem i zakręconymi szponami. Zasłony były w kolorze intensywnej purpury, natomiast dywan utkany w misterny pejzaż, przedstawiający rycerza w złotej zbroi dosiadającego czarnego konia. Wpatrywałam się w obraz na dywanie, wciąż na wpół zaspana, przyglądałam się mężczyźnie na koniu. Nie widziałam jego twarzy – przyłbica została opuszczona. Najbardziej uderzyła we mnie jego złota zbroja.

Nawet utkana z wełny była lśniąca, złota, przepiękna.

Pukanie do drzwi wyrwało mnie z rozmyślań. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, drzwi od mojego pokoju stanęły otworem, a w moją stronę ruszył ktoś z parą ciężkich butów na nogach.

– Elspeth. O cholera, przepraszam. Myślałam, że już nie śpisz.

Jespyr.

– Nie śpię. – Odchrząknęłam.

Zamilkła na moment.

– I tak po prostu sobie siedzisz? W ciemnościach?

Niezupełnie.

– Właśnie wstawałam.

Jespyr weszła do pokoju, ciągnąc coś za sobą. Kiedy odsunęła zasłony, a szare światło poranka zalało pokój, upuściła tajemniczy przedmiot w nogach łóżka.

Mój kufer wypełniony wszystkimi ubraniami, które zabrałam ze sobą na Ekwinokcjum.

– Dziękuję. – Zamrugałam, oślepiona światłem, po czym zwiesiłam nogi z łóżka. Wskazałam na dywan. – Jespyr, kto to jest?

Jej wzrok spoczął na mężczyźnie w zbroi.

– Podobno to król Shepherd. Mamy mnóstwo jego podobizn w zamku, gromadzonych przez kolejne pokolenia Yewów.

Zmarszczyłam brwi, wpatrując się w wełnę. Wbijałam wzrok w mężczyznę w złotej zbroi, czując się jak w moim śnie, który miałam przed Ekwinokcjum. Odbicie w wodzie było zbyt niewyraźne, żebym potrafiła rozpoznać rysy jego twarzy.

Koszmar usadowił się za moimi oczami, wymownie milcząc, czujny.

– Mam dla ciebie coś jeszcze – zwróciła się do mnie Jespyr, nie wspominając ani słowem o tym, że nadal miałam na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Wyciągnęła kopertę z kieszeni. – Przyszła dziś rano.

Po pospiesznych bazgrołach i plamach atramentu w miejscach, gdzie niedbale rzuciła pióro, natychmiast rozpoznałam znajome pismo.

List był od ciotki.

Rozdarłam kopertę, nagle boleśnie tęskniąc za domem.

Kochana Elspeth.

Cieszę się, choć nie ukrywam, że równie mocno zaskoczyła mnie Twoja przyjaźń z Ravynem Yewem. Wydaje się niezwykle, poważnym mężczyzną. Jednak rodzina Yew jest powszechnie szanowana, a jego matka Morette, to dobra kobieta. Modłę się, byś poczuła się w ich towarzystwie jak w domu.

Z Tobą w Zamku Yew i Ione, która wraz z Twoim wujem pozostała na królewskim dworze, Hawthorn House jest niezwykle cichy. Chciałabym cofnąć czas – żebyśmy zdecydowali się nie iść na Ekwinokcjum, żeby wszystko pozostało bez zmian. Ale to są tylko wynurzenia starej kobiety, która musi iść swoją drogą. Elspeth, pamiętaj, że jeśli ktokolwiek miałby zasługiwać na zmianę otoczenia, to właśnie Ty.

Bądź bezpieczna, moja kochana. I jeśli możesz, oddaj przysługę starej kobiecie – uważaj w Zamku Yew. Żyje tam stara magia.

Podpisała list znajomym mottem mieszkańców Blunder.

Bądź ostrożna. Bądź sprytna. Bądź dobra.

Opal

Z ciężkim sercem, bawiłam się postrzępionymi końcami pergaminu.

Martwi się.

W s z y s c y m a m y s w o j e z m a r t w i e n i a, odpowiedział wyraźnie znudzony Koszmar.

Dobrze, że tu przyjechałam, powiedziałam. To była właściwa decyzja. Pomoc w znalezieniu Kart... pomoc Emory'emu, mnie po tylu latach ukrywania się u Hawthornów... tak należało postąpić.

Próbujesz przekonać mnie czy siebie?

Łóżko zatrzeszczało, kiedy Jespyr padła na materac całym ciężarem ciała.

– Złe wieści?

– List od mojej ciotki. Musiała go napisać, gdy opuściliśmy Stone wczoraj wieczorem. – Pokręciłam głową.

– Trzyma cię na krótkiej smyczy, prawda?

Znowu pokręciłam głową.

– Nigdy nie byłam zależna od niej. Po prostu się martwi. – Zamilkłam, a po chwili dodałam: – Wszystko się zmieniło. Ione jest zaręczona z księciem. Ja jestem tutaj, knując z twoją rodziną. – Zmarszczyłam nos. – Martwię się o Ione, o ciotkę, o to, że zostanę złapana. Wszystkim.

W świetle dnia, w brązowych oczach Jespyr zaśniły złote drobinki, jej tęczęwki miały bursztynowy odcień, tak odmienny od księżycowej szarości bijącej ze spojrzenia Ravyna i Emory'ego. Jej ciemne włosy były pofalowane, kilka niesfornych loków okalało jej twarz. Miała o wiele krótszą fryzurę, niż było to modne, jej kosmyki zostały związane na karku skórzanym sznurkiem. Tunika w kolorze głębokiej zieleni obszyta białą nicią, luźno układała się na jej drobnej sylwetce.

Kiedy posłała mi swobodny uśmiech, nie mogłam się powstrzymać i odwzajemniłam się tym samym.

– Ja też się martwię. – Oparła się na rękach. – Martwię się o Emory'ego. O Elma i Ravyna i siebie. O to, że król albo Hauth, albo kawalerzyści odkryją nasze podwójne życie. O to, że zostaniemy pojmani. Nieustannie się martwię.

– Jak sobie z tym radzisz?

Wzruszyła ramionami, opierając kostkę w brudnym bucie na drugiej nodze.

– Mówię sobie, że jestem silniejsza niż moje wątpliwości, że jestem dobra. Nawet jeśli nie zawsze tak czuję. – Chciała dodać coś jeszcze, ale szybko ugryzła się w język. Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się we mnie, jej spojrzenie utkwilo w mojej twarzy.

Poruszyłam się niespokojnie.

– Jespyr?

– Przepraszam – wymamrotała, mrugając. – Światło płata mi figle. Przez chwilę wydawało mi się, że twoje oczy są żółte.

Potrzebowałam całej swojej wieloletniej praktyki, żeby zachować niezmienny wyraz twarzy. Zamrugałam, a z moich ust wymknął się nerwowy chichot.

– Dziwne.

Jespyr zdawała nie zauważyć mojego niepokoju.

– Wszystko fajnie, ale zapomniałam o moim zadaniu. Elspeth, miałam przyjść po ciebie.

– Och?

– Sylvia Pine i jej córki wracają wcześniej z Ekwinokcjum. Moja mama rozmawiała z nią wczoraj wieczorem i zaprosiła ją, by w drodze powrotnej ze Stone przyjechały na herbatę. – Wstała i zaczęła chodzić lekkim krokiem, podekscytowana. – Ty i ja dołączymy do nich.

N a d r z e w a, wymamrotał Koszmar, stukając pazurami. C z y ż b y ś m y o d t e r a z m i e l i z a b a w i a ć s i ę w h e r b a t k i z p o s p ó l s t w e m ? M ó w i ł a ś, ż e d o ł ą c z e n i e d o t y c h g ł u p c ó w b ę d z i e n i e b e z p i e c z n e. A l e n i e w s p o m i n a ł a ś n i c o t o r t u r a c h.

Zrobiłam wymowną minę.

– Jak blisko jesteś z Pine’ami?

– Wcale – odparła, odganiając lok z twarzy. – Sylvia to odrażająca kobieta. Jej córki są znośne, o ile uda nam się znaleźć wspólny temat. – Wskazała na siebie, swoją tunikę, legginsy i zabłocone buty. – Jak widzisz, nie mam z nimi wiele wspólnego.

– Nie rozumiem, jak miałabym pomóc. Nie jestem... zbyt gadatliwa.

Koszmar prychnął mi do ucha.

– Och, ale tym razem – zaczęła Jespyr – będziemy miały o czym rozmawiać. – Widząc moje puste spojrzenie, zaśmiała się. – Cały czas zapominam, że nie masz pojęcia, co się dzieje.

– A czyja to wina? – Skrzyżowałam ręce na piersi.

Posłała mi ostrożny uśmiech.

– Racja. Wybacz. – Odchrząknęła. – Moja mama zaprosiła panie Pine, ponieważ istnieje duże prawdopodobieństwo, że jej mąż Wayland jest w posiadaniu Karty Żelaznej Bramy. Sylvia może i jest małomówną staruszką, ale jej córki, dzięki drzewom za ich proste serca, to rozkoszne gaduły.

Uniosłam brwi.

– A jeśli zdradzą nam, gdzie ich ojciec trzyma Żelazną Bramę...

Usta Jespyr wygięły się w zaraźliwym uśmiechu.

– ...będziemy o krok bliżej w jej zdobyciu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Karty Opatrzności są darem.
Ich magia jest ograniczona.
Ani one, ani ci, którzy z nich korzystają, nie ryzykują wynaturzeniem.
Mimo to bądź ostrożny.
Bądź mądry. Bądź dobry.
Nie ma nic za darmo, w szczególności magii.
Karty Opatrzności są darem.*

Wraz z Morette i Jespyr czekałam w salonie. Strategicznie wybrałyśmy miejsca, siadając co drugie krzesło przy wielkim okrągłym stole. Miałam na sobie ciemnoszarą sukienkę, na którą narzuciłam zrobiony przez ciotkę biały szal z wyhaftowanym na środku drzewem głogu. Owinęłam się nim, rozkoszując się jego ciepłem i zapachem.

Siedząca naprzeciwko mnie Jespyr, szarpnęła za kołnierzyk z falbanką. Skoro żadne suknie nie wchodziły w grę, jej matka nalegała, żeby włożyła coś bardziej odświętnego niż jej zwykły strój, który Morette określiła jako „wełniane ubranie nieprzystające chłopcu stajennemu”.

Oczy Morette rozbłysły, gdy spojrzała na córkę. – Czy ty pijesz?

Jespyr szybko schowała pod stół piersiówkę.

– Nie.

– Nie ma nawet południa!

– Pomyśl o tym jak o lekarstwie – oświadczyła Jespyr, a kiedy jej matka posłała jej mordercze spojrzenie, dziewczyna uniosła ręce w geście poddania. – Nie możesz oczekiwać, że wytrzymam w towarzystwie Sylvi Pine bez ani jednej kropli alkoholu.

– Nie będziemy musiały długo jej znosić, jeśli się zorientuje, że moja córka jest pijana.

Jespyr rzuciła mi piersiówkę. Złapałam ją, była schowana w małym skórzanym etui. Do moich nozdrzy doszedł zapach wina.

– Napij się – poradziła Jespyr. – Zaufaj mi, to pomoże.

Zerknęłam na buteleczkę, czując, że Morette wbija we mnie spojrzenie z drugiego krańca stołu.

No dalej, odezwał się Koszmar. Zgadza się na wszystko, byleś tylko ukróciła moje cierpienia.

Zamilcz, gburze.

Odkręciłam zakrętkę i przycisnęłam piersiówkę do ust. Wino było ciepłe, o wyrazistym bukiecie – zbyt mocne, jak na tak wczesną porę dnia – jednak przyjemnie paliło.

– Czy dołączy do nas ktoś jeszcze?

Jespyr rzuciła mi spojrzenie ze swojego końca stołu.

– Ktoś czyli kto? – Jej usta wykrzywiły się w figlarnym uśmiechu. – Może Ravyn?

Mocno cisnęłam w nią piersiówką. Jespyr chwyciła ją jedną ręką, kiepsko usiłując ukryć cisnący się na jej usta uśmieszek.

– Wcześniej rano wrócił do Stone. Kapitan nie ma czasu na odpoczynek.

Rozległ się odgłos zbliżającego się powozu. Jak jeden mąż zwróciłyśmy głowy w kierunku wejścia do salonu. Na zewnątrz końskie kopyta zastukały o kamień, koła się zatrzymały, konie zarżały, ale to wszystko zagłuszył donośny pisk, jak gdyby kilka osób walczyło ze sobą o haust powietrza.

Przybyły panie Pine.

– Pamiętajcie – zwróciła się do nas Morette – kluczem jest skrytość. Nie dawajcie im do zrozumienia, że jesteście zainteresowane Żelazną Bramą. Po prostu pozwólcie im mówić.

Służący otworzył drzwi do salonu z hukiem tak mocnym, że aż zatrzęsł się srebrny serwis do herbaty. Jon Thistle nie należał do delikatnych mężczyzn.

– Lady Silvia i jej córki, milady.

– Dziękuję, Jon – powiedziała Morette i uniosła brwi.

Kiwnięcie głową, uśmiech, delikatny gest w stronę stołu. Przedstawienie czas zacząć.

– Proszę usiąść, Sylvio. Farrah, Gerta, Maylene, proszę, rozgośćcie się.

Otoczyły nas panie Pine. Siedziałam pomiędzy lady Pine i jej środkową córką, Gertą. Jespyr zajęła miejsce pomiędzy najstarszą Farrah i najmłodszą Maylene, te dwie nie były starsze od moich przyrodniczych sióstr.

Przez krótką chwilę, kiedy krzesła przestały szurać, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, cisza w salonie była tak przytłaczająca, aż odnosiłam wrażenie, że zaraz nas zadusi. Rzuciłam Jespyr przerażone spojrzenie, ale ona – nieustraszona Jespyr Yew, jedyna kobieta zasilająca szeregi kawalerzystów – wyglądała na równie nieszczęśliwą co ja. Obgryzała paznokcie, zerkając dookoła jak przerażony królik.

Jon krzątał się wokół nas, nalewając herbatę. Jak na tak gwałtownego mężczyznę, nie uronił ani kropli naparu. Morette odchrząknęła.

– Jak podobało wam się Ekwinokcjum, drogie panie?

Lady Pine już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale zagłuszyły ją jej córki, które zaczęły przekrzykiwać się nawzajem, każda z nich przechwalając się lepszą historią z Ekwinokcjum od drugiej.

Zostałam przyszpilona przez Gertę, która pochyliwszy się w moją stronę, zaczęła szczegółowo opisywać, jak wyglądały jej trzy suknie, które miała na sobie w czasie Ekwinokcjum. Nie pomijając żadnego szczegółu i zdobienia poszczególnych kreacji. Nie miałabym nic przeciwko – są gorsze tematy niż ubrania – gdyby Koszmar nie zgrzytał non stop zębami.

Śmierć od tysiąca cięć byłaby łaskawsza, wyjęczał. Zapytaj, gdzie znajdziemy cholerną Żelazną Bramę, i miejmy to z głowy.

I zrzucić na nas podejrzenie, gdy Karta zniknie? To, że dużo mówią, nie znaczy, że są kompletnymi idiotkami.

Właśnie to czyni z nich idiotki.

Oparłam rękę na policzku, pilnując, żeby zachować neutralny wyraz twarzy.

– Mówiąc o pięknych sukniach – zwróciła się do mnie Gerta, po czym wzięła długi łyk herbaty – twoja kuzynka Ione wyglądała niesamowicie, kiedy ogłaszano jej zaręczyny. – Zmarszczyła czoło, słomkowożółte włosy opadły jej na oczy, więc odgarnęła je szybkim ruchem. – Nie przypominam sobie, żeby wcześniej prezentowała się tak dostojnie, a widziałam ją na dworze w ubiegłym roku.

Poczułam ciężar w brzuchu. Nie chciałam rozmawiać o wielu rzeczach, a już w szczególności nie chciałam dyskutować o Ione.

Czy to dlatego chcieli mojej pomocy? Żeby wykorzystać moje powiązania z Ione, aby porozmawiać o Kartach? Rzuciłam spojrzenie Morette. Wydaje się to trochę bezduszne.

Być może jest to rodzinna przypadłość.

Odwróciłam się w kierunku Gerty, unosząc filiżankę, i odezwałam się spokojnym głosem:

– Ione ma więcej szczęścia niż większość z nas. W prezencie zaręczynowym otrzymała Kartę Dziewicy.

Twarz Gerty rozpromieniła się, jej oczy się rozszerzyły, a usta wykrzywiły w uśmiechu. Plotka była tak soczysta, że zachowywała się, jakbym wręczyła jej klucz do bram miasta.

– Dostała Dziewicę?

– W rzeczy samej. – Sięgnęłam po półmisek ze słodyczami stojący na środku stołu, chociaż mój żołądek był tak ściśnięty, że nie byłam w stanie zjeść ani kęsa. –

To był jeden z warunków porozumienia, jakie zawarł mój wuj. Ofiarował królowi Kartę Koszmaru. Resztę widziałaś sama podczas Ekwinokcjum.

Gerta skinęła głową ze zrozumieniem.

– A ty, Elspeth? Sama też nieźle sobie poradziłaś. Zostałaś zaproszona do zamku, do którego większość z nas nigdy nie miała dostępu. – Wzięła kolejny łyk herbaty. – Czy twój ojciec poszedł w ślady twojego wuja i zaoferował kapitanowi kawalerzystów jakąś Kartę w posagu?

Zakaszlałam. Jespyr spojrzała na mnie z naprzeciwka. Po moich policzkach rozlał się nieproszony rumieniec.

– Nie jestem z nikim zaręczona – wykrztusiłam. – A już na pewno nie z Ravynem Yew.

– Oczywiście, że nie. – Gerta posłała mi porozumiewawczy uśmiech.

Hałas wokół stołu brzęczał mi w uszach, ale starałam się zignorować głosy pozostałych kobiet. Koszmar leniwie drapał mój umysł.

K o n t y n u u j, powiedział śliskim głosem.

Wzięłam głęboki wdech.

– Chociaż z drugiej strony – zaczęłam – mój ojciec otrzymał Kartę w ramach posagu mojej matki. Przypuszczam, że pewnego dnia ta Karta będzie moja. – Uśmiechnęłam się, mając nadzieję, że sprawiałam wrażenie tylko serdecznej, a nie nazbyt gorliwej rozmówczynie. – Czy twój ojciec ma odłożone Karty na twój posag?

Gerta odgryzła kawałek chleba i zasłoniła usta, zaczynając mówić:

– W teorii. – Przewróciła oczami. – Chociaż wydaje mi się, że tatuś za bardzo je lubi, żeby się z nimi rozstać. Zawsze nosi je przy sobie, dokądkolwiek się udaje. Jest jak chłopiec z zabawkami.

Moje serce przyspieszyło, natomiast twarz Gerty pozostała łagodna, a jej ton był konwersacyjny. Nie wyglądała, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała coś istotnego. Jej spojrzenie spotkało się z moim. Uniosła brwi, czekając na moją reakcję.

Byliśmy blisko.

– Kto mógłby go winić? – odpowiedziałam, herbata w mojej filiżance zaczęła niebezpiecznie chlupotać przez drżenie mojej dłoni. Odstawiłam filiżankę na stół. – Czy te Karty są bardzo rzadkie?

– Nie aż tak, żeby robił wokół nich aż tyle szumu – powiedziała zrozpaczonym głosem Gerta. – Po prostu nędzny Prorok. – Zacerpnęła powietrza, a ja zorientowałam się, że wstrzymuję oddech. – Ta i Żelazna Brama. Szkoda, prawda? Byłoby cudownie mieć Dziewicę tak jak Ione.

Uśmiechnęłam się do niej. Jednak tym razem nie udawałam.

– Tak, wielka szkoda.

Machałyśmy powozowi Pine'ów, dopóki nie minął posągów, opuszczając ręce dopiero, gdy zniknął w wieczornym cieniu, ciemniejszym od cisów majaczących przy drodze.

– Chodźmy – odezwała się Morette, jej usta wykrzywił szeroki uśmiech. – Fenir chciałby jak najszybciej wszystkiego się dowiedzieć.

Zamek Yew był ciemny, stary, bogaty i zaskakująco delikatny. Sklepione sufity sięgały tak wysoko, że musiałam wyciągać szyję, żeby je zobaczyć. Wzdłuż każdego korytarza wisiały gobeliny, niektóre przedstawiały kobiety, krajobrazy i leśne stworzenia, inne Karty Opatrzności.

Jeszcze inne rycerza w złotej zbroi – zawsze z opuszczoną przyłbicą – tego znajdującego się również na dywanie w moim pokoju.

Poczułam zapach skóry, drewna i goździków, ciepły, bogaty, stary. Zwalczyłam w sobie chęć stąpania po korytarzach na palcach; tupot moich stóp odbijał się od zamkowych ścian, układając się w przedziwne dźwięki, jakbym była widmem skrytym za gobelinami, snującym się po zamku.

Koszmar ożywił się przez dziwny wiekowy kamień. Mogłam wyczuć drżenie jego świadomości – jego ciekawość. Podążałam za Morette i Jespyr długimi, krętymi schodami. Przesunęłam dłońią po kamiennych ścianach, wdychając zapach wiśniowego drewna, z którego wykonano balustrady, i obserwując, jak tysiące drobinek kurzu unosi się w dogasającym świetle dnia.

Schody poprowadziły nas na balkon zavalony książkami, a następnie przez szeroki korytarz aż do wielkich drewnianych drzwi z wyrytymi na ich powierzchni niezrozumiałymi dla mnie znakami. Drzwi były uchylone. Morette nie zawracała sobie głowy pukaniem, jej ramiona napięły się, gdy popchnęła skrzydło.

Wieczne światło wlewało się do szerokiego pomieszczenia przez rząd łukowatych okien. Na każdej ze ścian znajdowały się półki – od sufitu do podłogi – wypełnione świecami, żywymi i martwymi roślinami i książkami. Część sypialnianą oddzielała kotara pomalowana w drzewa cisu.

Fenir Yew siedział przy długim, kasztanowym stole umieszczonym w centralnej części pokoju, ślęcząc nad wałającymi się wokół pergaminami. Kiedy podniósł na nas wzrok, szeroko otworzył brązowe oczy.

– I jak?

Jespyr podeszła prosto do stołu. Wzięła jedno krzesło i okręciła je tak, żeby usiąść na nim przodem do oparcia. Ciężko klapnęła na tak przygotowane siedzenie i objęła ramionami oparcie.

– Wayland Pine ma Żelazną Bramę. Przy sobie. W tym momencie.

– Doprawdy? – Spojrzenie Fenira wbiło się w żonę.

Kobieta pokiwała głową.

– Nadal jest w Stone, bawi się na Ekwinokcjum. Powóz wiozący go do domu wyruszy dopiero jutro.

Dziwnie było się przyglądać, jak Fenir Yew się uśmiecha. Nigdy bym nie przypuszczała, że człowiek o tak surowej twarzy był do tego zdolny. Niemniej, pasował mu ten wyraz twarzy. Przez moment widziałam w nim Emory’ego.

– Musimy natychmiast dać znać Ravynowi i Elmowi.

– Powinni zacząć działać, zanim Pine opuści Stone?

Fenir pokręcił głową.

– Nie. Jest tam zbyt wiele okazji do wpadki. Lepiej spróbować na otwartej przestrzeni, gdzie będą mogli odpowiednio się zamaskować. – Odwrócił się do córki.

– Musisz im to przekazać.

Jespyr przesunęła dłonią po czole.

– Wygląda na to, że nie tylko kapitan nie ma czasu na odpoczynek, ale i jego siostra. – Z westchnieniem wstała z krzesła. Mijając mnie, położyła mi rękę na ramieniu. – Dobrze ci dzisiaj poszło. Odpocznij. Będziesz potrzebować dużo sił.

Wymknęła się z pokoju. Patrzyłam za nią, a jedno pytanie nie dawało mi spokoju. Zajęłam jej miejsce i przysunęłam się do stołu.

– Ci ludzie, którym zabierasz Karty – zwróciłam się do Fenira. – Mężczyźni tacy jak Pine. Krzywdzisz ich?

– Czyżbyś miała nas za brutalnych zbirów, panno Spindle? – Fenir uniósł brwi.

– Dwoje z twoich dzieci to kawalerzyści, czyż nie?

Morette odchrząknęła.

– Właśnie w tym miejscu wkraczasz ty, panno Spindle. Z twoim bystrym spojrzeniem, powinniśmy być w stanie zlokalizować i odzyskać Kartę tak szybko i sprawnie, jak to możliwe. Staramy się unikać przemocy.

Poprawiłam się na krześle, przypominając sobie Ravyna i jego sztylet z rękojeścią z kości słoniowej.

– Za chwilę dołączy do nas mój zarządca – powiedział Fenir, podchodząc do jednej z dalej położonych półek, by wyciągnąć z niej starą, pokrytą sadzą księgę. – Podczas czekania, mamy czas, abyś zobaczyła coś, co chciałbym ci pokazać, panno Spindle.

Wykonana ze skóry okładka miała wyszyte dwie olchy, wąskie i wysokie, które stały obok siebie w idealnej harmonii. Jedno drzewo było obszyte czarną tkaniną, drugie – poszarzałe ze starości – białą. To była o wiele starsza kopia niż ta, którą miała moja ciotka, oprawa była dużo bardziej postrzępiona.

Natychmiast ją rozpoznałam.

Fenir położył ją na stole.

– Czy studiowałaś *Starą Księgę Olch*, panno Spindle?

Miałam ochotę parsknąć śmiechem. Gdyby mnie o to poprosił, mogłabym mu wyrecytować cały tekst, od deski do deski.

– Trochę.

Fenir otworzył księgę i zakaszłał, przewracając stronicę z wiekowego pergaminu, aż dotarł do ostatniej. Zaczął czytać na głos:

Dwunastu wezwać musisz w najkrótszym dniu w roku,
W porze ciemności, najpotężniejszej dla Ducha i jego mroku.

Gdy przywołają Talię, a ona odpowie,

Zjednoczy dwunastu, wypędzając czarcie mrowie.

Monarsze drzewo to składnik konieczny, a krew atramentową dodaj dla równowagi,

By dwunastu mogło wreszcie pozbyć się z królestwa plagi.

To jest remedium na mgły rozstąpienie,

Co zrodzi początku i końca nowego zapewnienie.

Lecz pamiętaj,

Nigdy nie ma nic za darmo.

– Karty, mgła, krew – powiedziałam półszepem.

Morette dołączyła do nas przy stole.

– Królowie Blunder od dawna próbują zrobić to, o czym pisał król Shepherd. Ale żadnemu z nich nie udało się zebrać całej Tali. Nikomu nie udało się odnaleźć Karty Bliźniaczych Olch.

– Czy Król Rowan wie, gdzie jej szukać? – Postukałam palcami o blat stołu.

– Nie – odpowiedział Fenir. – Zasięga rady u najlepszych kartografów w królestwie, a ci bazują na starej mapie Blunder. Od lat odznaczają na niej miejsca, gdzie ludzie króla przeczesywali teren. Bez skutku, ani śladu po Bliźniaczych Olchach. Nie istnieją żadne dokumenty o jej wymianie czy historyczne zapisy jej użytkowników. Jedyne dwa dokumenty, w których jest o nich wzmianka to *Stara Księga Olch* i opowieść o Brutusie Rowanie, pierwszym królu z rodu Rowanów.

Na dźwięk imienia króla Rowana, Koszmar syknął przez zęby. Ze wszystkich sił starałam się nie reagować.

– A co Brutus mówił o Bliźniaczych Olchach? – zapytałam.

– To samo co wszyscy – odparła Morette. – Że król Shepherd zabrał ją pewnego dnia we mgłę i powrócił, ale już bez Karty.

Zmarszczyłam brwi.

– Z pewnością król Shepherd ma swoją własną historię, własnoręcznie spisana.

– Większość z tego, co wiemy o królu Shepherdzie, czerpiemy z ustnych podań. Jego historie zostały zniszczone, a żadne z jego dzieci nie przeżyło na tyle długo, by ubiegać się o tron. Brutus Rowan, jego kapitan straży, został następnym królem Blunder. – Ton Fenira był poważny.

Ogon Koszmaru drgnął, poruszając się w ciemności.

Zamyśliłam się.

– Założmy, że uda nam się odnaleźć Bliźniacze Olchy. – Spojrzałam na Yewów. – Czyjej krwi zamierzacie użyć do zjednoczenia Talii?

Fenir pochylił się do przodu.

– Być może go spotkałaś. Przewodzi królewskim uzdrowicielom.

Wysoki, szczupły mężczyzna o upiornie bladych oczach.

– Orithe Willow? – wykrztusiłam. – Jest zarażony?

Fenir podniósł *Starą Księgę Olch* i ostrożnie odłożył ją na miejsce.

– Tak jak ty – powiedział – Orithego też infekcja dopadła w dzieciństwie, jednak król trzyma go przy życiu z jednego ważnego powodu. Magia Orithego pozwala mu dostrzegać infekcję u innych. Na pewno widziałaś przyrząd, który nosi na dłoni.

Widziałam. Metalowe szpony, z wielkimi kolcami, wystającymi z każdego z nich. Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy.

– Orithe używa tego do wykrywania u innych infekcji?

– Twierdzi, że widzi infekcję we krwi – odparł poważnie Fenir, marszcząc czoło. – Poluje i wykrwawia każdego, kogo choćby podejrzewa o złapanie infekcji. Dlatego król mianował go pierwszym uzdrowicielem.

Położyłam palce na skroniach, próbując zapanować nad zawrotami głowy.

– Oszczędzić krew Emory’ego, przelać Orithego – mruknęłam.

Zabić człowieka odpowiedzialnego za śmierć dziesiątek zainfekowanych dzieci. Dwie pieczenie...

N a j e d n y m o g n i u, dokończył Koszmar.

Zarządca Fenira otworzył drzwi. Jon Thistle spojrzał na mnie, kiwając głową, po czym położył na stole skórzaną sakwę, mieniającą się jaskrawymi kolorami.

Światło zalało pomieszczenie, gdy Fenir zaczął wyjmować jej zawartość.

– Oto nasza kolekcja.

Przyjrzałam się Kartom.

– Nie są to wszystkie Karty, jakie posiadacie.

– Nie – przytaknęła Morette. – Kawalerzyści trzymają Czarne Konie przy sobie. Z kolei Elm, jak już zapewne się zorientowałaś, niechętnie porusza się bez swojego Sierpa. Natomiast Lustro i Koszmar najczęściej są u Ravyna.

Przeszukiwałam kolory, zamrugałam, po czym zaczęłam od początku.

Szary – Prorok.

Róż – Dziewica.

Turkus – Kielich.

Żółć – Złote Jajo.

Biel – Biały Orzeł.

– Brakuje trzech Kart – odezwał się Fenir. – Studnia, Żelazna Brama i Bliźniacze Olchy.

Wpatrywałam się w stos, na mieszaninę kolorów, zarazem niepokojącą i piękną niczym kościelne witraże.

– Jaki macie plan na zdobycie Studni?

– To będzie trudne zadanie – wtrącił się Jon Thistle, pocierając brodę. – Biorąc pod uwagę charakter Karty, człowiek, który jest w jej posiadaniu, z góry wie o czekających go niebezpieczeństwach.

Yewowie zamilkli.

Przygryzłam wargę, stukając paznokciami o stół. Koszmar przyczał się za moimi oczami, czekając, aż się odezwę. Kiedy nadal milczałam, jego głos wypełnił mój umysł niczym gorąca para buchająca z kotła.

N o d a l e j . M e n t a l n i e m n i e p o p c h n ą ł . P o w i e d z i m .

Moje spojrzenie z powrotem spoczęło na kolorach bijących jaskrawym światłem z Kart Opatrzności. Karty. Mgła. Krew.

Uniosłam spojrzenie na Yewów.

– Znam kogoś, kto ma Kartę Studni – poinformowałam ich. – Mieszka niedaleko stąd.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

LUSTRO

Ravyn przybył do Zamku Yew następnego dnia.

Usłyszałam stukot końskich podków. Zamknęłam z trzaskiem księgę, którą właśnie czytałam, i wymknęłam się z biblioteki, otoczona tumanami kurzu, przechodząc tylnymi przejściami i zamkowymi korytarzami, aż dotarłam do małych drewnianych drzwi prowadzących do dzikich ogrodów.

Schylając się pod wiekową wierzbą, odetchnęłam głęboko i wciągnęłam się na najniższe gałęzie. Poranny mróz szczypał mnie w palce i policzki.

Koszmar nucił, jego słowa jak zwykle były śliskie i niepokojące.

Kapitan Kawalerzystów mroczny jest i poważny. Usadowiony na szczycie cisu, wzrok ma bardzo uważny. Strzeż się jego magii i zgubnego losu. Ród Yewów i Rowanów zniszczy się od wrogich ciosów.

Zamilcz, powiedziałam, uderzając w gałąź nad swoją głową, przez co oblałam się poranną rosą. *Nie chcę o tym rozmawiać.*

Rozmowa wcale nie była potrzebna. Od pamiętnej nocy, kiedy zostałam zaatakowana na leśnej ścieżce, zatarła się granica pomiędzy mówieniem a myśleniem. Im częściej prosiłam go o pomoc, tym silniej odczuwałam obecność Koszmaru w głowie. Rozpoznawałam jego emocje – jego zainteresowanie czy odrazę – bez słów, niekiedy tak intensywnie, że wydawało mi się, iż są moimi własnymi. Czułam jego czujność, skupienie. Widziałam i słyszałam wyraźnie – poprzez jego zmysły.

Ale nie poznałam w pełni jego umysłu. Wciąż były między nami tajemnice.

Gołębie gruchały, ogród wypełnił się odgłosami świtu, budzącego się poranka. Zerwałam cienkie gałązki wierzby, zrobiłam z nich prosty wianek i założyłam go na głowę. Z amuletem w dłoni zsunęłam się ze swojego miejsca wprost we mgłę, rozglądając się za kwiatami dzikiej marchwi.

O ile mogłam stwierdzić, w Zamku Yew nie zatrudniano ogrodników. Za porządek wewnątrz odpowiadał Jon Thistle, którego uwaga nie wykraczała poza rząd posągów. Dzikie ogrody bardzo mi się spodobały. W przeciwieństwie do równo przyciętych żywopłotów i wypielęgowanych kwiatów rosnących w Stone, mieszanina wszelakich ziół, chwastów i kwiatów porastających okolicę Zamku Yew, sprawiała

wrażenie, jakby miała powstać i szturmem zdobyć stojącą w ich centrum budowlę. Chaos królujący wokół był dziki, silny i wolny.

Brukowana ścieżka została pochłonięta przez rośliny. Ślizgając się na omszałych kamieniach, zagłębiłam się dalej w bujną roślinność, szukając kwiatów.

Niestety, to nie była dobra pora roku na kwitnienie. Niedługo dzika dusza ogrodu zmęczy się i wycofa w głąb siebie, zapadając w sen, przygotowując się na pierwsze zimowe chłody.

Musiałam wejść głęboko w jeżyny, tylko najpilniej strzeżone rośliny wciąż chciały podzielić się ze mną swoimi pąkami. Kucając, zauważyłam garstkę fioletowych floksów, których kwiaty dodałam do wianka na głowie.

Nagle ostry ból przeszył moją rękę. Wykręciłam głowę, nieświadoma tego, że ułożyłam ramię na różanym krzewie, którego pąki zostały zjedzone przez głodne jelenie. Zachował się tylko jeden kwiatek. Róża czerwona jak krew, tak świeża, że czułam jej upajający zapach, rosła samotnie wśród cierni, jakby czekała.

A jednak nie zerwałam jej. Dawno temu dostałam nauczkę za zrywanie róż bez rękawic i nożyc. Mimo to, nie mogąc się powstrzymać, przesuwałam palcem po cienkiej łodyżce, badając jej wytrzymałość, ostrość cierni wbijających cię w delikatną skórę mojego palca.

– Tutejsze ciernie są krwiożercze – rozległ się znajomy, głęboki głos.

Odwróciłam się, czując, że serce podchodzi mi do gardła.

Kilka kroków ode mnie stał Ravyn w tych wielkich butach i płaszczu, z włosami ciemniejszymi niż zwykle, wilgotnymi od porannego deszczu. W jego kieszeni świeciły znajome odcienie burgundu i fioletu, jaskrawsze niż jakikolwiek kwiat w ogrodzie. Sztylet z rękojeścią z kości słoniowej był przytroczony do paska, a kiedy po niego sięgnął, moje mięśnie się napięły. Wspomnienie czubka tego samego ostrza przytkniętego do mojej piersi nadal było bardzo żywe w pamięci.

Ale ostrze mnie nie sięgnęło. Ravyn podszedł, chwycił różę u podstawy i wyswobodził ją z cierni jednym cięciem. Trzymał ją przez chwilę, nic nie mówiąc. Panująca między nami cisza zagłuszała nawet najbardziej entuzjastyczne ptasie trele.

Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był szorstki, jak gdyby dawno z niego nie korzystał.

– Masz się dobrze?

Zaskoczenie wywołane jego nagłym przybyciem, sprawiło, że mój głos stał się nieco drżący.

– Tak.

– Mam nadzieję, że moja rodzina zaspokaja wszystkie twoje potrzeby.

– Nie głoduję, jeśli to masz na myśli. – Wyciągnęłam z kieszeni amulet, pocierając go między palcami. – Są dla mnie bardzo mili. Głupio mi, gdy sobie przypomnę, jak jako mała dziewczynka bałam się przejść koło waszej posiadłości. – Rozejrzałam się po ogrodzie. – Jest bardzo piękna.

– Dlaczego się bałaś?

– Ciocia wmawiała mi, że zamek jest nawiedzony. – Wzruszyłam ramionami.

Usta Ravyna zadrżały.

– Na twoim miejscu nie bagatelizowałbym jej słów. – Jego spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy, aż zatrzymało się na wianku na moich włosach. Żadne z nas się nie odezwało, dzień rozłąki z powrotem uczynił z nas nieznajomych.

Tak jak byśmy byli kiedyś kimś więcej.

Zrobił krok w moją stronę, wyciągając ku mnie czerwoną różę.

– Mogę?

Spojrzałam na kwiat, a potem z powrotem na niego. Na drzewa, co za twarz. Surowość i piękno. Niedoskonały, zapierający dech w piersiach posąg.

– Myślałam, że nie musimy udawać – wymamrotałam.

Przy pomocy ostrza odciął kolce róż.

– To tylko kwiat. Kwiaty nie uprawiają gierki. – Ponownie wyciągnął ją w moją stronę, jeszcze raz prosząc o pozwolenie. – Mogę?

Tym razem skinęłam głową. Przysunął się, by umieścić różę na czubku głowy, wpleść jej łodygę w wianek silnymi, zręcznymi palcami. Kiedy się odsunął, jego dłoń musnęła włosy, które opadły mi na policzek.

Nie ruszałam się. Zapach jego mokrego wełnianego płaszcza przesyconego aromatem dymu i goździków był jeszcze intensywniejszy niż zazwyczaj.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

– Nie było cię w twoim pokoju. – Wskazał na ogród. – Gdybym próbował kogoś unikać, przyszedłbym właśnie tutaj.

Otworzyłam usta, chcąc zaprzeczyć, ale ostatecznie nic nie powiedziałam. Nie było sensu kłamać.

– Masz ochotę na wycieczkę? – Spojrzał na mnie z niewielkim uśmiechem.

Rozejrzałam się, kontury ogrodu były rozmazane, skąpane we mgle.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że ogród jest zaprojektowany.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Ravyn. – Co tylko czyni z niego najciekawszą część w całej posiadłości. Tylko nie mów tego Thistle'owi. Może się obrazić.

Kąciki moich ust drgnęły.

– Nie będziesz tego potrzebować – zwrócił się do mnie, kiedy chowałam do kieszeni kruczą nóżkę. – Nie potrzebowałaś tego przez ostatnie jedenaście lat.

– Ale mgła... Duch Lasu... – Wpatrywałam się w niego.
– Nie wpływa na takich jak my.
– Ale... *Stara Księga Olch* mówi...
– Ty i ja nosimy w sobie dziwną magię. Jesteśmy dokładnie tym, przed czym ostrzega nas ta sama księga, panno Spindle. – Uśmiechnął się, gestem wskazując na ogród. – Nie musimy obawiać się odrobiny soli w powietrzu.

Ravyn nie znał nazw roślin ani kwiatów. Natomiast znał każde drzewo. Szłam za nim w pewnej odległości, słuchając jego głosu i rozglądając się po ogrodzie. Nieprzycięte chwasty przywarły do rąbka mojej spódnicy, nisko zwisające gałęzie wplątywały się w moje włosy, gdy przedzieraliśmy się przez zarośla jeżyn w kierunku prawie niewidocznej ścieżki.

– Dokąd prowadzi ta dróżka? – zapytałam, rozplątując włosy, które zaczepiły się o gałąź.

– Do ruin zamku – odparł Ravyn. – A przynajmniej do tego, co z niego pozostało.

Zaintrygowana wzmożonym zainteresowaniem Koszmaru, przyspieszyłam kroku, idąc za kapitanem kawalerzystów przez wyjątkowo gęste zarośla, oddzielające nas od łąki. Otworzyłam szeroko oczy, chłonąc roztaczający się przede mną krajobraz – błyszczącą od rosy trawę, ogromne, majestatyczne drzewa i kamienne cmentarzysko – pozostałości zniszczonego zamku skąpane we mgle.

Kamienie stały w równym rzędzie na polanie.

Stałam na palcach wśród rozpadających się wapiennych filarów, rozmieszczonych na trawie, obawiając się, że wystarczyłby jeden nieuważny krok, by się przewrócić.

– Nie miałam pojęcia, że był tu kiedyś inny zamek – wymamrotałam.

Ravyn skinął głową.

– Jest stary, starszy od Stone. Nikt nie wie dokładnie, kiedy go wybudowano. Ani kiedy pochłonął go ogień. – Wskazał na wschód ponad ruinami, gdzie zardzewiałe żelazne ogrodzenie majaczyło we mgle. – Z całego zamku zachował się tylko jeden pokój.

Koszmar wdarł się do mojego umysłu i zaczerpnął głęboki wdech, zapach soli unoszącej się w powietrzu stał się bardzo intensywny. Oparłam się o jeden z filarów, szybko jednak odsunęłam się od niego, przestraszona, że przewrócę go swoim ciężarem.

Ravyn mnie obserwował.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Są tu od setek lat. Nie przewrócą się.

Piaskowiec pod moją dłonią był szorstki. Przesunęłam opuszkami po obrzeżach kolumny, przyglądając się ruinom szeroko otwartymi oczami.

– Co to? – zapytałam, wskazując na kamienną komnatę skrytą w cieniu starego cisu.

– To właśnie jest to ostatnie zachowane pomieszczenie.

Kamienna komnata – otulona mchem i winoroślą – wznosiła się wysoko ponad mgłą. Jakże dziwnie wyglądała sama pośród ruin, zabudowana, jeśli nie liczyć jednego ciemnego okna na najdalej wysuniętej na południe ścianie.

Ogon Koszmaru trzasnął w moim umyśle jak bicz, razem wpatrywaliśmy się w znajdującą się przed nami komnatę.

W e j d ź, powiedział.

Wejdziesz gdzie? Przyjrzałam się pokojowi porośniętemu bluszczem. *Tam?*

T a k.

Dlaczego?

B o c h c e t o o b e j r z e ć.

Nie ma tam żadnych drzwi. Tylko...

O k n o . Jego głos wypełnił moje uszy, brzmiał, jakby był jednocześnie blisko mnie i daleko, ociekając pragnieniem.

T o b y ł j e j w y m ó g, t y l k o t e g o p o t r z e b o w a ł a.

Kto?

D u c h L a s u.

Poczułam, że zjeżyły mi się włoski na karku. *Byłeś tu wcześniej?*

Zaśmiał się, jednak był to pusty śmiech, pozbawiony wesołości, złowrogi. Odniosłam wrażenie, jakbym spadała w dół studni. Jakbym została pożarta przez ciemność. Jego śmiech czegoś mnie pozbawił, sprawił, że przepełniło mnie przerażenie tym miejscem – tą pozbawioną drzwi komnatą – do której tak desperacko chciał, żebym go zabrała.

Moje mięśnie napięły się z wysiłku, każda część mojego ciała błagała, by go posłuchać i pójść do komnaty. Zaciskając zęby, odwróciłam się tyłem do mrocznego okna, odmawiając Koszmarowi.

W moim umyśle rozbrzmiał potworny syk.

Ravyn cały czas mówił, nieświadomy walki, jaka toczyła się w mojej głowie.

– Pogłoski na jej temat pochodzą głównie z folkloru – powiedział. Wyjął z kieszeni fioletową Kartę i zaczął ją obracać w roztargnieniu między palcami. – Jeśli to miejsce rzeczywiście jest nawiedzone, to żyjące tutaj duchy najwyraźniej nie chcą się pokazywać. A przynajmniej nie mnie.

Obserwowałam go, zmuszając się do odwrócenia uwagi od Koszmaru i starożytnej komnaty. Po chwili przeniosłam wzrok na Kartę Lustra w dłoni Ravyna.

– Jakie to uczucie – zwróciłam się do niego, wpatrując się w ametystowy aksamit okalający krawędzie Karty – być niewidzialnym?

Ravyn obracał Lustro tak szybko, że kształt Karty zaczynał się rozmazywać.

S z p a n e r , mruknął Koszmar.

Powietrze wokół nas poruszyło się i nagle Ravyn został pochłonięty przez krajobraz – w nicość.

– Jest zimno – rozległ się jego głos. – Ale wrażenie to nie jest nie do zniesienia.

– Czy widzisz jakieś... duchy?

– Jeszcze nie – oznajmił, a jego niewidzialne kroki pozostawiły wyraźne ślady na ścieżce. – Musiałbym pozostać niewidzialny przez dłuższy czas. Staram się nie używać Lustra zbyt często.

Fioletowe światło się zbliżyło, a ja się odwróciłam, śledząc je wzrokiem. Chwilę później moim oczom ukazał się Ravyn z psotnym uśmiechem na ustach.

– Jesteś jedyną osobą, do której nie mogę się podkraść – zauważył.

Na widok jego zazwyczaj surowo zaciśniętych ust wygiętych w uśmiechu, poczułam, że moje serce zaczyna bić szybciej. Odsunęłam się od niego, brnąc przez zarośniętą łąkę, z głową pełną pytań.

– A co z Kartą Koszmaru? – zapytałam. – Używasz jej wystarczająco często.

Nie zaprzeczył.

– Jakie są negatywne skutki? – Zatrzymałam się. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z kimś, kto używał Karty Koszmaru. I chociaż byłam pewna, że potwór żyjący w mojej głowie, to coś więcej niż tylko Karta, którą wchłonęłam, nadal było mnóstwo rzeczy, o których nie miałam pojęcia. – Widzisz jakieś stworzenie... albo słyszysz jakiś głos?

Ravyn nie odpowiedział od razu.

– Każdy, kto włada Kartą, inaczej odczuwa jej negatywne skutki.

– Nie udzielasz zbyt jasnych odpowiedzi, kapitanie.

Jego szare oczy spoczęły na mojej twarzy.

– Kiedy używam Karty Koszmaru zbyt długo, nie widzę żadnego stworzenia. Ale słyszę go. Czy ta odpowiedź panią satysfakcjonuje, panno Spindle?

Nawet nie w połowie.

– Co ci mówi?

– Trudno to wytłumaczyć – powiedział, przesuwając dłonią po szczęce. – Przez większość czasu milczy. Ale kiedy przestaje... zachowuje się, jakby znał wszystkie moje sekrety, wszystko, co kiedykolwiek pomyślałem, czego się obawiałem. Szydzi ze

mnie, mówiąc, że poniosę porażkę, że moje wysiłki są bezsensowne. – Nasze spojrzenia się spotkały. – Ale to tylko głos w mojej głowie, a nie żywa istota.

– Skąd wiesz?

– Bo kiedy mówi, powtarzając w kółko moje najgorsze obawy, to nie jest obcy głos – przyznał cicho. – Lecz mój własny.

Ravyn wrócił do Zamku Yew, żeby ukraść Żelazną Bramę. A raczej przyjechał po mnie, żebym mogła wskazać jemu i jego druhom, gdzie się znajduje. Nie byłam pewna, jak powinnam nazywać tę grupkę. Złodzieje. Zdraycy. Rozbójnicy.

Po tym, jak Jespyr przekazała im to, czego dowiedziałyśmy się na herbatce z paniami Pine, Ravyn i Elm zabrali się za opracowanie mapy podróży Waylanda Pine'a. Wraz z kilkoma towarzyszami podróży zamierzał opuścić Stone karawanami, kierując się do swoich posiadłości, z których Pine House był ostatnim na tej trasie. Planowaliśmy przechwycić jego powóz na leśnym trakcie. Gdybyśmy wyruszyli z Zamku Yew zaraz po południu, zyskalibyśmy wystarczająco dużo czasu, aby dotrzeć do Czarnego Lasu przed zapadnięciem zmroku. Tam, na skraju drogi, tuż za linią drzew, zaczęlibyśmy się na Waylanda Pine'a.

I ukradli jego Żelazną Bramę.

Razem z Ravynem opuściliśmy ruiny, przechodząc przez mgłę i te same jeżyny, które poprzednio zasmakowały w moich włosach. Idąc naprzód, potknęłam się o rąbek spódnicy i niechybnie bym upadła, gdyby nie rosnący bukszpan, o który się oparłam. Zdyszana, z mokrą i ubłoconą sukienką, wyszłam z gęstwiny niczym ogr, dzika i zmęczona.

Ravyn, mając w sobie na tyle zdrowego rozsądku, by się nie rozeźmiać, czekał cierpliwie, aż powyjmuję jeżyny z włosów.

– Proszę mi powiedzieć, panno Spindle – zaczął, obserwując mnie. – Czy kiedykolwiek wcześniej używała pani ostrza?

Zakłęłam, kiedy kawałek mściwej jeżyny wydarł mi kilka włosów.

– Czy nożyce ogrodowe się liczą?

Tym razem się rozeźmiał.

– Zdecydowanie nie.

Okrążyliśmy zamek. Słudzy przechodzili obok nas, kłaniając się Ravynowi. Słyszałam tętent kopyt stukających o kamień, ujadanie psów, miękką ciszę ogrodu, która zniknęła, gdy tylko wyszliśmy z mgły, kierując się w stronę budynków gospodarczych w zachodniej części posiadłości.

– Twój ojciec powiedział, że nie będzie przemocy. Czy będę musiała walczyć, kapitanie?

– Nie – rzucił przez ramię. – Ale wydaje mi się, że chciałabyś mieć przy sobie coś, czym w razie czego mogłabyś się bronić.

Ścieżka prowadziła na dziedziniec – klepisko otoczone z trzech stron budynkami. Po lewej stronie znajdowała się zbrojownia, po prawej stajnie. Tuż obok czekali nasi towarzysze, stłoczeni w zamkowym cieniu, chociaż nie było jeszcze południa.

Weszliśmy do zbrojowni. Miecze, noże, kołczany i strzały zwisały ze ścian, a na półkach piętrzyły się wszelkiego rodzaju narzędzia i broń, jakimi mógłby chcieć posługiwać się żołnierz. Kamizelki, zbroje i kolczugi leżały w skrzyniach na podłodze, a na środku pokoju znajdowała się długa, dębowa płyta, podtrzymywana przez dwie beczki, spełniająca funkcję stołu. Wokół niego stało czterech mężczyzn i kobieta ubrani w poczerńiałe skóry. Gdy otworzyły się drzwi, zwrócili się w moim kierunku, z wyczekiwaniem wymalowanym na twarzach.

Badawczo im się przyjrzałam, mój oddech stał się szybki i urywany. Jespyr i księżę Renelm stali obok siebie, Jespyr uzbrojona w łuk i kołczan wypełniony strzałami z gęsimi lotkami, natomiast Elma spowijała charakterystyczna czerwona poświata. Obok nich stało dwóch mężczyzn, których nie znałam. Unieśli wzrok znad ostrzonej broni, taksując mnie spojrzeniami.

Ostatni był Jon Thistle, który przywitał mnie szerokim uśmiechem.

– Miło cię widzieć, milady. Zapraszamy do naszej skromnej bandy wyjętych spod prawa.

Słyszałam, że Ravyn zamyka za nami drzwi, pochodnie i ogień z kominka stanowiły jedyne źródło światła w zbrojowni. Cofnęłam się o krok, rozglądając się po pomieszczeniu.

– To Wik Ivy⁸ i jego brat Petyr – powiedział mi do ucha Ravyn. – Thistle'a już znasz, no i oczywiście moją siostrę i kuzyna.

W odpowiedzi na moje milczenie kapitan kawalerzystów się uśmiechnął.

– Chodźmy, panno Spindle. Z pewnością widziałaś już niejedną grupę rozbójników.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Pamiętaj o mgle,
która nie unosi się.*

Duch cicho wśród niej kroczy, nikogo nie przeoczy.

Trzymaj się wtedy od lasu z dala, bądź czujny, bądź dobry, ze ścieżki się nie oddalaj.

*Pamiętaj o mgle,
która nie unosi się.*

Duch zastawił pułapkę, nie wywiniesz się.

Amulet trzymaj w garści, a mgłę przejdiesz bezpiecznie.

Ominiesz Ducha pułapki, przechytrzając go skutecznie.

Byliśmy w zbrojowni może kilka minut, a Thistle, choć niezwykle miły i uprzejmy, dał mi jasno do zrozumienia, że mój strój kompletnie nie nadaje się, by wziąć w nim udział w nadchodzącym zadaniu.

Elm zarechotał, błędził spojrzeniem zielonych oczu po moim ciele, aż zatrzymał się na kwiatowej koronie wplątanej w moje włosy.

– A tak bardzo się starała, żeby dzisiaj ładnie wyglądać.

– Zamknij się. Mamy już wystarczająco dużo roboty i bez wysłuchiwania twoich bzdur. – Jespyr szturchnęła kuzyna łokciem.

Dwóch służących przyniosło tobolek – tunikę, kaftan, płaszcz, legginsy i buty. Wełna, len i skóra, wszystko czarne. Pozostali wyszli, jeden po drugim, zostawiając mnie i Ravyna samych.

Zmarszczyłam brwi, patrząc na moją szarą sukienkę, której rąbek był uwalony błotem.

– Nie wiedziałam, że ubrałam się niewłaściwie – oznajmiłam, nagle bardzo świadoma tego, jak wyglądam.

– Nie za bardzo możemy paradować w strojach z wyszytymi rodzinnymi emblematami, prawda? – zauważył Ravyn. Zamilkł, po czym delikatnie zdjął kwiatową koronę z moich włosów. – Każę odesłać twoje ubrania na górę. Dołącz do nas, kiedy będziesz gotowa.

Jeśli przed wyjściem jeszcze na mnie spojrział, nie miałam o tym pojęcia. Robiłam, co w mojej mocy, żeby unikać jego wzroku.

Pięć minut później opierałam się o drzwi zbrojowni, zmuszając się do ich otwarcia.

Koszmar wypuścił z nozdrzy gorące powietrze.

Na drzewa... To tylko legginsy, Elspeth.

Czułam się obnażona, wręcz naga, bez mojej wełnianej spódnicy. Splotłam włosy w długi warkocz, który zaczynał się na czubku głowy i kończył nisko na plecach, wyjątkowo przypominając linę.

Dziewczyna od Yewów nosi tunikę i spodnie. Dlaczego ty nie miałabyś nosić tego samego?

Jespyr jest o wiele bardziej nieustraszona ode mnie. Spojrzałam na swoje nogi. *Wyglądam jak pieprzony stajenny.*

To, jak wyglądasz, nie ma – i być może nigdy nie miało – żadnego znaczenia.

Jęknęłam, pragnąc, by sobie poszedł. A mimo to wiedziałam, że miałam rację. Tu nie chodziło o mnie, chodziło o Karty, mgłę i krew. Jakie znaczenie miało to, że byłam ubrana niemal identycznie jak chłopcy w wieku Emory’ego? Jeśli miałam współpracować z rozbójnikami, musiałam się dopasować.

Czekali, gromadząc się przy wejściu na dziedziniec. Kiedy mnie zobaczyli, jeden z braci Ivy zagwizdał przeciągle, ale został uciszony przez brutalne dźgnięcie łokciem Jespyr.

Nie wiedziałam, gdzie mam podziąć wzrok.

– I jak? – Zrobiłam krok do przodu, ręce zaciskałam na rękawach tuniki. – Teraz bardziej nadaję się do wykonania zadania?

Nie umknął mi sposób, w jaki oczy Ravyna przeskakiwały w górę i w dół mojego ciała.

– Znacznie lepiej – powiedział, a rumieniec pokrył jego szyję i policzki. Podał mi dwie misternie wyszyte rękawice. – Będziesz ich potrzebować.

– Rękawice do jazdy konnej? – Wpatrywałam się w nie tępo.

– A co, myślałaś, że będziemy szli pieszo? – zadrwił Elm.

– Pojedziemy konno do Czarnego Lasu – wyjaśniła Jespyr – a resztę drogi pokonamy na piechotę, poza zasięgiem wzroku, skryci we mgle. Kiedy na drodze pojawi się powóz Pine’ów, zatrzymamy go. Powiesz nam, gdzie znajduje się Żelazna Brama, i załatwimy wszystko w mniej niż pięć minut.

Rozejrzałam się po grupie. Jak na wyprawę, która nie uwzględniała użycia siły, byli zaskakująco dobrze uzbrojeni.

– I co potem?

– Potem wrócimy – oznajmił Elm. – I opowiesz nam wszystko o Karcie Studni znajdującej się w domu twojego ojca.

Ravyn, Elm i ja poszliśmy do stajni, podczas gdy pozostali wyruszyli po ostatnie zapasy na drogę.

– Będziesz potrzebowała konia – zwrócił się do mnie Ravyn, wyprowadzając brązową klacz z jednego z boksów.

Kiedy zbladłam, robiąc kilka kroków do tyłu, uniósł brwi.

– Nie mów mi, że nigdy wcześniej nie jeździłaś konno.

– Dobry boże, to co ty robiłaś przez cały ten czas w lesie? – Szyderczy głos Elma wypełnił stajnię.

– Zwierzęta nie za bardzo mnie lubią. – Spojrzałam na niego zmrużonymi oczami.

Księżę opadł na pobliską ławkę, mamrocząc pod nosem.

– Jeśli to o czymś nie świadczy, to nie wiem co...

Ravyn zignorował kuzyna, wyciągając ku mnie wodze.

– Konie są płochliwe – powiedział. – Musisz być spokojna, pewna siebie. Kiedy poczuje, że jest przy tobie bezpieczna, to ci zaufa. – Kiedy nie sięgnęłam po wodze, oparł się o koński bok. – Chcesz, żebym ci pomógł.

Odczułam to jako wyzwanie. Bałam się, ale nie mogłam zaprzeczyć – chciałam zobaczyć uznanie na jego twarzy, kiedy chwycę lejce i sama zapanuję nad bestią. Ale nie mogłam. Nie miałam pojęcia, jak obchodzić się z końmi.

– Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, kapitanie.

Jego kamienny wyraz twarzy zmiękł, a kąciki ust nieznacznie się uniosły. Wygrał wyzwanie. Wziął moją dłoń, przysuwając mnie bliżej siebie.

– Połóż rękę tutaj – polecił, przytrzymując moje spojrzenie, gdy zsuwał mi z dłoni rękawiczkę. Ułożył ją na końskim boku, tuż pod siodłem. – Poczuj jej oddech, jej energię.

Klacz szeroko otworzyła oczy, a jej nozdrza się rozszerzyły, gdy tylko moja ręka przesunęła się po jej boku. Moje palce delikatnie sunęły wzdłuż jej szerokich pleców, szorstkiej grzywy i szyi.

Spokój, mówiłam do siebie. Spokój i opanowanie.

T o n i e m o ż l i w e, wymruczał Koszmar. K o Ń w i e, ż e n i e j e s t e ś s a m a. W i e, ż e n i e j e s t b e z p i e c z n a.

Zwierzę poruszyło się niespokojnie, odsuwając się i dziko zaczęło machać ogonem.

– Spokojnie, dziewczyno. – Ravyn uspokajał klacz, poklepując ją po grzbiecie. Kiedy się opanowała, znów na mnie spojrzał. – Mogę ci pomóc?

Na drzewa, byłam już zmęczona tym ciągłym dawaniem mu satysfakcji.

– W porządku – zgodziłam się.

Koniec końców, zwycięstwo należało do mnie. Kiedy Ravyn znów do mnie podszedł, zawahał się, a rumieniec sprzed chwili znowu pojawił się na jego szczęce.

Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Potem, jakby chciał udowodnić coś samemu sobie, sięgnął po mnie. Jego dłonie, szerokie i silne, chwyciły mnie w talii, opierając się na moment na moich biodrach. Miał ciepłe ręce. Przyłapałam się na zastanawianiu się, jak by to było poczuć jego szorstkie dłonie na nagiej skórze.

Odetchnął głęboko, podnosząc mnie z łatwością, i umieścił w siodle. Siedziałam tam przez chwilę, niepewna, co zrobić z nogami. Przerzucenie jednej z nich, żeby siedzieć okrakiem na koniu wydawało mi się głupie, ale instynkt podpowiadał, że gdybym tego nie zrobiła, naraziłabym się na jeszcze bardziej złośliwe kpiny Elma, który nadal siedział na ławce i patrzył na mnie z mieszaniną rozbawienia i wstrętu.

W chwili gdy przerzuciłam nogę przez koński grzbiet, a uda zacisnęły się wokół siodła, poczułam, że robiłam straszliwy błąd. Od klaczy unosił się zapach siana i potu, jej skóra drżała pod moim dotykiem. Siedziałam, sztywna jak głaz, trzymając się z całych sił grzywy wierzchowca.

– Gdzie mam się złapać?

– Spróbuj za wodze – zawołał Elm.

Ravyn położył dłoń na mojej kostce.

– Odetchnij, panno Spindle. Jest zdenerwowana dlatego, że ty się denerwujesz.

– Albo dlatego, że wie, czym jesteś – rzucił Elm.

U w i e r z m i , w i e d o k ł a d n i e , c z y m j e s t e ś , z a r e c h o t a ł K o s z m a r .
P a t r z .

Jego syk – straszny zwierzęcy odgłos – zawibrował w moim ciele, wysyłając do klaczy niewidzialny sygnał.

Ogarnięta nagłą paniką, stanęła dęba, wybiegając ze rzeniem ze stajni.

Nie pamiętałam upadku. Dotarło do mnie tylko, że wszystko bolało mnie jak cholera.

Kiedy wreszcie doszłam do siebie, koń zniknął, a niski jedwabisty śmiech Koszmaru odbijał się echem w moim umyśle. Ravyn i Elm uklękli po moich bokach, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Na drzewa. – Ravyn delikatnie wsunął rękę pod moją szyję, obejmując górną część kręgosłupa. – Słyszysz mnie?

Próbowałam usiąść. Zakręciło mi się w głowie, wzięłam długi, bolesny wdech, powietrze z powrotem zalało moje płuca.

– Tak... jak... ci... mówiłam – wysapałam. – Zwierzęta mnie... nie lubią.

Ravyn i Elm wymienili się spojrzeniami. Mały, psotny uśmiech zatańczył na ustach księcia.

– Cóż – oznajmił. – To dopiero było niespodziewane.

– Nie wyglądasz na takiego zadowolonego z siebie. – Zakaszlałam, próbując się podnieść.

– Czujesz, czy masz coś złamane? – Ręka Ravyna zsunęła się z mojego karku na ramię.

Tylko moja duma, fuknęłam w ciemność. Co to, do diabła, było?

O drobina zabawy.

Mogłam zginąć!

Nie dramatyzuj, odgryzł się Koszmar. Ludzie ciągle spadają z koni.

Nie jest to ani trochę przyjemne doświadczenie.

Przynajmniej teraz już wiesz, w co się wpakowałaś – i kim naprawdę jesteś.

– Panno Spindle?

Odwróciłam się do Ravyna.

– Nic nie złamałam – zapewniłam.

– Wszystko z nią w porządku – krzyknął Elm, kiedy usłyszeliśmy pospieszne kroki. Jespyr i Thistle zatrzymali się niedaleko mnie.

– Bez wątpienia zostanie kilka siniaków – oświadczył Thistle.

– Czy wszyscy to widzieli? – Zarumieniłam się.

– Nie – zwrócił się do mnie Elm. – Tylko służący, zbrojmistrz, stajenni, kowal...

– Wystarczy – warknął na niego Ravyn. – Musimy się zbierać.

– Nie możemy – zaprotestowała Jespyr. – Przecież ona zabije się na koniu.

Elm ostentacyjnie ziewnął.

– Wszystko będzie dobrze. Po prostu przywiążmy ją do bestii i miejmy to z głowy.

– Przywiążecie mnie? – Zrobiło mi się niedobrze.

– Nikt cię nie zwiąże – zapewnił mnie Thistle. – A co z powozem?

– Usłyszają nas z odległości kilku kilometrów. – Elm pokręcił głową.

Zaczęli dyskutować na temat transportu. Nie odzywałam się, wpatrując się przed siebie i krzywiąc się, gdy przesuwalam ręką po potłuczonych żebrach.

Na pewno zostaną siniaki.

– Nadal uważam, że powinniśmy wziąć powóz – oznajmiła Jespyr. – Jeśli ukryjemy go w głębi lasu, kilka kilometrów od traktu, to go nie usłyszają.

– A jeśli zaczną nas ścigać? – odgryzł się Elm. – Z tego, co się orientuję, ostatnio nie byłaś w stanie prześcignąć nawet konia bojowego, kuzynko.

– Chcesz się założyć? – Jespyr wyciągnęła z kieszeni Kartę Czarnego Konia.

– Zamknijcie się, oboje – zwrócił się do nich Ravyn. – Zbierzcie swoje amulety i przygotujcie konie. Thistle odszukaj braci Ivy. Wyruszamy za pięć minut.

Zanim każdy z nich rozbiegł się do swoich zadań, Jespyr i Elm wymienili groźne spojrzenia.

Ravyn odwrócił się do mnie.

– Wszystko w porządku? Szczerze? – zapytał niskim głosem.

– Przeżyję. – Zakaszlałam i skrzywiłam się z bólu.

– Mogę?

Po raz kolejny tego dnia prosił o pozwolenie, żeby mnie dotknąć. Skinęłam głową i kiedy jego ręka przesuwiała się w górę i dół moich żeber, prawie zapomniałam o bólu, zbyt zajęta zamartwianiem się, że usłyszy nierówne bicie mojego serca.

– Nic ci nie będzie – oznajmił, nieco zbyt szybko zabierając rękę. – Przykro mi, panno Spindle. Nie mamy innego wyjścia, musimy jechać konno. Najlepiej będzie, jeśli będziesz jechać z naszym najlepszym jeźdźcem, który stanie się buforem pomiędzy tobą a koniem.

– A kto, na drzewa, jest waszym najzdolniejszym jeźdźcem? – Przyjrzałam mu się uważnie.

Jazda konna Elma była dokładnie taka jak sam książę. Bezlitosna i szorstka.

Zanim wjechaliśmy do Czarnego Lasu, byłam tak poobijana i zdyszana, jakbym spadła z konia co najmniej tuzin razy. Kiedy wreszcie zeskoczyliśmy na ziemię, książę wysapał ze złością:

– Na drzewa! – Zakaszlał. – Musiałaś mnie tak ścisnąć? Czułem się, jakbym miał na sobie gorset.

– Wszystko w porządku? – zawołała jadąca z przodu Jespyr.

– Wprost cudownie – wycedził przez zęby Elm. – Najlepsza jazda w życiu.

– Nie pytałam ciebie.

– A kto tu jeszcze jest?

Ravyn zsiadł z konia w chmurze czerni.

– Twoje utarczki słowne nie robią na nikim wrażenia – odezwał się. – Wyciągnijcie swoje amulety. Od tej chwili niech nikt się nie odzywa.

Teren Czarnego Lasu gęsto porastały topole i jeżyny. Z początku konie bały się zejść ze ścieżki, ale nakłoniwszy je cukrem, wkroczyliśmy we mgłę.

Dziwnie się czułam bez swojej kruczej nóżki, amuletu, którego brak, w przeciwieństwie do pozostałych, nie wyrządzał mi żadnej krzywdy. Wokół roztaczał się zapach soli. Duch Lasu unosił się we mgle, niewidzialny, obserwujący, trzymany na dystans tylko dzięki naszej magii lub amuletom.

Bracia Ivy nosili identyczne jastrzębie pióra. Jespyr podrzucała w rękę małą kość udową jakiegoś zwierzęcia. Na piersi Thistle'a spoczywał nawleczony na rzemyk psi kiel. Elm owinał wokół knykczi warkocz z końskiego włosa.

Szłam za Ravynem, a burgundowe i fioletowe światło wyraźnie świeciło we mgle. Za mną podążała Jespyr ze swoim Czarnym Koniem. Thistle i Ivysowie nie mieli Kart. Pochód zamykał Elm – który zostawił rzucający się w oczy Sierp na rzecz Czarnego Konia.

Thistle po kolei podawał nam chleb i ser. Szliśmy i jedliśmy, niczym bohaterowie jednej ze starych ksiąg mojej ciotki. O północy naszych uszu dobiegło cykanie świerszczy, odgłosy budzących się sów i innych nocnych stworzeń.

Mgła zrobiła się jeszcze bardziej gęsta, pochłaniała światło dnia, pogrążając nas w ciemności.

Nie miało to jednak znaczenia dla Ravyna. Nieważne, skała czy krzak jeżyny na drodze, wzgórze czy dolina – kapitan cały czas szedł szybkim i pewnym krokiem, i to bezszelestnie. Zatrzymał się tylko raz, unosząc rękę, by zatrzymać nasz pochód, i wbił wzrok we mgłę.

Ślizgałam się na gnijących liściach topoli, a przed kompletną ślepotą chronił mnie koci wzrok Koszmaru.

– Skąd wiesz, dokąd idziemy?

– Kwestia wprawy. – Wzruszył ramionami.

Z oddali dobiegł nas szelest liści. Chwilę później przed nami przebiegła łania z młodym jelonkiem. Ravyn obserwował zwierzęta, jego ciało było rozluźnione, a z twarzy bił spokój. Dopiero gdy zwierzęta zeszyły ze ścieżki, dał nam znak, żebyśmy szli naprzód.

Temperatura w lesie znacząco spadła. Zadrżałam, pocierając swędzący nos, po czym odetchnęłam gęstym powietrzem.

– Zapach soli jest bardzo intensywny.

– To przez Ducha Lasu – odparł Ravyn.

Ciotka opowiadała mi wiele historii o Duchu Lasu. Powiedziała, że Duch może przybierać postać zwierząt, ale nie były to ich identyczne odzwierciedlenia. Zawsze coś wyróżniało te okazy, pod których postacią pojawiał się Duch Lasu. Ich kończyny były zbyt długie, a zęby zbyt ostre.

Oczy zbyt świadome.

Popatrzyłam we mgłę. Łania i jej jelonek zniknęły.

– Myślisz – wyszeptaliśmy do pleców Ravyna – że jeśli uda nam się zebrać całą Talię i zlikwidować mgłę, to Duch pozostanie w Blunder?

Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

– *Stara Księga Olch* mówi, że magia kołysze się niczym słona woda w czasie przypływu. Wierzę, że Duch jest księżycem, który oddziałuje na przypływy. Wciąga nas, ale też uwalnia. Nie jest ani dobra ani zła. Jest czystą magią, równowagą. Czymś wiecznym.

Siedzący tuż za moimi oczami Koszmar drapiąc pazurami, wyszeptał:

Ale Duch został opuszczony, bez względu na jej wołanie. Rowanowie jej istnienie wymazali i mnie skazali na wygnanie. Od dawna pielęgnuję urazę, a ona czeka cierpliwie. Fala, która nadchodzi, królestwa nie ominie.

Zadrżałam, ale nie miało to nic wspólnego z wszechobecnym zimnem.

– Dlatego nie sądzę, żeby wraz ze zniknięciem mgły, zniknął Duch Lasu. Być może przestanie stwarzać zagrożenie. Może wreszcie odpocznie.

Kilka chwil później kapitan się zatrzymał.

– Przywiążcie tu konie – zawołał do pozostałych. – Widzę stąd trakt, jest dwadzieścia kroków dalej.

Odsunęłam się, robiąc przejście dla idących za mną członków szajki. Kiedy Ravyn dołączył do mnie, trzymał w ręku sztylet.

– Nie jest to nóż ogrodowy – powiedział, wręczając mi broń.

Kiedy się zawahałam, uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Nie będziesz go potrzebować. Ale bez broni twoje przebranie jest niekompletne.

Wsadziłam ostrze za pasek spodni.

– Co teraz? – zapytałam, w moim głosie pobrzmiwała lekka trema.

– Czekamy.

Mój niepokój rósł, niczym kopczyk ziemi stopniowo rzucaanej na świeży grób.

Godzinę później walczyłam ze sobą, żeby pozostać nieruchomo. Pozostali poruszali się w ciszy, rozproszeni we mgle wśród drzew, skał i krzewów. Tylko Ravyn pozostał nieruchomy, tkwił, wpatrując się w trakt.

Kiedy pod moimi stopami trzasnęła gałązka, poruszył się, posyłając mi ostre spojrzenie.

– Wybacz – wyszeptałam.

Sięgnął do kieszeni, po czym wyciągnął z niej ciemny, jedwabisty materiał – materiał, którym zakrywał mi oczy podczas Ekwinokcjum.

– Po co to? – Przygryzłam wargę.

W odpowiedzi wyciągnął drugi identyczny skrawek materiału i przyłożył go do twarzy, zasłaniając nos, usta i szczękę.

Maska.

Wspomnienie pamiętnej nocy w lesie i mężczyzn w maskach – przemocy i strachu – pojawiło się przed moimi oczami. Przestraszona, cofnęłam się, potykając o gałęzie krzaka jeżyn.

Ravyn musiał zrozumieć moje zachowanie i po chwili zdjął maskę.

– Wybacz – mruknął, podchodząc do mnie. Jego głos był zaledwie szeptem. – Panno Spindle?

Nie patrząc na niego, potarłam twarz.

– Nigdy nie sądziłam, że będę się przebierać za rozbójnika – wykrztusiłam. – A już na pewno nie, że będę to robić z tymi samymi ludźmi, którzy mnie zaatakowali.

Ravyn wziął głęboki wdech.

– Gdybym wiedział, kim jesteś...

– Byłbyś... jaki? Odrobinę miłszy? – Moje nozdrza zadrżały. – Byłam sama w środku lasu. A wy dwaj byliście okropni.

Nie zaprzeczył. Po długiej, nieprzyjemnej chwili ciszy westchnął.

– Następnego dnia, wróciłem tam sam. Przez trzy dni kręciłem się po lesie, mając nadzieję, że znów cię zobaczę i będę mógł z tobą porozmawiać. – Spojrzał w dal. – Karta Proroka pozostawia luki w interpretacji swoich wizji. Tak, moja matka przewidziała, gdzie będziesz, odkrywając twoje połączenie z Kartami. Ale reszta to czyste domysły. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, w co się pakujemy. Gdybym wiedział, że masz w sobie magię... – Zamilkł, marszcząc brwi. – Jest nas tak niewielu, panno Spindle. A ty jesteś o wiele bardziej niezwykła, niż myślisz. Dobija mnie myśl, że mogłem cię skrzywdzić. Przepraszam. Na drzewa, przepraszam cię.

Wsluchiwałam się w szum wiatru i ciszy mieszającej się z głosem Ravyna Yewa. Ubrany jak rozbójnik wydawał się inny – odmieniony. Zniknął surowy, opanowany mężczyzna będący kapitanem kawalerzystów. Tutaj, w spowitym ciemnością lesie, stał przede mną skruszony człowiek.

– Przeprosiny przyjęte. Pod jednym warunkiem. – Wyciągnęłam ku niemu rękę.

– Jakim? – Niewidzialny sznurek pociągnął jeden z kącików jego ust.

Kiedy nasze dłonie się zetknęły, poczułam, że moje policzki płoną.

– Mów mi Elspeth – powiedziałam. – W końcu zaraz mamy dopuścić się zdrady.

Nieuchwytny półuśmiech, choć nieco ostrożny, pojawił się na ustach Ravyna. Kiedy uścisnął mi dłoń, jego zrogowaciała skóra przywarła do mojej.

Spomiędzy drzew rozległ się przenikliwy gwizd, potem znowu i jeszcze raz.

Sygnał.

Ravyn zamarł, nadal trzymał mnie za rękę, gdy w oddali rozległ się odgłos nadciągających jeźdźców.

– Lepiej załóż maskę, Elspeth – odezwał się do mnie. – Już czas.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ŻELAZNA BRAMA

Wystarczyła chwila, żebyśmy zorientowali się, że coś jest nie tak. Hałas był zbyt głośny, galopujących koni zbyt wiele. Gdybym nie wiedziała, że nadjeżdżają, mogłabym pomylić robioną przez nich wrzawę z grzmotami.

Wyrzałam przez mgłę i zobaczyłam dwa powozy wyjeżdżające zza rogu, ich latarnie rzucały widmowe cienie na drogę. Płomienie mieszały się z innym światłem, ciemnozielonym, w kolorze leśnego mchu, dochodzących gdzieś z pierwszego powozu. Blask, który widziałam tylko ja.

Żelazna Brama.

Jednak zanim zdążyłam zwrócić uwagę Ravynowi, tętent kopyt przybrał na sile, a w naszym polu widzenia pojawiły się cztery kolejne światła, z tą różnicą, że w przeciwieństwie do latarenek nie migotały, ani nie były tak jasne jak Żelazna Brama. Te były ciemne, tak czarne, że odnosiłam wrażenie, jakby za chwilę miały nas pochłonąć.

Cztery Czarne Konie. Kawalerzyści jechali na wierzchowcach bojowych otaczających powóz. Cztery Czarne Konie i jedna w kolorze olśniewającej czerwieni, świecąca niczym latarnia morska.

Karta Sierpu. Hauth Rowan.

Pociągnęłam Ravyna za rękaw, Koszmar czaił się za moimi oczami.

– Jest z nim księżę, Czarny Koń i Sierp. Nic wspominałeś, że będziemy walczyć z kawalerzystami!

Mięśnie na szczęce Ravyna zadrżały. Z jego szeroko otwartych oczu i sztywnych ramion mogłam wywnioskować, że był równie zaskoczony, co ja. Po chwili mocno marszcząc brwi, sięgnął do kieszeni i trzykrotnie uderzył w Kartę Koszmaru, komunikując się z pozostałymi.

Konie na drodze zarżały, nadstawiając uszu.

– Widzisz Żelazną Bramę? – Ravyn odwrócił się w moją stronę.

– Wciąż myślisz o ataku? – Zamrugalam, otwierając usta.

– Potrzebujemy tej Karty. – Wzrok Ravyna przeskakiwał ze mnie na drogę i z powrotem.

– Ale kawalerzyści...

Głos Ravyna był spokojny, ale kiedy mężczyzna na mnie spojrzał, dostrzegłam w jego oczach dzikość, o jaką go nie podejrzewałam.

– Poradzimy sobie z kawalerzystami – powiedział. – Jeśli ruszymy na Hautha, nie będzie mógł się wystarczająco skupić, żeby sięgnąć po Kartę Sierpu. Im szybciej odzyskamy Żelazną Bramę, tym szybciej minie zagrożenie. Nadal chcesz nam pomóc, Elspeth?

Koszmar się nie odzywał. Mimo to czułam ciężar jego obecności, jak siedzi przyczajony, czekając.

Wzięłam głęboki wdech i poczułam ucisk w klatce piersiowej.

– Żelazna Brama znajduje się w pierwszej karocy.

Kolejni jeźdźcy byli coraz bliżej. Nawet przez mgłę widziałam tumany kurzu i śliskie od potu grzbiety koni popędzanych przez swoich panów. Wokół nas kruki z wrzaskiem wzniosły się w powietrze, obudzone przez pędzących jeźdźców.

– Na pewno nie chcesz jej użyć? – Ravyn ponownie sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej Kartę Lustra.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Jak chcesz. – Uderzył trzykrotnie w Kartę, po czym zniknął. – My pójdziemy jako ostatni – zwróciło się do mnie powietrze, w miejscu gdzie wcześniej stał Ravyn. – Zaprowadzisz mnie do Żelaznej Bramy. Gdy wystarczająco się zbliżymy, pobiegiesz z powrotem tutaj i schowasz się we mgle. Rozumiesz?

Nie miałam czasu na odpowiedź. Bez żadnego ostrzeżenia kilkanaście strzał z przywiązany linami wstrzeliło w poprzek drogi, blokując przejazd nadjeżdżającym powozom. Czarne Konie Jespyr i Elma lśniły w oddali, gdy razem z braćmi Ivy ostrzeliwali ziemię tuż przed powozami zmuszając zarówno zwierzęta, jak i towarzyszącym im kawalerzystom do gwałtownego zatrzymania.

Konie parskwały. Jeden stanął dęba, zrzucając swojego jeźdźcę. Nigdzie nie widziałam Ravyna, ale czułam jego obecność obok. Po chwili złapał mnie za rękę i razem popędziliśmy między drzewami w kierunku walki.

Mój oddech przyspieszył, zamieniając się w sapanie. Wszystko, co widziałam, to znajdująca się przede mną droga – tuż za linią drzew – i rozproszonych mężczyzn wokół zielonego światła.

– Do broni! – rozkazał jeden z kawalerzystów.

– Zaatakowano nas! – zawył inny.

Nie mieli czasu na przegrupowanie sił, bowiem, w tym samym czasie nadeszli rozbójnicy. Wstrząsnęły mną odgłosy walki – stal zderzająca się ze stalą, ostre dźwięki dobywanych mieczy – głośno dźwięczały w moich uszach. Ravyn, nadal

mocno trzymając, pociągnął mnie na trakt. Przed nami ludzie wysypywali się z karoc, kawalerzyści pospiesznie zeskakiwali z koni, dobywając broni.

Zauważyłam Elma na drodze. Do walki zaraz dołączyli Ivysowie, tocząc pojedynki z Hauthem i dwoma innymi mężczyznami. Natarli na siebie – siła przeciwko sile – miecze i pięści wymachiwanie z siłą mogącą połamać kości. Ciągnięta przez Ravyna w sam środek zamieszania, szybko straciłam ich z oczu.

Zielone światło Żelaznej Bramy zniknęło z pierwszego powozu. Przesuwało się po drodze, w rytm kroków Waylanda Pine’a. Światło obracało się, gdy Wayland przedzierał się przez zgiełk, ustawiając się pomiędzy kawalerzystą, a innym uzbrojonym mężczyzną.

– Płaszcz Pine’a! – zawołałam w kierunku Ravyna. – Po prawej.

Ravyn ścisnął moją dłoń, ciągnąc mnie w dół, kiedy niebo przeszyły strzały.

– Ruszaj. – To powiedziawszy, puścił moją rękę, która nagle opustoszała i zrobiła się lodowata. – Ruszaj natychmiast!

Nie czekałam, aż powie mi to po raz trzeci.

Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam – pobiegłam z całych sił. Ziemia poruszyła się pod moimi stopami i potknęłam się, o włos unikając brutalnego ostrza kawalerzysty.

W s t a w a j, warknął na mnie Koszmar, wbijając pazury w moją głowę.
W s t a w a j, E l s p e t h!

Kawalerzysta odwrócił się, walcząc na miecze z Jonem Thistle’em. Poderwałam się na nogi, linia drzew i mgła znajdowały się ledwie piętnaście kroków dalej. Biegłam, odwracając wzrok, by po raz ostatni spojrzeć na blask Żelaznej Bramy.

I wpadłam prosto na mojego ojca.

Wydawał się wyższy, z krwistoczerwonym drzewem trzmieliny wyszytym na szafirowym płaszczu. W jednej ręce trzymał sztylet, a w drugiej z wielką siłą wymachiwał mieczem mojego dziadka, zajęty brutalnym starciem z Elmem. Ledwo zwrócił na mnie uwagę, gdy uderzył mnie łokciem w policzek, posyłając na ziemię.

Poczułam w ustach smak krwi. Zamrugałam, świat wirował. Dopiero po chwili zauważyłam znajomy kształt wyryty na drzwiach drugiego powozu.

Trzmielina.

T y l k o u g r y z ł a ś s i ę w j ę z y k, t o w s z y s t k o, oznajmił Koszmar, przekrzykując panujący harmider. W s t a w a j.

Brzdęk stali tuż nad moją głową stawał się coraz wyraźniejszy. Nie wstając, szłam na kolanach, kurz przywarł do płynących po mojej twarzy łez. Kiedy dotarłam na skraj drogi, rzuciłam się w stertę liści pod wysoką topolą.

Ocierając brud z twarzy, obserwowałam rozgrywający się na moich oczach chaos i rozglądałam się za ojcem. Stał, nadal walcząc z Elmem, tylko teraz miecz księcia upadł na ziemię. Strach przebiegł mi po plecach, gdy patrzyłam na Elma, uwięzionego pomiędzy powozem a nadciągającym ostrzem mojego ojca. Uchylił się przed trzema ciosami, poświęcając całą uwagę uniknięciu kolejnego uderzenia byłego kapitana kawalerzystów.

Skrzydź go, powiedziałam, a panika ścisnęła mnie za gardło.

To nie twoje cholerne zmartwienie!

Padłam na ziemię, szukając czegoś... Czegokolwiek. Moje palce zacisnęły się wokół zimnego kamienia. Kiedy ponownie wstałam, Elm leżał na ścieżce, zwalony z nóg.

Mój ojciec stał nad nim z uniesionym mieczem, a od zadania śmiertelnego ciosu dzieliło go jedno uderzenie serca.

Weszłam na drogę i zamknęłam oczy, zwracając się do ciemności w moim umyśle. Kiedy się odezwałam, głos Koszmaru zlał się z moim.

Tylko. Nie. Spudłuj.

Kamień uderzył w tył głowy ojca, pozbawiając go równowagi oraz okazji do zadania ciosu. Elm błyskawicznie się podniósł i uciekł, znikając w cieniu swojego Czarnego Konia.

Mój ojciec odwrócił się do mnie z żądzą mordy wymalowaną na twarzy.

No i co teraz?, wysyczał Koszmar.

Cofnęłam się, moje kończyny nagle zeszywniały. Wyciągnęłam sztylet z za paska, trzymając go trzęsącymi dłońmi pomiędzy sobą a rodzicem.

Pomóż mi, zawołałam do Koszmaru, nogi trzęsły mi się ze strachu.

Ojciec się skrzywił i odchylił, chowając sztylet za plecami.

– Pieprzeni rozbójnicy – powiedział, przygotowując się do rzucenia ostrzem. We mnie.

Wiedziałam, że nie chybi. Przebyłam taką drogę tylko po to, żeby zostać zabita przez mężczyznę, który jedenaście lat temu zaryzykował wszystkim, byle tylko utrzymać mnie przy życiu.

Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, POMOCY! Załkałam, zamykając oczy, a przerażający dźwięk lecącego sztyletu zalał falą moje ciało.

Moje nozdrza wypełnił zapach soli. Poczułam się, jakbym wpadła pod tafle lodu. Zakrztusiłam się, moje płuca desperacko pragnęły powietrza, którego nie mogłam posmakować. Ból rozrywał moje ramiona – przez żyły przepływała mi mroczna magia i siła Koszmaru. Kiedy otworzyłam oczy, świat był jasny i wyraźny – za sprawą mojego towarzysza. Mój ojciec stał przede mną, przerażający, z niewielkim zaskoczeniem malującym się na groźnie wykrzywionej twarzy...

...a moja dłoń mocno zaciskała się na jego sztylcie.

Koszmar był szybszy, niż on kiedykolwiek miałby szansę się stać. Moje oczy, ramiona, umysł zaśpiewały, żądne walki. W kilku szybkich krokach, zmniejszyłam odległość pomiędzy sobą a ojcem. Zanim zdążył zamachnąć się na mnie mieczem, wbiłam stopę w jego przeponę, powalając go na ziemię. Padł z hukiem, a ja stałam nad nim, kiedy z szelmowskim uśmiechem przyłożyłam mu jego własny sztylet do gardła.

– Strzeż się błękitu – głosy mój i Koszmaru zmieszały się w jeden – strzeż się kamienia. Strzeż się w wodzie majaczącego cienia. Wróg u bram się czai.

Surowe oblicze ojca, zastąpił czysty strach. Wpatrywał się we mnie, jego błękitne oczy stały się szkliste i szeroko otwarte. Kiedy skierował wzrok na moje tęczęwki, wiedziałam, że mnie nie rozpoznał.

Nigdy wcześniej nie widział mnie z żółtymi oczami.

Jednak zanim Erik Spindle – leżący z otwartymi w szoku ustami i pobladłą twarzą – wydobył z siebie głos, obok nas przebiegł wystraszony koń, powalając mnie na ziemię.

Upuściłam sztylet ojca, a moja głowa uderzyła o kamień i świat nagle zawirował.

Złapały mnie czyjeś ręce. Wyrывałam się, ale nie udało mi się ich odepchnąć. Widok przede mną się rozmazywał, a moje żyły płonęły żywym ogniem.

Po chwili zostałam postawiona na nogi.

Jej twarz zasłaniała maska, a jednak poznałam ją po oczach, po jej głosie. Jespyr. Kiedy wyciągnęła ku mnie rękę, złapałam ją, zgiełk wokół nas był ogłuszający.

Szybko rzuciliśmy się we mgłę.

Natychmiast się zgubiłam, a mimo to biegłam dalej. Oddech Jespyr stał się miarowy i być może dałaby radę iść dalej...

Gdyby kawalerzysta, który pojawił się znikąd, nie powalił jej na plecy.

Dziewczyna z hukiem padła na leśne poszycie, ciągnąc mnie za sobą. Stłumiłam krzyk, Koszmar zalewał mój umysł.

C i c h o, d z i e c k o, o s t r z e g ł. U s ł y s z ą c i ę .

Jespyr błyskawicznie stanęła na nogi, zasłaniając mnie swoim ciałem i zrównując się z kawalerzystą. Gdy mężczyzna rzucił się do przodu, sparowała cios, dorównując mu siłą, Czarny Koń przeciwko Czarnemu Koniowi. Ich miecze zderzyły się z metalicznym brzdękiem, który odbijał się echem we mgle. Łokieć Jespyr trafił Kawalerzystę w szczękę, a ten odchyliwszy się do tyłu, wymachiwał dziko bronią.

Ostrze miecza rozdarło jej tunikę, trafiając w ramię. Syknęła, ale nie zwalniała. Tak szybko, że nie byłam w stanie zarejestrować jej ruchów, Jespyr obróciła się,

pojawiając się tuż przy kawalerzyście, i uniknęła kolejnego ciosu. Mężczyzna zaklął, wyciągając zza paska paskudnie zakrzywiony sztylet.

Jednak zanim ostrze dosięgnęło celu, Jespyr rąbnęła go w głowę rękojęcią własnego miecza. Kawalerzysta stał przez chwilę z nieobecnym wyrazem twarzy, zanim runął na ziemię u moich stóp. Nie ruszał się, jego oczy były zamknięte.

– Czy on...? – Poparzyłam na niego.

Jespyr uklękła obok, jej ramię krwawiło w miejscu, w którym nieznajomy ją zranił. Przyłożyła dwa palce do jego szyi, tuż pod linią szczęki.

– Nieprzytomny – mruknęła i spojrzała na mnie. – Wszystko w porządku?

Czułam się, jakby całe moje ciało zostało wyciosane z drewna – zeszywniała i rozpadająca się od środka.

– Nic mi nie jest – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Gdzie są pozostali?

– Nie mam pojęcia. – Sięgnęła do kieszeni na piersi. – Zawróciłam. – W jej oczach pojawił się strach, ręce nerwowo przeszukiwały ubranie. Wywinęła na drugą stronę kieszenie, rozpięła płaszcz, a potem pelerynę, szukając czegoś, z wyrazem coraz większej paniki na twarzy.

– Jasna cholera – wyszeptała.

– Co?

– Nie ma go tutaj – załkała. – Mojego talizmanu. Musiał mi wypaść, kiedy ten tutaj powalił mnie na ziemię.

Gdzieś za nami trzasnęła gałąź.

– Co to było? – zapytała Jespyr, szeroko otwierając oczy.

– Musimy iść – zarządziłam, rozglądając się wokół. – Inni kawalerzyści mogą być niedaleko.

Ale Jespyr tylko pokręciła głową, a jej oczy zaszklily się ze strachu.

– Ja... Ja... – zakrztusiła się, jakby chciała wypić zbyt dużo wody naraz. – Czujesz? – odezwała się. – Wyczuwasz zapach soli?

Wpatrywałam się w nią, zrobiło mi się zimno, powietrze wokół moich ust zamieniało się w kłęby pary.

– Jespyr?

Trzęsącymi się dłońmi, zaczęła pocierać oczy.

– Ja... Ja... Nic... nie widzę. – Jej powieki dziko zatrzepotały. – Nie, nie, nie! – wykrztusiła.

Co się z nią dzieje?, zapytałam, czując przebiegający po plecach dreszcz.

Nie domyślasz się? Nie czujesz tego zapachu?

Sól wypełniła moje nozdrza. Magia. Mroczna, niekontrolowana magia. Przybył Duch Lasu, gotowy zaprowadzić równowagę.

Przybył, żeby zabrać Jespyr.

Sięgnęłam do kieszeni kamizelki, przeszukując je drżącymi palcami. Ale moje kieszenie były puste. Zostawiłam swój amulet w starannie złożonej sukni w Zamku Yew.

Podskoczyliśmy ze strachu, gdy w oddali zawył lis.

– Jespyr, musimy wyjść z mgły.

– Nie mogę – wykrztusiła. – Droga n-nie jest bezpieczna. – Odwróciła się na zachód, wzywana przez coś, czego nie mogłam usłyszeć. – Musimy wejść głębiej w las.

– Nie – zaprotestowałam. – Jesteś zdezorientowana. Musimy się dostać...

Nie słyszała mnie. Widziałam, że stała się zagubiona, jej zaszklone brązowe oczy miały pusty wyraz. Wtem zaczęła biec, lawirując między drzewami, pochłaniana przez mgłę.

Pobiegłam za nią, zmuszając swoje zmęczone kończyny do ruchu, słyszałam głośnie bicie swojego serca. Ścieżka była tak ciemna, że poruszałam się po omacku, wyciągając przed siebie ręce, ale nie odważyłam się prosić o pomoc Koszmaru. Nadal byłam wypompowana po ostatnim razie, kiedy użył mi swojej siły. Gałęzie drzew szarpały mnie za włosy, ziemia upstrzona była mokrymi liśćmi i zdradzieckimi korzeniami. Każdy krok stanowił pułapkę.

Przed nami wśród drzew rozległo się zwierzęce wycie. Koszmar zaśmiał się okrutnie, a jego głos wypełnił mój umysł.

Duch nie zna litości, Duch niczego nie daruje. Nieważne, kim jesteśmy, i tak nas przywołuje. Obserwuje mgłę, czai się w jej cieniu, czeka, aż ktoś ulegnie jej niemiemu zaproszeniu.

Zwierzę znowu zawył, ale tym razem pośród szaleńczego zawodzenia udało mi się rozpoznać dwa słowa.

– Pomocy!

To nie zwierzę zawodziło. To Jespyr.

I odpłaca tym, których usidli wiecznym snem.

Jej krzyki odbijały się echem we mgle, przerażające i rozdzierające serce.

Pośpieszyłam w kierunku hałasu, znajdując Jespyr zaplątaną w pnącza porastające starą topolę, z kostką utkwioną między korzeniami.

Miała rozbiegane spojrzenie, skupione na czymś odległym.

– Kończyny ziemi, przybądźcie po mnie, zabierzcie mnie do domu. – Zaśmiała się przez zaciśnięte zęby. – Nie obawiaj się, Elspeth. Leśne korzenie i zwierzęta są sługami Ducha, tak samo jak ty i ja.

Ogarnęły mnie mdłości, gdy zobaczyłam jej skręconą kostkę. Wzięłam nóż i wyciągnęłam ją z pnączy.

– Jespyr – zwróciłam się do dziewczyny. – Czy twój brat ma przy sobie talizman? Sprawiała wrażenie, jakby mnie nie słyszała.

– Pozostaję... Pozostaję w ciemności, nigdy w świetle.

– Jespyr!

Zamrugała, wbijając palce w otaczającą ją ziemię.

– Tak – udało jej się wykrztusić. – Ravyn... amulet. Pośpiesz się.

Przedzierałam się przez las, gorączkowo rozglądając się szeroko otwartymi oczami za charakterystycznym fioletowym i burgundowym światem kapitana kawalerzystów.

Ale natychmiast się zgubiłam, pogrążona we mgle.

Przeczesałam ciemność w poszukiwaniu jakiegokolwiek koloru, osłaniając się ramionami przed wściekle ostrymi pnączami jeżyn. W ślad za mną podążały zwierzęta, a ja pędziłam najszybciej, jak umiałam, pewna, że z Jespyr stanie się coś strasznego, jeśli nie znajdę dla niej talizmanu.

Potknęłam się, spadając w wąwóz, gałęzie drapały tkaninę maski, którą nadal miałam na sobie.

Gdzie on jest? Załkałam. W którą stronę powinnam iść?

P o c z e k a j, ostrzegł mnie Koszmar. N a s ł u c h u j.

Nadstawiłam ucho do wiatru. Z początku słyszałam tylko bicie swojego serca. Ale potem... kroki. Coś szło w moim kierunku. Coś albo ktoś.

Wyjrzałam zza bukszpanu, rozglądając się za jakimkolwiek kolorem.

Kolejne zwierzęce wycie przetoczyło się przez las, a ja stłumiłam krzyk cisnący mi się na usta. Chciałam zacząć wołać o pomoc, ale uciszona przez Koszmar, siedziałam cicho, czekając.

Rozległo się więcej kroków, gałęzie trzaskały pod ciężkimi butami. Nadal kuląc się za bukszpanem, zobaczyłam prawie zlewające się z ciemnością Karty – Czarne Konie i Sierp. Nadchodzili z drugiej strony wąwozu, powoli i ostrożnie z obnażonymi mieczami. Trzech kawalerzystów zbliżało się do leżącego na ziemi mężczyzny.

Dotarłam dokładnie w miejsce, z którego uciekałyśmy z Jespyr.

N i e r u s z a j s i ę, rozkazał Koszmar.

Trzęsły mi się ręce. Jedną przyłożyłam do ust, a drugą oparłam na rękojeści sztyletu, który dał mi Ravyn. Nie widzieli mnie zza gęstego bukszpanu, do tego mgła była zbyt gęsta. Ale znajdowali się wystarczająco blisko, żeby mnie usłyszeć.

Wstrzymałam oddech.

Mężczyźni podnieśli leżącego kawalerzystę, zakładając sobie jego ręce na ramiona. Jeden z nich zaklął na dźwięk huczenia sowy, pozostali zaczęli się wycofywać. Niezależnie od tego, jakie były ich pierwotne zamiary, nie planowali długo pozostawać poza traktem. Tylko jeden z nich zwlekał, obchodząc mgłę zaledwie rzut kamieniem od mojej kryjówki.

Jego twarz oświetlało czarne i czerwone światło Kart. Wielki książę Blunder, narzeczony Ione.

Hauth Rowan.

Podszedł bliżej, nadstawiając uszu w moim kierunku.

– Kto tu jest?

Był myśliwym, a ja jego ofiarą. Po moim policzku spłynęła pojedyncza, zimna łza. Jednak kiedy spojrzałam przez ramię, po wielkim księciu nie pozostał żaden ślad.

Zamrugałam, rozglądając się uważnie. Nie użył karty Lustra – inaczej dostrzegłabym fioletową poświatę. Po chwili pełnej napięcia ciszy wyslizgnęłam się zza krzaków. Trzęsły mi się ręce, wprawiając w drżenie bukszpan.

Ale Hauth Rowan zniknął razem z pozostałymi kawalerzystami.

Westchnęłam, odwracając się z stronę wąwozu. Gdybym tylko znalazła drogę powrotną na trakt, odnalazłabym Ravyna i jego amulet.

Jespyr kończył się czas.

Zanim jednak zdążyłam zrobić krok, coś poruszyło się za moimi plecami, coś mrocznego i niezwykle szybkiego. Odwróciłam się, a włosy na głowie stanęły mi dęba.

Z nadludzką szybkością, wyskoczył z mgły i chwycił mnie za nadgarstek. Próbowałam się wyrwać, ale pociągnął mnie z powrotem ku sobie, jego Czarny Koń i Sierp rzucały złowrogie, oślepiające światło.

– Kim jesteś? – zapytał Hauth, potrząsając mną.

Wykręcił mi rękę. Usłyszałam dziwny, nienaturalny trzask, po którym w moim nadgarstku wybuchł przeraźliwy ból. Krzyknęłam, ból był rozdzierający, przeszywający całe moje ramię.

Syk Koszmaru zmienił się w ryk. Zalał mój umysł nagłą, jadowitą furią. Książę brutalnie warknął.

Hauth potrząsnął moim nadgarstkiem, mrużąc oczy w próbie dojrzenia mojej twarzy.

– Kim jesteś? Co tutaj robisz?

Nie odpowiedziałam. Nie miałam nawet szansy. Uderzyłam wysokiego księcia, a moja ręka rozmyła się we mgle. W powietrzu uniósł się dźwięk rozrywanej tkaniny. Rozszerzyłam oczy, gdy spojrzałam w dół, moja ręka była śliska od krwi.

Krwi, która nie należała do mnie.

Krzyki Hautha wypełniły las.

– Kim ty jesteś? – zawołał, odsuwając się ode mnie, a przerażające ślady pazurów znaczyły jego ciało od ramienia aż do szczęki.

Nie odpowiedziałam. Pobiegłam w głąb lasu, z krwią wysokiego księcia zasychającą na moich palcach.

Co ty zrobiłeś? Załkałam, bojąc się spojrzeć do tyłu.

Głos Koszmaru palił, jak gorące żelazo.

Owoc jarzębiny jest czerwony, zawsze czerwony. Jej korzeń od krwi ciemny, burgundowy. Książę jest człowiekiem, a człowiek może krwawić. Przyszedł po dziewczynkę... A w zamian trafił na potwora.

Krzyki Hautha odbijały się echem w lesie, tak samo ochryple jak wycie lisa. Przedzierałam się pomiędzy drzewami i krzewami, moje ciało było napięte jak postronki, desperacko pragnęłam rzucić się do ucieczki. Nie wiedziałam, czy biegnę na północ, czy na południe, wiedziałam tylko, że muszę zwiększyć odległość dzielącą mnie od wysokiego księcia.

Oczy zapiekły mnie od łez, a mój nadgarstek, gorący i spuchnięty, pulsował z bólu. Gdy usłyszałam za sobą szelest liści, gwałtownie skręciłam w prawo, przecinając krzaki wawrzynka. Zaczepiłam nogami o chwasty i upadłam ciężko.

Jęknęłam, mój wzrok się rozmazał.

W s t a w a j, zawołał Koszmar. W s t a w a j, E l s p e t h.

Przeturlałam się, nasłuchując. We mgle rozległy się czyjeś kroki, jednak tym razem, gdy uniosłam wzrok, dostrzegłam majaczące w oddali kolory – burgundowy, fiolet i omszałą zielen. Koszmar, Lustro i Żelazna Brama.

Ravyn.

Musiał usłyszeć, że ktoś nadchodzi, bo kiedy udało mi się przebić przez mgłę, nigdzie go nie widziałam – zniknął za sprawą Karty Lustra. Wpadłam na niego z impetem, moje serce zadrżało z ulgi. Usłyszałam jego gwałtowny wdech, a po chwili magiczny całun został podniesiony. Przedemną pojawił się kapitan kawalerzystów.

– Elspeth – wykrztusił. Objął mnie, jego oczy były szeroko otwarte w zdumieniu. – Co...

– Ćśśś! – uciszyłam go, ciągnąc za pobliskie drzewo i zakrywając mu usta dłonią. – Wielki książę jest tuż za mną.

Oddech uwiązał Ravynowi w gardle. Sięgnął do pasa, by wyciągnąć sztylet. Moje palce zsunęły się z jego ust. Zanim jednak opuściłam ramię wzdłuż ciała, złapał mnie

za rękę, splatając ze sobą nasze palce. Niedaleko nas zahuczała sowa, a ja podskoczyłam z przestraczem, z twarzą zimną od łez, nie zdając sobie sprawy, że płakałam.

Ravyn wpatrywał się we mnie, wsłuchując się w mgłę. Kiedy otoczyła nas głucha cisza, wyjrzałam zza drzewa, w poszukiwaniu czarnych i czerwonych świateł Hautha Rowana.

– Nie widzę jego Kart – wyszeptałam.

Ravyn z powrotem wsunął sztylet do pochwy.

– Pine i jego towarzysze zbiegli, gdy tylko się wycofaliśmy. Drugi powóz ruszył za nimi, ale kawalerzyści zostali, dlatego musieliśmy się rozdzielić. Wątpię, żeby weszli tak głęboko we mgłę.

– Widziałam, że wracali na trakt.

– Hauth cię widział?

Kiwnęłam głową.

– Chyba złamał mi nadgarstek.

Oczy Kapitana zabłysły. Sięgnął po moją zranioną rękę, ale szybko się odsunęłam.

– Nie mamy na to czasu. Jespyr... straciła swój amulet. – Moje buty zapadały się głęboko w ziemię, kiedy odciągałam go od drzewa. – Musimy po nią wrócić. Teraz.

Natrafiliśmy na Jona Thistle'a i pobiegliśmy głęboko w las, uważając na kawalerzystów. Po czarnych i czerwonych światłach nie było ani śladu. Obawiałam się, że nie będę w stanie znaleźć drogi, ale ślady mojej szaleńczej ucieczki przed Hauthem okazały się łatwe do wytropienia, a stamtąd znaleźliśmy wąwóz, który poprowadził nas z powrotem do Jespyr.

Nie uszła daleko, jej kostka była zbyt słaba, by utrzymać jej ciężar. Ravyn uklęknął przed siostrą i wyciągnął z kieszeni zawinięty w płótno amulet. Umieścił go w zeszywniałych palcach Jespyr i przycisnął jej czoło do swojego, szepcząc słowa, których nie zdołałam usłyszeć.

Obserwowałam ich, serce waliło mi ze strachu. Po pewnym czasie do szklanych oczu dziewczyny wróciło życie, przestała też się wiercić i czołgać w kierunku mgły.

– Co się, do cholery, wydarzyło? – Usiadła, mrugając oczami.

– Upuściłaś swój amulet – zwrócił się do niej Ravyn, odgarniając siostrze włosy z twarzy. – Skręciłaś kostkę. Ale wszystko jest już w porządku, Jes. Jesteś bezpieczna.

Odetchnęłam głęboko, mdłości ustąpiły poczuciu ogromnej ulgi. Drzewa za nami zaszeleściły, po lesie niosły się odgłosy kłótni dwóch osób. Bracia Ivy wrócili.

– W porządku, chłopcy? – zawołał Thistle.

– Royce Linded złamał mi pieprzony nos. – Przekleństwa Petyra wypełniły powietrze.

– Sam jesteś sobie winien, skoro go nie walnąłeś – odgryzł się Wik.
– Kapitan powiedział wyraźnie, żeby ich nie zabijać, nie?
– Czy ktokolwiek widział twoją twarz? – przerwał braciom Thistle. – Rozpoznali cię?

– Oczywiście, że nie.

– Jesteś pewien?

– Czy nie wyglądam na cholernie pewnego, Jon?

Rozległ się chrzęst liści. Ktoś biegł w naszym kierunku, ciemny, bezdenny cień przecinający drzewa. Chwyciłam Thistle'a za ramię, żeby go ostrzec, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, z ciemności wyłoniła się kasztanowa czupryna.

Elm.

– Oho! – zawołał Petyr. – Nie spieszyłeś się.

Księżę nie był w nastroju.

– Powiedział kretyn, który uznał, że poradzi sobie z kawalerzystą, nie posiadając Czarnego Konia. Właśnie wykrwawiałbyś się na drodze, gdybym nie wkroczył, żeby uratować ten twój kościsty tyłek. – Jego zielone oczy przesunęły się na Ravyna, a następnie na Jespyr, wciąż siedzącej na leśnej ściółce. – Co się stało?

– Upuściła talizman – uspokoił go Thistle. – Ma drugi. Zaraz wróci do siebie.

– Lepiej, żebyś miał tę pieprzoną Kartę. – Spojrzenie Elma wróciło do Ravyna.

– Oczywiście, że ma. – Roześmiał się Wik. – Spójrz na tę zadowoloną z siebie buźkę.

– Zerknijmy na nią – zaczął domagać się Petyr.

Ravyn wyciągnął z kieszeni zielone światło, które migotało, gdy obracał Kartę między palcami, na jego ustach błąkał się arogancki uśmiezek. Na widok jego radości, poczułam, że coś ściska mnie w dołku.

Przekazywaliśmy między sobą Żelazną Bramę, zaczynając się rozluźniać, oddechy ulgi wypełniły powietrze jak dym. Gdy Karta wróciła do Ravyna, schował ją do kieszeni. Wolna od jego dotyku rozbłysła na zielono.

Napięcie powoli nas opuszczało, śmiech wypełnił nasz mały skrawek lasu. Odeszłam kilka kroków, nagle boleśnie świadoma, jak obolałe jest moje ciało. Znalazłam kłodę i opadłam na nią z bezceremonialnym łoskotem.

Elm podszedł do mnie, wpatrując się w moją twarz.

– A więc jeszcze żyjesz?

Udało mi się skinąć głową, zanim kolejna fala bólu rozlała się po moim nadgarstku. Moja skóra promieniowała gorącem, widocznie spuchnięta.

– Rozpoznał cię? – zapytał Elm.

– Kto? – wtrącił, obserwujący nas Ravyn.

– Jej ojciec.

Brwi Thistle'a zniknęły pod linią jego włosów.

– Erik Spindle tam był?

– W drugim powozie – poinformował ich Elm, wycierając krew z nosa. – Drań mnie zaskoczył, praktycznie mnie tratując.

– Co się stało? – odezwała się Jespyr, krzywiąc się, kiedy wstała, podtrzymywana przez Petyra.

– Wciąż jestem w jednym kawałku, czyż nie? – Elm spojrzał na mnie ze ściągniętymi brwiami. – Ona go odciągnęła.

Wszyscy ucichli, ich oczy utkwione były we mnie. Objęłam ramię, spuszczając wzrok. Wypuściłam długi, zmęczony oddech.

– Nie rozpoznał mnie.

– Jesteś pewna? Bo jeśli cię rozpoznał, to mamy po królewsku przeje...

– Naprawdę myślisz, że próbowałby zabić własną córkę?

Ravyn podszedł i uklęknął przy mnie. Delikatnie chwycił mój ranny nadgarstek i owinął go swoją maską, zakładając prymitywny opatrunek, by unieruchomić moją rękę tak mocno, abym nie mogła nią ruszyć. Zacisnęłam zęby, ale nie odwróciłam wzroku, kilka zbłąkanych łez spłynęło mi po policzku.

Elm nas obserwował.

– Kto to zrobił? – zapytał.

– Hauth. – Głos Ravyna był lodowaty, gdy przemówił, zawiązując prowizoryczny bandaż, po czym spojrzał mi w oczy. – Nigdy nie powiedziałaś, jak udało ci się od niego uciec.

Zesztywniałam, nikczemny śmiech Koszmaru rozbrzmiewał w mojej głowie. Kiedy się wreszcie odezwałam, mój ton był lekko oślizgły, jakby zanurzony w oleju.

– Może to jemu udało się uciec przede mną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Magia to najstarszy paradoks świata.
Im więcej daje ci mocy, tym bardziej cię osłabia.
Bądź ostrożny. Bądź mądry. Bądź dobry.
Magia to najstarszy paradoks świata.*

Pozostali ruszyli przodem, napędzani zwycięstwem. Tylko Elm został z tyłu, czekając przy swoim wierzchowcu.

Zacisnęłam zęby, przygotowując się na kolejną przepychankę z księciem. Czułam, że mój nadgarstek był sztywny i obolały. Zanim jednak zdążyłam podejść bliżej, Ravyn stanął pomiędzy mną a swoim kuzynem.

– Oszczędzę wam jazdy we dwójkę – powiedział do Elma. – Jedź sam z pozostałymi.

Księżę uniósł brew, spojrzenie jego zielonych oczu przesunęło się to na mnie to na Ravyna. – Jesteś pewien?

– Bardzo.

– Dla mnie bomba – oznajmił. – Jestem już wystarczająco posiniaczony bez ramion boleśnie zaciskających się wokół moich żeber. – Księżę szybko dosiadł wierzchowca i spiął go ostrogami, po czym nie oglądając się za siebie, zniknął, spowity cieniami Czarnego Konia.

Oparłam się o pobliskie drzewo, wykończona.

– Co było w zawiniątku? – zapytałam.

– Jakim zawiniątku?

– Talizman, który wręczyłeś Jespyr.

Ravyn zapiął siodło.

– Głowa żmii. Trzymam ją zawiniętą, żeby przez przypadek nie skaleczyć się o jej kły.

– Nie sądziłam, że nosisz przy sobie amulet. – Uniosłam brwi ze zdziwienia.

– Noszę – powiedział, posyłając mi przelotny uśmiech. – Tylko nie z tego samego powodu, co inni.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam wzrok.

– Przypuszczam, że śmiertelne zatrucie jadem żmii, jest lepsze od tortur i śmierci w królewskich lochach – sarknęłam, a po chwili dodałam: – Zostały tylko dwie Karty

do odnalezienia. Musisz być zadowolony.

– Jestem – odpowiedział Ravyn, poprawiając siodło na swoim czarnym wierzchowcu. – Chociaż była o wiele trudniejsza do zdobycia, niż początkowo sobie wyobrażałem.

– Do skradnięcia – poprawiłam go. – Trudniejsza do skradnięcia, a nie do zdobycia. Odwrócił się, opierając się o konia.

– Nazywaj to, jak chcesz. Nigdy nie odnieśliśmy sukcesu w walce z kawalerzystami, gdybyśmy nie wiedzieli dokładnie, gdzie Pine przetrzymuje swoją Żelazną Bramę. – Jego głos złagodniał. – Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie.

– Nadstawiałam karku, żeby zyskać szansę na twoją wdzięczność, kapitanie. – Ukłoniłam mu się zamasyście.

Ravyn wypuścił powietrze, ni to westchnienie, ni cokolwiek innego. Nie zareagował na moje słowa, jakby nie zorientował się, że przed chwilą rzuciłam mu podziękowania w twarz. Zamiast tego skrzyżował ręce a piersi, jego wydatny nos rzucał cień na twarz.

– Przestraszyłaś mnie wcześniej.

– Co masz na myśli?

– Sposób, w jaki wybiegłaś spomiędzy drzew... Nie sądziłem, że to byłaś ty. – Ravyn zamilkł, obserwując mnie. – Trudno to wyjaśnić.

– Spróbuj – zachęciłam.

– Uznasz, że zwariowałem. – Wzruszył ramionami.

– Trochę na to za późno, nie sądzisz?

Kąciki jego ust uniosły się nieznacznie.

– Chodzi mi o to, że czasem, kiedy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że cię znam, że cię rozumiem. A innym razem... – Zmarszczył brwi. – Twoje oczy lśnią dziwnym żółtym blaskiem. Wyczuwam wokół ciebie bezruch, którego nie rozpoznaję. Ciemność.

Kiedy milczałam, sparaliżowana zimnem do szpiku kości, Ravyn kontynuował łagodnym głosem, poklepując konia:

– Prawda jest taka, że w każdym z nas żyje ciemność. Nie potrzebujemy *Starej Księgi Olch*, żeby to wiedzieć. Ty i ja nosimy w sobie infekcję, a wraz z nią dziwną, niesamowitą magię. Jednak wszystko ma swoją cenę. Nic nie przychodzi za darmo.

Jechaliśmy wolno w ciszy. Pomimo bolącego nadgarstka udało mi się zdrzemnąć. Nad nami majaczył księżyc, z lasu dobiegały nas odgłosy dzikich zwierząt, które odbijały się echem wokół.

Nie rozmawialiśmy przez całą podróż – ani o magii, ani o moich dziwnych oczach, moim ojcu czy Hauthu. Otoczona ciszą i spokojem, przymknęłam powieki i oparłam

się o szeroką pierś Ravyna, zbyt zmęczona, by usiedzieć prosto, ukołysana ledwo słyszalnym spod kamizelki biciem jego serca.

Skierowałam myśli w głąb swojego umysłu, szukając Koszmaru, który od czasu zamieszania w lesie nie dawał o sobie znać. Dziwne, jak bardzo był wyciszony w obecności Ravyna. Prawie tak, jakby zupełnie zniknął.

Prawie.

Wyczułam go, głęboko w ciemności. Kiedy mentalnie go szturchnęłam, poruszył się, ale nie odezwał, wyciągając pazury niczym przeciągający się kot, zanim pogrzyżył się jeszcze głębiej w ciemności.

Spałam, dopóki nie wybudził mnie znajomy stukot końskich kopyt o bruk. Księżyc nie znajdował się już wysoko na niebie, schował się za wschodnią wieżą. Gwałtownie się wyprostowałam, krople deszczu osiadły na moich rzęsach.

Powróciliśmy do Zamku Yew.

– Która godzina?

– Kilka godzin przed świtem – odezwał się Ravyn, jego głos zawibrował w klatce piersiowej.

Poprowadził nas do żelaznych bram zamku, zsiadł i wyciągnął z worka przytroczonego do siodła kościany klucz. Ziewnęłam, słysząc szcęk zamka. Myślałam tylko o zanurzeniu się w wygodnym łóżku i długim, spokojnym śnie.

Ravyn poprowadził konia do drzwi zamku. Kiedy zsunęłam się z siodła, złapał mnie w talii i postawił na bruku, zginając palce tuż nad krzywizną moich bioder. Nie zdejmował ze mnie rąk, nawet gdy moje stopy znalazły się na ziemi.

Uniosłam na niego wzrok, całkowicie rozbudzona.

– W nadchodzących dniach będzie patrzyło na nas dużo więcej par oczu niż tylko mojej rodziny – zwrócił się do mnie niskim, dudniącym szeptem. – Nadal chcesz udawać?

Nie powiedział „zaloty”. Moje płuca zadrżały, niczym paniczny trzepot skrzydeł ptaka, uwięzionego w klatce. Wiedziałam, co chciałam mu odpowiedzieć, ale coś w mojej klatce piersiowej, małe i delikatne, oparło się pokusie wypowiedzenia „tak” znajdującego się na końcu języka.

– A ty?

Wyczułam opór w jego milczeniu, on też tak samo jak ja przegrał w starciu ze światem niewypowiedzianych słów.

– Ze wszystkich rzeczy, które udaję – zaczął, kreśląc kciukiem małe kółka na mojej talii – pozorowanie zalotów do ciebie okazało się najłatwiejsze.

Jego niejednoznaczne odpowiedzi doprowadzały mnie do szału, ale tak szybko jak wściekłość się pojawiła, zniknęła, pozostawiając po sobie żar, który umiejscowił się

nisko w moim żołądku. Kiedy odsunęłam się od niego, czułam gorąco na całym ciele.

– Pochlebiasz mi. – Dotarłam do drzwi zamku.

Zamilkł na chwilę.

– Jaka jest zatem twoja odpowiedź? – zawołał za mną.

Odwróciłam się ku niemu. Prowokowanie go okazało się wyjątkowo przyjemnym uczuciem. O wiele przyjemniejszym, niż powinno.

– Irytujące, czyż nie, kapitanie? Otrzymywanie połowicznych odpowiedzi?

– Ravyn – powiedział, przesuwając spojrzeniem po mojej twarzy, aż zatrzymał się na dłużej na moich ustach. – Jeśli mamy być przekonujący, powinnaś mówić do mnie „Ravyn”.

– W takim razie, dobrej nocy, Ravynie. – Uśmiechnęłam się.

– Uznam to, za twoją odpowiedź, Elspeth – odpowiedział, uśmiechając się leniwie i z satysfakcją.

Poruszając się na palcach, przeszłam przez ciemny zamek do mojego pokoju i czekałam na Filicka, czując, jak moje powieki robią się coraz cięższe. Kiedy usiadłam na łóżku, odnalazłam pod palcami coś miękkiego. Korona z kwiatów, ta, którą zrobiłam dzisiaj rano, została ułożona na mojej poduszce. Kiedy odwróciłam ją na drugą stronę, na moją dłoń spadł pojedynczy płatek róży, czerwonej jak krew.

Stałam w starożytnej komnacie, porośniętej winoroślą. Stary, drewniany sufit spróchniał, wpuszczając gdzieś promienie światła ponad pomarańczowo-żółtym baldachimem. Ptaki ćwierkały, delikatnie szeleszcząc skrzydłami. Jednak tym razem nie było lata. Powietrze stało się chłodniejsze – panował rześki jesienny poranek.

Na ciemnym kamieniu umieszczonym pośrodku pokoju siedział ten sam rycerz, którego widziałam w moim ostatnim śnie. Jego złocista zbroja, która już dawno straciła swój czysty blask, teraz lśniła matowo w jesiennym świetle. Przy biodrze miał przytroczone ten sam starożytny miecz, z rękojeścią wyrzeźbioną w kształcie poskręcanych winorośli.

Pogrążony w myślach, nie zauważył mnie.

Czekając, aż podniesie na mnie wzrok, tak jak ostatnio, szurałam stopami po pokrytej liśćmi podłodze.

Kiedy w końcu mnie zobaczył, otworzył szeroko oczy.

– Elspeth Spindle – zwrócił się do mnie, a spojrzenie jego niezwykłych żółtych oczu wbiło się we mnie, zatrzymując w miejscu. – Wypuść mnie.

Komnata stanęła w płomieniach.

Obudziłam się gwałtownie, łapiąc powietrze. Rozejrzałam się dookoła, ale ogień zniknął. Byłam sama w moim pokoju w Zamku Yew, nie otaczał mnie żaden ogień – nie czułam żadnych płomieni liżących boki mojej twarzy. Przez okno wpadało jasne poranne słońce i zamrugałam, niepewna, jak długo spałam.

Poprzedniej nocy Filick Willow zabandażował mi nadgarstek. Kiedy jednak zsunęłam się z łóżka, prostując się, moje ramię przeszył rozpalony do białości ból. Syknęłam – owinięty płótnem lewy nadgarstek pulsował, dokuczało mi całe ramię, czyniąc je kompletnie bezużytecznym. Całe dziesięć minut zajęło mi pozbycie się wczorajszych ubrań, postrzępionych i zakurzonych.

Pokojówka zostawiła miskę z wodą na nocnym stoliku. Pokuśtykałam w tamtym kierunku, moje ciało było jednym wielkim kłębkim bólu. Przyjrzałam się sobie w lusterku i skuliłam się lekko. Moje plecy pokrywały brzydkie fioletowe siniaki, wspomnienie po upadku z konia. Ciemny siniak pojawił się również pod okiem, w miejscu, gdzie trafił mnie ojciec. Dotknęłam śladu, krzywiąc się, skóra była rozpalona i obolała.

Nawet moje powieki były zapuchnięte. Potarłam je, licząc na to, że przywróci to nieco życia mojej twarzy. Jednak kiedy odsunęłam ręce i ponownie spojrzałam w lustro, serce zamarło mi w piersi. Odskokczyłam od odbicia, krztusząc się krzykiem, który narastał w moim gardle.

Potwór – ani człowiek, ani zwierzę, z sierścią najeżoną wzdłuż długich, spiczastych uszu – wpatrywał się we mnie, szeroko otwartymi, żółtymi ślepiami.

Kiedy odważyłam się ponownie spojrzeć w lustro, potwór zniknął. Twarz w tafli należała do mnie. Tylko teraz moje rysy wykrzywiało przerażenie, a ciemne, panicznie szeroko otwarte oczy zaszklily się od łez.

Ciocia powiedziała mi kiedyś, że moje niezwykle grafitowe oczy są wyjątkowe, a nawet piękne – stanowiące ciemne okno skrywające duszę. Ale kiedy wpatrywałam się w lustro, odbicie moich ciemnych oczu, z których niekiedy wyzierała upiorna żółć, zmusiło mnie do zastanowienia się... czyja to była dusza?

Koszmaru? Czy moja?

Zeszłam po schodach, moje uda były zeszywniałe od wczorajszej jazdy konnej. Trzymałam spuszczone wzrok, uważając, by nie uchwycić swojego odbicia w żadnej z ozdobnych zbroi stojących w zamku. Ledwo słyszałam dźwięk kroków na klatce schodowej, aż nagle stojący piętro wyżej Ravyn, ubrany jak zwykle na czarno, nie zawołał mnie po imieniu.

Jego głos zatrzymał mnie w miejscu. Czekałam na niego na półpiętrze, a kiedy mnie dogonił, zaczął przyglądać się badawczo mojej twarzy szarymi oczami.

– Odpoczęłaś? – zapytał, a jego spojrzenie zatrzymało się na siniaku pod okiem. – Jak nadgarstek?

– Spuchnięty.

– Mogę? – zapytał.

Kiwnęłam głową, jego ręce przyjemnie grzały moje. Kiedy pochylił się nad zranionym nadgarstkiem, kosmyk ciemnych włosów opadł mu na czoło. Powstrzymałam nagłą chęć odgarnięcia ich na miejsce.

Ostrożnie poluzował białą tkaninę, którą poprzedniej nocy obwiązał mi rękę Filick. Skrzywiłam się, gdy odsunął materiał, skóra była gorąca i spuchnięta, pokryta fioletowymi siniakami.

Palce Ravyna przesunęły się po uszkodzonym stawie. Ponownie zaczął obwiązywać nadgarstek.

– To nie jest takie straszne, jak wygląda – pocieszył mnie. – Ale niełatwo cię przestraszyć, prawda, panno Spindle?

– Elspeth – przypomniałam mu.

Zmarszczył delikatnie nos i jednocześnie uniósł kąciki ust. Na widok jego uśmiechu, poczułam ucisk w klatce piersiowej.

– Jest kilka rzeczy, które mnie przerażają – powiedziałam. – Król, uzdrowiciele, kawalerzyści.

– Wszyscy kawalerzyści? – Ravyn przechylił głowę.

– Nie wiem, czy nadal zaliczam cię do Kawalerzystów.

– Nie? To kim innym miałbym być?

– Rozbójnikiem. – Uniosłam kąciki ust.

Uśmiechnął się szeroko. Jednak zanim zdążył odpowiedzieć, na parterze otworzyły się drzwi od salonu. Przed nami pojawiła Morette Yew, a za nią najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Kiedy mnie zobaczyła, rozchyliła usta.

– Tutaj jesteś, kuzynko – zawołała Ione, jej brązowe oczy błędziły po mnie i Ravynie. – Wreszcie wstałaś.

Usiedliśmy w salonie przy kominku. Ravyn i jego matka zajęli miękkie krzesła z wysokimi oparciami, a naprzeciwko nich dzieliłam z Ione długą ławkę, przykrytą pledem. Wpatrywałam się przez ramię w kuzynkę, pochłonięta eteryczną poświatą

jej skóry, włosów i oczu, nie wiedząc, czy jestem bardziej oczarowana, czy przerażona jej urodą.

Nie otaczało ją różowe światło. Owszem, jej piękno wydobyło się z Karty Dziewicy, ale z jakiegoś powodu, którego nie mogłam rozgryźć, nie nosiła jej przy sobie, co stanowiło nie lada ryzyko, które rzadko kto podejmował.

Magii Kart Opatrzności nie ograniczała odległość – Kartę można było aktywować i pozostawić w innym miejscu. Ale bez ponownego dotknięcia Dziewicy Ione nie zdołałaby wyzwolić się spod działania magii. Nie mogła też uwolnić się od jej negatywnych skutków, które nieuchronnie się pojawią.

A konsekwencją nadużywania Dziewicy było coś, co stanowiło całkowite przeciwieństwo prawdziwej Ione Hawthorne, tej, którą znałam przez całe swoje życie.

Bez duszność.

– O co chodzi, Bess? Na pewno nadal mnie poznajesz? – zapytała, kiedy zauważyła, że jej się przyglądam.

Prawie w ogóle. Nawet jej głos wydawał się zmieniony.

– Wyglądasz cudownie.

– Bycie zaręczoną mi służy – odpowiedziała, nie spuszczając wzroku z siniaka na moim policzku. – Szkoda, że twoje nowe życie nie zrobiło tego samego dla ciebie.

I o t o j e s t, Koszmar odezwał się tak niespodziewanie, że podskoczyłam, zaskoczona. S z c z y p t a p i ę k n a, o d r o b i n a d o w c i p u i a k c e n t n i e s k r ę p o w a n e j b e z d u s z n o ś c i.

– Panna Hawthorne podróżuje ze Stone do domu i była na tyle uprzejma, że złożyła nam wizytę – odezwała się Morette ciepłym, gościnnym głosem.

Ale podobnie jak w przypadku pozostałych członków rodziny Yew, zaczynałam dostrzegać, kiedy udaje. Była równie zaskoczona, jak ja, widząc Ione w swoim domu.

Ione uśmiechnęła się, charakterystyczna luka między zębami zniknęła za sprawą Dziewicy.

– Jesteście niezwykle uprzejmi, pozwalając mi na niezapowiedziane odwiedziny. Nie byłam w Zamku Yew od czasów dzieciństwa.

Chociaż z tęsknoty za nią pękało mi serce, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że coś się między nami zmieniło, że nasza kłótnia na królewskim zamku i Karta Dziewicy, sprawiły, że stałyśmy się dla siebie kompletnie obcymi osobami.

A jednak Ione ani słowem nie wspomniała o naszej sprzeczce. Opowiadała o Stone i zakończeniu Ekwinokcjum, o życiu na dworze i królu. Wspomniała o przygotowaniach do ślubu, za to niewiele o Hawthorne i nic o tym, dlaczego przyjechała do Zamku Yew.

Siedząca naprzeciwko nas Morette idealnie odgrywała rolę ciepłej gospodyni, kiwając głową i wydając odpowiednie dźwięki, które odzwierciedlały ton głosu Ione. Z kolei jej syn wyglądał, jakby był ciągnięty na pręgierz. Ravyn zgarbił się na krześle, obserwując mówiącą Ione, a jego usta były zaciśnięte w cienką linię, oczy nie wyrażały niczego. Oparł podbródek na dłoni, ciemne włosy opadły mu na czoło.

Wyglądał jak rozdrażniony chłopczyk, zmuszony do znoszenia uprzejmości dorosłych, pogrążony w czarnych myślach. Bolesnie, wręcz niesprawiedliwie przystojny.

Musiał poczuć, że go obserwuję, bo kiedy uniósł na mnie wzrok, do jego oczu wróciło nieco światła, a praktycznie niezauważalny uśmiech wykrzywił mu usta.

Wspomnienia z ostatniej nocy wypełniły mój umysł. Bicie serca Ravyna tuż przy moim uchu, kiedy opierałam się o niego, ciepło jego ciała. Jego dłonie na mojej talii.

Rozmowa umilkła. Wszystkie oczy wpatrywały się we mnie. Zamrugłam, wracając do rzeczywistości.

– Przepraszam, co takiego?

– Zapytałam, co się stało – powtórzyła Ione nietypowym dla niej spokojnym tonem. Jej wzrok padł na moje bandaże. – W twoje ramię.

– Spadłam z konia – odpowiedziałam zbyt szybko.

Ione przyłożyła rękę do ust, jakby starała się skryć za nią śmiech. Śmiech, który się nie pojawił.

– Ależ oczywiście, że tak – powiedziała, nawijając na palec złoty kosmyk włosów. – Mam nadzieję, że nie pozwalają ci się przemęczać, Bess – zwróciła się do mnie, unosząc brwi w idealny łuk, i skierowała wzrok na Ravyna. – Mężczyźni z Blunder są bardzo ograniczeni, jeśli chodzi o kobiety.

Ravyn, zbyt opanowany, by sprawiać wrażenie skrępowanego słowami Ione, schował ręce do kieszeni, wpatrując się w moją kuzynkę.

– Wiesz o tym najlepiej, panno Hawthorn. W końcu mój kuzyn Hauth jest znany ze swojego brutalnego temperamentu.

Jak na zawołanie, inny Rowan – o równie brutalnym usposobieniu co jego brat – minął otwarte drzwi salonu. Widząc Ravyna, wetknął potarganą głowę do środka.

– I co? – zapytał. – Są tutaj, kapitanie. Mam nadzieję, że znalazłeś czas na starcie tego wyrazu uwielbienia...

– Renelm – odezwała się Morette, rzucając Elmowi groźne spojrzenie. – Mamy gościa.

Elm odwrócił się, dopiero teraz zauważając Ione. Wpatrywał się w moją kuzynkę, jego oczy najpierw szeroko otwarte w wyrazie zaskoczenia, nagle zwężyły się w wąskie szparki. Zaciśnął usta w wąską linię.

– Co ty tu robisz, Hawthorn?

Odwróciłam się do kuzynki, spodziewając się po niej zakłopotania – rumieńca na policzkach. Właśnie tak zareagowałyby stara Ione na tak dosadne pytanie księcia. Lecz nie ta. Ta Ione była inna. Karta Dziewicy odmieniła ją i to nie tylko z wyglądu. Wpatrywała się w Elma gniewnie, wyzywająco. Jakimś cudem, uczyniło ją to jeszcze piękniejszą.

– Przybyłam, żeby porozmawiać z twoim bratem – powiedziała martwym głosem, jakby wykutym z kamienia. – Z tego, co zrozumiałam, on i kawalerzyści dzisiaj trenują tutaj.

Mój wzrok padł na Ravyna, który pozostał niewzruszony, jego oczy nie zdradzały niczego.

– Wydawało mi się, że przyjechałaś zobaczyć się ze mną, Ione – odezwałam się, starając się, by moja twarz nie wyrażała niczego poza uprzejmą neutralnością.

Hauth Rowan – mężczyzna, który próbował wyrwać mi rękę ze stawu – był tutaj. Teraz.

Wzruszyła ramionami, kładąc ręce na podołku.

– Upiekłam dwie pieczenie na jednym ogniu. Poza tym nie odwiedzałam Zamku Yew, odkąd byłam małą dziewczynką i żywiłam przekonanie, że jest nawiedzony.

Elm rzucił mi ukośne spojrzenie.

– A kto powiedział, że nie jest?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Człowieka nie mierzy się samą magią.
Jego skrupuły muszą wykraczać poza infekcję, poza Karty Opatrzności.
To, w jaki sposób włada magią, określa jego charakter.
Czy dotrzymuje danego słowa?
Czy nosi swój znak z dumą?
Czy może jego serce porośnięte jest cierniami, spowite w ciemności?
Człowieka nie mierzy się samą magią.*

Ione objęła mnie ramieniem, kiedy wyszliśmy, podążając za Ravynem i Elmem, słońce wisiało wysoko na niebie.

– Słyszałaś? – zagadnęła mnie. – Grupa rozbójników zaatakowała zeszłej nocy Hautha.

– Jak miałabym o tym usłyszeć, Ione? – Staralam się nie skrzywić.

– Zakładałam, że twój nowy zalotnik ci powiedział.

I znowu to samo – ostre tony w jej miękkim niczym kołysanka głosie.

– O co ci chodzi, Ione?

Moja kuzynka przygryzła wewnątrz policzka, nie patrząc na mnie.

– O nic. Byłam po prostu zaskoczona, kiedy ojciec powiedział, że Morette Yew próbuje zeswatać cię ze swoim synem i że dostałaś zaproszenie do ich domu, żeby ułatwić wam zaloty. – Niski śmiech zadudnił jej w piersi. – Ledwo w to uwierzyłam.

– Ja też byłam nie mniej zaskoczona, kiedy usłyszałam, że jesteś zaręczona z Hauthem Rowanem.

– Czarne konie i my – powiedziała, południowe światło rzucało blask na jej policzki. – Zachowaj ostrożność, Elspeth. Nie daj się zwieść przystojnej twarzy. Jest tyle rzeczy, o których nie masz pojęcia. O świecie, o potężnych mężczyznach. Martwię się o ciebie. Naprawdę.

A jednak nie brzmiała na zmartwioną. Brzmiała oziębła.

Wyrwałam rękę z jej uścisku.

– Daruj sobie – odparłam. – Potrafię o siebie zadbać.

Przed nami rozciągała się smuga czerni. Przeszliśmy przez szeroką bramę na dziedziniec. Tam czekało dziesięciu zbrojnych, których Czarne Konie tłumili

promienie słoneczne, a na tunikach nie mieli żadnych insygniów.

Kawalerzyści.

Moja kuzynka przycisnęła palec do dolnej wargi.

– A mówiąc o potężnych ludziach, Hauth był wściekły, kiedy rozbójnicy zbiegli ubiegłej nocy. – Na jej ustach pojawił się uśmiech, którego nigdy u niej nie widziałam. Prawie niegodziwy. – Wiesz, został dość groteskowo zraniony przez jednego z rozbójników.

– Jakież to straszne. – Mój wzrok padł na wielkiego księcia.

Hauth Rowan stał wraz z innymi kawalerzystami, trzymając w kieszeni Kartę Sierpu i Czarnego Konia. Cztery głębokie szramy ciągnęły się wzdłuż jego szyi i znikwały tuż pod kołnierzem jego tuniki. Wyglądało to tak, jakby rzucił się na niego gigantyczny kot, ślady pazurów były bardzo wyraźne.

Ale to nie kot. W żadnym razie.

Wpatrywałam się w szyję wielkiego księcia. Czy ja... naprawdę to zrobiłam?

Głowę wypełnił mi śmiech Koszmaru, odbijając się upiornym echem w ciemności.

J e ś ł i m u s i s z p y t a ć , n i e j e s t e ś g o t o w a n a p o z n a n i e p r a w d y .

Ravyn i Elm czekali na skraju podwórka. Wraz z Ione podeszliśmy do nich, a kapitan, nie spuszczać wzroku z Kawalerzystów, nie odezwał się ani słowem. Ale opuścił rękę wzdłuż boku, jego knykcie otarły się o moje, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie.

– Wezwałem ich – powiedział.

– Och? – Spojrzałam na niego.

– Trenujemy tutaj, kiedy jesteśmy z dala od Stone. A trening jest tym, czego najwyraźniej potrzebujemy. Wygląda na to, że czterech moich ludzi, w tym wielki księżę, przeciwstawiło się moim wyraźnym rozkazom i zamiast wrócić do miasta, przedłużyli swój pobyt na królewskim zamku. W drodze powrotnej wpadli w zasadzkę w Czarnym Lesie. – Wykrzywił usta w uśmiechu. – Hauth jest raczej... zdenerwowany.

– Powinien być – skomentował Elm, wybierając brud spod paznokci. – Wygląda na to, że wczoraj wieczorem coś nieźle go poharatało.

Hauth przeszedł przez dziedziniec, kierując się w naszą stronę. Towarzyszył mu Royce Linden⁹, barczysty i muskularny kawalerzysta, z krótko przyciętymi, brązowymi włosami i surowym licem. Widziałam ich razem wiele razy. Wyglądali tak samo, Hauth i Linden, tak samo surowi, o donośnych, szorstkich głosach.

– Gdzie jest Jespyr? – Spojrzenie zielonych oczu Hautha przeskakiwało pomiędzy Ravynem a Elmem.

Ravyn przechylił głowę, jego twarz była jak wykuta z kamienia.

– W łóżku, chora – odpowiedział. – Dałem jej wolny dzień.

– Każ jej wstać – zażądał Hauth. – Potrzebujemy wszystkich.

– Jest nas wystarczająco dużo. – Ravyn ani drgnął.

Ione wyrzała zza mojego ramienia, przyciągana napięciem rosnącym pomiędzy Kapitanem Kawalerzystów a jej przyszłym mężem. Kiedy jej wzrok spoczął na narzeczonym, wydawało mi się, że dostrzegłam coś w jej przymrużonych oczach – coś więcej niż chłód.

Coś, co bardzo przypominało nienawiść.

Chwilę później po takim spojrzeniu nie było śladu w jej oczach, przybrały spokojny, rozmarzony wyraz, otoczone ciemnymi, gęstymi rzęsami.

Hauth ledwie zauważył jej obecność, jego wzrok spoczął na mnie.

– Najdroższy – zwróciła się do niego Ione głosem ociekającym słodyczą. – Pamiętasz moją kuzynkę, Elspeth? Jest gościem na Zamku Yew.

Serce waliło mi w piersi jak szalone. Wsunęłam spuchnięty nadgarstek pod pelerynę, przybierając nijaki, skromny wyraz twarzy. Musiałam sobie przypominać, że moja twarz poprzedniego dnia była ukryta pod maską. Mimo to się bałam, w zielonych oczach księcia czaiła się bystra, gwałtowna inteligencja.

Kiedy Hauth się odezwał, jego głos był odległy, chłodny – tak odmienny od uroczego barytonu, którym przemawiał w czasie Ekwinokcjum.

– Spotkaliśmy się w Stone – powiedział, po czym zerknął na Ravyna. – Słyszałem, że to ona jest powodem, dla którego stałeś się ostatnio tak nieuchwytny.

– Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień, kuzynie. – Ravyn spokojnie popatrzył na księcia.

– Słyszałeś, co się stało? – Hauth spiął się, napinając mięśnie pod świeżymi strupami.

– Że czterech kawalerzystów i garstka uzbrojonych mężczyzn nie poradziła sobie z bandą cholernych rozbójników? – odezwał się Elm, mrugając do niego. – Nie rozgłaszałbym tego, bracie. Nie jest to do końca książęce zachowanie.

– To była zasadzka – warknął do niego Hauth. – Wayland Pine i Erik Spindle podróżowali ze Stone. Natknęliśmy się na nich w drodze do miasta. To na nich czyhali rozbójnicy. Trzech mężczyzn zostało rannych, a Żelazną Bramę skradziono. – Przesunął dłonią po szramach. – To pamiątka po jednym z nich.

Szczękę Hautha pokrywał kilkudniowy zarost, skóra była zbyt zaczerwieniona, by można ją było golić. Śledziłam wzrokiem ranę. Przez mój umysł przemknęło wspomnienie tego, jak złapał mnie za ramię, moich przeszywających krzyków, i to, z jaką furią zareagował Koszmar.

Śmiech Koszmaru był jak błysk zapalonej zapalki w ciemnościach, znowu sprawił, że podskoczyłam przestraszona.

D u m a, powiedział. D u m a g ł u p c a.

Ravyn i Elm wpatrywali się w obrażenia Hautha.

– Widziałeś, kto to zrobił? – zapytał go Elm.

– Złapałem go w lesie – pochwalił się Hauth. – Pozostali zniknęli, a ten, głupi sukinsyn, najwyraźniej się zgubił. – Nadał się, nagle zadowolony z siebie. – Złamałem draniowi nadgarstek.

Powietrze w płucach zrobiło się gorące, nienawiść moja i Koszmaru zlała się w jedno.

Obok mnie Ravyn i Elm znieruchomiali. Jediną osobą, która się poruszała, była Ione. Jej głowa obróciła się nieco, spojrzenie jej orzechowych oczu przesunęło się z narzeczonego na mój rękaw, w miejscu, gdzie chowałam złamany nadgarstek.

Nie ruszałam się. Przestałam oddychać.

– Aresztowałeś go? – zapytał lodowatym tonem Ravyn.

– Nie – odparł Hauth. – Musiał mieć ostrza schowane w rękawicy, bo w następnej sekundzie przeorał mi nimi twarz.

Elm bawił się swoją Kartą Sierpu, obracając ją między palcami.

– Jestem zaskoczony, że ktoś cię pokonał. W dodatku rujnując twoją piękną buźkę.

Zanim Ione zakryła usta, zdążyłam zauważyć cień uśmiechu mający na jej ustach. Elm też to zauważył, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Szyja Hautha poczerwieniała. Wyprostował ramiona i się obrócił.

– Nie mogę się doczekać, aż ich złapiemy i zawisną na stryczku. Rozbójnik spotyka kata. Nawet jeśli spotkają go w kawałkach, niechaj tak będzie.

Kawalerzyści wydali z siebie cichy pomruk aprobaty. Ravyn obserwował ich, jego twarz stała się nieprzeniknioną maską, jeśli nie liczyć zaciśniętej szczęki. Po raz pierwszy doszłam do wniosku, że Ravyn Yew nie lubi udawać, że królewski kapitan kawalerzystów stoi na straży prawa i porządku.

Nienawidził tego.

– Zaczniemy trening – zarządził, po czym mijając Hautha, ruszył w głąb podwórka.

– Co ty na to, żebyśmy zademonstrowali wspólnie, jak najlepiej pokrzyżować zamiary rozbójników? – zawołał. – O ile nie martwisz się, że dodam kilka szram do twojej kolekcji.

– Linden będzie demonstrować. – Hauth się zawahał.

Nozdrza Lindena zadrzały.

– Nie zamierzam się z nim sparować – zaprotestował, po czym cichym głosem dodał: – Zainfekowany sukinsyn.

– Coś ty powiedział? – Elm zacisnął dłoń wokół swojego Sierpa.

– Nic takiego. – Linden zrobił krok w tył, utkwiał spojrzenie w czerwonej Karcie Księcia.

Elm się zagotował. Skrzyżował ręce na piersi, przenosząc spojrzenie z Lindena na brata.

– Chyba nie boisz się z nim sparować, prawda?

Schwytany w sidła własnej dumy, Hauth zacisnął zęby, posłał młodszemu bratu mordercze spojrzenie, po czym ruszył na środek podwórka za Ravynem.

Kawalerzyści otoczyli swojego kapitana i wielkiego księcia. Stałam pomiędzy Elmem a Ione, mój nadgarstek płonął, mięśnie były napięte jak postronki. Niedaleko zebrali się członkowie rodziny Yew, zwabieni obecnością królewskich ludzi i zapowiedzią przemocy.

– Pamiętajcie – zawołał Ravyn do swoich żołnierzy – rozbójnik nie przestrzega żadnych praw. On lub ona może nawet być zainfekowana. Nigdy nie jest się zbyt ostrożnym. – Jego spojrzenie na sekundę spoczęło na mnie. – Rozbójnicy potrafią być o wiele potężniejsi, niż wam się wydaje.

– Skończ już z gadaniem, do dzieła! – krzyknął Elm.

Czarny Koń Hautha zaciemnił podwórko. Wielki książę, stuknął w niego trzy razy, po czym schował z powrotem do kieszeni. Nie aktywował Sierpa. Usta Ravyna wykrzywiły się we wszechwiedzącym uśmiechu.

– Skupcie się na jego rękach – zawołał. – Rozbójnik może jedną ręką trzymać wam nóż na gardle, podczas gdy drugą przeszukuje wasze kieszenie.

Uderzył Hautha w rękę, na co Elm zaśmiał się pod nosem. Zanim Hauth zdążył uciec, Ravyn ponownie go trafił, tym razem waląc w twarz, czym zerwał jeden ze strupów.

– Korzystajcie mądrze ze swoich Czarnych Koni – poinstruował żołnierzy Hauth, ocierając rękawem krew. – Szybkość i precyzja to wasz największy atut.

Wielki książę poruszył się z niewiarygodną prędkością, rzucając się przez podwórko i trafiając Ravyna pięścią w brzuch.

– Myślałam, że Karty Opatrzności nie mogą być użyte przeciwko Ravynowi – wyszeptałam do Elma.

– Hauth nadal może używać Czarnego Konia, by zwiększyć swoją szybkość – mruknął Elm. – Zwróć jednak uwagę, że nie sięga po Sierp. Wie, że nie zadziała na Ravyna.

– Rozbójnicy są najbardziej śmiertelni w grupie, niczym wataha wilków – kontynuował Ravyn. – Rozdziel ich, a staną się niczym więcej niż wściekłymi psami, grasującymi po lasach. – Zamknął oczy i tym razem, gdy Hauth poruszał się

w nieziemsko szybkim tempie, nagle wyciągnął rękę, chwytając płaszcz kuzyna, i jednym ruchem powalił na ziemię wielkiego księcia.

Hauth przetoczył się na bok, zanim but Ravyna zderzył się z jego ramieniem. Chwilę później stał już na nogach, z obnażonymi zębami.

– Jak on wyglądał? – zapytał Ravyn, wyprowadzając cios prosty. – Mężczyzna, który przeorał ci twarz?

– Nie rozpoznałem go – odparł, blokując cios kuzyna. – Miał na sobie maskę.

– Anonimowość – poinformował kawalerzystów Ravyn, trafiając Hautha w ucho. – Anonimowość to największa zaleta rozbójnika. Pozbaw go jej, a on jest już martwy.

– On albo ona – wyszeptała Ione głosem tak cichym, że równie dobrze mogłam sobie wyobrazić, że to wyszło z jej ust.

Hauth wyciągnął sztylet z za pasa. Na ten widok Ravyn zmrużył oczy i uginając kolana, poruszał się w rytm kroków wielkiego księcia. Stojąc lekko na stopach, uchylił się, kiedy Hauth ciął w niego sztyletem.

Poruszali się po podwórku w szalonym tańcu kroków, uników i ofensyw.

– Przestańcie bawić się w kotka i myszkę – krzyknął stojący z boku Elm. – Przyszliśmy tu obejrzeć porządny łomot.

Hauth splunął krwią i przewrócił się w nieudanej próbie podcięcia nóg Ravynowi. Znajdujący się obok mnie ani Ione, ani Elm nie zadali sobie trudu, by ukryć uśmiechy, gdy oglądali, jak kapitan kawalerzystów robi widowisko ze spuszczenia manta wielkiemu księciu.

Kiedy Hauth po raz kolejny spuścił kłosa, zaklął szpetnie, a szyły na jego żyły nabrzmiały.

– Mówiłeś, że złamałeś mu nadgarstek – zwrócił się do kuzyna Ravyn. – Powinieneś przynajmniej dosięgnąć mnie na tyle, żeby upuścić mi krwi.

Hauth rzucił sztyletem, tnąc kaftan Ravyna tuż przy kołnierzu. Wzdrygnęłam się, szukając krwi na jego tunice. Ale kapitan kawalerzystów obrócił się, jego stopa wylądowała na żebrach Hautha, posyłając następcę tronu z powrotem na ziemię.

A wtedy, używając całej swojej siły, Ravyn nadepnął na rękę wielkiego księcia.

Przerażający trzask rozszedł się echem po całym podwórku, a zaraz za nim rozległy się agoniczne krzyki Hautha. Skrzywiłam się, odwracając spojrzenie. Elm pochylił się do przodu, szeroko otwierając oczy. Koszmar zasyczał z zadowoleniem.

Trzech Kawalerzystów musiało odciągać Ravyna od wielkiego księcia.

– Złaźcie ze mnie – warknął, przepychając się w stronę zamku, jego niewzruszona kontrola została zakłócona przez wściekłość. – Szkolenie zakończone.

Obserwowałam, jak kawalerzyści eskortują wielkiego księcia z dziedzińca. Hauth zaklął okrutnie, obejmując zakrwawioną dłoń, gdy wraz ze zbrojnymi zniknął

w zamku otoczony czarnym woalem.

– Będzie żył – skomentowała bezbarwnym głosem Ione. Odwróciła się na pięcie, ruszając do środka, ostatnie promienie słońca rzucały refleksy na jej długie, złote włosy.

Moje tętno nie zwolniło, dopóki na podwórku nie zapanowała cisza. Zostaliśmy tylko ja i Elm.

– Co się właśnie wydarzyło?

Księżę wzruszył ramionami, jego zielone oczy wpatrywały się w niknącą w oddali sylwetkę Ione.

– Hauth złamał ci nadgarstek, to Ravyn zmiażdżył mu rękę. Równowaga została przywrócona.

Rozglądałam się za Ione, ale słysząc niskie pomruki Hautha dochodzące z jej pokoju, szybko skierowałam się w przeciwną stronę. Spojrzenie, które kuzynka posłała mi na podwórku, mną wstrząsnęło. I chociaż nie mogła wiedzieć, co wydarzyło się w lesie zeszłej nocy, prześladowało mnie uczucie niepokoju. Było tak wiele rzeczy w nowej wersji Ione, których nie rozumiałam.

Przerażała mnie niemożność ufania osobie, którą zaledwie dwa tygodnie temu znałam na wylot.

Ravyn, Jespyr i Elm jedli kolację z pozostałymi kawalerzystami. Tylko ja, Fenir i Morette zasiedliśmy do długiego, przekrzywionego stołu w jadalni. Nie narzekałam, kiedy zdecydowali się skończyć obiad wcześniej.

Ruszyłam długim korytarzem z powrotem do swojego pokoju, nucąc jedną z melodii Koszmaru.

K a r t y. M g ł a. K r e w, zawołał w ciemności. J e s t e ś c o r a z b l i ż e j. C z u j e s z z a p a c h s o l i?

Z przodu rozległy się czyjeś kroki, a potem przyciszone głosy. Poszłabym prosto do swojego pokoju, nie chcąc zostać przyłapaną na podsłuchiwanie, gdybym nie usłyszała, jak jeden z rozmówców wypowiada moje imię.

Słowa Elma były na wpół szeptem, na wpół sykiem.

– Nie mamy pojęcia, co się wydarzyło w lesie – powiedział. – Spindle, jej umiejętności...

– Są niesamowite. Uratowała ci życie. Myślę, że zasłużyła na wytchnienie od twojej zwyczajowej wrogości, nie sądzisz?

– Nie mówię, że nie jestem jej wdzięczny za przeżycie kolejnego dnia, Ravyn. Mówię tylko, że powinniśmy zachować ostrożność. Hauth wyglądał, jakby

zaatakowało go dzikie zwierzę, a nie kobieta. Nie wiemy o niej zbyt wielu rzeczy. – Elm zamilkł na moment. – Mogłaby w tym pomóc twoja karta Koszmaru.

Poczułam chłód.

– Nie. Nie zamierzam tego robić. – Głos Ravyna był szorstki.

– Jakoś nie masz problemu, żeby używać jej na całej reszcie. Więc dlaczego nie na niej?

– Reszta z was wyraziła na to zgodę. Ona nie.

– I nie sądzisz, że to dlatego, że ma coś do ukrycia?

– Przez większość życia trzymała coś w sekrecie. Nie widzisz tego?

– Wygląda na to, że nie tak dobrze jak ty – skomentował Elm.

– Co to niby miało znaczyć? – zapytał Ravyn.

– Nic – opowiedział książę. – Tylko tyle, że nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy, nie, kiedy jesteśmy już tak blisko. Złamanie ręki Hawthowi, choć było dla mnie niezwykle przyjemne, to z twojej strony lekkomyślność.

Ravyn milczał przez chwilę.

– Wiem.

– Nie powinieneś tracić czujności, Ravyn. A już na pewno nie przy niej.

– Odnotowałem – zwrócił się do niego kapitan, jego głos brzmiał chłodno. – Dobranoc, kuzynie.

Zadźwięczały kroki. Grzebałam przy zamku, robiąc o wiele za dużo hałasu. Ledwo zdążyłam wejść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi, kiedy rozległo się pukanie.

Koszmar westchnął. S a m a s o b i e u t r u d n i a s z ż y c i e, m o j a d r o g a.

– Kto tam? – zawołałam zbyt piskliwym, pozbawionym tchu głosem.

– Ravyn.

Kiedy otworzyłam, poczułam ściskanie w dołku, kapitan kawalerzystów prezentował się wyjątkowo przystojnie w ciemnozielonej tunice. Oparł się o framugę, jego pełne zgrubień palce, wybijały jednostajny rytm na drewnie. Przyglądał mi się, przechylając głowę, niczym ciekawski, drapieżny ptak.

– Myślałem, że nadal będziesz na kolacji.

– Skończyliśmy wcześniej. Nikt z nas nie był za bardzo głodny. Dopiero wróciłam.

– Wiem, słyszałem.

Nie zapytał, czy przysłuchiwałam się jego rozmowie. Bez wątpienia już wiedział. Odetchnął ciężko.

– Przepraszam za dzisiaj – odezwał się. – Z pewnością niełatwo ci było zobaczyć Hawthę po wczorajszej nocy.

Pazury Koszmaru wbijały się w mój umysł.

– Nie chodziło o ciebie – zaczął Ravyn – kiedy złamałem mu rękę. To znaczy chodziło o ciebie, ale też o coś więcej.

– Och?

– Mamy wyjątkowo wrogą relację. Mój kuzyn i ja.

– Zauważyłam. – Prychnęłam.

– Hauth z całego serca nienawidzi infekcji. Bardziej niż inni. Do tego nie może znieść, że jego ojciec uczynił ze mnie kapitana. – Ravyn przygryzł wargę, jego plecy zeszywniały. – To on powiedział królowi o mojej infekcji. A dziesięć lat temu zrobił dokładnie to samo, kiedy na gorączkę zapadł Emory.

Niemal czułam promieniujące od niego napięcie. Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć jego dłoni – powiedzieć mu, że rozumiem go lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie zrobiłam tego.

– Ale nie dlatego przyszedłem się z tobą zobaczyć – poinformował mnie Ravyn.

– Nie?

– Jest coś, co chciałem ci pokazać wczoraj, ale nie było na to czasu – powiedział. – Jednak jeśli jesteś zmęczona, to może poczekać.

Byłam zmęczona. Ale coś poruszyło się w moim brzuchu – coś nienazwanego, coś, co jeśli zostanie zignorowane, będzie mnie gryzło przez całą noc. Oparłam się o drugi kraniec framugi, unosząc brwi.

– Co to takiego?

Ravyn uniósł kącik ust.

– Zobaczysz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

*Magia zrodzona z infekcji jest niezmierną.
Niezgłębiona. Nie jest lojalna, nie przestrzega żadnych zasad.
Niektórym przyznaje wielką niezrównaną moc.
Innych czeka mrok i wynaturzenie.
Magia zrodzona z infekcji jest niezmierną.*

Zamiast skierować się do głównego wyjścia, opuściliśmy zamek krętym przejściem dla służby, pospiesznie schodząc na sam dół, aż dotarliśmy do małych drewnianych drzwi prowadzących do ogrodów. Na zewnątrz księżyc w pełni rzucał cienie padające na unoszącą się mgłę, jakby zamkowe duchy łapały jesienne podmuchy wiatru. Ta aura wyglądała jak nie z tego świata.

Podążałam za Ravynem tą samą ścieżką, którą szliśmy poprzedniego dnia, ostrożnie stawiając kroki. Kiedy nad naszymi głowami zaskrzeczała sowa, podskoczyłam, przysuwając się bliżej mężczyzny, który prowadził mnie spowitą cieniami i krzakami jeżyn dróżką.

Nocą ruiny starego zamku prezentowały się jeszcze dziwniej. Stały otoczone mgłą, pochłaniając światło księżyca.

Na skraju cmentarzyska znajdowała się kamienna komnata o ciemnym i złowieszczym oknie.

Wzrok Koszmaru rozjaśnił otaczającą nas ciemność.

W e j d ź d o ś r o d k a, mruknął.

– Idziemy tam? – wyszeptałam, kroki Ravyna były zdecydowane, kiedy prowadził nas między drzewami.

– Tak.

Komnata nie miała żadnych drzwi, tylko to jedno okno.

Kapitan przeskoczył przez krawędź, jego ruchy były wyćwiczone i pełne gracji, jakby robił to już setki razy. Po chwili znalazł się w środku.

Pochylił się nad parapetem, wyciągając ku mnie dłoń.

Zawahałam się. Wewnątrz pomieszczenia znajdowało się coś magicznego – czułam to, ten nagły zapach soli w powietrzu drażnił nos. Wychodząc z głębi mojego umysłu, Koszmar tak gwałtownie skoczył do przodu, że o mały włos nie straciłam równowagi.

W e j d ź d o ś r o d k a, nalegał.

Złapałam Ravyna za rękę, a on przeprowadził mnie przez kamienny parapet. Moje stopy dotknęły podłogi i przez pół sekundy, zanim moje oczy przyzwyczyły się od panującego mroku, wszystko było idealnie czarne.

Komnata była kwadratowa. W górze migotało światło księżyca, drewniany sufit komnaty był przegniły i popękany. Powyżej widziałam gałęzie cisu, który obserwował nas przez dziurawe sklepienie.

W centralnej części komnaty znajdowała się wysoka i szeroka kamienna płyta. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy uważnie rozglądałam się po pomieszczeniu.

Rozpoznałam je: ściany porośnięte bluszczem... popękany, drewniany sufit... Kamień na środku komnaty.

Brakowało tylko siedzącego na nim rycerza w złotej zbroi. *To jest to miejsce*, westchnęłam w myślach. *Pokój z moich snów*.

T a k, zawył Koszmar przeszywająco.

Co to jest? Kim był ten mężczyzna siedzący na kamieniu?

M i e j s c e c z a s u – c z ł o w i e k w i n y. O b a n a p ę d z a n e w ś c i e k ł o ś c i ą – o b a z a s y p a n e s o l ą.

Podeszliśmy z Ravynem do kamienia na środku komnaty.

– Kiedy byłem chłopcem – wyjaśnił – lubiłem się tutaj bawić.

– Całkiem przerażające miejsce do zabawy dla dziecka, prawda? – Zadrżałam.

– Być może. – Jego oczy odnalazły moje.

Grzebałam w swojej świadomości, domagając się wyjaśnienia – powodu, dla którego Koszmar pokazał mi to pomieszczenie w snach. Ale milczał, czekając, obserwując.

– Dlaczego tu jesteśmy?

Ravyn zabrał rękę spod płaszcza.

– Pokażę ci.

Ułożył dłoń prosto na środku kamiennej płyty, światło księżyca tańczyło na jego skórze. Nie zauważyłam małego srebrnego ostrza, które wyjął zza paska jednym, płynnym ruchem. W ogóle nie za wiele widziałam. Jego ruchy były zbyt szybkie.

Zanim zdążyłam choćby mrugnąć, rękę Ravyna pokrywała krew.

– Co ty wyprawiasz? – zawołałam.

W odpowiedzi, schował nóż do kieszeni, a ja ujrzałam, że ostrze przecięło skórę poniżej kciuka. Krew ściekała wzdłuż jego dłoni aż na kamień.

– Nie martw się – odezwał się, a jego głos był szokująco spokojny jak na kogoś, kto właśnie rozciął sobie dłoń nożem. – Patrz.

Oddech uwiązał mi w piersi, gdy Ravyn odwrócił rękę wierzchem do dołu, a świat i Koszmar znajdujący się za moimi oczami, nagle znieruchomieli. Po chwili z głębi kamienia wyłoniło się kilka charakterystycznych wiązek światła.

Karty Opatrzności ukryte w głębi starożytnego kamienia, uruchomione przez krew.

Krew Ravyna.

Zainfekowaną krew.

Środek płyty, niegdyś ciemny i nieprzenikniony, nagle stał się przejrzysty jak tafla wody. Widziałam przez niego jak przez drzwi. Głęboko w środku leżały Karty Opatrzności, ułożone w stos, ukryte, czekające.

– Jak... Jak ty...? – Walczyłam ze słowami.

Ravyn uśmiechnął się, po czym sięgnął do środka kamienia i wyciągnął stos Kart.

Ich kolory zniknęły – zgaszone dotykiem Ravyna. Patrzyłam zafascynowana, jak układał je jedna po drugiej na płaskiej powierzchni, a ich światła powracały, gdy wypuszczał je ze swoich dłoni.

Prorok. Dziewica. Kielich. Złote Jajo. Biały Orzeł i nowo zdobyta Żelazna Brama.

– Wasza kolekcja – powiedziałam, moje oczy zalała kaskada barw. – Twój ojciec mi je pokazywał.

– Tutaj je ukrywamy – powiedział Ravyn, poklepując kamień.

– Jakim cudem odkryłeś tę kryjówkę?

Wzruszył ramionami.

– Bawiąc się jako chłopiec. Rozciąłem sobie rękę o okno i wpadłem do środka z zakrwawioną dłonią. Kiedy dotknąłem nią kamienia... Cóż, sama widziałaś.

– Ale dlaczego to jest tutaj? – zapytałam, wdychając zapach soli unoszący się w pomieszczeniu. – Co to za miejsce?

– Nie wiem. Komnata jest stara, niemal tak stara jak ruiny na zewnątrz. – Znowu sięgnął do kieszeni, po czym wyjął burgundowe i fioletowe światła. – Koszmar i Lustro – Znalazłem je w środku kamienia.

Poruszyłam ciemność, szturchając Koszmar. Kiedy się odezwał jego słowa uderzały we mnie niczym krople deszczu.

Propozycja, okupiona krwią. Tak właśnie targuje się Duch – zawsze domaga się krwi. Dlatego król Shepherd wybudował dla niej tę komnatę, na skraju lasu, ten ołtarz. Właśnie tutaj dokonali wymiany.

Skąd o tym wiesz?

Nie odpowiedział. Przesunęłam dłonią po kamieniu, jego powierzchnia była zimna i szorstka. Ravyn otarł krew o rękaw tuniki.

– Pozostali bezskutecznie próbowali otworzyć kamień. Jeśli coś mi się stanie, tylko ty będziesz zdolna go otworzyć. Tylko zakażona krew ujawni skrytkę.

– Czy coś ma ci się stać? – Spojrzałam na niego.

– Nie, jeśli mogę temu zaradzić. – Uśmiech, który mi posłał, nie sięgał jego oczu.

Ponownie zebrał Karty, każda z nich w kontakcie z jego skórą poddawała się jego magii. Gdy sięgnął po Białego Orła, złapałam go za rękaw, przytrzymując w miejscu. Wpatrywałam się w Karty spoczywające w jego dłoni – wszystkie pozbawione koloru poza Koszmarem i Lustrem.

– Dlaczego możesz używać tylko tych dwóch Kart?

Z początku Ravyn się nie odezwał, tylko na mnie patrzył. Być może, tak jak w przypadku innych rzeczy, które nas łączyły, chciał, aby i ta tajemnica pozostała niewypowiedziana. A jednak wytrzymałam jego spojrzenie, czekając ośmielona otaczającym nas bezruchem.

– Miałem trzynaście lat, więcej niż większość dzieci, kiedy dopadła mnie gorączka – przyznał, przerywając ciszę. – Ale nie wykazywałem żadnych oznak magii czy zdolności. Unikałem uzdrowicieli. Myślałem, że udało mi się ustrzec przed konsekwencjami infekcji. Rok później rozpocząłem trening na kawalerzystę. – Jego ton stał się mroczniejszy. – Ale kiedy zaproponowano mi Czarnego Konia, Karta nie zareagowała na mnie, nie ustąpiła przede mną. Nie mogłem jej aktywować bez względu na to, jak bardzo się starałem. – Urwał. – Hauth powiedział o tym Orithemu Willow, który ukłuł mnie pazurem, potwierdzając moją infekcję królowi.

Nigdy nie słyszałam, żeby Ravyn mówił tak dużo. Jego głos miał w sobie głębię ciemnej wody, był taki gładki i spokojny. Kołło mnie. Przesunęłam wzrokiem po twarzy kapitana kawalerzystów, pochłonięta jego przeszłością – spragniona poznania jego historii.

Ravyn kontynuował:

– Ale podobnie jak jego pupil, król też dostrzegł zalety mojej infekcji. Bez Czarnego Konia stałem się lepszym wojownikiem niż inni kawalerzyści. Nie mogłem użyć Kielicha, ale z drugiej strony Kielich nie mógł zostać wykorzystany przeciwko mnie. Nikt nie mógł mnie zobaczyć w Karcie Studni. Sierp nie może mnie kontrolować. – Przerwał. – Dlatego mianował mnie kapitanem. – Przejechał dłonią po włosach. – Co roku tracę zdolność do użycia kolejnej Karty. Pozostały mi tylko Lustro, Koszmar i, jak sądzę, Bliźniacze Olchy. – Widząc moje szeroko otwarte oczy, wzruszył ramionami. – Magia ma swoją cenę. Jeśli nie zbierzemy Talii i nie wyleczymy mojej infekcji, niedługo nie będę mógł w ogóle korzystać z Kart Opatrzności. – Spojrzał na mnie, jego twarz skrywały cienie. – Rzadko o tym rozmawiam, chyba że z Elmem.

– Ale on jest... – Zmarszczyłam brwi.

– Rowanem.

– Nie obawiasz się, że zdradzi wszystko swojemu ojcu?

– Gdybyś go znała równie dobrze jak ja, wiedziałabyś, jak bardzo jest to niemożliwe. Elm jest lojalny. Czasem aż do przesady. – Ravyn uśmiechnął się.

Pomyślałam o Ione. Czy raczej, czując ściskający mnie żal, o tej Ione, sprzed Karty Dziewicy.

– I jest lojalny wobec ciebie, a nie wobec własnego ojca i brata?

Kapitan zamilkł na moment.

– Elm był bardzo mądrym dzieckiem, ale nienawidził szkoleń, wolał swoje książki. Król nie był zadowolony z jego łagodności, uważając go za słabego i ostatecznie pozostawił syna na wychowanie królowej. Kiedy umarła... Elm... był źle traktowany w Stone. – Wyraźnie zmagął się ze słowami. – Hauth brutalnie się z nim obchodził, więc pewnego dnia, po prostu... przyprowadziłem go do domu. Moi rodzice zostali jego rodzicami, moje rodzeństwo jego rodzeństwem. Jest ostrożny i nieufny, ale prędzej by umarł, niż nas zdradził.

Dostrzegłam w kapitanie kawalerzystów coś nowego, coś ostrego i surowego. Być może, tak samo jak na mnie, zadziałał na niego unoszący się wokół zapach soli, wyzwalając go, budząc jego prawdziwą naturę. Zniknęła sztywna, nieugięta postawa, a na jej miejscu pojawiło się zdecydowanie.

Ravyn skupił się z powrotem na Kartach leżących na kamieniu.

Ułożył je jedna na drugiej, ich światła zniknęły w kontakcie z jego skórą.

Wyciągnął zza paska ten sam nóż, którego użył wcześniej do nacięcia sobie dłoni.

– Poczekaj – odezwałam się, znowu przytrzymując go za ramię. – Pozwól mi.

– Nie ma mowy, Elspeth. – Zmarszczył brwi.

– Mówię poważnie – powiedziałam. Kiedy ani drgnął, zacisnęłam zęby. – Jeśli mam wiedzieć, jak to zrobić poprawnie, musisz mi na to pozwolić.

Ravyn nadal trzymał ostrze w żelaznym uścisku. Nie odzywał się, widziałam w jego oczach, że walczy ze sobą, ale mimo to nie podał mi noża.

– W porządku – oznajmiłam, odwracając się.

Złapał mnie za zdrowy nadgarstek, przyciągając do siebie. Zbliżył moją rękę do swojej klatki piersiowej. W drugiej ręce, delikatnie, jakby posługiwał się smyczkiem, trzymał nóż, którego czubek znajdował się milimetry od mojej skóry.

– To nie wymaga dużej ilości krwi – zwrócił się do mnie. – Tylko odrobina. Potrzebne jest złożenie ofiary.

C o ś z a c o ś, szepnął Koszmar. N i e m a n i c z a d a r m o.

Skóra Ravyna była szorstka jak okładka dawno zapomnianej książki, ale przy tym przyjemnie ciepła. Mój oddech przyspieszył, czekałam na ból, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

Przesunął ostrzem po wewnętrznej stronie mojej ręki. Westchnęłam, obserwując smugę czerwonych kropeł, wypływających z prawie niewidocznego nacięcia Ravyn przycisnął ranę, utaczając więcej krwi.

– Wystarczy niewielkie cięcie. – wymruczał. – Nic głębszego. Nie ma potrzeby okaleczania tych pięknych dłoni.

Jeśli pojawił się jakiś ból, w ogóle go nie poczułam. Za to poruszyło się we mnie coś innego. Niezupełnie ból... Raczej pragnienie.

Ravyn przysunął moją rękę do kamienia, przyciskając ją, tak samo jak on robił to wcześniej. Kiedy pozwolił mi się odsunąć, na starożytnym kamieniu pozostały krople mojej krwi. Chwilę później Karty zniknęły, z powrotem zapieczętowane, spowijając komnatę ciemnością.

Zniknęła też moja krew, doszło do wymiany, opłata została pobrana przez tajemniczą magię.

– Nie ma nic za darmo.

Ravyn przyciągnął do siebie moją rękę, na której pozostało kilka czerwonych kropeł. Twardymi palcami uciskał ranę, tamując krwawienie. Kosmyki opadły mu na czoło, jego oczy wpatrywały się w moją dłoń.

Wolną ręką odgarnęłam włosy z jego twarzy, moje palce drżały, gdy musnęłam opuszkami jego skórę.

Ravyn uniósł wzrok z nad mojej ręki, jego spojrzenie zatrzymało się na moment na moich ustach, zanim nasze spojrzenia się spotkały. Jego palce powoli ześlizgnęły się na mój nadgarstek.

– Wyczuwam twój puls. Twoje serce bije bardzo szybko – szepnął.

Nagle poczułam wdzięczność za osłonę w postaci zapadającego zmroku i spowitą cieniami komnatę. Gdybyśmy znaleźli się tutaj w ciągu dnia, nie udałoby mi się ukryć rozlewającego się na policzkach gorącego rumieńca.

Odnosiłam wrażenie, że zostałam spętana – owinięta niewidzialną nicią, która łączyła mnie z kapitanem kawalerzystów. Byłam boleśnie świadoma, jak blisko siebie staliśmy, jego potężnego ciała, z którego emanowało ciepło, krzywizny moich piersi, unoszących się w rytmie przyspieszonego oddechu, dotyku jego stwardniałej dłoni na mojej.

– Nie mam pojęcia dlaczego – wykrztusiłam.

– Czyżby? – Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

Stałam nieruchomo, czekając na coś, czego nie miałam odwagi nazwać. Wolną ręką ujął mój policzek, jego kciuk spoczywał niebezpiecznie blisko moich ust.

Oddech utknął mi w płucach, instynktownie rozchyliłam wargi, a oczekiwanie zmieszało się z uczuciem lekkości, jakiego nie rozumiałam. Ravyn gwałtownie wypuścił powietrze – jego kciuk przesunął się po mojej dolnej wardze.

Kiedy pochylił się bliżej, zamknęłam oczy, jego usta wyszeptały wprost w moje:

– Czy ty udajesz, Elspeth? – zapytał, muskając mnie czubkiem swojego nosa. – Bo jeśli tak... – jego oddech poruszał moje rzęsy – to jesteś bardzo przekonująca.

Te słowa coś we mnie poruszyły. To samo pragnienie, które czułam przed chwilą. Chciałam, żeby znów przesunął kciukiem po moich ustach, pragnęłam poczuć fakturę jego szorstkiej, stwardniałej skóry. Moje ciało krzyczało, niecierpliwie domagając się dotyku.

Jego dotyku.

– Nie bardziej niż ty, kapitanie.

Grdyka Ravyna podskoczyła, jego powieki opadły. Stanowczo umieścił moje dłonie na swoim torsie, tuż nad insygniami jego rodu, tuż nad sercem. Jego pierś unosiła się gwałtownie, a serce waliło w niej, jakby przebiegł maraton. Kiedy uniosłam na niego spojrzenie, spostrzegłam, że patrzył na mnie łagodnym wzrokiem.

– Czy to wygląda na udawanie? – zapytał, jego usta znajdowały się tak blisko, że ocierały się o moje.

To było... surowe. Uczciwe. Uczucie, które było mi kompletnie nieznane. Dopiero Ravyn Yew, kapitan kawalerzystów, mój rzekomy naturalny wróg, uświadomił mi, czego od zawsze pragnęłam.

Przestać udawać.

Nasze wargi się zetknęły, wokół unosił się zapach soli. Ravyn warknął głęboko w moje usta, a ja wtuliłam się w niego całą sobą, chcąc – potrzebując – poczuć go na swoim ciele. Przesunął rękę z mojej szczęki na kark, wplątał palce w moje włosy, zapraszająco uchylając usta.

Języki, z początku niepewnie, po chwili splątały się w dzikim, gorącym tańcu, poruszając się łapczywie, coraz intensywniej.

Pochłonał mnie, wyrwał z zainfekowanego, dzielonego z Koszmarem umysłu i przyjął do siebie. Pocałunek przybrał na sile. Chwyciłam w dłonie szczękę Ravyna, wbijając palce w znajdujący się na policzkach zarost. Nie chciałam być dla niego łagodna. Czułam się już zbyt zmęczona udawaniem, że go nie pragnęłam.

Wbijającą się we mnie twardość jego ciała, powiedziała mi, że on czuje dokładnie to samo. Ravyn objął ramieniem moje plecy, przyciskając mnie mocniej do siebie. Musnął ustami mój policzek, po czym dotknął wargami mojego ucha i lekko je

przygryzł. Po moim kręgosłupie przechodziły dreszcze. Zaciśnął pięść w moich włosach, odchylając mi głowę do tyłu, obnażając szyję. Całował mnie poniżej ucha, pod szczęką, sunął w dół gardła.

Gdybym nie otwierała oczu, być może całkowicie poddałabym się dotykowi Ravyna. Ale uchyliłam je tylko na chwilę, a kiedy to zrobiłam, coś ponad jego ramieniem przykuło moją uwagę. Cień sunący po zaciemnionej komnacie. Kiedy podążyłam za nim wzrokiem, moje oczy spoczęły na kamieniu pośrodku pokoju – tym, który chwilę temu otworzył Ravyn, a ja zamknęłam swoją krwią.

Tyle że teraz na gładzie siedział mężczyzna w złotej zbroi. Mężczyzna z moich snów.

Obserwował mnie, a kiedy się odezwał, rozpoznałam jego jedwabisty głos.

– Elspeth Spindle – powiedział, a jego oczy – niezwykle i żółte – przytrzymały mój wzrok. – Wypuść mnie.

Oderwałam się od Ravyna, walcząc z cisnącym się na usta krzykiem. Jednak kiedy ponownie spojrzałam na kamień, rycerza już nie było. Zostaliśmy tylko my i unoszący się w powietrzu zapach soli.

Ravyn szeroko otworzył oczy, wyzierała z nich dzikość. Jego czarne włosy były potargane, jego ręce – ręce, które jeszcze chwilę temu przyciskały mnie do siebie – opadły wzdłuż boków. Nawet w ciemności mogłam dostrzec malujący się na jego twarzy rumieniec. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ja już się odwróciłam i pobiegłam do okna, bojąc się przebywać choćby sekundę dłużej w tej dziwnej magicznej komnacie.

– Przepraszam – powiedziałam, dochodząc do okna. – Muszę iść.

– Elspeth – zawołał za mną.

Nie zawróciłam, a on pozwolił mi odejść. Biegłam przez łąkę, wolna od soli – magii. Wypuszczałam, krótkie, urywane oddechy, które nie przynosiły żadnego ukojenia. Nie przestawałam biec, dopóki nie dotarłam do małych, drewnianych drzwi u podstawy zamku.

Co się ze mną dzieje? Załkałam, moje palce zacisnęły się w pięści. Czy ja tracę rozum?

Koszmar prześlizgnął się przez mój umysł niczym wąż.

Wiem tyle, ile wiem, mruknął.

Krzyknęłam w otchłań mojej świadomości. *Dosyć, Koszmarze! Mów prawdę. Kim jest ten człowiek? Dlaczego ciągle go spotykam?*

Jest reliktem przeszłości, duchem nawiedzającym komnatę wybudowaną dla Ducha Lasu, niczym więcej niż

tylko wspomnieniem mężczyzny, którym niegdyś był. Jego głos stał się twardszy. Mężczyzną, którym niegdyś byłem.

Zatrzasnęłam drzwi swojego pokoju, wpadłszy do środka jak burza. Zahaczyłam stopą o dywan i upadłam. Zakląłam, gdy uderzyłam w starą wełnę.

Zamarłam. Oto on, wpleciony w dywan leżący w moim pokoju, jego pozłacana zbroja lśniła na grzbiecie czarnego konia. Rycerz z komnaty. Dopiero teraz, kiedy badawczo przyglądałam się wełnie, zauważyłam w oddali niewielki przedmiot, wpleciony w zieleni na skraju dywanu, zagnieżdżony na obrzeżach lasu, tuż przy linii drzew.

Komnata pozbawiona drzwi, z jednym, ciemnym oknem.

Uderzyło we mnie wspomnienie z dzieciństwa. Zobaczyłam się jako małą dziewczynkę ślęczącą nad należącym do ciotki egzemplarzem *Starej Księgi Olch*, wpatrywałam się w stronę poświęconą Karcie Koszmaru. Byłam tak pewna, że stwór w moim umyśle był ucieleśnieniem samej Karty – potwora, wymalowanego na Karcie – że nie zrozumiałam, ostatnich słów zapisanych na końcu strony.

Czułam, że jest niekompletna, moja kolekcja co jedność stanowiła. Dlatego za Kartę Koszmaru zaprzedałam duszę.

Przyłożyłam dłoń do ust, moje palce drżały, a głos brzmiał pusto.

– To oznacza, że wchłonęłam twoją duszę, kiedy dotknęłam Karty Koszmaru. To wszystko, czego właśnie się domyśliłam, czyni cię... królem Shepherdem.

Koszmar warknął, jego szyderczy uśmiech ociekał jak olej i palił niczym kwas. Jego głos rozbrzmiał głośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, jak gdyby znajdował się coraz bliżej. Jakby rósł w siłę.

Wreszcie, moja droga, Elspeth, nareszcie się rozumiemy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Powiedz im. Powiedz im prawdę.

Kiedy dzieci zaczną zadawać pytania, nie kłam – nie ukrywaj, jakie ryzyko niesie za sobą magia.

Dzieci rozumieją więcej i są o wiele silniejsze niż myślisz. Tylko wtedy nauczą się podejmować własne decyzje. Tylko wtedy są prawdziwie wolne.

Powiedz im. Powiedz im prawdę.

– Panienko? Panno Spindle?

Obudziłam się gwałtownie, mój nadgarstek był sztywny i obolały, przechodziły mnie silne dreszcze.

Gdzieś nade mną zagruchały gołębie. Usiadłam oszołomiona, ze zdziwieniem przyglądając się chłodnemu, porannemu niebu. Sufit i ściany mojej sypialni zniknęły. Bolało mnie całe ciało, skórę pokrywała gęsia skórka. Byłam w koszuli nocnej, brudnej i mokrej od trawy. Rozejrzałam się dookoła, rozpoznając wysokie cisy i otaczające mnie kopczyki niezagrabionych liści.

Niedaleko, skąpana we mgle, stała kamienna komnata, którą opuściłam zaledwie kilka godzin temu.

Nade mną stał Filick Willow, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami, jego kaptur był mokry od deszczu.

– Wszystko w porządku, panno Spindle? – zapytał.

Wstałam, moje ciało było zeszywniałe z zimna. Zrobiłam krok w tył, nadal przestraszona obecnością uzdrowiciela. Lojalny kapitanowi kawalerzystów czy nie, nadal mu nie ufałam.

Nie mogłam sobie przypomnieć zarówno momentu, w którym wczoraj zasnęłam, jak też tego, czy wychodziłam jeszcze na zewnątrz. Badając ciemność w swojej głowie w poszukiwaniu Koszmaru, znalazłam go, zawiniętego w kłębek, odpoczywającego w ciszy, niezamierzającego nic mi wyjaśnić.

– Ja... Musiałam lunatykować – powiedziałam.

Filick rozpiął swój płaszcz, po czym narzucił mi go na ramiona.

– Chodźmy, zrobię ci herbatę. Jesteś zimna jak trup.

Dopiero po dziesięciu minutach spędzonych przed kominkiem w pokoju Filicka przestałam się telepać. Poprosił służbę o przygotowanie herbaty, którą wypiałam

w trzech łykach, prawie nie czując poparzeń na języku.

Mężczyzna odwinął mój spuchnięty nadgarstek.

– Często ci się to zdarza? – zapytał, kiedy odzyskałam nieco kolorów. – Chodzenie we śnie?

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Byłaś wcześniej w ruinach?

– Tak. – Zadrżałam. – O co chodzi z tą komnatą? Tą z magicznym kamieniem?

– A więc Ravyn ci go pokazał? – Filick upił łyk herbaty.

Wspomnienie ostatniej nocy zalało zmysły. Wpatrywałam się w ogień, czując ciepło rumieńców rozlewających się po moich policzkach.

Jeśli uzdrowiciel cokolwiek zauważył, nie wspomniał o tym.

– Nie mam pewności. Zamek Yew jest stary, pełen artefaktów – powiedział. – Panuje tam dziwna, starożytna magia. Chodzę tam często za dnia.

Spojrzałam na niego, nie starając się nawet ukryć nieufności malującej się na mojej twarzy.

– Przywiązujesz bardzo dużą wagę do magii – zwróciłam się do niego. – Jak na uzdrowiciela.

Filick uśmiechnął się do mnie, wyjmując z szuflad świeże bandaże.

– My, Willowsowie, jesteśmy uzdrowicielami od setek lat. Wieki temu – zaczął – wiedzieliśmy, że mgła jest wypełniona solą, pełna magii, ale nie obawialiśmy się tego. Czciliśmy Ducha Lasu i dary, którymi nas obdarzała. A ci, którzy zapadli na gorączkę i popadli w obłąd, byli leczeni, a nie ścigani.

– Co się zmieniło? – zapytałam.

Zaczął owijać bandaż wokół mojego nadgarstka.

– Nie zachowały się żadne zapisy, jednak pozostały ustne podania, historie, zgodnie z którymi doprowadził do tego szereg zdarzeń. – Bandażował mi rękę ze zręcznością kogoś, kto od dawna zajmował się rannymi. – Duch Lasu sama sobie wyrządziła szkodę, przyznając królowi Shepherdowi moc tak wielką, że był on w stanie stworzyć karty Opatrzności. Podzielił się nimi ze swoim królestwem, a ludzie zaprzestali pielgrzymek do lasów, aby błagać Ducha o magiczne dary. Zamiast tego zaczęli rywalizować między sobą o Karty, chciwi magii, która nie ulegnie wynaturzeniu.

Pokiwałam głową. Moja ciotka opowiadała mi tę historię.

– I dlatego Duch stworzyła mgłę, by przyciągać do siebie ludzi. Zmuszając ich.

– Dokładnie. – Filick zmarszczył brwi. – Kiedy mgła odcięła Blunder od reszty świata, król Shepherd wyruszył do lasu, targować się z Duchem. Kiedy powrócił,

napisał *Starą Księgę Olch*, aby mieszkańcy Blunder mogli ochronić się zaklęciami. Lecz wszystko ma swoją cenę.

– Bliźniacze Olchy.

– Bliźniacze Olchy – potaknął Filick, kręcąc głową. – Idiotyczna umowa.

– Dlaczego tak mówisz?

– Duch jest przebiegła, „ni małżonek czy wróg, ni nieprzyjaciel”. – Filick odchylił się w swoim krześle. – Aby zlikwidować mgłę, potrzebna jest cała Talia, prawda? To dlaczego król, który chciał ocalić swoje królestwo od mgły, miałby zrezygnować z Bliźniaczych Olch, Karty jedynej w swoim rodzaju?

Coś przeskoczyło w mojej pamięci.

– Duch go oszukała – wyszeptalam, przypominając sobie słowa wypowiedziane przed laty przez ciotkę. – Król nie zdawał sobie sprawy, że będzie potrzebował Bliźniaczych Olch do zlikwidowania mgły, dopóki nie doszło do wymiany.

Filick skinął głową.

– To powszechna teoria tych z nas, którzy lubią zaglądać w przeszłość. Trzeba jednak przyznać królowi Shepherdowi, że ta wymiana nie była do końca pozbawiona korzyści. Dostaliśmy *Starą Księgę Olch* i nauczyliśmy się z niej, by uważać na magię i nosić amulety we mgle. – Pociągnął długi łyk herbaty. – Pyta pani, co się zmieniło, co się stało, panno Spindle? Brutus Rowan się stał, pierwszy król z rodu Rowanów. To właśnie uległo zmianie. Przejął *Starą Księgę Olch*, czyniąc z niej system poglądów i twierdzeń, przekręcając jej słowa tak bardzo, aż stały się bronią przeciwko każdemu zarażonemu.

Bliżej. Byłam coraz bliżej dowiedzenia się, zrozumienia tego czegoś, co od lat żyło w zakamarkach mojego umysłu, ukryte, ale zawsze obecne. Pochyliłam się do przodu.

– Dlaczego Brutus Rowan miałby tak bardzo nienawidzić infekcji?

Filick postukał palcem w swoją filiżankę.

– Może obawiał się starej magii, magii, której nie był w stanie kontrolować. – Jego czoło poprzecinały zmarszczki, spojrzenie stało się odległe. – A może w królestwie, w którym równowaga jest jedyną niezmienną rzeczą, po prostu próbował na nią wpłynąć, przechylić szalę na swoją korzyść. Ukradł tron zainfekowanemu królowi, a teraz jego ród stara się wybić każdego, kto ma dość magii, by ją przywrócić.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Właśnie to się stało? Rowan ukradł tron królowi Shepherdowi?

Spojrzenie oczu uzdrowiciela spotkało się z moim, bruzda między jego brwiami złagodniała.

– Oczywiście to wszystko, to tylko domysły, panno Spindle.

Nie były. Nie dla mnie.

– Co się potem stało z królem Shepherdem?

– Umarł. Nie wiem jak, ale umarł.

Ciemność zawładnęła moim wzrokiem. Przez chwilę nic nie widziałam, dźwięk śmiechu Koszmaru, pusty i okrutny, zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

W następnej chwili już go nie było, znowu wszystko widziałam. Filick musiał dostrzec malujący się na mojej twarzy niepokój, bo kiedy poklepał moją rękę, mój nowy bandaż był idealnie związany, a jego głos brzmiał nadzwyczaj miękko.

– Łatwo można zagubić się w przeszłości, kiedy przebywa się w tak niezwykłym, starym zamku jak ten, panno Spindle. Proszę się nie obawiać. Zło wyrządzone pięćset lat temu nie ma wpływu na teraźniejszość. Ty i Ravyn odnajdziecie Kartę Bliźniaczych Olch i zjednoczycie Talię. Jestem tego pewien.

Próbował mnie uspokoić. I chociaż żywiłam przekonanie, że Filick Willow był jednym z najmądrzejszych ludzi w Blunder, istniała jedna rzecz, co do której straszliwie się mylił.

To, co miało miejsce pięćset lat temu, miało znaczenie. I to o wiele większe, niż pierwotnie mi się wydawało.

Podniosłam się z krzesła.

– Dziękuję. I przepraszam, jeśli zakłóciłam twój poranny spacer.

– W żadnym wypadku – odpowiedział, odprowadzając mnie do drzwi.

Mogłam wrócić do swojej komnaty – pospiesznie przemknąć przez zamek, cały czas mając na sobie przesiąkniętą poranną rosą koszulę nocną. Ale zatrzymałam się w progu, ponownie odwracając się do uzdrowiciela.

– Nadal nie rozumiem jednej rzeczy – odezwałam się do niego.

– Czego takiego?

– Zwyródnienie. – Szukałam właściwych słów – Zwyródnienie Ravyna stopniowo uniemożliwia mu korzystanie z Kart. Emory’ego powoli zabija, uszkadzając jego ciało i umysł. – Zamilkłam na moment. – Podczas gdy ja... Ja nie umiem już rozróżnić, co należy do mnie, a co nie.

Na pomarszczonej twarzy Filicka pojawił się żal.

– Nie ma dwóch takich samych zwyródnień, panno Spindle. Skutki infekcji Emory’ego są dosyć powszechne, podczas gdy zwyródnienie Ravyna nie wpływa w żaden sposób na jego zdrowie. To, jak reagują bracia Yew, może być zaledwie cieniem prawdy dla ciebie. – Pokręcił głową. – Chciałbym móc bardziej cię pocieszyć. Niestety, nie znam odpowiedzi na twoje pytanie.

Pozbawiona słów, skinęłam lekko uzdrowicielowi i wyszłam na korytarz.

Zaczekałam, dopóki nie skręciłam za róg, zanim nie zawyłam w ciemność.

Lunatykowanie? Krzyknęłam w swojej głowie. Poważnie?

I co z tego? Koszmar rozciągnął się leniwie w moim umyśle.

Nie możesz tego robić – ani tu, ani nigdzie – ale szczególnie w tym miejscu!

Kto powiedział, że cokolwiek zrobiłem?

Nie zgrywaj idioty, Koszmarze! Mój głos był ostry jak brzytwa. Czy może powinnam nazywać cię „królem Shepherdem”?

Prześlizgnął się przez ciemność, jego głos odbijał się echem w moim umyśle, sprawiając wrażenie, jakby w mojej głowie odzywało się kilka osób na raz, a nie tylko on.

Nazywaj mnie jak chcesz, Elspeth. Niczego to nie zmienia.

Zazgrzytałam zębami, jedenaście lat gierki – i jego sekretów – doprowadzało mnie do pasji. Czułam jedynie wściekłość i pragnienie wydarcia go z mojego umysłu, tak potężne, że mogłabym uderzyć w ścianę, gdyby tylko nie została zrobiona z litego kamienia. *Jeśli wchłonęłam twoją duszę, kiedy dotknęłam Karty Koszmaru wuja, powiedziałam. To wychodzi na to, że wchłonęłam duszę króla. Ale przecież ty nie jesteś królem. Jesteś potworem.*

Znowu się ze mnie zaśmiał.

Jestem jedynym i drugim. Zamilkł, by po chwili dodać: Nie pamiętasz historii, Elspeth? Naszej historii?

Mój żołądek zacisnął się w supeł. Ta historia. Szepty dochodzące z bliska i z oddali, pojawiające się zawsze, kiedy odpływałam w sen. Upiorna kołysanka o pannie, królu...

I potworze.

Oparłam się o ścianę, czując, że nogi się pode mną uginają. Przycisnęłam dłoń do czoła, jednak to sprawiło, że ciemność za moimi oczami stała się jeszcze bardziej przytłaczająca.

Dlaczego dopiero teraz widzę twoje wspomnienia?

Nie potrzebujesz mnie ani tego uzdrowiciela, żeby powiedział ci dlaczego. Masz na ten temat swoją własną teorię.

Pokręciłam głową.

No więc?, zapytałam, domagając się odpowiedzi. *To prawda?*

Ty mi powiedz.

Pytam ciebie.

Ale przecież już znasz prawdę. W głębi duszy zawsze to wiedziałaś.

Znowu poczułam przejmujące zimno, rozlewające się po mojej klatce piersiowej.

Stajesz się silniejszy, wyszeptałam, a mój głos był zaledwie szmerem pośród ciemności. Dlatego widzę twoje wspomnienia. Nie słabnę, tak jak Emory, ale... Blaknę. Poczułam gulę w gardle. Na tym polega moje wynaturzenie, prawda?

Nic nie odpowiedział, jego szpiczaste zęby wydawały głuchy odgłos, gdy zaciskał i rozluźniał szczęki.

Klik. Klik. Klik.

To jest moja zapłata, powiedziałam, nagle wszystko stało się boleśnie klarowne. Za każdym razem, gdy prosiłam cię o pomoc, nabierałeś siły. A ja... ja traciłam kontrolę.

Mówiłem ci, dziecko, powiedział. Nie ma nic za darmo. Nic nie jest bezpieczne. Magia zawsze ma swoją cenę.

Tak, ale nie zdawałam sobie sprawy, że będzie to oznaczać stopniowe przejęcie kontroli nad moim umysłem – nad moim ciałem!

Niczego nie przejmuję, Elspeth Spindle. Zasyczał, obnażając pazury, nagle wybuchając wściekłością. Nie mogę niczego przejąć czy wziąć. Jestem zdolny do wzięcia tylko tego, co zostanie mi dobrowolnie oddane. Ostatecznie nie wziąłem niczego, czego sama mi nie dałaś.

Nie było mi przykro, gdy poczułam, że odchodzi. Za to znowu ogarnął mnie przejmujący chłód, przerażenie i uczucie pustki.

Pustki, która z każdą chwilą ustępowała gniewowi. Nie poddam się własnemu unicestwieniu, padając ofiarą Koszmaru. Uwolnię się – wyleczę się – i wrócę do życia, które porzuciłam jedenaście lat temu.

Pośpieszyłam przez galerię, kierując się do swojego pokoju, ale zatrzymałam się, słysząc zgiełk piętro niżej.

Dziesiątki głosów zlały się w jedno, tworząc głośny rozgardiasz na środku holu. Słyszałam brzdęk stali – zbroi, mieczy, kolczugi. Kawalerzyści kłębili się na dole, ich Czarne Konie jarzyły się złowieszczo z kieszeni płaszców. Niektórzy jedli, inni sprawdzali broń. W samym środku zgiełku stał Hauth Rowan, jego szerokie plecy okrywał czarny płaszcz. Wydawał krótkie polecenia szorstkim głosem, prawdziwe uosobienie dominacji.

Kąćki moich ust wygięły się, gdy zobaczyłam jego uszkodzoną lewą rękę, mocno owiniętą bandażami.

– Podziwiasz widoki?

Podskoczyłam tak gwałtownie, że prawie wypadłam z za poręczy.

Elm obserwował mnie, z niewielkim, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem.

– Wybacz – powiedział. – Myślałem, że mnie słyszałaś.

– Nie, nie słyszałam.

Książę zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, nadal byłam otulona płaszczem Filicka, a spod niego wystawał rąbek koszuli nocnej.

– Zgubiłam się – skłamałam.

– Nadal nie potrafisz znaleźć drogi?

– Coś w tym stylu.

Książę przewrócił oczami, wskazując palcem za siebie.

– Tym korytarzem przejdiesz z powrotem na galerię prowadzącą do pokoi dla gości. Twoja sypialnia powinna się tam znajdować. Może powinienem zawołać Ravyna, żeby cię zaprowadził? Jestem pewien, że byłby zachwycony...

– Nie – zaprotestowałam szybko. – Poradzę sobie.

– Tylko się pospiesz – zwrócił się do mnie Elm. – Niedługo wyruszamy.

– Dokąd? – zawołałam za nim.

Książę niemal zniknął za zakrętem.

– Elm – syknęłam. – Co się dzieje?

– Targowy Dzień – odkrzyknął, ani na chwilę się nie zatrzymując. – Ubierz się w swoje kolory. To znaczy, o ile twój ojciec raczył ci je dać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wpatrywałam się w swoje odbicie w zamglonym lustrze, próbując przypomnieć sobie twarz mojej matki. Jej suknia była długa, bogato wykonana, w kolorze głębokiego, krwistego szkarłatu. Na piersi znajdował się misterny haft, płatanina złotych gałązek, które splatając się ze sobą, tworzyły długie, subtelne trzmielinowe drzewo.

Po śmierci matki odziedziczyłam sukienkę wraz z innymi należącymi do niej bibelotami. Zabrałam kreację ze sobą na Ekwinokcjum, ale nie zdążyłam jej założyć. Krój dawno wyszedł z mody, ale mi to nie przeszkadzało. Długie, drapowane rękawy sukienki skutecznie ukrywały zabandażowany, bolący nadgarstek.

Kiedy służąca sięgnęła po mój drewniany grzebień, powstrzymałam ją, wskazując na spoczywający na szafce nocnej wianek.

– Róża wystarczy – powiedziałam, zaplatając włosy w długi, prosty warkocz, po czym wetknęłam w niego kwiat.

Z przyzwyczajenia sięgnęłam po amulet, po czym schowałam go do kieszeni sukni. Uśmiechnęłam się do odbicia w lustrze, szukając w sobie pozytywnej energii, lecz wcale jej nie czułam.

Kobieta w odbiciu uśmiechnęła się do mnie, jej żółte kocie oczy błyszczały.

Jespyr czekała na mnie u szczytu schodów, jej kontuzjowana noga została wciśnięta w gruby, czarny but. Dziewczyna miała na sobie czarną tunikę kawalerzysty, a na czoło nasunęła maskę w tym samym kolorze – zgodnie z tradycją Dnia Targowego. Kiedy spojrzała w moją stronę, jej brwi uniosły się niemal pod linię włosów.

– Ślicznie wyglądasz – zwróciła się do mnie. – Nigdy wcześniej nie widziałam cię w kolorze twojej rodziny. – Uśmiech Jespyr jak zwykle był zaraźliwy.

– Nie wzięłam ze sobą maski – odparłam. – Prawie nigdy nie chodzę na Targowy Dzień.

– Thistle coś dla ciebie znajdzie – stwierdziła, biorąc mnie pod ramię. – Idziemy?

Przeszliśmy przez wiekową bramę, wychodząc na skąpany w słońcu dziedziniec. Miałam na sobie ciemnozieloną maskę, obszytą wokół oczu złotą nicią. Zawiazaną jedwabną wstążką z tyłu głowy, zakrywała moją twarz od łuku brwiowego do połowy policzków.

Przede mną majaczyła sylwetka Ione z kremową maską na twarzy, rąbek jej złotej sukni okalała biel Hawthornów. Fenir i Morette Yew stali razem, ubrani w ten sam odcień zieleni, a drzewo ich rodu – cis – było ozdobnie wyhaftowane na ich płaszczach. Hauth, który nie miał na sobie maski – ujawniając swoje książęce oblicze – porzucił czarne okrycie kawalerzystów na rzecz bogato zdobionej tuniki, z wyszytymi na piersi drzewami, splecionymi ze sobą misternie, których gałęzie układały się w symbol Rowanów. Stał razem z Ione, obok Elma i Ravyna, a ci mieli na sobie identyczne maski i spowijała ich czerń Kawalerzystów.

Gdy podeszliśmy do nich z Jespyr, oczy wszystkich obecnych zwróciły się na mnie.

Ciepło rozeszło się po mojej piersi, sunąc w górę szyi aż do policzków. Kiedy nikt nie odezwał się słowem, Jespyr prychnęła.

– Zachowujecie się, jakbyście nigdy nie widzieli kobiety.

Staralam się nie patrzeć na Ravyna, zalały mnie wspomnienia poprzedniego wieczoru, dotyk jego dłoni w moich włosach – dotyk jego ust. Czułam na sobie jego wzrok. Kiedy w końcu na niego spojrzałam, dostrzegłam cień majaczącego w kącikach jego ust uśmiechu, jego oczy zatrzymały się na róży wplecionej w moje włosy.

Jednak zanim zdążył się ze mną przywitać, na drodze stanął mu Hauth.

Głos wielkiego księcia był gładki – znów czarujący.

– Panno Spindle – przywitał się, wyciągając ku mnie swoją zdrową rękę.

– Wasza wysokość. – Przyjęłam ją z wahaniem, kłaniając się.

– Proszę wybaczyć mi mój wczorajszy brak manier. Moja uwaga skupiła się na treningu. – Wielki książę nie puścił mojej dłoni, intensywnie wbijając wzrok w moją twarz. – Nawet skryta pod maską, twoja twarz jest uderzająco piękna – powiedział z uznaniem, przyciągając mnie ku sobie. – Zastanawiam się... – zaczął, rzucając Ravynowi znaczące spojrzenie – co takiego widzisz w moim kuzynie.

Po chytrym tonie Hautha wiedziałam, że nie jest mną wcale zainteresowany – byłam tylko zabawką, którą chciałby ukraść kuzynowi. Mimo to moje spojrzenie powędrowało na kapitana kawalerzystów. Zauważyłam cień zarostu i napinającą się pod nim kwadratową szczękę Ravyna. Ostre rysy twarzy, charakterystyczny nos. Sposób, w jaki jego włosy, ani zbyt krótkie ani długie, opadały na gładkie czoło. Jego szare oczy skryte pod czarną maską i o surowym, ostrym spojrzeniu przeszywały mnie na wylot.

Te wszystkie rzeczy, a jednocześnie żadna z nich, sprawiały, że na jego widok moje serce drżało. Było bowiem coś jeszcze, coś, co wcześniej przeoczyłam, zajęta udawaniem. Coś starożytnego – zrodzonego z soli. Byliśmy tacy sami, on i ja. Obdarzeni starą, przerażającą magią – dziką i nieokiełznaną. Utkani z tajemnic,

skrywający się w półprawdach. Byliśmy ciemnością Blunder, przypomnieniem, że magia – dzika i nieskrępowana – nadal istnieje i ma się dobrze, bez względu na to, jak desperacko Rowanowie próbowali ją stłumić. Byliśmy czymś, czego należało się obawiać.

Byliśmy równowagą.

Jednak nie mogłam tego powiedzieć w obecności Hautha Rowana. Zamiast tego posłałam Ravynowi tak rzadki u mnie, szeroki uśmiech.

– Jest bardzo... wysoki.

Oczy kapitana zapłonęły. Odpowiedział na mój uśmiech własnym, robiąc krok do przodu. Kiedy zrównał się z wielkim księciem, zauważyłam, że Hauth wyprostował się sztywno, unosząc podbródek.

Tyle że niczego to nie zmieniło, Ravyn był od niego wyższy. A biorąc pod uwagę wyniosły wyraz twarzy kapitana nie była to jedyna rzecz, która sprawiała, że czuł się lepszy od swojego kuzyna. Podał mi rękę, a ja ochoczo ją przyjąłam, wdzięczna za uwolnienie od dotyku Hautha.

– Jeśli skończyłeś już się puszyć – zwrócił się do swojego kuzyna, splatając ze sobą nasze palce – Dzień Targowy czeka. Lepiej załóż rękawiczkę na uszkodzoną rękę, zanim ktoś z twoich poddanych ją zauważy.

Nozdrza Hautha rozszerzyły się ze złości. Bez ostrzeżenia, złapał mnie za drugi, złamany nadgarstek.

– Zachowa pani dla mnie rundkę po placu, panno Spindle?

Ból tak ostry, że przed oczami pojawiły mi się gwiazdy, przeszył mój nadgarstek aż do ramienia. Ze wszystkich sił starałam się nie krzyczeć. I chociaż moja suknia zasłaniała bandaż, nie dało się przeoczyć napięcia, które pojawiło się na mojej twarzy.

Brawura na twarzy Hautha ustąpiła zaskoczeniu, jego zielone oczy rozszerzyły się w zaskoczeniu, a wzrok opadł na mój rękaw.

– Coś nie tak z pani ręką, panno Spindle?

Stojący przy mnie Ravyn zamarł. Jednak zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, kątem oka dostrzegłam falę długich, złotych włosów odbijających promienie słońca.

Ione.

– Ostrożnie, najdroższy – powiedziała, wchodząc pomiędzy mnie a Hautha, zmuszając go do puszczenia mojej ręki. Jej głos był wyższy niż normalnie, mdlący, ociekający słodyczą. – Wczoraj rano pojechałyśmy z Elspeth na przejażdżkę. Spadła z konia, biedactwo. – Zwróciła spojrzenie czujnych zmrużonych, orzechowych oczu na mnie. – Prawda, Bess?

Przez krótką chwilę, wydawało mi się, że dostrzegłam starą Ione – tę, która chroniła mnie przed lodowatym spojrzeniem mojej macochy. Moja tarcza, Ione Hawthorne, największa obrończyni. Pokiwałam głową, mój nadgarstek cały czas pulsował.

– W rzeczy samej.

Spojrzenie Hautha przesunęło się ze mnie na Ione. Kiedy spoczęło na jego narzeczonej, w jego zielonych oczach zabłysło coś zimnego i okrutnego.

Jednak nie miałam czasu zastanowić się, co to znaczyło ani dlaczego Ione okłamała go w moim imieniu. Podeszli do nas Elm i Jespyr. Jespyr wsunęła swoje ramię pod ramię brata, a Elm uczynił to samo z moim, odciągając nas od tej dwójki.

– Wiecie, co się mówi? – odezwał się Elm. – Nie miesza się koni z piciem. A teraz, jeśli skończyliśmy już z uprzejmościami, ruszajmy. Jest praktycznie południe, a jeśli chodzi o picie, mam spore braki.

Pociągnął mnie obok rzędu posągów w stronę bramy. Czułam na sobie wzrok Ione i Hautha, ale nie odwróciłam się. Nie chciałam, żeby zobaczyli strach, jaki czaił się w moich oczach. Ravyn rzucił mi przelotne spojrzenie, ale jego siostra trzymała go mocno, idąc w równym tempie przed nami, z głową przy jego głowie, próbując wciągnąć go w rozmowę.

– Myślisz, że Hauth rozpoznał moją ranę? – wyszeptałam do Elma.

Książę przecesał palcami rozczochrane włosy, prowadząc mnie przez bramę na brukowaną ulicę.

– Mój brat nie jest nawet w połowie tak sprytny, jak mu się wydaje – odparł. – Na drzewa, Spindle, zetrzyj z twarzy ten niepokój.

Nie byłam przekonana. W Hauthcie Rowanie było coś, co wzbudzało we mnie głęboki niepokój. Zupełnie jak w lesie, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że na mnie poluje. Z każdym spojrzeniem, każdym dotknięciem – czułam, że czyha na moje życie.

Droga opadała coraz mocniej. Im bardziej zbliżaliśmy się do placu na Ulicy Targowej, tym tłoczniej się robiło. Znajdowaliśmy się rzut beretem od Spindle House. Widziałam powiewające na wietrze czerwone proporce przy bramie. Na warcie stał strażnik, którego nie widziałam nigdy wcześniej.

Zwolniłam kroku, w mojej głowie zaczął tworzyć się plan. Jednak kiedy spróbowałam przejść przez tłum do bramy rodzinnego domu, Elm mnie powstrzymał.

– Idź dalej – powiedział.

– Właśnie zamierzałam...

– Wiem doskonale, co chciałaś zrobić – warknął. – Teraz nie jest na to czas.

– Dlaczego nie? – zażądałam odpowiedzi, wrywając się z jego uścisku. – Mojego ojca nie będzie w domu. Mielibyśmy okazję, aby poszukać Kartę Studni.

Elm spojrział w górę ulicy, ale Ravyn i jego siostra byli zbyt daleko, by ich zawołać.

– Nie zostawiajcie mnie z tą kretynką – jęknął, mrużąc pod nosem.

Pociągnęłam go za rękaw, zmuszając do stanięcia twarzą w twarz.

– To dobry pomysł – upierałam się.

Popatrzył na mnie, jakbym była robakiem, którego najchętniej by zmiażdżył.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Że Erik zostawił swoją Kartę Studni na stoliku, gotową do wzięcia? Teraz nie jest na to czas – powtórzył.

– Jesteś księciem, możesz robić, co ci się żywnie podoba! Posiadasz jedną z najsilniejszych Kart w Talii. – Założyłam ręce na piersi. – Czy może za bardzo boisz się działać bez pomocy Ravyna?

Oczy Elma zabłyśły, jego brwi wygięły się z pogardą, przez co zyskałam pewność, że trafiłam w czuły punkt.

– Nie bardziej niż ty, Spindle – odgryzł się, jego głos był niebezpiecznie niski.

– Staram się posunąć nasze sprawy do przodu, nie marnując czasu na niepotrzebne widowisko.

– Właśnie to widowisko sprawia, że wyglądamy jak wszyscy inni – oznajmił księżę, odciągając mnie od domu ojca, ścisnąwszy moją rękę jak w imadle. – Idziemy.

Koszmar krążył niczym kot w klatce, za kratami mojego umysłu – czujny, kręcił się w kółko w pełni świadomy. Kiedy weszliśmy na Ulicę Targową, główną arterię miasteczka, oświetloną gdzieniegdzie Kartami Opatrzności, błyskającymi z kilku kieszeni, zacisnął pazury wokół mojej świadomości, a jego oślizgły głos zadźwięczał mi w uszach.

Uważaj. W służbie króla jest więcej kawalerzystów, niż myślisz.

Nigdzie nie widziałam Ravyna. Gdy dołączyła do nas Jespyr, z niezmiennie pogodnym uśmiechem, Elm przewracając oczami, wymamrotał, że potrzebuje drinka. Patrzyłam, jak odchodzi, otoczony czerwonym światłem, a po chwili znika w tłumie, ciesząc się, że sobie poszedł.

Wokół nas przechodziły rodziny Blunder wystrojone w barwy swoich rodów. Ubrania niektórych był stare i znoszone, innych świeżo skrojone. Krążyli w tę i z powrotem, między namiotami i straganami, a ich donośne głosy odbijały się echem od ścian otaczających nas zewsząd ceglanych domów i kamiennych ścieżek.

Minęłam dwie dziewczynki w liliowych sukienkach, które chichocząc, zjadały się cytrynowym ciastem. Poczułam nagły ból w klatce piersiowej, przypominając sobie, jak przed infekcją wędrowaliśmy z Ione po ulicach Blunder w Targowy Dzień. Biegałyśmy między straganami i siedziałyśmy przy fontannie z chrupiącymi jesiennymi jabłkami w rękach, Ione ubrana w głogową biel Hawthornów, a ja w głęboką trzmielinową czerwień rodu Spindle.

Miałam wrażenie, jakby to było całe wieki temu.

Stojąca obok mnie Jespyr wręczyła kupcowi pięć miedziaków za nową parę rękawiczek z owczej skóry.

– Uwielbiam Targowy Dzień – oznajmiła. – Daje ludziom szansę na wyrwanie się z rutyny, zapewnia odrobinę zabawy. Wiesz, życie nie zawsze polega na walce na miecze i kradzeniu Kart.

Zerknęłam w górę ulicy, szkarłatna flaga Spindle House nadal była widoczna. Chciałam jej powiedzieć, że kończy mi się czas, że Koszmar w mojej głowie z każdą chwilą staje się coraz silniejszy. Ale milczałam.

Odwróciłam się od Jespyr i ruszyłam wolnym krokiem przez brukowane uliczki. Otoczył mnie zgiełk tłumu – feeria barw i hałas. Pozwalałam, by ludzie popychali mnie tam i z powrotem, bez celu, sukienka mojej matki była niczym pozbawiony kursu żagiel na bezkresnym morzu.

Nikt mnie nie zaczepiał. Szłam dalej, zastanawiając się, co będę czuć, gdy Koszmar całkowicie zawładnie moim umysłem. Czy będzie to bolesne, czy raczej delikatne jak niezauważone wślizgnięcie się do lasu i zniknięcie we mgle? Może powinnam zostawić moją krwistoczerwoną suknię, jako ostateczne pożegnanie ze światem, i wkroczyć między drzewa niczym duch, pochłonięta przez ciemność i mech.

Poczułam dłoń na ramieniu, a kiedy się odwróciłam, ujrzałam stojącego przede mną Ravyna, znajomo przechylającego głowę na bok.

– Myślałam, że jestem sama – powiedziałam do niego.

– Tutaj? – zapytał, wskazując na masę ludzi wokół nas.

Kiedy nie odpowiedziałam, kapitan podszedł bliżej, jego szerokie ramiona chroniły mnie od tłumu i zgiełku. Moja klatka piersiowa chociaż ściśnięta gorsetem, zacisnęła się jeszcze mocniej, pragnienie, by go dotknąć, było równie silne, co wczoraj wieczorem.

Kiedy wyciągnął ku mnie dłoń, przyjęłam ją. Jego palce zacisnęły się wokół moich, a kiedy uniosłam na niego wzrok, zobaczyłam u niego napięcie, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam, oraz zmęczenie i zdeterminowanie. Nie umknęło mi też to, jaki był przystojny, kiedy pozwalał opaść tej kamiennej masce. Widziałam w nim własne odbicie, brutalny świat infekcji zagnieżdżony w bruździe między brwiami –

cały strach i odosobnienie. Spojrzałam na otaczający nas świat jego szarymi oczami – czując ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności i zdrady, jakby był moim ciężarem, niczym kamienie wszyte w materiał sukni.

– Chcę pomóc. – Pochyliłam się ku niemu.

Odnalazł palcami moją szczękę i przycisnął kciuk tuż nad moim podbródkiem.

– Pomagasz, Elspeth. Bardziej, niż myślisz.

– Paradując w ten sposób – odezwałam się, gestem wskazując na tłum – uzmysłowiłam sobie, że lepiej się czułam w przebraniu rozbójnika niż w barwach własnej rodziny.

– Łatwiej jest być rozbójnikiem. Karty, infekcja... one nie mają wtedy znaczenia. Rodzina, obowiązek, to wszystko przesłania czarna maska. Wszystko jest prostsze.

– Ale dla ludzi takich jak my, nic nigdy nie jest proste, prawda? – Westchnęłam.

Oczy Ravyna spoczęły na róży wplecionej w moje włosy. Nic nie powiedział, cisza między nami iskrzyła niczym niewidzialny drut, bolesna i napięta.

Koszmar siedzący za moimi oczami, odezwał się fałszywie troskliwym tonem.

Kończy ci się czas, moja kochana, powiedział, sącząc mi słowa do uszu. Powiedz mu, co czujesz. Jeśli nie wypowiesz tego na głos, jak to, co czujesz, może stać się prawdziwe?

Wzdrygnęłam się. Ravyn obserwował mnie, teraz jego oczy były skupione na mojej twarzy. Próbowałam odwrócić głowę, ale trzymał mnie mocno.

– Co się dzieje?

Poczucie winy opadło na mnie niczym gęsta mgła. Nieważne, jak bardzo pragnęłam przestać udawać, nadal dźwigałam swoje sekrety. Moje i potwora. I nie miałam pojęcia, jak powiedzieć o nich Ravynowi.

– Jeśli chodzi o wczorajszą noc – zaczęłam. – Kiedy wybiegłam...

– Może dobrze, że to zrobiłaś. – Wziął głęboki wdech.

– Och? – Odrzucenie zabolalo. Próbowałam się odsunąć.

Bezskutecznie. Ręka Ravyna ponownie przytrzymała mnie w miejscu. Jego wzrok opadł na moje usta, pomiędzy jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Kiedy moja siostra zasugerowała, że powinienem zabiegać o twoje względy, opierałem się temu pomysłowi.

– Bardzo kategorycznie z tego, co pamiętam. – Zmarszczyłam brwi.

Prześledził palcem krzywiznę mojego podbródka.

– Powód, dla którego tak bardzo się opierałem, Elspeth, był taki, że już wtedy wyobrażałem sobie, że mógłbym znów przycisnąć palec do twoich wilgotnych ust, tak jak to zrobiłem w moim pokoju. – Wziął kolejny głęboki wdech, jego wargi

zbliżyły się do mojego ucha. – Ale to nic, w porównaniu do niegodziwych rzeczy, jakie sobie wyobrażałem po naszej kłótni w ogrodzie.

Gwałtownie wypuściłam powietrze, czując żar rozlewający się w moim brzuchu.

– Opierałem się – Ravyn mówił dalej – ponieważ nie mogłem przestać o tobie myśleć od tamtej nocy na leśnej drodze. A w czasie Ekwinokcjum zdałem sobie sprawę, że im bardziej się do ciebie zbliżę, tym mniej będę chciał pozostać kapitanem króla. Tym trudniej będzie mi udawać. A to naraża na niebezpieczeństwo mnie i moją rodzinę. – Przycisnął usta do mojego ucha, mówiąc cichym, chrapliwym szeptem: – Bycie blisko mnie nie jest bezpieczne, Elspeth. Jestem zdrajcą. I kiedyś przyjdzie mi za to zapłacić. – Odsunął się, jego szare oczy błyszczały napięciem. – Rozbójnik spotyka kata. Zawsze.

Jego głos mną wstrząsnął. Strzaskał kamienny mur, który tak długo go otaczał, niszcząc wizerunek bezwzględного kapitana kawalerzystów, obnażając się. Właśnie w tym momencie wpuścił mnie do środka – pokazał mi prawdziwego Ravyna Yewa.

Mężczyznę równie przerażonego przyszłością jak ja.

Stałem na palcach, przyciskając czoło do jego czoła, mój głos był tak cichy, że praktycznie nie poruszałam ustami.

– Więc bądź kłamcą, Ravyn. Dopuszczaj się zdrady. Rzuć na kolana królestwo, w którym ty, ja i Emory zostaniemy zabici za to, czym się staliśmy. Król trzyma cię blisko, żeby cię kontrolować, ale tylko ty jeden potrafisz oprzeć się działaniu jego Karty Sierpa. – Odsunęłam się i spojrzałam mu w oczy. – To nie oni będą katem, Ravyn. To ty. To my.

Jego pierś unosiła się i opadała, nasze spojrzenia się spotkały. Przez ułamek sekundy, myślałam, że być może jest zły, że byłam zbyt bezpośrednia – zbyt porywcza. Wciąż uczyłam się odczytywać jego emocje, skrywane za dobrze strzeżonym twardym spojrzeniem.

Zaraz jednak otoczył mnie ramionami, przyciągając mnie do siebie w potężnym uścisku, czym całkowicie wymazał z mojej pamięci Targowy Dzień. Trzymał mnie, opierając policzek o czubek mojej głowy, jego serce biło tuż pod moim uchem. Zaciągnęłam się jego zapachem, mieszanką aromatu skóry, dymu i cedru, moszcząc się w jego ramionach jak królik w ciepłej, bezpiecznej norce.

Nie byłam trzymana w czyichś ramionach od czasów dzieciństwa. A nawet wtedy nikt nigdy nie trzymał mnie tak mocno – jakby potrzebował mnie w swoich objęciach, tak bardzo jak ja pragnęłam być trzymana. Jakby nic innego się nie liczyło tylko to, by trzymać się siebie nawzajem.

Jakbyśmy mieli dla siebie cały czas tego świata.

Znajomy ton przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Tutaj jest – rozległ się głos, zbyt głośny i żywiołowy. – Z kapitanem, tak jak ci mówiłam.

Ravyn odetchnął głęboko prosto w moje włosy. Kiedy się ode mnie odsunął, cała czwórka stała przed nami z szeroko otwartymi oczami, ciekawość, szok i niedowierzanie biło z lodowatoniebieskich tęczywek.

Mój ojciec, macocha i moje przyrodnie siostry.

Mój ojciec – były kapitan kawalerzystów – uścisnął dłoń swojego następcy, ich dłonie zdobyły identyczne odciski po latach trenowania szermierki. On i Ravyn stali o głowę wyżej od moich przyrodnych sióstr, Nerium i mnie, potężni, o szerokich ramionach. Kiedy puścili swoje ręce, oczy mojego ojca spoczęły na mnie.

Zamrugnął, między jego brwiami pojawiła się głęboka bruzda. Wiłam się pod jego spojrzeniem, przeżywając na nowo naszą walkę na leśnym trakcie – siłę Koszmaru, strach bijący z oczu mojego ojca. Jednak kiedy zdobyłam się na odwagę i spojrzałam mu w oczy, zdałam sobie sprawę, że mój ojciec wcale na mnie nie patrzył.

Patrzył na suknię mojej matki.

Jego ramiona na moment opadły. Mięśnie szczęki napięły się, jakby z całych sił zaciskał zęby. A jego błękitne oczy zrobiły się szkliste. W końcu jego wzrok spotkał się z moim.

– Witaj, Elspeth – powiedział. – Wyglądasz w tej sukience zupełnie jak twoja matka.

Nerium rzuciła mi lodowate spojrzenie, które szybko zmieniło się w powściągliwy uśmiech, gdy zobaczyła mordercze spojrzenie kapitana kawalerzystów. Przysunęłam się do Ravyna, na tyle blisko, że nasze palce się zetknęły.

Moje przyrodnie siostry spojrzały na siebie, porozumiewając się bez słów w tylko im znanym języku. Nie umknął mi sposób, w jaki patrzyły na Ravyna, szeroko otwartymi oczami i z zarumienionymi policzkami.

Dimia zwróciła się ku mnie, ciągnąc za sobą Nyę. Kiedy bliźniaczki, szarpiąc mnie za ręce, zaczęły błagać o spacer wokół placu, nie miałam żadnej gotowej wymówki. Posłałam Ravynowi błagalne spojrzenie, ale moje przyrodnie siostry szybko mnie odciągnęły; ich głosy były tak podobne, że zlewały się w moich uszach w jedno.

Poprowadziły mnie przez Ulicę Targową, tętniący życiem tłum poruszał się wokół nas jak stado kolorowych owiec. Nie wiedząc czemu, poczułam narastający gniew, gdy przygotowywałam się na pytania, o których wiedziałam, że nadejdą. I chociaż moje przyrodnie siostry były młode, a ich wyobraźnię napędzała głównie fantazja, starałam się trzymać je na dystans.

Jakby nie było, nadal pozostawały nieodrodnymi córkami Nerium.

Dimia zatrzymała nasz pochód przy fontannie.

– Elspeth – zaczęła szybko donośnym głosem – zalecasz się do Ravyna Yewa.

– I? – Odwróciłam wzrok.

Nya spojrzała na mnie ostro. Nie była tak łagodna, jak jej siostra bliźniaczka. Krzyżując ramiona na piersi, odezwała się niemiło:

– Jest kapitanem kawalerzystów. Mógłby wparować ze swoimi ludźmi do naszego domu w kilka chwil, gdyby się dowiedział, że jako dziecko chorowałeś na gorączkę. – Brzmiała dokładnie jak jej matka.

– Nie zrobi tego. – Posłałam Nyi lodowate spojrzenie.

– Dlaczego nie?

Kątem oka dostrzegłam znajome czerwone światło.

Dimia zaczęła obgryzać paznokcie, jej oczy błyszcząły, gdy odezwała się rozmarzonym tonem:

– Może za bardzo ją lubi, żeby ją aresztować. – Przyłożyła rękę do serca. – Ależ to romantyczne.

To jest nie do zniesienia, wymamrotał Koszmar.

Za nimi czerwone światło majaczyło coraz bliżej.

– Nie każda historia to bajka, Dimia – odpowiedziałam.

– Więc wyjaśnij, dlaczego cię obejmował. – Oczy Nyi się zwęziły.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, szybko im się wymknęłam. Kiedy moje siostry zaczęły za mną krzyżeć, ledwo im pomachałam, ruszając śladem wysokiego mężczyzny w czerni i podążającym wraz z nim czerwonym światłem, wydobywającym się z jego kieszeni.

Dotarłam do Elma w kilku susach. Kiedy złapałam go za ramię, podskoczył, wylewając na ziemię połowę wina ze swojego kielicha. Księżę spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, a ja na ten widok prawie się uśmiechnęłam.

– Mam do ciebie prośbę – zwróciłam się do niego, oglądając się za siebie. – Będziesz potrzebować swojej Karty.

Chwilę później Nya i Dimia chichotały jak szalone, ich niebieskie oczy były szeroko otwarte, kiedy wybuchały niepohamowanym, melodyjnym śmiechem.

– Cóż za piękny dzień! – Nya jaśniała, uśmiechając się tak szeroko, że mogłam policzyć wszystkie jej zęby.

– Chodźmy poszukać stoiska z winami – zaświergotała Dimia, kłaniając się głęboko mnie i Elmowi, zanim pociągnęła swoją siostrę bliźniaczkę w głąb placu, a czerwone wstążki ich masek migotały w południowym świetle.

– Mała rzecz, a jak cieszy. – Zaśmiałam się, patrząc, jak odchodzą.

Mijający nas kawalerzyści kłaniali się Elmowi, zanim rozeszli się po placu. Książę stuknął w swoją Kartę Sierpa, uwalniając moje przyrodnie siostry spod jej wpływu, po czym opróżnił swój kielich.

– Strasznie irytująca rodzinka.

– Rodziny się nie wybiera, prawda?

Zaśmiał się, sięgając po nowy kielich z pobliskiego kramu.

– Niestety nie.

Nie naciskałam go – nie zapytałam, co doprowadziło najmłodszego syna króla na skraj bezprawia i zdrady – co skłoniło go do zdrady własnego ojca. W sposobie bycia księcia dało się wyczuć pewnego rodzaju niestabilność, zmienność, która wprawiała mnie w zdenerwowanie, dlatego sądziłam, że nie zareagowałyby życzliwie na takie naruszenie jego prywatności.

– Wina? – zapytał, podnosząc drugi kielich.

– Trochę na to za wcześnie, nie sądzisz?

– Zamierasz przetrwać Targowy Dzień na trzeźwo? – Popatrzył po straganach, nagle ścisząc głos. – Nie widzisz chyba żadnej... no wiesz... Karty Kielicha?

Rozejrzałam się w poszukiwaniu turkusowego światła.

– Nie. Dlaczego?

– Zbyt ostrożność nie zaszkodzi – powiedział, biorąc głęboki łyk. – Serum prawdy to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

Wino było o wiele słodsze, niż sobie wyobrażałam. Sączyłam je powoli, nie spuszczałam wzroku z posuwającego się powoli tłumu.

– Co się teraz stanie?

– Kilka rodzin otrzyma bezwartościowe pierdoły od jednego z kupców mojego ojca. Mój brat i kilku rycerzy będzie głądzić o handlu Kartami i spadku przestępczości. Być może urządzi paradę z Ravynem i kawalerzystami, żeby zrobić wrażenie na publiczności. Nic nowego.

Postukałam palcem w kielich.

– Moglibyśmy być teraz w domu mojego ojca i robić coś pożytecznego.

– Hauth i kawalerzyści zauważyliby naszą nieobecność. Poza tym – powiedział Elm, biorąc kolejny długi łyk – wydawało mi się, że świetnie się bawisz, zacieśniając rodzinne więzi z siostrami.

– Przyrodnimi siostrami. – Przewróciłam oczami.

– Czego chciały?

– Niczego – odparłam, a po chwili dodałam: – Myślę, że kiedy Ravyn dowie się, kim jestem, aresztuje mnie.

Elm uśmiechnął się znad swojego kielicha.

– Może cię nie aresztuje – zaczął – ale w końcu i tak dowie się, kim jesteś. Prawda zawsze wychodzi na jaw.

Coś w jego głosie przykuło moją uwagę.

– Co masz na myśli?

Elm odwrócił się ku mnie, jego zielone oczy zwęziły się niebezpiecznie.

– To trudne dla Ravyna – zaczął. – Nie wątpi w twoją infekcję czy magię. Kiedy na ciebie patrzy, czuje, jakby cię znał, i chce ci pomóc. Sprawiasz, że pamięta, dlaczego zrobił to, co zrobił, i dlaczego musi brnąć w to dalej. – Książę celowo pociągał małe łyki z kielicha, delektując się winem. – Ale kiedy ja na ciebie patrzę, Spindle, widzę coś innego – oznajmił. – Widzę kogoś tajemniczego, ostrożnego. Kogoś, kto nie był z nami zupełnie szczerzy.

Na widok krwi odpływającej z mojej twarzy tylko się uśmiechnął.

– Kobieta, która większość swojego życia spędziła, ukrywając się w domu swojego wuja, potrafiła stanąć do walki z wyszkolonymi zbrojnymi? Potrafiła łapać noże w powietrzu i okaleczyć mojego brata bez pomocy Czarnego Konia? – Ogarnął moje włosy z czoła i założył je za ucho. – I twoje oczy – powiedział. – Czarne jak atrament. Tylko przy odpowiednim świetle widzę w nich żółć. Ten sam żółty kolor widziałem dwie noce temu w lesie, kiedy powaliłaś swojego ojca na ziemię.

Czułam się, jakbym połknęła własny język.

W ciemności mojego umysłu pełzał Koszmar, jego pazury zgrzytały o kości.

Wypuść mnie.

Nie ma mowy.

Widział już moje oczy. Dlaczego nie pozwolisz mi z nim porozmawiać?

To moje oczy, wyjąkałam. Moje nie twoje! Powinny być czarne, a nie żółte.

Czy aby na pewno? Zamruczał. Sama powiedziałaś, staję się silniejszy.

Kiedy się nie odezwałam, Koszmar spowił mój umysł ciemnością.

Kiedy nadejdzie czas to, co jest twoje, moim się stanie. Gdy o pomoc poprosiłaś, zawsze ci jej udzielałam. Widzę twoimi oczami, słyszę twoimi uszami. Nie ma odwrotu – taka jest cena mojej magii, kochana.

Zrobiło mi się niedobrze, wino ciążyło mi na żołądku. Co mam mu powiedzieć?

– Elspeth?

Powiedz mu prawdę.

Nie mogę tego zrobić.

– Elspeth.

Oderwałam się od głosu w mojej głowie i odstawiłam kielich, przyciskając drżące ręce do boków.

Elm obserwował mnie uważnie, część jego beztroski zniknęła.

– Nadal tu jesteś?

Nie miałam czasu odpowiedzieć. Nie miałam nawet chwili, żeby się przygotować. Zostałam odepchnięta na bok przez trzech kawalerzystów, którzy przepychali się na środek placu z wyciągniętą bronią.

– Zrobić przejście! – zawołał jeden, a jego głos przebijał się przez tłum. – Zrobić przejście!

Elm stanął nad nimi w jednej chwili, z jego głosu zniknęły wszelkie ślady upojenia.

– Co tu się dzieje, do cholery?! – zażądał odpowiedzi.

– Zainfekowane dziecko, panie – odpowiedział kawalerzysta jednym tchem. – Został zabrany przez uzdrowiciela Orithego, a jego rodziców aresztowano. Wielki książę Hauth chce, by zrobiono z niego przykład.

Nagle plac wypełnił się ciemnością Czarnych Koni. Pięciu kolejnych kawalerzystów wystąpiło do przodu, ciągnąc między sobą zakrwawionego mężczyznę i kobietę. Tłum rozstał się, wciągając ich do środka.

Do moich uszu dotarły krzyki, a po chwili zostałam popchnięta wraz z resztą gapiów, kiedy na krawędzi placu pojawił się Hauth Rowan i kawalerzyści zajęci pracą, polegającą na pętaniu więźniom rąk. Tłum gwałtownie umilkł, cała wesołość Targowego Dnia wyparowała, zastąpiona przyprawiającą o mdłości ciszą. Otuliłam się ramionami, wycofując się w głąb swojego umysłu i szukając w sobie odwagi.

Ale czułam tylko ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Delikatnie kołyszą się liście na wierzbie,
W modlitwie wygięte, smukłe jej gałęzie.
To drzewo pokoju, schronienie przed ciemnością
I imię dla uzdrowiciela, który chroni ludzi przed wszelką dolegliwością.
Słowa Uzdrowiciela zawsze łagodne, słowa ciche, kojące.
Szeptane jak lekki wiaterek, wyłącznie uzdrawiające.*

Gdy padło pierwsze uderzenie, przez tłum przetoczył się zbiorowy okrzyk. Mężczyzna, rozebrany od pasa w górę, jęknął bez słowa; krew spływała mu po plecach, zbierając się na ziemi wokół jego stóp. Kobieta, związana osobno, patrzyła wraz z resztą zebranych na rozgrywającą się scenę szeroko otwartymi oczami.

Widmo śmierci opadło na plac, niczym ciężki, przytłaczający dym. Wniknął w tłum, docierając przez nos do mojego gardła, dusząc mnie. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy kawalerzysta ponownie zamachnął się batem, trzask przeszył mnie tak gwałtownie, że zgłębiałam się w pół.

Elm przytrzymał mnie za łokieć i się nie poruszał, niczym sparaliżowany. Dopiero gdy Hauth zaczął zwracać się do tłumu, zmienił się wyraz jego twarzy – zielone oczy zwęziły się na widok brata, a usta zacisnęły się w wąską linię.

Czerwone i czarne światła Kart Hautha otaczały go niczym toksyczna chmura.

– Ten mężczyzna i ta kobieta zawiedli wasze zaufanie.

Bicz smagnął po raz kolejny. Kobieta cicho łkała, jej twarz wyrażała porażkę.

– Nie zgłosili infekcji – kontynuował Hauth. – Trzymali swoje dziecko w ukryciu, pozwalając infekcji jątrzyć się, narażając na niebezpieczeństwo całe Blunder.

Bicz trzasnął po raz trzeci, a ja podskoczyłam, gdy bezradny jęk poniósł się echem po placu.

– A teraz, zapłacą za to najwyższą cenę.

Wyciągnęłam szyję, przeszukując tłum.

– Gdzie jest dziecko? – wyszeptalam łamiącym się głosem.

Elm pokręcił głową. Spojrzenie jego zielonych oczu było lodowate.

Wokół mnie mieszkańcy Blunder zastygli w bezruchu. Niektórzy mieli łzy w oczach, inni prawie nie mrugali, a niektórzy obserwowali wydarzenia ze zmarszczonym czołem i ustami wykrzywionymi w wyrazie dezaprobaty. Po placu nie

rozległy się triumfalne okrzyki – nie było żadnego jawnego poparcia dla wysokiego księcia i kawalerzystów. Nie chcieli brać udziału w tym akcie przemocy.

Ale za bardzo się bali, żeby to powstrzymać.

Gdy kawalerzysta trzymający bicz, cofnął się, Hauth stanął przed więźniami, wyciągając Sierp z kieszeni.

Dotknął jej trzy razy.

– Oddajcie mi swoje talizmany – rozkazał.

Więźniowie zaczęli grzebać w kieszeniach ubrań, ich oczy były mętne i nieobecne. Hauth czekał z wyciągniętą dłonią, niczym poborca podatków, wyczekujący na swoją monetę. Kobieta wyciągnęła z kieszeni luźnej sukni króliczą łapkę. Mężczyzna trzymał w zakrwawionych rękach pióro sowy.

Wręczyli je Hauthowi, który następnie zmiążdżył je butem.

– Infekcja to zaraza – zawołał, jego słowa ostro wbijały się w panującą ciszę. – To trucizna, która sączy się przez mgłę, stworzona przez Ducha Lasu. Ci, którzy ją ukrywają, dopuszczają się zdrady. – Odwrócił się do więźniów. – Działając z upoważnienia króla, ja, Hauth Rowan, wielki książę Blunder, niniejszym skazuję was na śmierć.

Nagłe krzyki kawalerzystów uderzyły we mnie, boleśnie kontrastując z przerażającą ciszą sprzed chwili.

– Naprzód! – zawołali, otaczając tłum z obu stron. – Do bram!

Popychani z każdej strony, Elm i ja, zostaliśmy poniesieni z prądem otaczających nas ciał. Książę przyłgnął do mnie, jego palce mocno zaciskały się na moim ramieniu. Słyszałam za nami jęki więźniów, ale nie byłam w stanie się odwrócić, popychana przez konnych kawalerzystów i stale napływających ludzi.

Wybiegliśmy z placu, z powrotem na Ulicę Targową. Rozglądałam się w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku po Ravynie albo Jespyt, ale tłum był zbyt wielki, a z minuty na minutę dochodziło coraz więcej gapiów.

Otoczył nas cień Czarnych Koni.

Kawalerzyści poprowadzili nas na obrzeża miasta. Przeszliśmy przez wysokie, ufortyfikowane bramy, a potem pokonaliśmy około pięćdziesięciu kroków wzdłuż drogi. Nic tu nie było, tylko trakt i szerokie, przepastne pole. Haut stał na jego skraju, w towarzystwie Lindena, dwóch innych kawalerzystów i zakrwawionych więźniów.

Za nimi, w odległości kilkudziesięciu kroków, unosiła się mgła.

Tłum zatrzymał się gwałtownie, dociskając mnie do ludzi stojących przede mną. Słyszałam wykrzykiwane przez kawalerzystów rozkazy oraz rzenie ich koni bojowych.

– Zrobić miejsce!

Połowa mieszkańców Blunder wylała się na drogę. Wszyscy prezentowaliśmy się groteskowo, ubrani w barwy naszych rodów, zbyt jaskrawo – zbyt żywo – jak na to, czego mieliśmy stać się zaraz świadkami. Zostałam wciśnięta jeszcze mocniej w bok Elma, gdy tłum się rozstał, robiąc miejsce dla kawalerzystów, Hautha i więźniów.

Przez bramę przetoczył się powóz, konie, które go ciągnęły, parskwały parą. Pojazd zatrzymał się tuż przed Hauthem i wyszło z niego dwóch mężczyzn ubranych na biało, a pomiędzy znajdował się mnie więcej dwunastoletni chłopiec.

Zacisnęłam zęby, czułam, że coś we mnie się gotuje, syk Koszmaru przeszył mój umysł.

Podobnie jak jego rodzice, chłopiec miał związane ręce. Spodziewałam się łez – jęków rozpacz – ale on milczał, wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami przyciśniętymi do boków. Miał podartą przy szyi koszulę, włosy zlepione potem. Cokolwiek się wydarzyło, to dziecko nie poddało się bez walki.

– Co oni mu zrobią? – Przysunęłam się bliżej Elma.

Nie wiesz?, wyszeptał Koszmar.

– Będzie zmuszony do obserwowania, jak jego rodzice znikają we mgle. Potem zostanie zabrany do Stone. Jeśli mój ojciec uzna jego magię za bezużyteczną... – Głos Elma był pozbawiony życia.

– Zostanie zamordowany. – Zamrugłam, odpędzając z oczu łzy wściekłości.

Elm nie odpowiedział. Z powrotem utkwiał wzrok w powozie. Odwróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć trzeciego uzdrowiciela wychodzącego na drogę. Był wyższy od pozostałych, szczuplejszy, a jego oczy nienaturalnie blade.

Orithe Willow, głowa królewskich uzdrowicieli.

Elm drżał tuż obok mnie.

– Hauth nie powinien tego robić, nie przy wszystkich. – Obracał głowę na wszystkie strony. – Gdzie, do diabła, jest Ravyn?

Przed nami uzdrowiciele wraz z chłopcem tkwiącym pomiędzy nimi, dołączyli do Hautha. Orithe podwinął biały rękaw szaty, odsłaniając przypominające pazury urządzenie z długimi ostrymi kolcami, wyrastającymi z każdego z jego bladych palców – urządzenie stworzone tylko w jednym celu.

By upuszczać krew.

Kiedy uzdrowiciel zgiął palce, metalowe kolce zazgrzytały, a ciszę przeszył złowieszczy dźwięk dzwonka. Chłopiec próbował ruszyć w kierunku rodziców, ale Orithe przystawił mu szpikulec do gardła, zmuszając go do pozostania na miejscu.

Pojedyncza kropla krwi spadła z szyi chłopca. Nie była to śmiertelna rana, ale wystarczyła, by Orithe Willow skazał go na śmierć. Głos pierwszego uzdrowiciela zagrzmiął w panującej ciszy.

– To dziecko jest nosicielem infekcji. Jego magia jest sprzeczna z prawem i niebezpieczna. Niech śmierć jego i tych, którzy go ukrywali, będzie stanowiła ostrzeżenie dla innych – wykrzyknął, szeroko otwierając blade oczy. – Infekcji nie da się ukryć. Dzisiaj, jutro czy za kilka lat zawsze odkryjemy każdy przypadek gorączki. Każde wynaturzenie, każdą nielegalną magię.

Hauth uniósł Kartę Sierpu nad głowę.

– Magia Kart to jedyna prawdziwa magia. Wszystko inne jest chorobą. – Uderzył w Kartę trzykrotnie, zwracając się do więźniów. – My, mieszkańcy Blunder, oddajemy tych, którzy złamali nasze prawa, mgłę. – Okrutny uśmiech wykrzywił jego usta. – Bądźcie ostrożni. Bądźcie mądrzy. Bądźcie dobrzy.

Więźniowie zwrócili się w kierunku mgły, ich kroki były nierówne, nogi wyraźnie im się trzęsły. Przez sekundę wydawało się, że nie zejną ze ścieżki.

Ale walka z czerwoną Kartą była z góry skazana na przegraną.

Kobieta zrobiła krok do przodu z krzykiem mrozącym krew w żyłach, ruszając powolnymi ruchami prosto na pole. Jej mąż podążył za nią, patrząc za siebie i krzycząc do swojego syna coś, czego nie byłam w stanie usłyszeć.

Ich stopy wlokły się po zwiędłej trawie. Za chwilę mieli zostać całkowicie pochłonięci przez mgłę.

Dźwięk syczenia Koszmaru – głuchego odgłosu jego pazurów – zadrżał w moich uszach, wypalając ze mnie strach, aż pozostała jedynie oślepiająca wściekłość.

Kiedy nadejdzie wieczny sen, a nasze imiona obrócą się w proch, to, co kiedyś wzbudzało naszą miłość i nienawiść, szczerzenie... Gdy wszystko pójdzie w zapomnienie, zachowa się tylko jedno jedyne pytanie...

Co zrobiliśmy, gdy zabierano dzieci?

– Elm, musimy coś zrobić. – Serce waliło mi w piersi, policzki płonęły od łez.

Zielone oczy księcia były utkwione w więźniach, którzy z każdym krokiem coraz bardziej zbliżali się do mgły. Poczułam, że drży, mięśnie szczęki miał zaciśnięte.

– Nie możemy ryzykować, że Orithe cię zobaczy – powiedział.

– Poradzę sobie. – Spojrzałam w dół na moją czerwoną suknię z wyhaftowanym trzmielinowym drzewem. – Daj mi swój płaszcz.

– Dlaczego? – Ramiona księcia zeszywniały.

Ciągnęłam za rękaw, dopóki płaszcz nie zsunął się z jego ramienia.

– Zamień się ze mną maską.

Książę zaklął pod nosem, zrzucając do końca okrycie. Kiedy włożyłam go na siebie, moja czerwona sukienka zniknęła pod zatraskami, wełna była tak gruba, że

całkowicie pochłaniała inne kolory. Taka sama była jego maska. Gdy zawiązywałam ją z tyłu głowy, ręce mi drżały.

Elm odwrócił się, ponownie przeczesując wzrokiem tłum. Wiedziałam, kogo szukał, ale nie było na to czasu. Owinęłam dłoń wokół jego ramienia, wpatrując się wprost w jego zielone oczy.

– Nie potrzebujesz Ravyna – powiedziałam niskim, natarczywym głosem.– Ten chłopiec jest niewinny, tak samo jak Emory. Nie znam nikogo innego, kto tak dobrze wykorzystywałby magię, co ty. Masz kartę Sierpa. – Mój głos stwardniał. – Musisz coś zrobić.

Hauth i kawalerzyści stali twarzą w twarz z mgłą, obserwując więźniów i rozmawiając przyciszonymi głosami. W pewnej chwili Hauth odchylił głowę do tyłu, parszkając ostrym, paskudnym śmiechem.

Na dźwięk śmiechu brata coś w Elmie przeskoczyło. Zwęził zielone oczy, niczym drapieżnik wypatrujący swojej ofiary. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej swoją czerwoną Kartę, mamrocząc pod nosem słowa, których nie dosłyszałam – przekleństwo albo modlitwę.

Przez tłum przetoczyło się zbiorowe westchnienie. Uzdrowiciele zwrócili się w kierunku mgły z szeroko otwartymi oczami, Kawalerzyści zeszywnieli. Śmiech zamarł na ustach Hautha.

Więźniowie przestali się poruszać. Stanęli, zastygli w pół kroku, zmieniając się w słupy soli, wplątani w bitwę książąt – Rowan przeciwko Rowanowi.

Sierp przeciwko Sierpowi.

Elm odsunął się ode mnie.

– Trzymaj się poza zasięgiem wzorku – powiedział z oczami utkwionymi przed siebie. – Nie rób nic głupiego – dodał. Obrócił Sierp między palcami, przechodząc przez tłum niczym aktor na scenie. Scenie, którą stanowiło całe Blunder.

Kiedy Hauth zobaczył brata, zieleń jego oczu zastąpiła czerwień. Żyły na jego szyi wybrzuszyły się, a nieuszkodzona dłoń zacisnęła się w pięść.

– Co...

Elm wciągnął powietrze przez zęby.

– Przesadziłeś bracie. Nawet jak na ciebie posunąłeś się za daleko.

Uzdrowiciele kulili się ze strachu, omijając Elma szerokim łukiem, a ja zaczęłam przepychać się przez zwarty tłum, Koszmar przyspieszył moje kroki. Nie spuszczałam wzroku z chłopca, który nadal stał tuż obok czubka ostrego pazura Orithego.

Czerwień przeciwko czerwieni, książęta starli się przed swoim królestwem. Elm przewyższał brata o głowę, szczupły i przebiegły, a jego niewzruszona postawa

wyraźnie kontrastowała z zachowaniem Hautha, który dosłownie płonął gniewem.

– Mam prawo skazywać przestępców – warknął Hauth. – Wycofaj swój Sierp. Teraz.

– Nie. Nie sądzę, żebym to zrobił. – Elm uśmiechnął się do brata, rzucając mu jawne wyzwanie.

Linden stał u boku starszego księcia, z dłonią na rękojeści miecza. Po chwili rzucił się na Elma, jednak zanim zdążył zadać cios, spojrzenie zielonych oczu Elma utkwilo w kawalerzyście. Wyciągnął rękę przed siebie, a Linden rozłożył palce i zaczął mamrotać słowa, których nie słyszałam. Zatrzymał się w półmroku, po czym padł na ziemię u stóp Elma z rykiem mrozącym krew w żyłach. Renelm spojrział na niego z góry, z krzywym uśmiechem, a z nosa pociekła mu krew.

Sierp zbierał swoje żniwo.

Koszmar roześmiał się bezlitośnie.

Strzeż się czerwieni. Uważaj na ostrze. Magia twoje cierpienie pożre. Rozkazuj dopóki możesz. Śmierci się nie wywiniesz. Bólem zapłacisz i od bólu zginesz.

Hauth spojrział na Lindena, a potem z powrotem na więźniów. Nadal pozostawali zamrożeni zaledwie kilka kroków od mgły. Przysunęłam się bliżej uzdrowicieli – bliżej chłopca. Nie miałam żadnego planu, napędzał mnie szum buzującej się we mnie krwi i stukot pazurów Koszmaru.

Hauth otworzył usta, całe jego ciało krzyczało z pragnienia mordy. Jednak zanim zdążył się odezwać, tłum rozstał się, ujawniając lawinę kolorów emanujących z dwóch postaci ubranych na czarno z rękami na rękojeściach mieczy.

Ravyn i Jespyr Yew.

I to było jedyne rozproszenie uwagi, jakiego potrzebował Hauth. Rąbnął brata łokciem w twarz, cofając Elma o krok, rozpraszaając również jego.

Rozległo się łkanie rodziców chłopca, ich stopy znów zaczęły się poruszać, popychając ich prosto we mgłę. Chłopiec szarpał się z lekarzami, rozpaczliwie krzycząc. Przyłożyłam rękę do ust, moje oczy płonęły, gdy zobaczyłam, że ojciec dziecka znika z pola widzenia, pochłonięty przez mgłę, a jego matka znika chwilę po nim.

Chociaż nie było ich widać, ich krzyki nadal rozbrzmiewały, pozbawione słów, coraz bardziej szalone, jakby unosząca się w powietrzu sól wypaczała ich umysły.

Ktoś wykrzykiwał rozkazy – Ravyn. Kawalerzyści zeskoczyli z koni, większość z nich dołączyła do Ravyna i Jespyr, kilku zebrało się wokół Hautha. Do moich uszu dotarł dźwięk uderzania stalą o stal. Ale nie odwróciłam się w tamtą stronę. Mój wzrok był utkwiony w chłopcu, uwięzionym między mężczyznami w białych szatach.

Byłam coraz bliżej – tak blisko, że widziałam pot ściąający z czoła dziecka i mieszający się ze łzami płynącymi po policzkach.

Poczułam, jak coś popycha mnie z ogromną siłą. W tłumie wybuchło pandemonium. Bez przymusu obserwowania wielkiego księcia, mężczyźni i kobiety biegali we wszystkich kierunkach, zdesperowani, usiłując za wszelką cenę uciec jak najdalej od kawalerzystów. Wpadła na mnie kobieta, zderzając się z urażonym nadgarstkiem. Zobaczyłam gwiazdy, czując palący ból, ale nadal szłam do przodu. Biegłam, błagając potwora, którego tak desperacko potrzebowałam.

Pomóż mi!

Moje żyły zapłonęły. Koszmar skoczył do przodu, spowijając mój umysł ciemnością. Moje kroki przyspieszyły, a spojrzenie wbiło się w Orithego Willowa, który jak na zawołanie odwrócił głowę.

Zderzyliśmy się z impetem. Był większy ode mnie – szerszy, cięższy – lecz nie był silniejszy od Koszmaru. Jego głowa z hukiem uderzyła o ziemię, oczy miał szeroko otwarte, usta rozchylone. Zamachnął się na mnie swoim groteskowym pazurem, ale stalowe palce mnie nie dosięgnęły – już mu się wymknęłam.

Czyjaś ręka pociągnęła mnie do tyłu – drugi uzdrowiciel. Wbiłam mu łokieć w przeponę, posyłając go na suchą trawę. Padł, gwałtownie kaszląc, i pociągnął chłopca za sobą. Trzeci uzdrowiciel nie zbliżył się, wytrzeszczył oczy ze strachu, ręce mu się trzęsły. Odwrócił się na pięcie i uciekł, dołączając do szalejącego tłumu.

Chłopiec leżał na skraju drogi. Spróbował wstać, ale zanim udało mu się stanąć na nogach, w powietrzu błysnął metal.

Chłopiec wrzasnął, a pazur Orithego Willowa złapał go za rąbek jego tuniki, przytrzymując w miejscu. Nie przypominam sobie, żebym skoczyła do przodu. Ciemność przesłoniła mi wzrok i w następnej chwili stałam nad Orithem, a obcas mojego buta zderzał się z jego szczęką, posyłając uzdrowiciela na ziemię.

Tunika chłopca rozerwała się, gdy uwolnił się z uścisku metalowej łapy. Potknął się i spojrzał na mnie, raptownie prostując plecy.

– Chodź ze mną – wydyszałam, wyciągając do niego rękę.

Oczy dziecka zwęziły się nieufnie, starał się zobaczyć moją twarz pod maską. Chwilę później jego spojrzenie przesunęło się na coś za moimi plecami. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam trzeciego uzdrowiciela. Przyprowadził ze sobą kawalerzystę, którego Czarny Koń emanował czernią, a jego spojrzenie zostało utkwione we mnie.

Linden.

– Kurwa – wysapałam, akurat w chwili, w której chłopiec chwycił mnie za rękę.

Nie oglądałam się za siebie. Ani za Orithem, ani za Ravynem. Nie było na to czasu. Zanim Linden zdążył do nas dobiec, razem z chłopcem rzuciliśmy się we mgłę.

Gorąco rozsadzało moje ramiona, obecność Koszmaru otaczała mnie jak druga skóra. Wzięłam głęboki wdech i zakaszlałam, powietrze było gęste od soli. Gorączkowo grzebałam w kieszeni spódnicy, aż natrafiłam palcami na amulet, którego już nie potrzebowałam, i przyspieszyłam kroku.

Linden ruszył za nami, a gęste powietrze wypaczało dźwięki jego kroków, które brzmiały, jakby jednocześnie były bardzo blisko i daleko.

Przebiegliśmy przez łąkę, trawa moczyła rąbek mojej sukienki. Kiedy droga zaczęła przechylać się w dół, nie upadłam, moje stopy mnie niosły, pewniej i szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Biegający za mną chłopiec dyszał, z całych sił starając się dotrzymać mi kroku.

Unosząca się w powietrzu sól przywarła do mnie, podrażniając oczy. Wzrok mi się zamazał od łez. Kiedy je otarłam, świat wokół zniknął. Nagle niebo zrobiło się czarne jak smoła, światło dnia zniknęło, pogrążając mnie w nicości. Nie byłam już na łące między miastem a lasem, tylko gdzie indziej. W miejscu pełnym migotliwych cieni, w którym moja złota zbroja odbijała niezwykle pomarańczowe promienie.

Rozejrzałam się dookoła. Płomienie lizały znajdujące się za mną niebo, ściany ogromnego zamku pochłonęło piekło. Chłopiec nadal znajdował się za mną, tyle że teraz nie był już sam. Za nami biegło więcej dzieci, a języki ognia oświetlały ich przerażone oczy.

Słowa formowały się na moim języku, słowa, których nie wypowiedziałam. Wszystko, co wiedziałam to głęboki, wyniszczający strach i impuls każący mi iść dalej – ratować dzieci przed ogniem i czyhającym na nie niebezpieczeństwem, jeśli stąd nie uciekniemy. Dopiero po chwili to zauważyłam – czekająca na skraju płomieni, umieszczona w cieniu starego cisa.

Komnata na skraju łąki, jej jedyne ciemne okno, czarne i nieskończone, przyciągające mnie ku sobie.

– Panienko!

Potknęłam się o brzeg sukienki i upadłam na trawę. Zakaszlałam, krztusząc się powietrzem. Kiedy uniosłam wzrok, niebo znów było szare, ukryte za zielonymi wierzchołkami drzew. Zniknęła komnata – ogień – dym unoszący się w powietrzu. Został tylko chłopiec, który wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Słyszę ich, panienko.

Sięgnęłam do wnętrza swojego umysłu w poszukiwaniu Koszmaru. Jego paszcza była zaciśnięta, spiczaste uszy sterczały, nasłuchując.

T a m, powiedział. S ł y s z y s z t o?

Słyszałam. Krzyki – męski i kobiecy głos, głęboko we mgle. Ale to nie jedyny dźwięk, jaki dotarł do moich uszu. Za nami rozległ się odgłos ciężkich kroków – szcęk metalu – złowroga ciemność Czarnego Konia.

J e s t b l i s k o, ostrzegł mnie Koszmar. N i e d a s z r a d y g o z g u b i ć. N i e z c h ł o p c e m.

Szybko wstałam, wciskając w dłoń chłopca swój stary amulet.

– Weź ten talizman dla swoich rodziców – zwróciłam się do niego. – Będą musieli się nim podzielić, ale powinno ich to obudzić.

Zamrugał, wpatrując się w kruczą nóżkę.

– Ale ty nie będziesz miała ochrony.

– Nie potrzebuję jej – powiedziałam. – Duch nie szkodzi takim ludziom jak my. – Sprawdziłam, czy moja maska dobrze się trzyma, słysząc zbliżające się kroki Lindena. – Idź – rozkazałam, popychając chłopca.

Jego stąpanie brzmiało jak uderzenia skrzydełek ptaka przelatującego między drzewami. Nie patrzyłam, jak odchodzi, zgarbiłam plecy, nastawiając uszu. Syk Koszmaru przebiegł mi po kręgosłupie, ogłuszając mnie, rozmywając otaczający mnie świat.

Linden wyłonił się z mgły z obnażonym mieczem, wycelowanym prosto w moją szyję.

Uchyliłam się. Kiedy stanęłam prosto, moje palce się wygięły, oczy zmrużyły. Poniosły mnie nogi, skoczyłam do przodu, stawiając mocne kroki i zmniejszając dystans między mną a kawalerzystą. Dostrzegłam w jego oczach strach – zdezorientowanie i panikę. Ani trochę o to nie dbałam. Zatraciłam się w magii – w gniewie Koszmaru, który mnie ogarnął.

Zdzieliłam go najpierw w szczękę, potem w żebra. Upadł na ziemię, bezmyślnie wymachując mieczem w próbie dosięgnięcia mnie. Równie dobrze mógł próbować trafić ducha. Koszmar poruszał się niczym błyskawica, wykręcając moje ciało. Moja stopa zderzyła się z ramieniem kawalerzysty, przygwożdżając go do ziemi i wytrącając broń z dłoni.

Pochyliłam się nad nim, uniosłam wygiętą rękę tak, jakbym miała pazury. Sól drapała mnie w nos, ręce paliły żywym ogniem. Na chwilę mój umysł całkowicie się wyłączył. Zapomniałam, gdzie się znajduję i co tutaj robię. A potem wszystko spowiała ciemność.

Upiorne krzyki sprowadziły mnie z powrotem do ciała.

Przestań! Załkałam, ale było już za późno. Linden leżał na ziemi z rękami przyciśniętym do szyi, między jego palcami sączyła się krew.

Odskoczyłam, uwięziona przez gorzką wściekłość. Moje myśli walczyły z gniewem Koszmaru, zdezorientowanie i przerażenie zalewało mój umysł. *Coś ty zrobił?*, krzyknęłam.

Koszmar nie odpowiedział. Nie musiał.

Krzyk uwiązał mi w gardle. Chwiejnie ruszyłam przez las, czarny cień Czarnego Konia z każdym krokiem stawał się mniejszy i mniejszy, gdy przedzierałam się przez mgłę.

Nie zauważyłam drugiego kawalerzysty, dopóki na niego nie wpadłam.

Krzyknęłam, odpychając się od jego piersi skrytej pod czarną tuniką, ale unieruchomił mnie, przytrzymując mnie za ramiona. Wypowiedział moje imię, ale prawie go nie słyszałam, czułam, jak tracę kontrolę nad umysłem, obecność Koszmaru była niezwykle silna.

Kawalerzysta przyciągnął mnie do siebie. Kiedy uniosłam na niego wzrok, zobaczyłam szare oczy odcinające się na tle maski.

Pierś Ravyna unosiła się gwałtownie tuż przy mojej. Kiedy się odezwał, jego głos był zachrypnięty.

– Elspeth... Elspeth, słyszysz mnie?

Sapnęłam, mój oddech przerodził się w gwałtowne rżenie. Po policzkach zaczęły mi płynąć łzy, czułam sól w oczach i buzującą, rozpaloną do białości magię pod skórą.

– Oddychaj – odezwał się Ravyn, dotykając mojej twarzy. – Jesteś bezpieczna. Oddychaj.

Zamrugałam, nadal czując palącą wściekłość Koszmaru. Mój głos drżał, oddech był płytki i nierówny.

– Ten chłopiec... kawalerzysta... moja magia. Ja... Ja nie wiem, co się stało.

Ravyn pochylił się ku mnie, jego czoło oparło się o moje, czułam na twarzy jego ciepły oddech.

– Twoje oczy są żółte.

Zacisnęłam powieki.

Błagam, odejdź, zwróciłam się do Koszmaru, wiedząc doskonale, że nie ma dokąd odejść. Słyszałam echo jego śmiechu, kiedy poruszając się, powoli chował się w ciemności mojego umysłu.

Wypuściłam powietrze z płuc, a Ravyn wyciągnął ku mnie ręce. Ledwie jego palce dotknęły moich, spojrzenie kapitana zastygło na moich dłoniach.

Kiedy spojrzałam w dół, ujrzałam, że moje palce były wykrzywione niczym szpony. Palce, długie i blade pokrywała krew.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Królewscy Strażnicy nie noszą żadnych symboli.

Czarny Koń jest ich jedynym insygnium, ich obowiązkiem, ich kredo. Strzegą i egzekwują prawo w Blunder. Są cieniem w pomieszczeniu – oczami z tyłu głowy, krokami na ulicach.

Królewscy Strażnicy nie noszą żadnych symboli.

Ravyn chwycił mnie za rękę, po czym wytarł je o swoją tunikę, czarna wełna wchłonęła krew z moich palców. Kiedy mnie puścił, schowałam rękę w rękawach, zaciskając je w pięści, żeby przestały się trząść.

Jego ton był chłodny – oczy nieprzeniknione, plecy wyprostowane. Zniknął rozbójnik. W jego miejsce powrócił kapitan kawalerzystów, zimny i surowy.

– Kto to był? – zapytał, ścisząc głos.

Nie byłam pewna. Jedyne, czego byłam pewna, to przepełniające mnie uczucie wściekłości – wściekłości, jakiej nigdy wcześniej nie czułam, tak silne, że nawet teraz trzymało mnie w swoich szponach.

– Kawalerzysta – wykrztusiłam, wskazując głową w stronę lasu. – Linden.

– Martwy? – Mięsień na szczęce Ravyna drgnął.

– Ranny. – Mój żołądek zawinął się w ciasny supeł.

– A chłopiec?

– Gdzieś w lesie.

Skinął krótko głową, nadstawiając uszu.

– Nadchodzą kolejni kawalerzyści – poinformował. – Zostań tutaj.

Chwilę później już go nie było, rozplątał się we mgle. Nadal mogłam go słyszeć, dobiegał mnie jego głos ostry jak brzytwa, a dźwięk ciężkich kroków odbijał się w szarości, gdzieniegdzie przyciemnionej czarnym cieniem dwóch Czarnych Koni.

Nie ruszałam się, nasłuchując.

– Wicker – zawołał Ravyn – weź Gorse i Beech, zbierzcie uzdrowicieli. Sprawdźcie, czy nikt nie ucierpiał podczas zamieszania. – Jego głos stwardniał. – Larch, kieruj się na zachód, w głąb lasu.

Zrobiło mi się niedobrze, wiedząc, kto czeka na zachód od nas, poturbowany i wykrwawiający się pod drzewami.

Coś ty zrobił?!, krzyknęłam w ciemność.

Schował pazury, jego głos był powolny, leniwy.

Zrobiliśmy to razem. Tak jak zawsze.

Nie chciałam tego!

Poprosiłaś o moją pomoc. Udzieliłem ci jej.

Pokręciłam głową. *Jesteś potworem.*

Ravyn pojawił się przede mną w podmuchu czerni, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Elspeth?

Otarłam łzy z policzków, wzdrygając się. Ból uderzył w nadgarstek ze zdwojoną siłą. Kręciło mi się w głowie, nie byłam w stanie ogarnąć umysłem ostatnich wydarzeń – Hauth i to, jak skazał na śmierć tych ludzi – brutalny pazur Orithego – Elm i jego Sierp – dziwna wizja, która spadła na mnie, gdy uciekałam przez mgłę – przerażenie malujące się na twarzy Lindena, gdy gniew Koszmaru przejął nade mną kontrolę.

– Elspeth, co się stało?

Zamknęłam oczy, biorąc głęboki wdech.

– Nie mogłam pozwolić, by Orithe zabrał tego chłopca do Stone.

– Rozpoznali cię? – Oczy Ravyna przesunęły się po masce na mojej twarzy i czarnym płaszczu.

– Nie, nie sędzę. To wszystko stało się tak szybko. Elm... Sierp... – Zamilkłam, mój umysł rozdzielił się na dwie części, rozdarty pomiędzy myśli należące tylko do mnie, a myśli Koszmaru. Spojrzałam na kapitana kawalerzystów. – Uwolniłam chłopca i pociągnęłam go we mgłę. Dałam mu swój amulet, żeby mógł ocalić rodziców. Ale ścigał nas kawalerzysta. Ja... Ja nie zamierzałam...

Ravyn czekał.

– A co z żółcią, która migocze w twoich oczach?

– Nie mogę ci powiedzieć – oznajmiłam z większą stanowczością. – Jeśli zdradzę ci ten sekret, nie będziesz chciał mieć ze mną nic wspólnego.

Ravyn wypuścił powietrze.

– W takim razie twoje mniemanie o mnie jest niższe, niż myślałam. – Sięgnął do kieszeni po burgundową Kartę i stuknął w nią trzy razy, zamykając oczy w skupieniu.

– Co robisz?

– Informuję Jespyr, żeby zabrała Orithego do Lindena. – Karta Koszmaru rzucała fantazyjne cienie na jego twarz. Kiedy otworzył oczy, ponownie postukał w Kartę trzy razy. – Chodźmy.

Pospieszyliśmy z powrotem na wzgórze, przecinając polanę, cisza między nami była napięta. We mgle rozległy się kolejne głosy – w oddali majaczyły dwa Czarne

Konie. Ramiona Ravyna napięły się, ale nie zwolnił kroku, tylko przyłożył palec do ust.

Nie sięgnęłam w ciemność po Koszmar. Ale wiedziałam, że tam był, wisząc niczym cień, w każdym zakamarku mojego umysłu.

Gdy wyszliśmy z mgły i wróciliśmy na główną drogę, pandemonium zdążyło ustąpić. Tłum zniknął, pospiesznie przesuwał się przez bramę miasta, a po frywolności Targowego Dnia nie pozostał żaden ślad.

– Zdejmij maskę – odezwał się do mnie Ravyn. Jego spojrzenie padło na mój płaszcz, płaszcz Elma. – To też. Jesteś po prostu dziewczyną, która została złapana we mgle, rozumiesz?

Pokiwałam głową. Jednak kłamstwo niczego nie wymazało. Może i nie miałam już krwi na rękach, ale czułam na sobie jej pozostałości, mroczną skazę.

Przed nami widniało morze czerni i czerwieni – kawalerzyści wraz z Hauthem Rowanem zgromadzili się na skraju mgły. Głos wielkiego księcia niósł się daleko, brutalny i groźny.

Elm trzymał się z dala od innych, z rękami w kieszeniach, miał załzawione oczy. Stał zgarbiony i blady, na jego czole widniała warstewka potu. Przysunęłam się do niego, przyglądając mu się badawczo.

– A więc jeszcze żyjesz – odezwał się, nie patrząc na mnie.

– A ty? – Oddałam mu płaszcz.

– Zdrow jak ryba. – Uniósł rękaw do twarzy, by wytrzeć krew. Kiedy skończył, mankiet jego tuniki był ciemny od posoki. – Chłopiec?

– Uciekł. Linden mnie złapał. Walczyliśmy. – Zaciśnęłam zęby, czując narastającą mdłości. – Mogłam go zabić.

Elm spojrzał na mnie, jego spojrzenie powoli nabierało ostrości.

– Mogłaś? Nie powinnaś tego wiedzieć na pewno?

Kawalerzyści stali przed Ravynem z pochylonymi głowami. Kapitan nie zwracał na nich uwagi, wpatrując się w Hautha.

– Co ty, kurwa, sobie myślałaś? – odezwał się do niego.

Drgnęłam słysząc jego ostry ton.

– Wykonałaś publiczną egzekucję w Targowy Dzień? – Jego głos ociekał jadem. – Bez mojego pozwolenia?

Wielki książę odwrócił się do kuzyna z zaciśniętymi szczękami i czerwonymi policzkami.

– Mam prawo do zarządzania publiczną egzekucją wobec każdego, kto ukrywa zarażone...

Ravyn błyskawicznie zmniejszył dystans między nimi, jego gniew nie miał sobie równych.

– Masz prawo stać na straży królewskiego prawa – przypomniał. – Ale nie możesz go egzekwować, nie, bez mojego pozwolenia. – Ściszył głos, by odezwać się niskim, chrapliwym tonem: – Nie myśl, że jestem głuchy na podburzanie moich ludzi przeciwko mnie, kuzynie. Jeśli chcesz władzy – rozłożył szeroko ramiona, w niemym zaproszeniu – weź ją sobie.

Nozdrza Hautha się rozszerzyły. Na zmęczonej twarzy stojącego obok Elma pojawił się uśmiech. Zarówno on jak i Ravyn, a być może też pozostali kawalerzyści, zdawali sobie sprawę, że Hauth nie zaryzykuje starcia z kimś, kto jest odporny na działanie Sierpa.

A biorąc pod uwagę błysk wściekłości w jego zielonych oczach, Hauth miał świadomość rodzaju magii kuzyna.

– Poszlibyście za kimś, kto jest tak niechętny na podjęcie prostego wyzwania? – Ravyn odwrócił się z powrotem do swoich ludzi.

Kawalerzyści milczeli w bezruchu, jakby wyciosani z kamienia. Kapitan rzucił im pogardliwe spojrzenie.

– Wasz książę jest tylko tym. Księciem. A wy nie jesteście jego prywatną armią, brutalami na zawołanie. Nie zakłóćcie spokoju w Blunder ani nie zmuszacie jego mieszkańców do oglądania egzekucji. Jesteście jak cienie, cisi i szybcy. Co ważniejsze stoicie na straży naszego kreda. Ostrożność. Spryt. Dobroć. Zrozumiano?

Kawalerzyści wpatrywali się w Ravyna, ich dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy.

– Tak jest, kapitanie – zawołali, jak jeden mąż.

Tylko Hauth milczał.

Ravyn odwrócił się ku niemu.

– Nie słyszałem cię, kuzynie.

Zielone oczy Hautha się zwężyły.

– Tak samo jak ja nie słyszałem ciebie, kapitanie. Bez względu na to, co się wydarzyło, nie ulega wątpliwości, że kiedy odkryto zainfekowane dziecko i wezwano kawalerzystów, nie padły żadne rozkazy, nie było cię. – Spojrzał ponad ramieniem Ravyna i wbił wzrok we mnie. – Nawet teraz twoja uwaga wydaje się skupiona na czymś innym.

Ravyn przesunął się, zasłaniając mnie swoim ciałem przed oczami Hautha. Przez chwilę byłam pewna, że Ravyn go zaatakuję – i złamię kuzynowi drugą rękę. Ale nie zrobił tego. Zamiast tego popatrzył na niego lodowato.

Wielki książę odpowiedział gniewnym spojrzeniem, dopóki czerwień malująca się na jego twarzy nie zniknęła całkowicie. Następnie Hauth, bezbronny wobec nieustępliwego milczenia Ravyna, zaciskając pięści, spuścił wzrok.

Kapitan spojrzał na kawalerzystów.

– Zachowajcie czujność – rozkazał. – Nie wypuszczajcie z miasta nikogo, kto nie ma Czarnego Konia lub znaku uzdrowiciela, bez uprzedniego przeszukania. Patrolujcie miasto. Jeśli chłopiec zostanie znaleziony albo uzdrowiciele wykryją kolejną infekcję, znajdziecie mnie w Zamku Yew.

– A co, jeśli chłopiec się nie odnajdzie? – zapytał jeden z kawalerzystów.

Ravyn odwrócił się, nie oglądając się za siebie.

– Wtedy niech Duch go pochłonie – warknął.

Ruszyłam za nim, Elm podążał za naszą dwójką. Niebo pociemniało, brama miasta rzuciła długie cienie, gdy opuszczaliśmy jego mury. Nikt nie powiedział ani słowa, jedynym dźwiękiem był stukot obcasów o brukowaną drogę.

Po dłuższej chwili, jak gdyby czytając mi w myślach, odezwał się Ravyn:

– Jespyr odszuka chłopca i jego rodziców – powiedział, wyciągając z kieszeni Kartę Koszmaru i stuknął w nią trzykrotnie. – Mamy przygotowane miejsce dla takich dzieci jak on, jeśli dopisuje nam szczęście i znajdujemy je pierwsi.

– Ratowałeś już wcześniej zainfekowane dzieci? – Wpatrywałam się w tył jego płaszcza.

– Właśnie o to chodzi w poszukiwaniach Kart – mruknął za mną Elm. – A co, myślałaś, że popełniamy zdradę stanu dla żartu?

Ravyn zatrzymał się w miejscu tak nagle, że musiałam uskoczyć na bok, żeby na niego nie wpaść. Elm nie będąc tak szybki jak ja, uderzył w plecy Ravyna.

– Na drzewa, co się stało?

Oczy kapitana były zamknięte. Stuknął w swoją Kartę, po czym schował ją do kieszeni.

– Właśnie rozmawiałem z ojcem. – Uniósł powieki i zaczął wpatrywać się w Elma.

– Musimy wracać do Zamku Yew. Natychmiast. – Kapitan kawalerzystów bez słowa puścił się biegiem w dół ulicy.

Wymieniliśmy z Elmem zdezorientowane spojrzenia. Chwilę później, biegliśmy, przedzierając się przez resztki tłumu i starając się nadażyć za morderczym tempem narzuconym przez Ravyna.

Pędziliśmy, dopóki nie zobaczyliśmy Fenira Yewa na placu, otwierającego nam drzwi powozu.

– Pospieszcie się – powiedział, kiedy znalazłam się w środku. – Thistle mówi, że zakradł się przez bramę tuż po naszym wyjściu dziś rano, co oznacza, że uciekł

zeszłej nocy. Jeśli Orithe o tym usłyszy, nie będzie dla niego łagodny.

– Nie usłyszy – oświadczył Ravyn, zatrzasnąwszy drzwi powozu. – Będzie zajęty jeszcze przez wiele godzin. – Następnie przeszedł na miejsce woźnicy i chwycił za lejce.

Konie ruszyły naprzód.

Obok mnie Elm oddychał gwałtownie, nierówno. Z nosa pociekła mu krew. Otarł zmęczoną, pozbawioną życia twarz – cena za magię Sierpa była wysoka.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje? – zapytał. – Kto wkradł się przez bramę? Dlaczego wracamy do zamku?

Głos Fenira był śmiertelnie poważny.

– Emory – odparł. – Emory uciekł ze Stone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

*Kradzież Karty Opatrzności to najbardziej niegodziwe przestępstwo.
Każdy może zostać poddany królewskiemu dochodzeniu. Nikt nie jest odporny na
Kielich – prawda zawsze wyjdzie na jaw. Ci, którzy są winni, zapłacą własną krwią.
Kradzież Karty Opatrzności to najbardziej niegodziwe przestępstwo.*

Zanim dotarliśmy na miejsce, deszcz rozpadał się na dobre. Krople gwałtownie uderzały w dach powozu, zmuszając nas do zwolnienia tempa. Pomimo wczesnej popołudniowej pory niebo było pogrążone w ciemności.

Gdy powóz zatrzymał się na progu Zamku Yew, Ravyn zeskoczył z miejsca dla woźnicy i otworzył nam drzwi. Próbowałam złapać jego spojrzenie, ale odwrócił wzrok i ruszył do przodu, jego kroki były niespokojne, gdy prowadził nas do zamku.

Thistle czekał na nas w drzwiach.

– Jest w bibliotece – poinformował. – Biedne dziecko, jest przemarznięty do szpiku kości.

Ruszyłam za Elmem i Yewami, nasze głośne kroki odbijały się od ścian klatki schodowej, gdy wspinaliśmy się na górę.

Drzwi biblioteki były otwarte. W chwili gdy weszliśmy do środka, poczułam ciepło bijące od kominka, z którego buchały wysokie płomienie, szybko zamieniając pokrywające nas krople deszczu w parę.

Morette Yew przechadzała się przed paleniskiem. Dobiegło mnie westchnienie Fenira, jego brązowe oczy przesłaniały z żony na przysuniętą do niej drewnianą ławę.

Chłopiec o ciemnych włosach i kilku miedzianych piegach na bladej twarzy, leżał na prowizorycznym pościeli. Oczy miał zamknięte, był starannie okryty kocami, a jego ręce spoczywały na piersi. Wyglądał, jakby jego ciało zostało ułożone do pogrzebu.

Wpatrywałam się w Emory'ego Yewa, który nawet pogrążony we śnie był równie niepokojący, co podczas Ekwinokcjum.

– Nadal ma sine usta – powiedziała Morette zmartwionym głosem, siedząc na brzegu ławy. – Elm, pomóż mi go ogrzać.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni po Sierp i zamknął oczy. Na jego twarzy pojawił się cień wyczerpania, a mimo to czerwona Karta była na jego skinienie. Dotknął jej trzy

razy i położył dłoń na czole chłopca.

– Poczuj ciepło, Em – wymruczał pod nosem. – Poczuj żar z kominka.

– Szedł całą noc – odezwała się Morette. – Nie jestem pewna, czy król wie, że tu jest.

– Zajmę się tym – powiedział Ravyn, klękając u boku brata. – Jak długo spał?

– Godzinę. – Morette zerknęła na drzwi. – Gdzie jest Jespyr?

Wymieniliśmy z Ravynem spojrzenia.

– Doszło do incydentu – poinformował rodziców zwięźle. – Jest z innymi kawalerzystami.

Zapadnięte policzki Emory'ego zaczęły stopniowo nabierać kolorów. Otworzył szare oczy, popatrzył najpierw na matkę, potem na Ravyna i Elma.

– Nie umarłem – oznajmił, uśmiechając się szelmowsko. – Tylko spałem. Na razie.

Elm trącił przykrywające chłopca koce.

– Emory Yewie, to nie są żarty – zrugął go. – Nie możesz sam podróżować. Co by było, gdybyś zszedł z drogi i zgubił się we mgle? Co wtedy?

– Chciałem wrócić do domu – odpowiedział mu chłopak, marszcząc z niezadowoleniem nos. – Ale nikt nie chciał mnie zabrać.

– To dlatego, że nie powinieneś wychodzić – odezwał się szorstko Ravyn.

Kiedy Fenir położył uspokajająco rękę na ramieniu starszego syna, Ravyn podszedł do kominka i zawiesił oczy na płomieniach.

– Mogłeś zginąć, Emory. To było nierozważne.

– Już i tak umieram – odgryzł się. – Przynajmniej w ten sposób zakończę to na własnych warunkach.

Jego słowa, chociaż skierowane do Ravyna, uderzyły mnie jak cios w pierś. Emory odwrócił głowę. Zagrzebując się głębiej w kocach, patrzył na mnie z opuszczonymi kącikami ust.

– Kto to jest? – mruknął.

Pozostali spojrzeli na mnie skonsternowani.

– Nie pamiętasz jej? – zapytał Elm.

– My... spotkaliśmy się wcześniej?

– Tak.

– Nie potrafię rozpoznać jej twarzy. – Chłopiec zmrużył oczy.

Morette niewielkim, pełnym rozpaczy uśmiechem zachęciła mnie, żebym podeszła. Ravyn odsunął się, robiąc mi przejście, nasze ciała stężały, gdy go mijałam.

Emory cały czas mnie obserwował. Przypomniałam sobie, co Elm powiedział o jego wynaturzeniu – zmianach nastroju, utracie pamięci. Moje oczy rozszerzyły się, gdy razem z Koszmarem przyglądaliśmy się chłopcu z chorobliwą fascynacją.

– Cześć – powiedziałam drżącym głosem. – Jestem Elspeth Spindle.

– Spindle – powtórzył Emory. Jego szare oczy przesunęły się na Elma i starszego brata. – Czy to wasza przyjaciółka?

Elm już otwierał usta, ale to Ravyn był tym, który mu odpowiedział.

– Tak – zwrócił się do brata, tym razem jego głos brzmiał spokojniej, bardziej miękko. – Elspeth jest przyjaciółką.

– Trzmielina – mruknął Emory – Krzew, nie drzewo. A może jedno i drugie? Zasiane przez ptaki i wiatr. Stare, historyczne. – Jego spojrzenie nabrało jasności. Usiadł, a jego wręcz ostro zakończone obojczyki wystawały spod kołnierza tuniki. – Trzmielina – powtórzył. – Małe, sezonowe. Owalne, drobno ząbkowane liście, które na jesień żółkną lub, co jest rzadkością, przybierają krwistoczerwony kolor.

Przyglądał mi się z pochyloną na bok głową, tak bardzo przypominając swojego brata, że równie dobrze mogłam teraz patrzeć na Ravyna sprzed dziesięciu lat.

– Kiedyś byłem na dziedzińcu ze starożytnym drzewem trzmieliny wykutym w kamieniu. – powiedział Emory. – Widziałem surowego mężczyznę w czerwonym płaszczu i małą dziewczynkę, która zawsze nosiła ze sobą lustro. – Zamrugał, jakby próbował przypomnieć sobie dawno zapomniany sen. – Czy znasz to miejsce?

– Mówisz o Spindle House. Mieszkałam tam kiedyś – odpowiedziałam, wpatrując się w niego. – Dziewczynka nie trzymała lustra, widziałeś dwie siostry, bliźniaczki. A mężczyzna w czerwieni to mój ojciec.

Przesunął po twarzy kościstą ręką.

– Spindle. – Powoli wypowiedział moje nazwisko, jakby rozwijał przedzę z nicią. – Przepraszam – odezwał się. – Ostatnio moja pamięć szwankuje.

– Proszę – odezwałam się, niepewna, czy bardziej mi ulżyło, czy zmartwiło, że wynaturzenie chłopca wymazało mnie z jego pamięci. – Nie kłopotz się tym.

Emory przytrzymał moje spojrzenie.

– Jesteś bardzo piękna – odezwał się z zadumą. – Twoje oczy są tak ciemne jak bezdenne sadzawki. – Przerwał na moment. – Jak dziewczyna z bajki. Jakbyś wyszła spod pióra samego króla Shepherd'a.

Koszmar zaśmiał się, posyłając dreszcz w dół mojego kręgosłupa.

C h o c i a ż ś m i e r ć p u k a d o j e g o d r z w i, c h ł o p a k n a d a l r o z u m i e c i ę l e p i e j n i ż c a ł a r e s z t a t y c h g ł u p c ó w.

Zacisnęłam zęby, wciąż pamiętając okropności sprzed kilku godzin.

Zamknij się. Jeśli kiedykolwiek ci na mnie zależało, milcz.

– Elspeth wie wszystko o Królu Shepherdzie i *Starej Księżce Olch*. – Morette poinformowała syna z uśmiechem.

– O infekcji też – mruknął pod nosem Elm.

Emory pochylił się do przodu.

– Panno Spindle, wiedziałaś, że my Yewowie jesteśmy potomkami króla Shepherda?

– Znowu to samo... – Ravyn i Elm westchnęli jednocześnie, przewracając oczami.

– To prawda! – krzyknął Emory z nagłym ożywieniem. – Historia króla Shepherda została pogrzebana, ale podania na temat Rowanów są fascynujące, jeśli czyta się je między wierszami. Stone został zbudowany przez pierwszego króla z rodu Rowanów, co oznacza, że król Shepherd mieszkał gdzie indziej. W Blunder nie ma innych wielkich zamków – jego usta wykrzywiły się w uśmiechu – poza tym, którego ruiny spoczywają w naszych ogrodach.

Ravyn się uśmiechnął.

– Owszem, ruiny są stare, być może są najstarszą rzeczą w Blunder. Ale to jest dowód tylko na to, że setki lat temu stał tutaj zamek.

Emory pokręcił głową.

– Ruiny nie są najstarszą rzeczą w Blunder. – Spojrzał na mnie z błyskiem w szarych oczach. – Drzewa są. Gdyby król Shepherd naprawdę tu mieszkał, przyjąłby nazwę drzewa na swoje imię rodowe, tak jak wszyscy. A jakie drzewa rosną wzdłuż posiadłości, nawet w pobliżu ruin? – Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Cisy!

Zamarłam. Ruiny – ta komnata. On je zbudował, powiedział mi to. Ale nigdy nie wypowiedział swojego imienia, w żadnych dokumentach nie było o nim wzmianki.

Tym razem to ja zacisnęłam na nim swoje pazury.

Twoje imię nigdy nie pojawiło się w Starej Księdze, wyszeptałam, mój głos wbijał się w ciemność. Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

Złośliwie kłapnął na mnie zębami.

N a z y w a m s i ę p o p i ó ł, syknął. C o u l e c i a ł n a w i e t r z e, z n i k n ą ł.

Elm parsknął śmiechem.

– A teraz dochodzimy do momentu, w którym Emory przypomina nam wszystkim, że moi przodkowie przybyli i zniszczyli zamek króla Shepherda – powiedział, mierzwiąc włosy kuzyna.

– To logiczne założenie – bronił się chłopiec. – Ród Rowana jest przesiąknięty przemocą. W końcu to oni jako pierwsi zaczęli likwidować zainfekowanych magią.

– A jednak zjednoczyli królestwo przy pomocy Kart Opatrzności, zapewniając mieszkańcom Blunder bezpieczniejszy dostęp do magii – argumentował Elm.

– Zabijając wszystko i wszystkich niepodatnych na wpływ ich Sierpów.

– Wy dwaj, dosyć tego – wtrącił się Fenir. – Ta dyskusja nigdy nie kończy się dobrze.

Elm mrugnął do młodszego kuzyna.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy odwróciliśmy się, by zobaczyć Thistle'a niosącego tacę z kilkoma miskami pełnymi parującego jedzenia.

– Ktoś jest głodny?

Cudowne zapachy zupy, mięsa i chleba wypełniły bibliotekę. Morette i Fenir zawołali Emory'ego do pobliskiego stołu. Kiedy chłopiec wstał, zrzucając z siebie koce, wszyscy wydaliśmy z siebie zbiorowe westchnienie na widok jego wychudzonego ciała. Chłopiec składał się z samej skóry i kości. Nawet Koszmar syknął, widząc opłakany stan nastolatka, wydawało mi się, że od naszego ostatniego spotkania jeszcze bardziej schudł.

Czy oni nie karmią go w Stone?, zapytałam w myślach.

Koszmar cmoknął z niezadowoleniem.

Jedzenie nie jest problemem. To wynaturzenie. Najpierw pożera jego umysł, a potem ciało. Umilkł na moment. O wiele szybciej, niż sobie to wyobrażałem.

Ravyn wstał i pomógł bratu podejść do stołu.

– Emory – zwrócił się do niego, mocno zaciskając zęby. – Muszę odstawić cię z powrotem do Stone.

– Naprawdę musisz? – Chłopiec spuścił wzrok.

– Potrzebuje odpoczynku. – Oczy Morette wypełniły się łzami, a jej głos stwardniał. – Niech mój brat trochę się pomartwi.

Ravyn przeciągnął ręką po twarzy. To nie Morette musiałyby stawić czoła gniewowi króla, gdyby ten dowiedział się o ucieczce Emory'ego, lecz Ravyn. Ale kapitan nie wspomniał o tym ani słowem.

– Może zostać na noc. Ale jutro muszę odstawić go do Stone.

– Najpierw niech zje – oświadczył stanowczo Elm. – Każdemu z nas przydałoby się nabrać odrobiny ciała.

Jedzenie pachniało znakomicie. Mimo to nie miałam apetytu.

– Ogród – odezwał się Emory, palce trzymające łyżkę trzęsły się, gdy pociągał małe łyki zupy. – Chcę zobaczyć drzewa w ogrodzie. – Jego głos się załamał. – Potem możesz mnie zabrać z powrotem.

Siedzieliśmy przy stole, patrząc, jak Emory je, sami zapominając o tym, żeby podnosić sztuczki do ust. Obok mnie, z ciałem napiętym jak postronki, Elm wbijał mordercze spojrzenie w siedzącego naprzeciwko Ravyna.

Po pełnej minucie ogłuszającej ciszy, widelec trzymany przez kapitana z trzaskiem upadł na talerz.

– Na drzewa, Elm. O co chodzi?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Masz moją niepodzielną uwagę. – Ravyn machnął w jego stronę otwartą dłonią.

– Wątpię. – Elm posłał w moim kierunku krzywe spojrzenie.

– Jeśli chcesz mi coś powiedzieć – warknął Ravyn – to wykrztuś to z siebie. Nie mam czasu na jeden z twoich książęcych napadów złości.

– Bardzo proszę. Uważam, że jesteś idiotą, kuzynie. – Głos Elma stał się głębszy, podsycany wściekłością.

Emory zasłonił usta rękawem, tłumiąc śmiech.

– Jak do tego doszedłeś? – Ton Ravyna pozostał, jak zwykle, opanowany i gładki.

– Mogliśmy być dzisiaj w Spindle House i kraść Kartę Studni – wypluł z siebie książkę. – Ale nalegałeś, żebyśmy udali się na Targowy Dzień, bo chciałeś być bliżej niej – powiedział. – Obok osoby, która znalazła się o krok od zrujnowania całego naszego planu, rzucając się na cholernego Orithego Willowa.

Zakrztusiłam się winem.

– Praktycznie błagałam cię, żebyś poszedł ze mną do Spindle House, żebyśmy poszukali Studni!

Elm zbył mnie machnięciem ręki.

– Nie twierdziłem, że to był zły pomysł, tylko że to niewłaściwy moment. – Zmarszczył nos. – Poza tym nie zamierzałem dać ci satysfakcji, że raz udało ci się wpaść na niegłupi pomysł, Spindle.

Miałam ochotę złapać go i skrócić mu kark.

Siedzący po drugiej stronie Ravyn milczał.

– Gdy wrócimy do Stone, czeka nas prawdziwe piekło – oznajmił Elm, znowu wracając spojrzeniem do kuzyna. – Okaleczyła kawalerzystę. Mój ojciec nie zdierży napaści na jednego z jego strażników ani nieudanego aresztowania zainfekowanego dziecka. – Przerwał, rzucając mi kolejne nieprzyjemne spojrzenie. – Czymkolwiek jest jej magia, nie ogranicza się tylko do dostrzegania Kart Opatrzności. Nie ufam jej.

– Ja jej ufam – oznajmił stanowczo Ravyn, krzyżując ręce na piersi. – To powinno ci wystarczyć.

– Powinno? Teraz nie mam prawa do własnej opinii? Czy może od teraz wszyscy mamy bez szemrania słuchać kapitana kawalerzystów?

– Masz prawo do swojej opinii – odpowiedział cierpliwie Ravyn. – Ale wypowiadając się na temat, na który nie znasz wszystkich faktów, wychodzisz na idiotę.

– Zdradź mi łaskawie, jakich to faktów mi brakuje? – Głos Elma przybrał na sile.

– Chciałem, żebyśmy wszyscy pojawili się na Targowym Dniu, na wypadek gdyby braciom Ivy udało się ukraść Kartę Studni ze Spindle House. Dzięki temu wszyscy mielibyśmy alibi.

Zamrugalam. Po drugiej stronie stołu Morette i Fenir siedzieli z poważnymi minami.

– Ivyśowie byli w domu mojego ojca? – zapytałam.

Fenir potaknął.

– A kiedy konkretnie zamierzałeś mi to powiedzieć?! – krzyknął Elm. – Zapewne dopiero wtedy, kiedy by ci to odpowiadało.

– Uwielbiam, kiedy się kłóć – odezwał się znad swojej miski Emory. – Właśnie dla takich chwil moje małe serduszko nadal bije.

Fenir podrapał się po brodzie.

– Zakładam, że nie udało im się znaleźć Karty Studni?

Ravyn pokręcił głową.

– Pewnie dlatego, że nie wiedzieli, gdzie szukać! – krzyknęłam, zrywając się na równe nogi. – Mogłam im pomóc! Próbowałam wejść do środka, ale Elm...

– Co najmniej dwadzieścia osób zobaczyłoby, jak przechodzisz przez tę bramę – odgryzł się Elm. – Poza tym kapitan kazał nam poczekać.

– Powiedziałem tylko tym, którzy byli bezpośrednio oddelegowani do tego zadania. – Ravyn nie sprawiał wrażenia, jakby było mu przykro.

– Czyli wszystkim poza mną i tą magicznie zaburzoną kobietą?

Zaburzoną?!, krzyknęliśmy jednocześnie, Koszmar i ja.

– Nie możemy sobie pozwolić na błędy, Elm – odgryzł się Ravyn. – Co by było, gdyby nas zauważono? Kradzież Karty w masce rozbójnika to jedno. Ale wejście do czyjś domu i kradzież w świetle dnia, to ryzyko, na które zwyczajnie nie możemy sobie pozwolić. Chyba że uważasz, że masz w sobie dość odwagi, by stawić czoła dochodzeniu.

Elm zmarszczył brwi, zaciskając usta w długą pełną nieszczęścia linię.

Poczułam, jakby w bibliotece nagle zabrakło powietrza.

– Naprawdę mogłoby dojść do dochodzenia? – zapytałam. – Nawet gdybyśmy nie zostali przyłapani na gorącym uczynku?

Usta Morette wykrzywił grymas zawodu.

– Kradzież Kart jest niewybaczalna. Mój brat wprowadził prawo zemsty, które przysługuje okradzionemu. Każdy, bez względu na zajmowane stanowisko, może zostać przesłuchany. – Zamilkła. – Przy pomocy Karty Kielicha.

Ravyn rzucił Elmowi znaczące spojrzenie.

– A wszyscy wiemy, jak trudno jest oszukać Kielich.

Jespyr wróciła po zmroku. Zainfekowanego chłopca i jego rodziców nie odnaleziono. Linden przeżył. Ledwie.

Jej kroki były powolne, wyraźnie utykała. Mocno przytuliła Emory’ego, po czym życzywszy nam dobrej nocy, poszła do swojego pokoju.

Emory zasnął niedługo później, z Morette siedzącą na dużym krześle tuż przy jego łóżku, czuwając. Fenir, Ravyn, Elm i ja przenieśliśmy się salonu, a Thistle wpadał od czasu do czasu, napełniając nasze kielichy.

Czułam rozgrzewające działanie wina i usilnie wpatrywałam się w ogień w kominku, walcząc z chęcią zerknięcia na Ravyna, który siedział naprzeciwko mnie z kamienną miną. Kiedy złamałam się i spojrzałam w jego stronę, wpatrywał się we mnie, jego szare oczy były nieprzeniknione, jedną ręką drapał zarost na policzku.

Nie wiedziałam, na czym staliśmy – kapitan i ja.

Potworności minionego dnia zabrały tę kruchą i niewypowiedzianą nić porozumienia, która pączkowała między nami, spychając ją z powrotem w cień. Wytrzymałam jego spojrzenie, szukając pęknięć w jego niezachwianej, gładkiej twarzy. Tęskniąc za nimi.

Elm uniósł wzrok znad drugiego kieliszka, spojrzenie jego zielonych oczu przesunęło się z Ravyna na mnie.

– Na pieprzone drzewa – mruknął, podnosząc się z krzesła. Bez słowa zgarnął ze stołu dzban i wyszedł.

Fenirowi też nie umknęło rosnące między nami napięcie. Odchrząknął.

– Cóż, czas na mnie – oznajmił, po czym wyszedł z pokoju, zostawiając mnie i kapitana kawalerzystów sam na sam.

Ravyn nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Zerkając w nie, nie byłam w stanie nic z nich wyczytać. Świadomość, że znowu wzniósł wokół siebie mur, bolała, cierpienie promieniowało gdzieś pomiędzy płucami a mostkiem. Czułam, że drżą mi ręce.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytałam, mierząc go wzrokiem. – Ufasz mi? Czy po prostu udawałeś przed kuzynem?

– Dlaczego myślisz, że miałbym udawać? – Postukał kciukiem w kielich.

– Nie, nie rób tego – zaprotestowałam. Coś gotowało się we mnie tuż pod powierzchnią, ale to odepchnęłam. – Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie. Jestem już tym zmęczona.

Uniósł brew, pochylając się do przodu na krześle.

– Jak chciałabyś, żebyśmy rozmawiali, Elspeth?

Odwróciłam wzrok, czułam rosnącą gulę w gardle. Zmarszczyłam brwi, z całych sił powstrzymując się przed powiedzeniem mu wszystkiego.

– Chcę, żebyśmy byli ze sobą szczerzy – wyszeptałam. Przycisnęłam dłonie do twarzy, ale było już za późno; widział łzy w moich oczach i uniesione brwi. Strach.

Koszmar wypełził z ciemności, jego głos pieścił moje ucho.

Nie musisz się bać. Jego ton był śliski. Magia przychodzi po nas wszystkich.

Odejdź! Załkałam.

Nie możesz cofnąć tego, co już się zaczęło. Przerwał, sycząc w mojej głowie. Nie możesz wymazać soli z chaosu. Ale jeśli nie chcesz wypuścić mnie... musisz wypuścić jego.

– Zaczynam mieć objawy wynaturzenia, Ravyn. – Zamknęłam oczy.

Dobiegł mnie jego gwałtowny oddech, a następnie brzdęk kielicha uderzającego o tacę. Po chwili kucał przede mną z jedną ręką opartą na poręczy mojego krzesła, drugą na moim kolanie.

– Powiedz mi.

– To dlatego zaatakowałam kawalerzystę, dlatego Elm mi nie ufa. Zmieniam się. Nie w taki sposób jak ty czy Emory, ale nie mam wątpliwości. – Sięgnęłam po Koszmar, ale ukrył się, milcząc. – Kończy mi się czas.

– Mówiłaś o tym Filickowi?

– Nic nie może zrobić, Ravyn. Nikt nie może.

– Na czym polega twoje wynaturzenie, Elspeth? – Zacisnął rękę na moim kolanie.

Pokręciłam głową.

– Nigdy o tym nie mówiłam – wyszeptałam. – Nie mogę.

Po mojej twarzy spłynęły gorące łzy, które Ravyn starł kciukiem. Pochylił się bliżej mnie.

– Wszyscy mamy sekrety, które chcemy zachować dla siebie, Elspeth – mruknął, unosząc mój podbródek.

Kiedy otworzyłam oczy, jego wzrok wpił się w mój.

– Ufam ci. Jesteś ze mną bezpieczna. Magia, lub cokolwiek innego, przyciąga nas ku sobie. Musimy odnaleźć jeszcze tylko dwie Karty – powiedział, muskając nosem mój nos. – I wtedy będziesz wolna.

Chciałam mu wierzyć – poczuć się bezpiecznie tak jak wtedy, gdy znajdowałam się w jego ramionach. Pragnęłam, żeby zasłonił mnie przed całym światem, chroniąc od wszystkiego i wszystkich, którzy chcieli mnie skrzywdzić. Jednak nawet szerokie ramiona Ravyna Yewa, ciepło jego skóry i twarde mięśnie rysujące się pod skórą, nie mogły uchronić mnie przed samą sobą.

Ale byłam skłonna spróbować i zatracić się w jego dotyku.

Pochyliłam się ku niemu, przyciągając go za kark i zbliżając jego usta do moich. Wypuścił powietrze, a ten dźwięk po chwili przerodził się w warknięcie. Dłoń spoczywająca na mojej brodzie, opadła na szyję, jego kciuk delikatnie wbijał się w zagłębienie pod brodą.

Krzesło zaskrzypiało w proteście, kiedy Ravyn przysunął się jeszcze bliżej mnie, szaleńczo mnie całując. Jego druga ręka przesuwiała się po mojej nodze, palce zanurzały w materiale sukienki. Kiedy dotknął delikatnej skóry uda, zachłysnęłam się powietrzem.

Odsunął się, jego źrenice były rozszerzone, usta spuchnięte.

– Chcesz, żebym przestał?

– Nie – wyszeptałam, z powrotem przyciągając do siebie jego usta.

Wino, blask ognia i desperacka potrzeba ucieczki przed własnym losem połączyły się w przyprawiającą o zawrót głowy mieszankę. Mieszankę, która rozpałała we mnie ogień, dziki i nieokiełznany.

Pragnęłam, by pochłonął mnie w całości – by to on mnie pochłonął.

Głośny stukot zabrzmiał gdzieś za drzwiami salonu, po którym nastąpiło echo szybko oddalających się kroków. Zapewne Thistle przyszedł dolać nam wina, po czym widząc, co się dzieje, uciekł w popłochu.

Ravyn zaklął pod nosem. Podniósł mnie z krzesła, trzymając ręce na moich biodrach. Kiedy wstaliśmy, poprawił kurtkę, po czym zwrócił się do mnie niskim, zmysłowym pomrukiem:

– Chodź ze mną.

Jego pokój, położony na końcu tego samego korytarza co mój, był niezamknięty. Mężczyzna pchnął drzwi i wprowadził mnie do środka, a jego ręka muskała moje plecy.

Dotarł do mnie charakterystyczny zapach goździków, cedru, papieru i skóry. Rozejrzałam się – suszące się zioła, półki wypełnione książkami, świeżo ścięte drewno na opał, kawałki cedru porzucane po podłodze, niektóre na wpół wyrzeźbione, inne dopracowane do perfekcji. Ubrania leżały gdzie popadnie, zwinięte w rogach pokoju albo przerzucone przez oparcia mebli. Jego łóżko było duże i nieposłane – ciężka kołdra leżała zwinięta w nogach łóżka, jakby ją tam skopano. Niechlujny, ciepły, delikatny chaos. Całkowite przeciwieństwo opanowanego, surowego kapitana kawalerzystów.

Pokazał mi część prawdziwego siebie.

Ravyn zamknął za nami drzwi, opierając się o nie plecami. Długie cienie spowodowane jedynym źródłem światła, jakim był palący się kominek, tańczyły na

jego twarzy.

– Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że nie zawsze jest tu taki bałagan.

– Podoba mi się – oznajmiłam, moje oczy zatrzymały się na jego łóżku.

Wstrząsnął mną ten dysonans – to, że przed chwilą trzymałam go w swoim uścisku, chłonąc jego ciepło, a teraz on stał przy drzwiach, a ja na środku pokoju, niepewna, co powiedzieć, ani gdzie patrzeć. Przyłożyłam dłoń do policzka, chcąc się trochę uspokoić, ale efekt był odwrotny do zamierzonego. Dotyk własnej skóry sprawił, że od razu pomyślałam o jego szorstkich, zgrubiałych dłoniach na moim ciele.

Ravyn obserwował mnie, niewidzialny sznurek pociągał za kącik jego ust.

– Tego właśnie chcesz, Elspeth?

– Jak myślisz, czego chcę, Ravyn? – Oparłam się nonszalancko o oparcie jego łóżka.

– Myślałem, że nie odpowiadamy pytaniem na pytanie. – Odepchnął się od drzwi, podchodząc do mnie.

Mówienie głośno, czego pragnę, było bolesne niczym napinanie dawno zapomnianego mięśnia. Chciałam zażartować, udawać nieśmiałą, droczyć się z nim, zrobić cokolwiek, co wygoniłoby ze mnie to uczucie bezbronności i obnażenia, gdy dystans między nami z każdą chwilą się zmniejszał.

Ale i tak ukrywałam przed nim zbyt wiele. Przynajmniej teraz mogłam być całkowicie szczerą. Usiadłam na łóżku. Zdrową ręką złapałam materiał sukienki, który marszczył się, gdy podciągałam ją przez łydki i dalej, za kolano.

– Chcę tu być. Z tobą – powiedziałam drżącym głosem.

Zdejmowanie kaftana przy pomocy tylko jednej ręki było trudne. Pomógł mi, pochylając się nade mną, jego usta znalazły się tuż przy moich. Po kaftanie nadszedł czas na tunikę, którą ściągnęłam mu przez głowę i rzuciłam na stos ubrań. Przesunęłam dłonią po napiętych mięśniach klatki piersiowej – brzucha – i zatrzymałam się tuż pod pępkiem.

Zadrżał i odsunął się, przesuając ręce w górę moich nóg i odsuwając sukienkę, aż znalazła się wysoko na udach. Jego palce chwyciły otulające mnie wełniane legginsy, zsunęły je z talii, przez biodra i w dół, tak boleśnie powoli, że miałam ochotę krzyczeć, szczególnie że jego usta podążały w ślad za dłońmi. Jego zarost drapał wewnątrz mojego uda, kolano, łydkę. Kiedy wreszcie zdjął getry, rzucił je na stos na podłodze i szybko wrócił do moich ud.

Mój oddech przyspieszył. Nagle poczułam się ograniczona materiałem sukienki, gorset był zbyt ciasny, niewygodny. Rozplątałam wiązania drżącymi, niezgrabnym

palcami, po czym zdjęłam okrywający mnie materiał. Wzięłam głęboki wdech, potem drugi, moje piersi unosiły się i opadały, zasłonięte jedynie cienką halką.

Ręce Ravyna przesunęły się na moje biodra, jego spojrzenie błędziło po krzywiznach mojego ciała. Spoglądając mi w oczy, mocno mnie pocałował, przyciągając do krawędzi łóżka.

– Mogę cię pocałować?

– Trochę za późno, by o to pytać, nie sądzisz? – Głos mi się trząsał.

– Nie w usta, Elspeth. – Jego spojrzenie stało się mroczne, głodne, niegodziwe, gdy przesuwał usta coraz wyżej i wyżej. Dysząc, rozsunął moje uda, wystarczająco szeroko, by zdołał zmieścić między nimi swoje szerokie ramiona. – Tutaj.

Przycisnęłam rękę do ust, opadając z powrotem na łóżko, czułam, że ulatuje ze mnie oddech, uwięziony pomiędzy westchnieniem a przekleństwem. Poczułam pulsujący ból w dole brzucha, gorący, spragniony dotyku.

– Tak – wymruczałam, zanurzając palce w jego włosach.

Ravyn westchnął, ciepło jego oddechu pieściło moje obnażone ciało. Zacisnął ręce na moich biodrach, przyciągając mnie jeszcze bliżej do siebie. Kiedy pocałował mnie między nogami, pulsowanie przybrało na sile, macki ciepła wpijały się we mnie raz za razem.

Nie miałam żadnego doświadczenia w życiu poza moim umysłem. A jednak będąc tutaj, przyszpilona do łóżka Ravyna Yewa, czując jego palący dotyk na skórze, odnosiłam wrażenie, jakbym po raz pierwszy była świadoma swojego ciała i tego, że żyję. Jakbym wychylała się przez otwarte okno w najwyższej wieży w Spindle House. Czułam to w brzuchu, dłoniach, podszewkach stóp. I z każdym kolejnym pocałunkiem, każdym ruchem jego języka, Ravyn kruszył kolejne warstwy okna, popychając mnie ku nieuniknionemu rujnującemu upadkowi.

Nie pozwolił mi jednak od razu upaść. Sądząc po jego westchnieniach i stłumionych, zadowolonych pomrukach, nie zamierzał się spieszyć.

– Nie przestawaj – wyszeptałam, zaciskając mocno powieki.

Poczułam i usłyszałam, że jęknął, a po chwili sama zaczęłam spadać, uwolniona od okna, spadając z wieży, lecąc. Krzyknęłam, ciągnąc go w zapamiętaniu za włosy, a palce moich stóp podwinęły się z przyjemności.

Chwilę później pochylił się nade mną z szerokim uśmiechem, jakby doskonale wiedział, jak bardzo mną wstrząsnął. Jego ręka przesunęła się w górę mojego brzucha aż do klatki piersiowej, by ścisnąć moją pierś tuż pod sercem. Pochylił się, jego usta musnęły moje.

– Twoje serce wali jak szalone – powiedział z zadowolonym uśmiechem.

Jakimś cudem wylądowaliśmy na podłodze, splątani między jego rzeczami. Naga, uwięziłam Ravyna swoim ciałem, przyszpilając go do dywanu, eksplorując jego muskulaturę. Pozwolił mi na to, porzucając kontrolę, tylko mocno zaciskał palce na moich biodrach. Jednak nie trwało to długo.

Nawet on, mistrz opanowania, nie mógł długo się powstrzymać.

Jednym płynnym ruchem przerzucił mnie na plecy, ani na chwilę nie przestając mnie dotykać. Jego usta odnalazły moją szyję, a kiedy wszedł we mnie, gwałtownie wypuściłam powietrze.

Powtarzał moje imię niczym modlitwę, składając mi ofiarę, oddając mi całego siebie.

– Elspeth. – Przycisnął swoje czoło do mojego, jego oddech przyspieszył. – Kurwa, Elspeth.

Leżeliśmy nadzy na podłodze, sennym wzrokiem wpatrując się w ogień. Ravyn przesunął palcem po moim kręgosłupie, a ja prześledziłam dłonią linię jego gardła, kwadratowej szczęki, brwi i haczykowatego nosa. Kiedy nie mogłam już dłużej utrzymać otwartych oczu, uniósł mnie z podłogi i zaniósł do łóżka, po czym okrył nas grubą kołdrą. Przycisnęłam głowę do jego klatki piersiowej, wsłuchując się w bicie serca tuż przy moim uchu. Ciągnęło się to w nieskończoność, nieprzerwane uderzenia, fałszywa obietnica.

Jakby wszystkie moje problemy zniknęły, gdybym tylko pozostała tutaj obok niego, naga.

Jakbym miała do dyspozycji cały czas tego świata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

*Karty Opatrzności są wieczne.
Ich magia nie gaśnie, są odporne na upływ czasu.
Nie można ich zniszczyć.
Karty Opatrzności są wieczne.*

Wyślizgnęłam się z łóżka Ravyna o świcie, starając się go nie obudzić. Gwałtownie przerzucałam stopy ubrań w poszukiwaniu sukienki, ale znalazłam tylko swoją halkę. Być może szukałbym jej dłużej, gdyby Ravyn nie poruszył się za mną, pomrukując cicho. Zamarłam, ale mężczyzna był dalej pogrążony we śnie, leżąc na brzuchu, a jego szerokie plecy unosiły się w długich, miarowych oddechach. Wciągnęłam halkę przez głowę i szybko przeszłam na palcach przez bałaganiarski tor przeszkód.

Drzwi jego komnaty były stare i ciężkie. Z rodzaju tych niegodnych zaufania, których zawiasy trzeszczą przeraźliwie. Wstrzymując oddech, delikatnie pociągnęłam za klamkę, na co drzwi nagrodziły mnie zaledwie cichym jękiem. Wyszłam na korytarz, zamykając za sobą drzwi i wypuszczając triumfalny wydech.

– Mam nadzieję, że miałaś przyjemny wieczór.

Obróciłam się gwałtownie, a serce podeszło mi do gardła.

Kilka drzwi dalej stała Jespyr, ubrana w swoją codzienną czerń kawalerzystów. Chociaż pochodnie jeszcze nie zostały zapalone, a wokół panował półmrok, nie było wątpliwości, że na jej twarzy widniał szeroki, przebiegły uśmiech.

Skrzyżowałam ręce na piersi, boleśnie zdając sobie sprawę, jak bardzo prześwitująca jest moja halka.

– Zaskoczyłaś mnie.

– Wybacz – przeprosiła, chociaż wcale nie wyglądała, jakby było jej przykro. Przyglądała mi się od góry do dołu, jej wzrok zatrzymał się na moich potarganych włosach. – Wyglądasz... na dobrze wypoczętą.

– Dziękuję – powiedziałam, prześlizgując się koło niej. Zatrzymałam się pod swoimi drzwiami. – Ty... nic nie słyszałaś, prawda?

– A co konkretnie miałam słyszeć? – Zaciśnęła usta, walcząc z kolejnym uśmiechem.

– Nic. To znaczy, nieważne. Do zobaczenia na śniadaniu.

Pospiesznie weszłam do swojego pokoju, słysząc dobiegający z korytarza śmiech.

Kominek w jadalni był już rozpalony, a stół nakryty. Morette i Fenir siedzieli z Emorym i cichymi głosami namawiali go na słodkie bułeczki oraz bulion. Przywitali mnie ze swoją zwykłą życzliwością, a ja zajęłam miejsce obok Jespyr, która rzuciła mi rozbawione spojrzenie.

– O co chodzi? – wycedziłam przez zęby.

– Nic takiego. – Uśmiechnęła się do swoich jajek na twardo.

Następnie dołączył do nas Elm, którego kasztanowe włosy były w opłakanym stanie, odstawały w każdą stronę, jakby spał w samym sercu wichury. Padł na krzesło i ziewając zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

– Nie ma Ravyna?

Widelec Jespyr przesunął się ze zgrzytem po jej talerzu. Rzuciłam jej mordercze spojrzenie.

Do pokoju wszedł Thistle ze świeżym bochenkiem chleba. Za nim, z powrotem w stroju Kawalerzysty, próg przekroczył Ravyn.

Ciepło rozlało się po mojej szyi. Nagle wyjątkowo mocno skupiłam się na swoim talerzu.

– Pachnie wspaniale – powiedział Ravyn, klepiąc Thistle'a po plecach. Podszedł do rodziców i Emory'ego, po czym skradł kromkę chleba z talerza ojca. Zanim zajęł swoje miejsce, minął Elma, któremu potargał i tak już roztrzepane włosy.

Wszyscy wpatrywali się w niego z wysoko uniesionymi brwiami. Kiedy uniosłam wzrok znad talerza, zauważyłam, że Ravyn przyglądał mi się z uśmiechem.

– Dzień dobry – przywitał mnie.

Prezentował się nedorzecznie przystojnie, bardzo z siebie zadowolony.

– Dzień dobry. – Skryłam się za filiżanką herbaty.

– Co, do cholery, jest z tobą nie tak? – Siedzący obok niego Elm skrzywił się z niezadowoleniem.

– Co masz na myśli? – Ravyn odgryzł kawałek chleba, odchylając się na swoim krześle.

– Uśmiechasz się. – Elm rozejrzał się po pozostałych. – Czy nikt nie uważa tego za niezwykle denerwujące?

Ramiona Jespyr zdrzały. Przycisnęła serwetkę do ust, z jej gardła wydobywał się kiepsko skrywany śmiech.

– Przecież powiedzieliśmy mu, że powinien się częściej uśmiechać.

Kopnęłam ją pod stołem, co rozśmieszyło ją jeszcze bardziej. Naprzeciwko nas Elm mrużąc oczy, przeskakiwał spojrzeniem pomiędzy Jespyr, Ravynem a mną. Kiedy zauważył rumieniec na mojej szyi, połączony z nieskrępowanym,

zadowolonym uśmiechem Ravyna, wydał z siebie prymitywny dźwięk, upuszczając widelec na talerz.

– I tak po prostu straciłem cholerny apetyt.

Na drugim końcu stołu Emory zaniósł się kaszlem. Kiedy przyłożył serwetkę do ust, ta zabarwiła się na czerwono. Jego kaszel odbijał się echem po korytarzu, kradnąc nasze uśmiechy. Nastrój natychmiast uległ zmianie, stał się bardziej ponury, kiedy uzmysłowiliśmy się, co nas dzisiaj czeka.

Emory musiał wrócić do Stone.

Jespyr poszła przygotować powóz, podczas gdy reszta z nas spacerowała ciężkimi krokami po ogrodzie. Poranny deszcz ustąpił miejsca delikatnej mżawce. Niestety biorąc pod uwagę trawę porastającą teren, po którym chodziliśmy, nie minęło dużo czasu, zanim moje buty i rąbek zielonej sukienki pociemniały od wody.

Emory chciał popatrzeć na drzewa w ogrodzie przed powrotem do złotej klatki na królewskim zamku. Szedł przed nami, jego szare oczy były szeroko otwarte, gdy wędrował przez mgłę. Za nim szedł Elm, z końskim włosiem owiniętym wokół pięści, jego wzrok był utkwiony w młodszym kuzynie.

Ravyn i ja podążaliśmy krok za nimi, na tyle daleko od siebie, że się nie dotykaliśmy, lecz na tyle blisko, że czułam ciągnący nas ku sobie niewidzialny sznur. Sól zapiekła mnie w nosie, a gdy wiatr przybrał na sile, zimne powietrze musnęło moje policzki i poruszyło kilka zbłąkanych pukli.

Grzbiet ręki Ravyna otarł się o moje palce.

– Cieszę się, że widzisz go, kiedy jest sobą – odezwał się, kiwnięciem głowy wskazując na Emory'ego. – Nie ma już wielu takich dni.

A k t o m a?

Podskoczyłam, przestraszona głosem Koszmaru. Nie słyszałam go od poprzedniego dnia. Naiwnie pozwoliłam sobie rozkoszować się jego nieobecnością, wmawiając sobie, że mój umysł należy tylko do mnie.

Woda kapała z rozpościerających się nad nami drzew, mocząc mi głowę i ramiona. Mogłam poczuć zapach deszczu na płaszczu Ravyna. Mężczyzna objął mnie ramieniem, pociągając pod tę samą wierzbę, pod którą się przed nim schowałam kilka dni temu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, odgarniając mi wilgotne kosmyki z twarzy. – Nie było cię, kiedy się obudziłem.

– Chciałam dać ci odpocząć. – Oparłam się o niego.

Pocałował mnie, jego palce wplątały się we włosy na moim karku.

– Nie chcę odpoczynku, Elspeth – wyszeptał w moje usta. – Chcę ciebie.

Otoczyło mnie jego ciepło, własnym ciałem osłaniał mnie przed jesiennym wiatrem, który poruszał delikatnymi gałązkami wierzby. Owinęłam ręce wokół jego pasa, zadowolona z bycia trzymaną i całowaną, gdy wokół szalał wiatr.

W pobliżu rozległ się cichy, ostry kaszel. Emory spoglądał na nas przez gałęzie wierzby, jego usta wykrzywiały się w psotnym uśmiechu.

– Znalazłem ich! – zawołał do Elma. – Całowali się.

Zarumieniłam się, chowając twarz w płaszczu Ravyna.

W odpowiedzi uśmiechnął się nieśmiało i wziął mnie za rękę, wyprowadzając z powrotem do ogrodu. Elm i Emory czekali na nas, obaj z założonymi na piersiach rękami. Na nasz widok Elm przewrócił oczami.

– Na drzewa, rozumiemy. Nie ma potrzeby rzucać nam tego w twarz.

– Wielka szkoda. – Westchnął Emory, śledząc mnie wzorkiem. – Przebywając w ogrodzie, myślałem, że przyjdzie mnie pocałować. Tak jest w bajkach, prawda? Piękna dziewczyna pocałunkiem ratuje chorego chłopca, a ten zostaje uzdrowiony i ratuje królestwo przed czarną magią.

– Mniej więcej – wymamrotał Elm, a jego zielone oczy zatrzymały się na mnie. – Tyle że w tej konkretnej bajce piękna dziewczyna ma krew na rękach.

Wiedziałam, co muszę zrobić. Zostawiając za sobą kłócących się Ravyna i Elma, ruszyłam przed siebie, znajome kolczaste gałęzie jeżyny sięgały ku mnie, łakome moich włosów.

– Emory! – zawołałam. – Poczekaj.

Szarooki chłopiec zatrzymał się pod szerokim cisem, przesuając palcami po jego skręconych gałęziach. Kiedy odwrócił się do mnie, kącik jego ust uniósł się w półuśmiechu.

– Tak?

Walczyłam ze słowami. Wilgotne włosy przyklejały mi się do policzków. Kiedy je odgarnęłam, nos wypełnił się zapachem soli.

– Muszę cię o coś zapytać – zaczęłam, oglądając się przez ramię.

– Coś, czego nie chcesz, żeby usłyszał mój brat i kuzyn?

Moje spojrzenie przesunęło się nieco w bok. Za gałęziami cisu dostrzegłam wyłaniające się kamienne kształty ruin. Tam, we mgle, pod wielkim cisem, znajdowała się komnata, ciemność ziejąca z pojedynczego okna była niczym sidła zarzucone na mój umysł.

– Potrzebuję twojej magii, Emory – zwróciłam się do niego łamiącym się głosem. – Chciałabym, żebyś znów mnie dotknął.

Głos Koszmaru przedarł się przez moją świadomość.

A więc tak zamierzasz poznać moje sekrety, Elspeth Spindle? Wykradając je?

– Znowu? – zapytał, zdezorientowany Emory.

Przecież znasz już prawdę. Kolejne warknięcie zalało mój umysł. Opowiedziałem ci historię.

Skupiłam się na twarzy chłopca.

– Nie pamiętasz tego, ale dotknąłeś mojego ramienia podczas Ekwinokcjum. Powiedziałeś o mnie kilka rzeczy, których nigdy nikomu nie zdradzałam. Zajrzałeś do mojego umysłu. – Oczy zapiekły mnie od łez. – Chcę, żebyś spojrział jeszcze raz, Emory. Proszę. Muszę wiedzieć kim... lub czym on naprawdę jest.

– On? – powtórzył za mną Emory, wyciągając ku mnie rękę.

– Zobaczysz.

Kiedy nasze dłonie się zetknęły, chłopak zamknął oczy. Jego palce splotły się z moimi, a kiedy się odezwał, jego głos był dziwnie przytłumiony, bliski i daleki jednocześnie.

– Widzę cię, Elspeth Spindle. Widzę kobietę o długich czarnych włosach i grafitowych oczach. Widzę żółte ślepie o nienawistnym spojrzeniu. Widzę ciemność i cień. – Jego usta zadrżały. – I widzę twoje palce, smukłe i blade, pokryte krwią.

– Co jeszcze? – naciskałam. – Widzisz króla Shepherda? Mężczyznę w złotej zbroi? Emory pokręcił głową, marszcząc brwi w skupieniu.

– Widzę stworzenie owinięte wokół twojego kręgosłupa, jakby wplecione w ciebie. Poczułam zimny dreszcz.

– Jak dużo mam czasu, zanim całkowicie mną zawładnie?

Oczy Emory'ego zadrgały za jego powiekami.

– Niedługo, Elspeth Spindle. Potwór jest bardzo blisko.

Spróbowałam wyrwać rękę z jego uścisku, ale Emory tylko mocniej ją złapał, głos mu się łamał.

– Garbi się, ni zwierzę, ni człowiek, lecz coś pomiędzy. Stoi w pokoju, który zbudował dla Ducha Lasu, przycupnięty na wysokim mrocznym kamieniu. – Twarz Emory'ego wykrzywiła się, jego rysy zastygły w przerażeniu. – Szepcze. – Ręka chłopaka zadrżała. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos był dziwny, śliski: – Była sobie kiedyś dziewczyna, mądra i dobra, co mieszkała w głębi lasu. Był tam też król,

co berło miał pasterskie, który nad magią panował i napisał starą księgę. Ta dwójka była razem, więc byli tacy sami.

Nie musiał dokańczać. Znałam to na pamięć.

– Dziewczyna, król... – wykrztusiłam.

Głos Koszmaru zapłonął w moim umyśle.

I potwór, którymi się wspólnie stali.

Emory otworzył gwałtownie oczy, z jego twarzy zniknęły wszelkie kolory.

– Twoje oczy – sapnął, łzy spłynęły mu po policzkach – są żółte.

Odwróciłam wzrok, mrugając wściekle.

– Co to było? – zapytał mnie, jego głos nadal drżał. – To było niczym koszmar.

– Och, Emory – powiedziałam, nagle ogarnięta poczuciem winy. Był taki młody, tak obciążony własnym zwyrodnieniem. Zrzucenie na niego własnych zmartwień było czymś gorszym niż samolubność. Było złe.

– Tak bardzo mi przykro – zwróciłam się do niego. – Nie powinnam była cię o to prosić.

Zza cisów rozległ się szelest kroków pozostałych.

– Emory – zawołał Ravyn. – Już czas.

Odwróciłam się do chłopaka z błagalnym spojrzeniem.

– Nie powiesz tego nikomu, prawda?

Chłopiec spróbował się uśmiechnąć.

– Nie martw się – oznajmił, ocierając łzy z oczu. – Do rana o wszystkim zapomnę. To jedyna łaskawość mojego zwyrodnienia, nie pamiętam swoich koszmarów. – Puścił moją dłoń, jego szare oczy przepełniał smutek. – Żegnaj, Elspeth Spindle. Bądź czujna. Bądź sprytna. Bądź dobra.

Kiedy puściliśmy swoje dłonie, czułam, że moja ręka jest lodowata. Chciałam znów złapać jego palce, powiedzieć mu, że bajka jest prawdziwa – że mogę go uleczyć. Nie pocałunkiem, ale dwunastoma Kartami będącymi kluczem do uratowania jego życia – do uratowania mojego.

Ale zmęczyło mnie udawanie. Dlatego nie odezwałam się ani słowem, garbiąc się, gdy wokół mojego kręgosłupa owinął się Koszmar, wbijając pazury między kręgi.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie ma ucieczki od soli.

Magia jest wszędzie – wieczna. Dla Ducha Lasu, strażniczki równowagi, nasze życie jest tym, czym dla nas jest żywot motyla – krótkie i ulotne. Magia jest przy naszych narodzinach, dlatego będzie też w dniu naszej śmierci.

Nie ma ucieczki od soli.

Dzieci podążały za mną, w ich oczach czaił się strach. Biegliśmy między jeżynami, nasze ubrania zaplątywały się w niskie gałęzie nieprzyciętych cisów. Niebo było czarne, półksiężyc spowijała warstwa dymu. Kiedy dotarliśmy do kamiennej komnaty na skraju lasu, podnosiłam dzieci jedno po drugim, wpuszczając je przez okno.

W komnacie ktoś już na mnie czekał, oświetlony czerwonym światłem jego Sierpa. Ból przeszył każdą moją kość, zaczęłam kaszleć krwią, zostawiając czerwone ślady na swoich smukłych, białych palcach.

Upadłam, otoczona ziemią. Ostry zapach soli szczypał mnie w oczy i nos, a świat wokół całkowicie zniknął, pochłonięty ciemnością.

Krzyknęłam, moje ręce i nogi posiniały z zimna.

Obudziłam się ze snu, trzęsąc się na podłodze rozpadającej się komnaty. Poranne światło przebijało się przez cisowe gałęzie wystające zza spróchniałego sufitu. Załkałam; wrażenie pozostawiania uwięzioną w ciemności nadal utrzymywało się na powierzchni mojego umysłu.

Znowu chodziłam we śnie.

O co ci chodzi?, zapytałam, moje policzki były mokre od łez. *Dlaczego mi to robisz?*

Koszmar poruszał się w mojej głowie, niczym widmo na wietrze – milczący, wszechwiedzący.

Kiedy podniosłam się z ziemi, stłumiłam kolejny wrzask, moje ręce i przedramiona od opuszków palców do łokci pokrywała czarna, ciężka ziemia. Moja koszula została postrzępiona, materiał był poplamiony i podarty. Wokół moich stóp ziemia była wzruszona, przekopana wokół podstawy magicznego kamienia, który pokazywał mi Ravyn.

– Co tu się stało? – zapytałam na głos. – Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

M u s i a ł e m c o ś z o b a c z y ć, powiedział, niewzruszony moim przerażeniem.

Zadrżałam, szcękając zębami i próbując strząsnąć choć trochę brudu z dłoni. Nade mną zaszeleściły drzewa, gdy trzy czarne wrony poderwały się do lotu. Mroźny wiatr wleciał do komnaty. Ziemia u moich stóp się osunęła. Spojrzałam w dół na magiczny kamień i w miejsce, gdzie został odsłonięty.

– Co tam jest? – szepnęłam, klękając, żeby lepiej widzieć. Wzięłam brzeg koszuli nocnej i odgarnęłam brud. Nawet wtedy nie mogłam zrozumieć tego, co widzę. Słowa wytarte przez czas i rozkład.

– Po co ktoś miałby coś pisać u podstawy kamienia?

Jego oddech sprawił, że po moim kręgosłupie przeszły dreszcze.

Czy to wszystko, co widzisz?

Cofnęłam się, przyglądając się ziemi, którą naruszyłam. Prostopadłe do kamienia, wystawał długi, prostokątny kształt. Zamrugałam i spojrzałam jeszcze raz.

Nie tylko Kart Opatrzności strzeże magiczny kamień, uzmysłowiłam sobie, a przerażenie gęste jak błoto chwyciło mnie za serce. Komnata znajdowała się na skraju cmentarza. A kamień... Kamień był nagrobkiem.

Spojrzałam na swoje ręce.

Czyj to grób?, wykrztusiłam, oddychając coraz szybciej.

Nie wiesz?, wyszeptał.

Zewsząd otoczył mnie jego śmiech. Nagle pokój spowiła ciemność, zaczęłam krztusić się powietrzem gęstym od soli. Ostatnim, co zobaczyłam, zanim straciłam przytomność, wpadając w objęcia mroku, były moje pobrudzone palce, długie i sztywne, pokryte krwią.

Odrzuciłam koc, łapiąc głęboki haust powietrza. Komnata zniknęła, a poranne światło stłumiły grube ściany Zamku Yew. Z powrotem znajdowałam się w swoim pokoju, w łóżku – rozbudzona, wyzwolona ze szponów okropnego snu.

Przysunęłam się do dogasającego kominka. Sięgnęłam po pogrzebacz, ale szybko cofnęłam rękę, trzęsąc się na całym ciele.

– Nie, nie, nie – krzyknęłam, wbijając wzrok w swoje ubłocone ramiona i połamane paznokcie. Spojrzałam w dół na białą koszulę nocną, której tkanina była brudna i postrzępiona.

Przecież to był sen! Zachłysnęłam się. *Jak mogłam... przecież nie mogłam... To był sen, na pewno!*

Nie odpowiedział.

Wystarczy, wrzasnęłam, oczy zaszyły mi łzami. *Król Shepherd nie żyje. Kimkolwiek jesteś, jego dusza została uwięziona w Karcie Koszmaru – we mnie. Proszę, błagam cię, zostaw mnie w spokoju.*

Nie mogę tego zrobić, moja kochana.

– To też moje życie, Koszmarze. Wtargnąłeś do mojego umysłu. Mojej duszy.

Duszy, którą chronilem, odpowiedział ostrym głosem. Kiedy byłaś dzieckiem i uzdrowiciele zapukali do drzwi twojego wuja, kto cię ukrył? Kiedy wysoki ksiązę podkradał się do ciebie, niczym łowca do zwierzyny, kto ci pomógł? Kiedy kawalerzysta rzucił ci się do gardła, kto powalił go na ziemię? Król Rowan zaciska pętlę wokół twojego gardła od chwili, gdy infekcja dostała się do twojej krwi, Elspeth Spindle. Jednym powodem, dla którego jeszcze nie wisisz na stryczku, jest to, że od początku trzymam cię za nogi.

Łzy wściekłości napłynęły mi do oczu.

Gdybym umarła, ty także byś umarł, Koszmarze. Ani przez chwilę nie udawaj, że wszystko, co robiłeś, zrobiłeś dla mnie, bo ci na mnie zależy. Król Shepherd jest martwy, powiedziałam. A ty... ty jesteś potworem.

Tak, jestem, odpowiedział.

Zakryłam uszy dłońmi, sycząc przez zęby.

– Nie dam rady, nie dzisiaj – odezwał się, moja wściekłość przyćmiła strach. – Stawka jest zbyt wysoka.

Karta Studni, powiedział drwiącym głosem.

To coś więcej niż Karta Studni. Podeszłam do umywalki i zaczęłam szorować ręce, by zedrzeć z nich brud. *To jedenasta Karta. Potrzebujemy jej, żebym mogła raz na zawsze się ciebie pozbyć.*

Kiedy się myłam, siedział w ciemności, nie odzywając się. Dopiero gdy skończyłam i pokojówka pomogła mi zasznurować czarną sukienkę, ponownie się odezwał. Jego głos brzmiał z oddali:

Masz tak niewiele czasu, Elspeth.

Co to, do cholery, znaczy?

Ale już odszedł – wycofując się w głąb mojego umysłu.

Elm otoczony czerwonym światłem, czekał na mnie na dole schodów. Kiedy mnie zobaczył, jego oczy się zwęziły.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic – odpowiedziałam, dotykając swoich włosów. – Dlaczego pytasz?

– Wyglądasz... na zaniepokojoną. Rozłąka z kapitanem utrudnia ci odpoczynek?

Kiedy go zignorowałam, księżę uśmiechnął się, jego twarz była uderzająco piękna, kiedy nie przybierał oblicza swojej zwyczajowej ponurości.

– Gotowa na świętowanie na cześć twoich sióstr?

– Przyrodnicich sióstr.

Minął tydzień, odkąd Ravyn, Jespyr i Elm opuścili Zamek Yew wraz z Emorym. Król był wściekły, gdy dowiedział się o nieudolności swoich kawalerzystów podczas Targowego Dnia. Z listu nadesłanego przez Jespyr dowiedzieliśmy się, że trzymał całą swoją straż w Stone, żeby wzmocnić ich morale.

Co oznaczało, że król będzie łamać ich ducha przy pomocy morderczych patroli, od świtu do nocy, i wyczerpujących treningów.

Starałam się uśmiechnąć przez wzgląd na Morette i Fenira, których od wyjazdu Emory'ego nie opuszczał ponury nastrój, ale szybko się zorientowałam, że nie robi im różnicy, czy się uśmiecham, czy nie.

Czwartego dnia Morette otrzymała od mojego ojca odręcznie napisany list, w którym zapraszał mnie i całą rodzinę Yew do Spindle House na uroczystość, której – podobnie jak wielu innych imprez w Spindle House – udało mi się przez lata unikać.

Dzień imienia Nyi i Dimii.

Ale tym razem miało być inaczej. Tym razem pojawię się tam z kapitanem kawalerzystów, Jespyr i księciem, przechadzając się po korytarzach Spindle House w konkretnym celu. I tym razem nie skulę się pod spojrzeniem mojej macochy.

Ten dzień, będzie tym, w którym ukradnę Kartę Studni mojemu ojcu.

Morette i Fenir dołączyli do nas przy drzwiach i objęli mnie ciepłymi ramionami.

– Zaraz będziecie na miejscu – zapewnił Fenir i poklepał Elma po plecach. – Ravyn i Jespyr?

– Kończą z kawalerzystami. Spotkają się z nami przy bramie.

Pożegnałam się i wyszłam za Elmem przez drzwi Zamku Yew i następnie obok rzędu posągów. Wiszące nad nami niebo pociemniało – nadchodziła burza. Czułam to w swoim złamanym nadgarstku, który owinięty w bandażę, puchł pod czarnym rękawem mojej sukni.

– Jak się ma Emory? – zapytałam, kiedy dotarliśmy do bramy.

– Słabo – odparł Elm. – Król nie był zbyt szczęśliwy, gdy dowiedział się o jego wyprawie do domu. – Posłał mi półuśmiech. – Nie chciał też słyszeć o tym, że

zainfekowane dziecko uciekło i zaatakowało przy tym kawalerzystę. Linden będzie miał spektakularne blizny, gdy już stanie na nogi.

Wzdrygnęłam się, przewróciło mi się w żołądku.

– Na szczęście ojciec jest mocno rozkojarzony. Obsesyjnie poszukuje Karty Bliźniaczych Olch, chce zdążyć do przesilenia zimowego. Tylko że nie ma pojęcia, gdzie jej szukać – dodał.

– Strzeż się zieleni, wystrzegaj się drzew – odezwałam się, mój głos nie do końca należał do mnie, zdawał się cienki jak nić. – Uważaj na zew lasu, śpiewający w twoich żyłach. Zejdiesz ze ścieżki ku radości i grozie. Uważaj na zew lasu, śpiewający w twoich żyłach, niczym trele w ogrodzie...

Elm rzucił mi przez ramię dziwne spojrzenie.

– Zaczytywałaś się ostatnio w *Starej Księdze Olch*?

Nie, nie czytałam jej. W ogóle nie chciałam powiedzieć nic z tego, co właśnie opuściło moje usta.

W ciemności mojego umysłu stukanie pazurów Koszmaru wybijało powolny, złowieszczy rytm. Zacisnęłam szczęki, żeby powstrzymać napływ kolejnych, nieproszonych słów, wracając myślami do mrocznej komnaty i znajdującego się w niej grobu.

Elm wziął moje milczenie za zdenerwowanie i powiedział:

– Jeszcze tylko dwie Karty, Spindle. Wkrótce będziesz spacerować po miasteczku, swobodnie i przez strachu. – Skrzywił się. – I wkrótce będę miał przyjemność uwolnienia Blunder od Orithego Willowa.

Nie byliśmy pierwszymi gośćmi, którzy zawitali do Spindle House. Gdy się pojawiliśmy, pochodnie już płonęły, a przy bramie gromadził się tłum, wypełniając hałasem całą ulicę.

Strażnicy, ubrani w czerwone płaszcze, ustawili się w rzędzie, gotowi otworzyć bramę w każdej chwili. Obok jednego z nich stała Jespyr, a po drugiej stronie, oparty o kamienną ścianę, jakby należała do niego, tkwił Ravyn.

Serce waliło mi w piersi, poczułam motyle w brzuchu. Ogolił zarost, a czarne włosy zaczesał do tyłu. Wyglądał jednak na zmęczonego – bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek wcześniej. Kręgi pod jego oczami były tak ciemne, że mogły równie dobrze uchodzić za siniaki. Na knykciach widniały strupy, a na dolnej wardze zauważyłam paskudne rozcięcia.

Kiedy nasze oczy się spotkały, odepchnął się od ściany i ruszył ku mnie, lawirując pewnym krokiem w tłumie. Jego usta wygięły się ku górze, gdy sięgnął po mnie, jedną ręką odnajdując moją talię, a drugą przykładając do policzka. Kiedy pochylił się nade mną, kilka ciemnych kosmyków opadło mu na czoło.

– Elspeth – powiedział, całując mnie w usta.

Odgarnęłam mu włosy z twarzy, taksując go wzrokiem.

– Pasuje panu czern, kapitanie – zauważyłam. – Brakuje ci tylko maski.

– I nawzajem, panno Spindle. – Ravyn uśmiechnął się szeroko, niemalże chłopięco.

– Co się stało? – Przesunęłam opuszką palca po pękniętej wardze.

– Trening – oznajmił, wzruszając ramionami. – Nie miałem ani chwili wytchnienia od Targowego Dnia.

Jespyr dołączyła do nas, z ciepłym wyrazem twarzy.

– Jesteście gotowi?

– Tak, na drzewa, tak – wyjęczał Elm. – Jestem gotowy na wszystko, byle tylko położyć kres ich szeptom.

Kiedy strażnicy otworzyli bramę, weszliśmy na dziedziniec, którego centralny punkt stanowiło drzewo trzmieliny, której koronę otaczały lampki, a z gałęzi zwisały czerwone wstążki. Ravyn objął mnie ramieniem, nasza czwórka wraz z pozostałymi gośćmi, czekała, aż wszyscy zbiorą się na dziedzińcu.

Kiedy gong wybił szóstą, wszystkie oczy zwróciły się na rozwierające się drzwi Spindle House. Aplauz przybrał na sile. Balian, zarządca mojego ojca, zapowiedział ojca, macochę i przyrodnie siostry. Patrzyłam, jak stają przy wejściu, witając wchodzących gości. Ręka Nerium zaciskała się wokół ramienia mojego ojca, który się nie uśmiechał, zachowując zwykły dla siebie surowy wyraz twarzy. W jego kieszeni nie znajdowała się Karta Studni. Gdziekolwiek ją trzymał, nie miał jej przy sobie.

Nya i Dimia dygnęły, pławiąc się w powszechnej uwadze. Miały na sobie czerwone suknie i stały po obu stronach rodziców z identycznymi uśmiechami.

Oparłam się o Ravyna i klaskałam razem z pozostałymi. Te dziewczyny były dla mnie kompletnie obce – młode, uderzająco nieznajome. Przez lata chodziłam tymi samymi korytarzami co Nya i Dimia, jadłam to samo, bawiłam się na swoich uroczystościach, wpatrywałam się w to samo trzmielinowe drzewo. Ale infekcja zmieniła wszystko. Nie byliśmy takie same, moje przyrodnie siostry i ja. Życie chroniło je niczym perły w aksamitnej poduszeczce. A ja – ja nie byłam perłą.

Byłam solą.

– Bliźniaczki przyprawiają mnie o gęsią skórkę. – wymamrotał pod nosem Elm. Po chwili jego plecy zeszywniały. – Przyszli.

Gong zabił dwa razy w krótkim odstępie. Tłum na dziedzińcu rozstał się, gdy król przeszedł przez bramę posiadłości mojego ojca, wysoki, ubrany w złote jedwabie, z płaszczem obszytym futrem białego lisa. Obok niego szedł Hauth i towarzysząca mu Ione, która chociaż nie miała przy sobie Dziewicy, nadal znajdowała się w jej

szponach. Mój wuj szedł tuż za nią, jego ubrania były znacznie lepszej jakości niż te, które nosił przez Ekwinokcjum.

Nie było z nimi mojej ciotki i młodszych kuzynów.

Zmrużyłam oczy, gdy patrzyłam na Ione, jej dłoń skrytą w uścisku wielkiego księcia. Za moimi oczami poruszył się Koszmar.

Złote dziewczę, urody spragnione. Złote dziewczę, zauważone – dostrzeżone. Złote dziewczę serce ma z kamienia. Złote dziewczę to okrutna królowa.

Mój ojciec wprowadził króla Rowana i jego dwór do środka, sygnalizując rozpoczęcie uroczystości. Pozostali goście ruszyli za nimi, ich głosy były podniesione. Gdzieś w głębi domu dało się słyszeć skrzypce i flet. Nasza czwórka zatrzymała się pod trzmielinowym drzewem.

Księżę westchnął głośno, opierając się o gałąź.

– Czas na zabawę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

STUDNIA

Wszyscy zgromadzili się w wielkiej sali. Nikt nie widział, jak wślizguję się na piętro z kapitanem kawalerzystów. A nawet jeśli, to jedyne, co mógł zobaczyć, to dziewczynę zmierzającą w ustronne miejsce z wysokim, przystojnym mężczyzną. Nie ja pierwsza robiłam coś takiego i zapewne nie ostatnia.

Chwilę później dołączyli do nas Jespyr i Elm, którzy wchodzili pojedynczo, w krótkich odstępach czasu.

– Musimy się rozdzielić – oznajmiła Jespyr. – Każde z nas powinno przeszukać po jednym piętrze.

Ravyn pokręcił głową.

– Lepiej, żebyśmy chodzili w parach. Będzie to wyglądać o wiele mniej podejrzanie, jeśli ktoś przyłapie nas na węszeniu.

– Doprawdy? – Elm postukał palcami w balustradę. Jego zielone oczy spoczęły na mnie. – Dobra. Spindle, idziesz ze mną.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Zamrugałam.

– Och, jestem śmiertelnie poważny.

– Powinna pójść ze mną – odezwał się Ravyn niskim głosem.

– Na drzewa, Ravyn, przeżyjesz chwilę bez niej. – Widząc spojrzenie kuzyna, skrzyżował ręce na piersi. – Chyba że znalezienie Karty Studni nie jest już twoim priorytetem.

Ravyn nie odpowiedział, jego palce zacisnęły się na moich.

– Daj spokój, nie patrz tak na mnie. Ty masz Lustro, Jes jest naszym najlepszym włamywaczem. Z naszej dwójki wychodzisz na tym układzie o wiele lepiej niż ja.

– Nie sądzę, żeby pociągało go otwieranie zamków – wymamrotała Jespyr, zasłaniając dłonią usta. – A może...

– Zamknijcie się, marnujemy tylko czas. – Wysunęłam rękę z uścisku Ravyna. – Elm i ja przeszukamy bibliotekę, a potem udamy się do pokoi gościnnych na trzecim piętrze. Wasza dwójka niech zacznie od sypialni mojego ojca, jest na czwartym piętrze, a potem przejdźcie na piąte. – Zerknęłam z powrotem na Ravyna. – Jeśli nadal nie uda nam się odnaleźć Karty, spotkamy się w wielkiej sali i pójdziemy razem przeszukać dolne piętra.

– Tak jest, kapitanie. – Doskonale się bawiąc, Elm mi zasalutował.

- A jeśli ktoś zapyta, co robisz sama z księciem? – zapytał znacząco Ravyn.
- Poślę ich do krainy szczęśliwości. – Elm błysnął swoim Sierpem przed twarzą kuzyna.
- A co z szóstym piętrzem? – zapytała Jespyr, spoglądając na spiralne schody.
- Mój ojciec od dawna już tam nie wchodzi. – Pokręciłam głową.
- Skąd wiesz?
- Ponieważ tam znajduje się mój pokój.

Karty Studni nie było w bibliotece. Od razu zobaczyłabym niebieskie światło. Mimo to Elm uparł się, żeby przerzucić kilka starych tomów i pootwierać każdą szufladę w biurku mojego ojca. Szłam za nim, zapanowując nad chaosem i upewniając się, że wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Przenieśliśmy się do następnego pokoju, potem do jeszcze jednego. Kiedy obeszlśmy wszystkie pomieszczenia na trzecim piętrze, ukryliśmy się w cieniu, czekając, aż klatka schodowa prowadząca na dolne i górne piętra opustoszeje.

Szybko się zorientowałam, że cierpliwość nie jest mocną stroną Elma. Mężczyzna przejechał dłonią po włosach.

- Jesteś pewna, że niczego nie przeoczyłaś?
- Jeśli jest tutaj Karta Studni, na pewno ją zobaczę. – Zmrużyłam oczy.
- Być może nie ma jej tutaj, bo używa jej twój ojciec – powiedział, ścisząc głos. – A on zobaczył nadchodzące niebezpieczeństwo.

Przygryzłam dolną wargę, brzuch rozbolał mnie z nerwów.

Zdolny do dostrzeżenia swoich wrogów, odezwał się Koszmar. Zdradzony przez przyjaciela. A w tym konkretnym przypadku, przez swoją córkę, następcę, kawalerzystę i księcia.

- Czy mogę panience w czymś pomóc, panno Spindle?

Podskoczyliśmy, co z kolei sprawiło, że podskoczył też służący mojego ojca. Balian odkaszlnął.

- Proszę o wybaczenie – powiedział. – Ojciec panienki chciał pokazać królowi jedną ze swoich książek i posłał mnie po nią. Nie sądziłem, że kogoś tu zastanę. – Spojrzał ponad moim ramieniem, jego oczy otworzyły się szeroko, gdy rozpoznał księcia.

Nieczęsto miałam okazję czerpać przyjemność ze zmieszania innych ludzi. Ale w tej chwili całkowicie rozkoszowałam się szokiem na twarzy Baliana. Przyglądał się najstarszej córce Erika Spindle, którą zawsze traktował z obojętnością i nieufnością,

stojącą z zadartym podbródkiem, w pięknej czarnej sukni tuż obok królewskiego syna.

– Czy dołączysz do nas na dole, wasza miłość? – zapytał Balian, kłaniając się nisko.

– Wkrótce – odparł Elm, obgryzając paznokcie, prezentując się zdecydowanie nieksiążęco.

– Możesz odejść, Balianie – zwróciłam się do niego z fałszywym uśmiechem. – Z pewnością masz wiele do zrobienia.

Kiedy się odezwałam, oczy służącego zwęziły się na sekundę, a maska jego uprzejmości opadła. Wydawało się, że nie ma dla niego znaczenia to, że przebywam w obecności księcia; nie lubił przyjmować rozkazów od najstarszego dziecka w rodzinie – zainfekowanego dziecka.

– Oczywiście – orzekł, mijając mnie.

Ręka Elma zanurzyła się w kieszeni skąpanej w czerwonym świetle.

– Żadnego ukłonu w jej stronę?

Balian się zawahał. Spojrzał na mnie, marszcząc czoło. Nagle jego oczy się zaszklily i skłonił się nisko. Po chwili gwałtownie się wyprostował, jego powieki były szeroko rozwarte ze strachu. Rzucił Elmowi przerażone spojrzenie, a potem pośpiesznie wyszedł na korytarz i zniknął na schodach. Siedzący obok mnie Elm zaśmiał się, stukając trzykrotnie w Sierp, obracając Kartę między smukłymi palcami.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziałam, kiedy wspinaliśmy się po schodach. – To tylko pompatyczny, mały człowiek.

Kroki księcia odbijały się echem tuż za mną.

– Jaki byłby sens posiadania Sierpa, gdyby nie można się było z nią odrobinę zabawić?

Musiałam unieść przód mojej sukienki, schody w Spindle House były zdradziecko strome.

– Nie zawsze wygląda to zabawnie. W czasie Targowego Dnia nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś się dobrze bawił.

– Wszystko ma swoją cenę. – Głos Elma był beznamiętny.

– Cena korzystania z Sierpa jest o wiele wyższa niż w przypadku pozostałych Kart – zauważyłam. – Słyszałam, że jeśli używa się jej zbyt często, ból jest rozdzierający.

Elm udał zdziwione sapnięcie.

– Nie miałem o tym zielonego pojęcia – sarknął. – Skoro tak, to natychmiast przestanę z niej korzystać.

– Mówię tylko, że to ryzykowne. – Skrzywiłam się.

– Tak samo jak dopuszczanie się zdrady – odgryzł się książę. – A jednak oto jesteśmy.

Główną klatką schodową dotarliśmy na czwarte piętro, po czym skręciliśmy ostro w prawo, kierując się długim, wychłodzonym korytarzem do spiralnych schodów prowadzących do sypialni gościnnych na czwartym piętrze.

Wzrok Koszmaru rozjaśnił panujący wokół półmrok i chociaż nie odezwał się ani słowem, słyszałam jego oddech.

– Co cię do tego skłoniło? – zapytałam Elma, zdyszana wspinaczką. – Jesteś kawalerzystą, do tego księciem, drugim w kolejce do tronu. Po co tak ryzykować?

– Emory umiera. Robię to, co trzeba, żeby go ocalić. Tak postępuje rodzina.

– Czy Rowanowie nie są twoją rodziną?

– W takim samym stopniu, jak twoja rodzina dla ciebie – powiedział, machnąwszy ręką w kierunku ścian Spindle House.

Zwolniłam kroku.

– Mój ojciec mógł mnie wydać w momencie, gdy dowiedział się o mojej gorączce. A jednak tego nie zrobił. – Zmarszczyłam nos. – Złamał dla mnie prawo. I właśnie to we mnie widzi, tylko to. Złamane prawo.

– A co, jeśli by tego nie zrobił? – odparł Elm. – Załóżmy, że on albo oni zaryzykowałiby twoim tytułem, życiem, żeby cię ratować? Znają wszystkie twoje sekrety i wiedzą o twojej infekcji, a i tak się ciebie nie boją. Czy nie wybrałabyś właśnie takich osób spośród wszystkich pozostałych?

Starałam się nie myśleć o Ione. Wyobraziłam sobie ciotkę – jej mocne, ciepłe uściski, jej mądrość. Pomyślałam o tym, jak przez pierwsze tygodnie, gdy gorączka nie odpuszczała, czuwała nade mną przez całą noc. O jej liście i o tym, że gdybym wróciła do domu, pierwsze, co by zrobiła, to zgarnęła mnie w mocny uścisk.

Pomyślałam też o rodzinie Yew, niezłomnych i lojalnych. Fenir, Morette, Jespyr, nawet Jon Thistle – wszyscy patrzyli na mnie bez strachu, za to z życzliwością.

I Ravyn.

Tak jak w przypadku ptaka, po którym dostał swoje imię, w szarych oczach Ravyna Yewa tliła się inteligencja. Kiedy na mnie spojrzał, po raz pierwszy poczułam, że ktoś mnie dostrzega, poznaje. Było między nami połączenie stworzone, czy to przez los, czy magię, które wykraczało poza czas i przestrzeń. Przez całe życie kroczyliśmy tą drogą, nieświadomi, że zmierzamy prosto ku sobie. Widziałam siebie w jego szarych ostrożnych oczach i w ciemności, która krążyła w moich żyłach. I chociaż do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy, była między nami magia, i nie miała ona nic wspólnego z krwią, Kartami Opatrzności ani czymkolwiek pomiędzy.

– Chyba rozumiem – powiedziałam, kiedy dotarliśmy na szczyt spiralnych schodów. – I tak, myślę, że zrobiłabym dla nich wszystko. Naprawdę.

– I robiłabyś wszystko, co w twojej mocy, żeby ich chronić?

Odwróciłam się, zaintrygowana przez pewną nutę w jego głosie. Koszmar poruszył się, obserwując Elma moimi oczami.

– Martwisz się o Ravyna – zauważyłam, z góry znając jego odpowiedź. – Uważasz, że skoro mam swoje tajemnice, zdradzę go. Zdradzę was wszystkich.

Elm nie zaprzeczył. Gdybym nie była pewna, że ma przy sobie wyłącznie Kartę Sierpu, mogłabym pomyśleć, że użył na mnie Karty Koszmaru – jakby czytał mi w myślach. Tak jak w przypadku Ravyna, w spojrzeniu młodego księcia kryła się ogromna inteligencja, i chociaż świeciły królewską zielenią, a nie szarością, były tak samo przenikliwe i spostrzegawcze.

Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do spojrzenia Ravyna oczy Elma przepełniała nieufność.

– Nigdy was nie zdradzę. – Kiedy śmiech Koszmaru wypełnił mój umysł jak toksyczny dym, wzdrygnęłam się. – Przynajmniej nie świadomie.

– Co to znaczy? – Elm uniósł brwi.

Odwróciłam się, pojedyncza chłodna łza spłynęła po moim policzku i brodzie, prosto na schody.

– Czas pokaże – odparłam, wchodząc do pierwszej z kilku sypialni. – Tak czy inaczej prawda zawsze wyjdzie na jaw.

Godzinę później spotkaliśmy się z Ravynem i Jespyr na dole schodów, na skraju wielkiej sali. Poczulałam ucisk w piersi – od żadnego z nich nie emanowało niebieskie światło.

Jespyr gmerała przy rąbku swojego rękawa. Kiedy nas zobaczyła, zapytała pełnym napięcia głosem:

– Błagam, powiedzcie, że ją macie.

Pokręciłam głową. Jespyr zakłęła pod nosem.

– Która godzina? – Elm przejechał dłonią po twarzy.

Ravyn odwrócił się w stronę wielkiej sali, mięśnie szczęki miał napięte.

– Właśnie wybił dziewiąty gong.

– Uroczystości będą trwać do jutrzejszego późnego wieczora. Nadal mamy trochę czasu na poszukiwania.

Czułam, jak powoli ogarnia mnie panika. Zęby bolały mnie od ciągłego zaciskania, miałam sztywne ramiona, ręce zaciśnięte w pięści.

– Wasza trójka powinna wejść do wielkiej sali. Niech Król i jego dwór was zobaczy.
– Ravyn już otwierał usta, żeby się sprzeciwić, ale przerwałam mu, ocierając się o niego ramieniem. – Znajdę was, gdy tylko odnajdę Studnię.

Jespyr i Elm wymienili spojrzenia.

– Jesteś pewna? – zapytała Jespyr.

– Jak najbardziej. – Zaśmiałam się krótko. – Zaufaj mi, nikt nie zauważy mojej nieobecności.

Coś poruszyło się na obrzeżach mojego pola widzenia, towarzyszył temu miękki, śpiewny głos.

– No daj spokój, Bess – odezwała się. – Kompletnie mnie nie doceniasz.

Kiedy się odwróciłam, ujrzałam stojącą za mną Ione, ubraną w ciemnofioletową suknię, której nigdy wcześniej u niej nie widziałam. Jej bogato haftowany, niski dekolt, odsłaniał porcelanową szyję i górną część piersi. Włosy miała zaplecione w luźny warkocz, bez żadnych ozdób, jeśli nie liczyć pojedynczej, złotej wstążki wplecionej we włosy.

Wyglądała jak promień księżycy, pani nocy, piękna ponad miarę. Wpatrywałam się w nią z otwartymi ustami, podziwiając każdą krzywiznę jej ciała, miękkie krągłości. Poza brązowymi oczami, które nawet przed użyciem Karty Dziewicy lśniły własnym pięknym blaskiem, jakby świeciły od wewnątrz.

Oczami, które teraz były zachmurzone. Rozkojarzone. Zagubione.

– Chodź, usiądź ze mną – poprosiła, wskazując głową w kierunku wielkiej sali. Pomachała do Ravyna, Jespyr i Elma. – Wy też.

Kiedy się odwróciła, posłałam Ravynowi zdesperowane spojrzenie.

– Studnia – powiedziałam bezgłośnie.

Mężczyzna patrzył, jak Ione wchodzi do wielkiej sali. Kiedy moja kuzynka obejrzała się przez ramię, objął mnie ramieniem i razem ruszyliśmy za nią.

– Dziesięć minut – szepnął w moje włosy, kiwając głową Jespyr i Elmowi, by poszli w nasze ślady. – A potem możesz kontynuować poszukiwania.

Ione poprowadziła nas między stołami, wielką salę wypełniały hałasy, wybuchy śmiechu rywalizowały z dźwiękami muzyki, odbijając się od wysokiego sufitu. Król siedział obok mojego ojca przy głównym stole, ich głowy były nisko pochylone, gdy pogrążyli się w rozmowie. Niżej, z zaciśniętymi ustami, siedziała Nerium, która przyglądała się swoim gościom, obok niej tkwiły bliźniaczki, zarumienione od wypitego alkoholu.

Ione skierowała nas do pustego stolika przy wschodniej ścianie. Na srebrnej tacy czekało już sześć kielichów wina.

– Proszę, siadajcie – odezwała się, gestem wskazując na naczynia. – Wzniesiemy toast?

Usiedliśmy przy stole, nasze ruchy były powolne i sztywne, jak gdyby stawy każdego z nas zardzewiały. Siedziałam między Ravynem a Ione, Jespyr i Elm zajęli miejsca naprzeciwko nas. Każdy wziął po jednym kielichu z tacy, po czym uniósł go w toaście.

– Za solenizantki, Nyię i Dimię – powiedziała Ione, biorąc długi, głęboki łyk. – Wielu szczęśliwych powrotów.

– Wielu szczęśliwych powrotów – powtórzyliśmy za nią.

Napiłam się z kielicha i skrzywiłam się, wino było bardziej gorzkie, niż się spodziewałam.

Nikt się nie odezwał. Rzuciłam Jespyr pytające spojrzenie, ale w odpowiedzi dziewczyna wzruszyła ramionami, jej oczy były szeroko otwarte. Odwróciłam się w kierunku Elma, licząc na to, że powie coś, cokolwiek, co przerwałoby tę nieznośną ciszę.

Ale Elm milczał, pochylony do przodu na swoim siedzeniu, jego wzrok był całkowicie skupiony na Ione. Chwilę później sięgnął przez stół i chwycił ją za twarz, przyciskając dłonie do policzków.

– Elm, co ty...

– Zamknij się. – Przyglądał się badawczo twarzy mojej kuzynki. – Panno Hawthorne. – Jego głos był niezwykle miękki. – Ione.

Nie odpowiedziała, nie odsunęła jego dłoni, nawet nie mrugnęła, jej oczy były nieobecne, zamglone.

Coś było nie w porządku. Złapałam za krawędź stołu.

– Co się dzieje?

– Spójrz na nią – wymamrotał Elm. – Ktoś użył na niej Sierpa. – Sięgnął do kieszeni, ani na moment nie spuszczać wzroku z Ione. Uderzył trzykrotnie w swoją Kartę, jego głos był delikatny. – Powiedz mi, co zrobiłaś, Hawthorne.

Zamrugnęła. Kiedy się odezwała, brzmiała, jakby z trudem wypowiadała każde kolejne słowo.

– Tylko to, co mi rozkazał – oznajmiła.

Zrobiło mi się zimno. Wtedy zdałam sobie sprawę, że przy stole siedzi pięć osób. Nasza piątka.

A na tacy spoczywało sześć pucharów.

Odwróciłam się do Ravyna, ale kapitan kawalerzystów znieruchomiał, jego dłoń tak mocno ścisnęła moją, że czułam, jakby ścisnęło mnie imadło.

Następnie, z ustami wykrzywionymi w okrutnym uśmiechu, odziany w czerwień Sierpa i turkus Karty Kielicha, Hauth Rowan zajął miejsce na końcu naszego stołu. Popatrzył na nas, parszając śmiechem.

– No dajcie spokój – odezwał się. – To tradycyjna zabawa w dzień imienia. Na pewno nie odmówicie mi tej przyjemności.

Wyciągnął Sierp z kieszeni, po czym stuknął w Kartę trzy razy.

– Dziękuję ci, kochanie.

Do oczu Ione wróciło światło. Jej spojrzenie przesunęło się z Elma na Hautha i dalej na jej opróżniony kielich. Nawet blask Dziewicy nie był w stanie ukryć bladości jej policzków.

Dłonie Elma zsunęły się z jej twarzy, oczy płonęły, gdy odwrócił się do brata.

– Nie zrobiłeś tego – warknął. Rzucił kielichem o podłogę, w jego głosie pobrzmiwała ledwo hamowana wściekłość.

– A jednak. – Hauth uśmiechnął się, opróżniając szósty puchar. – Teraz i ja się bawię. Czy jest to wystarczająco fair dla ciebie, bracie?

Koszmar zrozumiał przede mną, co się właśnie stało. Jego gniew zapłonął we mnie, wypełniając mój umysł gęstym, pełnym furii dymem.

Zawołałam go.

Co się dzieje?

Cały czas czułam smak wina na języku, było gorzkie i kwaśne, niepodobne do żadnego innego trunku, jaki wcześniej piłam. Turkusowe światło w kieszeni księcia. Kielich.

Patrzyłam z otwartymi oczami na swój kielich, moja twarz groteskowo odbijała się w resztkach pozostałego na dnie wina.

Nie. Palce zaczęły mi drżeć. Nie odważyłby się.

Ale wielki książę miał to wypisane na twarzy, kiedy z triumfalnym uśmiechem położył na stole Kartę Kielicha, aby wszyscy mogli ją zobaczyć.

– Potrwa to tylko chwilę – oznajmił, jego wzrok przesunął się na Ravyna. – Kto pierwszy chce wyznać prawdę?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

KIELICH

Już wcześniej grali w tę grę, tylko wtedy byli dziećmi i skrywali o wiele mniej sekretów niż teraz. Wpatrywałam się w Hautha, a on zrewanżował się takim samym spojrzeniem, przesuwając brutalnymi palcami po Karcie Kielicha.

Jeśli coś ukrywasz, zawołał Koszmar. Kielich to odkryje. Wielki książę chce poznać prawdę. I jest gotowy wyrwać ją z ciebie podstępem.

– W porządku – powiedział Hauth, szeroko rozkładając ręce, jakby chciał pokazać, że nie ma nic do ukrycia. – Zacznę. Każdy może zadać każdemu jedno pytanie, więc lepiej wykorzystajcie swoją okazję. Kłamanie pod wpływem Kielicha... – Jego usta wykrzywiły się mrocznie. – Cóż, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jespyr, ty pierwsza.

Jespyr wyglądała, jakby miała zaraz zwymiotować, zaciskając usta tak bardzo, że nie było ich praktycznie widać.

– Nie zapytałeś – powiedziała niskim, drżącym ze złości głosem. – To nie jest gra, jeśli nie wyraziliśmy zgody na użycie Kielicha, Hauth.

Odchylił się w swoim krześle.

– Tylko ktoś, kto ma coś do ukrycia, odmówiłby gry. – Jego wzrok przesunął się wzdłuż stołu, uważnie śledząc nasze twarze. – Chyba nie masz nic do ukrycia, prawda?

Oczy kobiety zwęziły się niebezpiecznie. Odstawiła kielich z powrotem na tacę.

– W porządku. Zacznę od banalnie prostego pytania, kuzynie – powiedziała, niemal wypluwając z siebie ostatnie słowo. – Jesteś zazdrosny o Ravyna?

Śmiech Hautha nie dosięgnął jego oczu.

– N-n-n... – Zacisnął mocniej zęby i spróbował ponownie: – N-n-n – Ale wino, a raczej Kielich, nie pozwolił mu skłamać. – Tak – wydusił wreszcie.

Elm był następny w kolejności. Błademu jak samej śmierci, udało mu się utrzymać wysoko uniesioną głowę.

– Próbujesz nastawić kawalerzystów przeciwko niemu? – zapytał młodszy z książąt.

Po raz kolejny Hauth próbował skłamać. Żył na jego grubej szyi nabrzmiały, walcząc z niewidzialną liną przywiązaną do języka. W końcu odpowiedział, rzucając

Ravynowi gorzkie spojrzenie.

– Tak.

Ravyn wytrzymał ten wzrok i zadał swoje pytanie:

– Zamierzasz wyzwać mnie na pojedynek?

– Tak. – Tym razem Hauth nie próbował kłamać.

Przy stole zapadła cisza. Nadeszła moja kolej.

U w a ż a j, szepnął Koszmar. B ą d ź s p r y t n a.

– Czy użyłeś swojej Karty Sierpa na Ione więcej niż raz? – zapytałam, mój głos był czymś pomiędzy sykiem a dławieniem się.

Hauth posłał mi uśmiech, niewzruszony moim gniewem.

– Tak. – Odwrócił się do Ione. – Twoja kolej, narzeczono.

Oczy Ione, choć jaśniejsze niż chwilę temu, nie wyrażały żadnej emocji.

– Nie chcę w to grać.

– Musisz – zwrócił się do niej Hauth, klepiąc ją po ramieniu, zbyt szorstko, by można to było uznać, za czułą pieśzcotę. – Wszyscy gramy. Jeśli odmówisz, uznam, że masz coś do ukrycia, moja droga.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz. – Ione posłała mu puste spojrzenie.

– Zadał mi pytanie, Ione. – Coś błysnęło w oczach Hautha.

Miałam wielką ochotę sięgnąć przez stół i po raz drugi przeorać jego twarz. Ravyn, wyczuwając moją wściekłość, mocniej ścisnął moją dłoń.

Ione oparła łokieć na stole, opierając na nim podbródek, i zaczęła przyglądać się Hauthowi, tak jak patrzy się na odchody przyklejone do podeszwy buta.

– Czy byłeś z innymi kobietami od chwili naszych zaręczyn?

Jak na kogoś, kto przygotował taką zasadzkę, Hauth miał sporo rzeczy do ukrycia. Jego twarz zrobiła się purpurowa, jakby wstrzymywanie oddechu mogło powstrzymać cisnącą się na usta prawdę. Jednak Karta Kielicha domagała się szczerości.

– Tak – przyznał.

Elm prychnął, z kolei Ione siedziała, skrywając się za tarczą swojej urody, wydawała się całkowicie nieporuszona niewiernością swojego przyszłego męża.

– Moja kolej – oznajmiła. Podniosła na nas orzechowe oczy. – Zapytaj mnie, o co chcesz, Jespyr.

Choć spojrzenie Jespyr było twarde, jej głos zabrzmiał łagodnie.

– Czy Hauth dobrze cię traktuje?

– Dobrze, jak na brutala, którym jest. – Jedna z idealnych brwi Ione wygięła się ku górze.

Elm pochylił się do przodu, długo milcząc, jego zielone oczy wpatrywały się oceniająco w Ione.

– Jesteś w nim zakochana?

Moja kuzynka wytrzymała jego spojrzenie, odwiedzając się równie badawczym wzrokiem.

– Nie – odparła.

Jespyr cicho zagwizdała. Przyszła kolej na pytanie Ravyna.

– Co chcesz osiągnąć przez powiązanie się z Rowanami?

– Chcę być potężna – wyjawiała.

Przeraziły mnie jej słowa, podobnie jak ton głosu, jakim je wypowiedziała. Ione, którą znałam, lubiła się śmiać, uśmiechać, wpinać we włosy polne kwiaty, jeździć boso po leśnych drogach na koniu jej ojca.

Czerpała siłę z własnego wewnętrznego światła.

Światła, które teraz uległo zmianie – stało się mroczne, zimne, twarde. Bezduzne.

Dziewica stworzyła ją na nowo.

Teraz nadeszła moja kolej na zadanie jej pytania.

– Czy naprawdę tego chcesz, Ione? – zapytałam, a moje usta wygięły się smutno, gdy spjrzałam na Hautha. – Poślubić go?

Śmiech zadudnił jej w piersi, jej idealna twarz była bez skazy, policzki przybrały delikatny odcień różu.

– Jesteś zupełnie jak matka, Elspeth. Zawsze z głową w chmurach. Nie widzisz, jak trudno jest kobiecie stać się potężną i nieustraszoną w Blunder, ponieważ nigdy nie dbałaś o to, by być kimś więcej, niż jesteś. Ale ja tak. – Położyła przed sobą ręce, jej orzechowe oczy nabrały twardego wyrazu. – A jeśli potrzeba do tego zimnego serca, niech tak będzie.

Zatraciłam się w jej twarzy.

– Oczywiście, że zależało mi, żebym była kimś więcej, niż byłam – odezwałam się, pod powiekami piekło mnie od powstrzymywanych łez. – Chciałam być taka jak ty.

Moje słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, jakby ich sens do niej nie docierał.

– Teraz nie ma to żadnego znaczenia – odpowiedziała, przykładając palec do ust. – Obie stałyśmy się owcami siedzącymi wygodnie w wilczej norze. A może jest inaczej?

Wargi Koszmaru rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając wielkie kły.

Lubię tę wersję Ione.

Poczułam, że zaraz zwymiotuję. Rozejrzałam się dookoła, zastanawiając się, czy mogłabym uciec, szukając wymówki, która uwolniłaby mnie od tego stołu – od mojej odmienionej kuzynki i brutalnego spojrzenia Hautha Rowana.

N i e m o ż e s z o d e j ś ć, powiedział Koszmar, stukając pazurami w szybkim, irydującym rytmie. M u s i s z z o s t a ć, t a k j a k i n n i, i u d a w a ć. T a k, j a k z a w s z e t o r o b i ł a ś.

– Moja kolej – odezwał się Elm, odwracając uwagę ode mnie i Ione. – Zadajcie mi swoje cholerne pytania.

Kątem oka dostrzegłam pod stołem błysk Karty Koszmaru. Spojrzałam na Ravyna, ale jego uwaga skupiała się gdzie indziej, wpatrywał się w Elma.

– Jak myślisz, kto jest najbardziej utalentowanym użytkownikiem Kart w Blunder? – zapytała go Jespyr.

– Oczywiście, że ja. – Elm oparł łokcie na stole.

– To jego wersja prawdy – wymamrotał pod nosem Hauth.

– Dlaczego nie mieszkasz w Stone z ojcem i bratem? – Ione pochyliła się ku niemu.

Odrobina koloru, która jeszcze ostała się na twarzy Elma, zniknęła. Dławił się, widziałam, że walczy z odpowiedzią – próbuje skłamać. Ale nie mógł oszukać Kielicha.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedział niskim, drżącym głosem. – Zburzyłbym je, gdybym mógł, spalił do gołej ziemi. Oglądał, jak czeźnie i nic z niego nie zostaje.

Koszmar poruszył się w ciemności, baczniej przyglądając się Elmowi.

Ione nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Jej wzrok padł na Hautha, który siedział prosto jak struna, nieczuły, niewzruszony słowami brata. Zastanawiałam się, ile wiedziała – czy Hauth zdradził jej, że znęcał się nad swoim bratem, kiedy byli dziećmi.

Ravyn przerwał ciszę.

– Moja kolej. – Spojrzał na swojego kuzyna. Cokolwiek zostało wypowiedziane w ciszy ich umysłów, nie mogłam dojrzeć, co to było. Ich twarze miały pusty wyraz, ale w oczach tliły się emocje. – Ufasz mi, Elm? – zapytał Ravyn.

– A mam jakiś wybór? – Po chwili, gdy mgła zniknęła z jego oczu, Elm westchnął, dodając: – Tak. Ufam ci. Bezgranicznie.

Znowu nadeszła moja kolej. Chciałam zapytać, czy mnie też ufa, ale wiedziałam, że to zbyt ryzykowne pytanie.

– Czy boli cię zbyt długie używanie Sierpa?

Elm wpatrywał się we mnie przez chwilę. Sierp był oznaką mocy – kontroli. Okazywanie bólu oznaczało utratę kontroli. Ból był słabością. A dla księcia Blunder słabość nie wchodziła w grę.

Jednak w przeciwieństwie do swojego brata, Elm nie udawał, że jest niezniszczalny. Tym razem nawet nie próbował kłamać.

– Tak – odpowiedział, prostując plecy i zaciskając szczęki. – Za każdym razem, gdy używam jej zbyt długo, czuję, jakby ostre szpikulce wbijały mi się w czaszkę.

– Myślisz, że bardziej nadajesz się na króla niż ja? – Hauth obserwował młodszego brata.

Elm zwrócił się w jego kierunku.

– Tak – odparł, głębia jego zielonych oczu i kryjąca się w nich nienawiść była tak wielka, że aż się wzdrygnęłam. – Ale już to wiedziałeś.

Czułam, jakby od panującego między nami napięcia za chwilę stół miał pęknąć na pół. Grają w tę grę dla zabawy? Zawrzałam w ciemności. Wojny wybuchały z błahszych powodów.

T a g r a t o w ł a ś n i e w o j n a, m o j a k o c h a n a, o d e z w a ł s i ę K o s z m a r. A K i e l i c h – p r a w d a – j e s t n a j l e p s z ą i s t n i e j ą c ą b r o n i ą.

– Jestem następny – odezwał się Ravyn.

– Po co? Obydwaj wiemy, że powiesz, co tylko będziesz chciał, tak jak zwykle – zadrwił Hauth.

Rysy twarzy Ravyna znieruchomiały, mężczyzna przybrał maskę pełnego opanowania. Nie może użyć Kielicha. A Kielich nie może zostać użyty przeciwko niemu.

W i ę c k a p i t a n k a w a l e r z y s t ó w m o ż e r o b i ć t o, w c z y m j e s t n a j l e p s z y, d o d a ł K o s z m a r. K ł a m a ć.

Hauth zrobił minę, jakby znowu chciał zaprotestować, ale uprzedziła go Ione.

– Czy zależy ci na Elspeth? – zapytała. – Tak naprawdę?

Palce Ravyna zacisnęły się na mojej dłoni.

– Od chwili, gdy tylko ją poznałem. – Przerwał na moment. – No, może od drugiej chwili.

Rzuciłam mu spojrzenie z ukosa. Ione obserwowała mnie ze swojego miejsca, na jej ustach pojawił się uśmiech, który zaraz zniknął. Elm przewrócił oczami, a Jespyr wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Hauth spojrział na niego groźnie.

– Co robisz, kiedy nie jesteś z kawalerzystami? – zapytał Ravyna. – Dokąd się wybierasz?

– Miało być tylko jedno pytanie – warknął do brata Elm.

Hauth uderzył ręką w stół, wstając raptownie na nogi.

– Mógłbym zadać mu setki pytań i nie usłyszeć ani krzty prawdy. Na tym polega jego dar. Czyż nie, kuzynie?

Nikt się nie odezwał. Twarz Ravyna pozostawała spokojna, nietknięta skutkami gniewu Hautha.

– Byłem zajęty – odpowiedział – wypełnianiem rozkazów króla. Co innego miałbym robić?

Księżę zmarszczył brwi, gdy opadł z powrotem na krzesło.

Głos Jespyr był cichy.

– Nie żałujesz, że zostałeś kawalerzystą, że nie wiesz normalnego życia?

Wymienili między sobą długie spojrzenia, a pionowa zmarszczka między brwiami Ravyna zniknęła.

– Tylko w te dni, kiedy nie mam przy sobie siostry, która trzyma mnie w ryzach.

Nadeszła kolej Elma.

– Na drzewa, Ravyn, no nie wiem. – Przejechał dłonią po czole. – Uważasz, że wyglądam lepiej od ciebie?

– Bez wątpienia. – Kącik ust Ravyna drgnął.

Teraz była moja kolej. Spojrzałam na kapitana, a on odpowiedział tym samym, jego szare oczy były tak samo jasne jak wtedy, gdy wziął mnie za rękę i zaprowadził do głębokich podziemi zamku – wpuszczając mnie do świata tajemnic, zdrady i celu. Świata rozbójników i soli.

– Nadal udajesz? – zapytałam, rozkoszując się jego spojrzeniem.

Ravyn wydał z siebie zaskoczony śmiech i na oczach wszystkich pochylił się i mnie pocałował.

– Nigdy nie udawałem – wyszeptał w moje usta.

Kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że spojrzenie Hautha było wycelowane prosto we mnie. Oparł dłonie na stole, splatając ze sobą palce i skrywając turkusowe światło Kielicha.

– A teraz chwila, na którą tak długo czekałem. Twoja kolej, panno Spindle.

Poczułam, że pot zbiera się na moich dłoniach, a oddech stał się urywany i świszczący.

Spokojnie, odezwał się Koszmar. Kielich jest Kartą prawdy. Ale prawda musi być w coś oprawiona – otoczona – spleciona. Pytanie jest równie ważne, jak odpowiedź.

Ledwo zdążyłam zebrać myśli, gdy odezwała się Ione, jej brązowe oczy były czujne, schwyte w coś pomiędzy ciekawością a zimną kalkulacją.

– Czy jesteś zakochana, Elspeth?

Poczułam, jakbym zaraz miała umrzeć. Po raz pierwszy w życiu o mało co nie nienawidziłem swojej kuzynki. Zaczęłam się zastanawiać, czy Karta Dziewicy zaradziłyby coś na wybite zęby.

To bestialstwo, jęknęłam, Pomóż mi.

Pomóc ci?

SŁYSZAŁEŚ MNIE. Pomocy.

Kielich wpływa na twoją krew, powiedział. Moja siła – magia – nie jest w stanie ci pomóc. Jego śmiech zagrzmiał w ciemności. Chyba że chcesz, żebym wyrwał Kartę Kielicha z ręki wielkiego księcia... i na wszelki wypadek połamał mu wszystkie palce.

Nie pomagasz.

W takim razie musisz znaleźć swój własny sposób na obejście magii Kielicha.

Miał rację – magia Kielicha była dziwna. Nie czułam jej w żyłach, nie wyczuwałam też znajomego zapachu soli. Tkwiła gdzieś w moim ciele, uwięziona, czekająca na odpowiedź.

Kiedy spróbowałam skłamać, zaniosłam się kaszlem, wrażenie duszenia było tak ostre, że zaczęły mi łzawić oczy.

– Daj spokój – odezwała się Jespyr. – Nie musi na to odpowiadać, jeśli nie chce.

– Reszta z nas musiała – powiedział Hauth, mrugając do Ravyna. – Pozwól dziewczynie dokończyć.

Ale nie mogłam. Nie byłam gotowa, żeby to powiedzieć, nawet jeśli dokładnie to czułam. Prawda była zbyt nowa, zbyt krucha, podatna na każde złamanie. Walczyłam, by znaleźć sposób na jej obejście – ale magia za każdym razem blokowała mi język, dusząc mnie, aż brakowało mi powietrza.

O d d y c h a j, zawołał Koszmar, jego głos był niczym mała świeca pośród ciemności.

Obok mnie Ravyn poruszył się niespokojnie.

– Elspeth. – Ścisnął moją dłoń. – Nie musisz...

– Tak – wydusiłam, a słowo wymknęło się ze mnie bez oporu, tak szybko i bez wysiłku, że nie można było pomylić tego z niczym innym. Powiedziałam prawdę.

Próbowałam wyrwać rękę z uścisku Ravyna, ale nie pozwolił mi na to, jego kciuk przesuwiał się po moich knykciach. Mimo to nie spojrzałam na niego. Rzuciłam Ione gorzkie spojrzenie, jej pytanie było zbyt intymne, obnażające mnie z czegoś, czego nie byłam gotowa wypowiedzieć na głos.

Hauth uważnie śledził dyskomfort malujący się na mojej twarzy, przyglądając mi się. Polując na mnie.

– A teraz pytanie, które od dawna chciałem zadać. – Pochylił się do przodu. – Proszę mi zdradzić, panno Spindle – powiedział głosem ociekającym fałszywym

urokiem. – Co się stało z twoją ręką?

Nie musiałam podnosić głowy, żeby wiedzieć, że Ravyn, Jespyr i Elm zeszywnieli na swoich krzesłach. Ravyn pociągnął mnie pod stołem za rękę, ale zignorowałam go, zastygła w bezruchu, chwytając się słów, które nie posłałyby mnie na stryczek.

Kielich wykręcał mi język, blokując kłamstwa, zanim zdążyły dotrzeć na powierzchnię. Hauth był sprytny. Nie mógł wykraść sekretów Ravynowi, człowiekowi odpornemu na działanie Kielicha, ale mógł ukraść moje, będące w stanie pogрузić nas wszystkich.

– Ja... – zaczęłam, dławiąc się własnymi słowami. – Ja... Ja byłam...

– Mówiłam ci przecież, że spadła... – Ione położyła dłoń na ramieniu Hautha.

– Zamknij się, Ione – warknął Hauth, zrzucając jej rękę.

– Czy nie dość długo znosiła twoje złościwości, bracie? – wycedził przez zęby Elm.

– Co ci do tego, bracie?

– Nazwij mnie staroświeckim, ale myślę, że nie powinno się używać Sierpa na kobiecie, którą zamierzasz poślubić.

Zaczęli się kłócić, Jespyr się przyłączyła, ale nie słyszałam, co mówili. Czułam, jakbym dławiła się własną żólcia.

U s p o k ó j s i ę, zawołał Koszmar, brzmiać, jakby jego głos jednocześnie dobiegał z oddali i z bliska. P r ę d z e j c z y p ó ź n i e j, p r a w d a w y j d z i e n a j a w. S a m a t a k p o w i e d z i a ł a ś.

Nie miałam na myśli, że wyjdzie na jaw W TAKI sposób!

Rzuciłam spojrzenie Ravynowi. Musiał dostrzec strach w moich oczach, ponieważ kiedy na mnie spojrzął, na jego twarzy malował się ból, jakiego nigdy u niego nie widziałam – surowy, opiekuńczy. Chwycił moją rękę i chociaż ledwo otwierał usta, udało mi się zrozumieć trzy proste słowa.

– Pozwól mi pomóc.

Łzy wypełniły moje oczy. Obok mnie znowu zamigotała Karta Koszmaru Ravyna. Sól wypełniła mój nos i zamarłam, poniewczasie orientując się, co Ravyn miał na myśli.

Pozwól mi pomóc.

– Nie, Ravyn... – Zachłysnęłam się powietrzem.

Ale było już za późno. Złamał daną mi obietnicę.

Uczucie wtargnięcia do mojego umysłu, dało wrażenie, jakby ktoś polał mnie lodowatą wodą. Czułam to w moich uszach – oczach – nosie, na łuku ust. Zaczęłam kaszleć, walcząc o oddech.

Wszystko w porządku, Elspeth. Głos Ravyna rozbrzmiał w mojej głowie. **Potrafisz to zrobić – ostrożnie dobieraj słowa. Zapytał, co się stało, a nie, jak**

to się stało.

Ledwo go słyszałam. Byłam zbyt zajęta krzyčeniem, moje palce wbijały się w rękę kapitana kawalerzystów.

Nie, nie, nie! Powiedziałam „nie”, Ravynie!

Oddychaj Elspeth, odezwał się, jego głos był spokojny. **Będzie dobrze.**

Powiedziałam „NIE”, Ravynie, krzyknęłam. Wynoś się stąd!

Poruszył się, zdezorientowanie i ból pojawiły się w kącikach jego oczu.

Przepraszam, powiedział. **Chciałem tylko...**

Koszmar wyskoczył z ciemności niczym drapieżna bestia.

S ł y s z a ł e ś j ą, syknął, wymachując pazurami, z jego gardła wydostało się krwiożercze warczenie. O d e j d ź, R a v y n i e Y e w. O d e j d ź.

Kapitan z impetem spadł ze swojego krzesła, stół, przy którym siedzieliśmy, zatrzęsł się.

– Spokojnie! – zawołała Jespyr, skacząc na równe nogi. Pozostali też wstali, ich spojrzenia przeskakiwały ze mnie na mężczyznę, który siedział oszołomiony na podłodze, a jego przystojna twarz wykrzywiała się ze strachu.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. – Elm szybko okrążył stół.

Szare oczy Ravyna, szeroko otwarte i szkliste, wpatrywały się w moją twarz.

– Nie, nie widziałem.

– Siadajcie – warknął Hauth. Sięgnął do przodu, przepychając się obok Ione, i złapał mnie za zranioną rękę. – Wszystko w porządku, panno Spindle, możesz mi powiedzieć prawdę – powiedział, przyciskając kciuk do mojego złamanego nadgarstka. – W końcu to tylko gra.

Jespyr rzuciła się na niego.

– Daj jej spokój – wrzasnęła, odciągając go do tyłu, lecz jego palce szarpnęły mój nadgarstek, zanim mnie puścił.

Zobaczyłam przed oczami gwiazdy, czując się chora z bólu. Hauth i Jespyr skoczyli sobie do gardeł. Elm ściągał Ravyna z podłogi. Nikt poza mną nie widział, jak Ione sięga po porzuconą Kartę Kielicha i delikatnym opuszką palca stuka w niego, uwalniając magię.

Wymieniłyśmy spojrzenia. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale kuzynka zdążyła wstać, wymykając się z wielkiej sali.

Ravyn, który stał już na nogach, wyglądał jak wilk szykujący się do skoku, kiedy zwrócił się do kuzyna:

– To była zasadzka, a nie gra – warknął. – Pozwalaliśmy ci na twoje błazenady wystarczająco długo. – Podał mi rękę, a kiedy ją chwyciłam, skinął na Jespyr i Elma. – Wychodzimy.

Odetchnęłam z ulgą, stając na nogi.

Ale świat wokół mnie runął, poczułam, jak uginają się pode mną kolana.

Upadłam, uderzając o podłogę.

Mdłości chwyciły mnie za brzuch, do gardła podchodziła mi gęsta, obrzydliwa żółć, dusząc mnie. Kiedy zaczęłam kaszleć, wypluwając ją na podłogę, była ciemna i gęsta – ciężka jak ziemia, którą kopałam tego ranka. Skapywała z moich palców, gorąca i lepka, pozostawiając długie, upiorne smugi, które zastygały na moich dłoniach.

Dopiero gdy znowu zakaszlałam, zdałam sobie sprawę, że to krew.

Jak głupiec próbowałam przeciwstawić się Kielichowi. Za bardzo starałam się skłamać.

Na krótką chwilę, zanim z wymiotowałam morze krwi, przypomniałam sobie insygnia Karty Kielicha: Serum Prawdy – stary napis wyryty nad wizerunkiem naczynia napełnionego czerwonym płynem. Po przeciwnej stronie drugi kielich był przewrócony – wylewał się z niego ciemny, niebezpieczny płyn...

Trucizna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

KOSZMAR

Kiedy się obudziłam, w pokoju panowały ciemności, a po chwili powoli zaczęło świtać. Wpatrywałam się w nicość, czując za oczami pulsujący, tępy ból.

Najpierw rozpoznałam sufit. Jeśli nie skupiałam zbyt mocno wzroku, sęki w deskach zmieniały się w dziwne, groteskowe twarze, które wpatrywały się we mnie z góry. Zanim w moim życiu nie pojawił się Koszmar, wyobrażałam sobie, że te kształty w drewnie to istoty, które nade mną czuwają, ni dobre, ni złe.

Ale to było bardzo dawno temu.

Usiadłam na swoim łóżku z czasów dzieciństwa i rozejrzałam się po pokoju, czując pulsujący ból z tyłu czaszki. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałam – skrzynia pełna sukienek, drewniany domek dla lalek. Stos koców, wyblakłych i zjedzonych przez mole, leżał tam, gdzie go zostawiłam jedenaście lat temu.

Pokój zatrzymał się w czasie, nic w nim się nie zmieniło. Jediną rzeczą, która nie miała tu swojego miejsca, było wysokie, drewniane krzesło, zaciągnięte z innego pokoju i postawione przy moim łóżku, oraz siedzący na nim mężczyzna.

Pogrążony we śnie Ravyn leżał na wpół zgięty, z lekko pochyloną głową – jakby w modlitwie. Jego twarz była gładka, sen zmył z niej całe napięcie i surowość. Z jego kieszeni emanowały znajome fioletowe i burgundowe światła.

Obserwowałam go przez jakiś czas, niebo za oknem stawało się coraz jaśniejsze. Zastanawiałam się, jak udało im się mnie tutaj przynieść, na samą górę. Jak udało im się wyleczyć mnie z trucizny Kielicha.

Jednak przede wszystkim zastanawiałam się, czy po ostatniej nocy Ravyn Yew bezpowrotnie zmienił o mnie zdanie.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi mojej sypialni. Zamknęłam oczy, udając, że śpię.

Ravyn gwałtownie się obudził, zrywając się na równe nogi.

– Kto tam?

– Elm.

Usłyszałam skrzypienie klamki i następujące po nim kroki Elma, które przyspieszyły, gdy mężczyzna wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Jak z nią?

– Nadal śpi – mruknął Ravyn. – Filick wyszedł kilka godzin temu.

– Pojawilo się więcej krwi?

– Nie.

– Mógłbym zabić Hautha – powiedział Elm, gotując się ze złości.

– Bardziej niepokojące jest to, dlaczego w ogóle chciał użyć na nas Kielicha – odpowiedział Ravyn. – Twój brat podejrzewa, że to my byliśmy tamtej nocy w lesie. Nie ma na to dowodów, ale coś podejrzewa.

– Musimy być ostrożni.

– Jestem tego świadomy.

– Spałeś choć trochę?

Przeciągłe ziewnięcie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Usiądź, zanim się przewrócisz – zarządził Elm.

Krzesło zaskrzypiało pod ciężarem kapitana. Utrzymawałam opuszczone powieki, niepewna, kiedy ani czy w ogóle powinnam się odezwać.

– Wczoraj wieczorem, użyłam na niej Karty Koszmaru. – Ravyn ściszył głos.

Stężałam, moje mięśnie się napięły.

Elm milczał przez chwilę.

– Zrobiłeś to, żeby jej pomóc, przeprowadzić ją bezpiecznie przez grę. Tak jak pomogłeś mnie.

– Na samym początku powiedziałem jej, że nie użyję na niej Koszmaru. Dałem jej słowo.

– Powiedziałbym, że ostatni wieczór jest okolicznością łagodzącą. – Księżę prychnął.

– Wątpię, żeby ona to tak widziała.

– Dlaczego?

Ravyn przez chwilę siedział w ciszy. Kiedy wreszcie się odezwał jego głos był cichy, pełen zwątpienia.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić – zaczął. – Pierwszy raz czułem coś takiego. Jakbym został wepchnięty wprost do morza. Jej umysł był ciemny, rozchwiany, jak statek podczas sztormu. Kiedy z nią rozmawiałem, słyszałem jej głos, ale dochodził jakby z oddali. – Urwał i rozległ się dźwięk, jakby przesuwając ręką po pokrytych zarostem policzkach. – Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, Elm. Musiałem postradać zmysły.

P o z w o l i s z m u t a k c i e r p i e ć?, wyszeptał Koszmar.

Mocniej zacisnęłam powieki. *Co on sobie o mnie pomyśli?*

A m a t o j a k i e ś z n a c z e n i e?

Oczywiście, że ma. On ma dla mnie znaczenie.

T o g o n i e o k ł a m u j.

Oddech zarzęził mi w piersi. Otworzyłam oczy i wpatrzyłam się w Ravyna i Elma.

– Elspeth – odezwał się Ravyn, przysuwając swoje krzesło bliżej łóżka. Sięgnął po moją dłoń. – Jak się czujesz?

– Okropnie – przyznałam. – Co się stało?

– Po tym, jak wyrzygałaś jezioro krwi – powiedział Elm, opierając się o słupek łóżka. – Filickowi udało się podać ci antidotum. Przez jakiś czas będziesz osłabiona.

Potałam twarz, po czym spojrzałam Ravynowi w oczy.

– Prosiłam cię, żebyś nie używał na mnie swojej Karty Koszmaru – zwróciłam się do niego, mój głos był cichszy od szeptu.

Na przystojnej twarzy kapitana odmalował się wstyd.

– Wiem – odpowiedział. – Przepraszam. Myślałem, że pomagam. – Potem, jakby walcząc ze słowami cisnącymi się na jego usta, wypuścił gwałtownie powietrze. – Co się, do cholery, stało, Elspeth? Co to za głos w twojej głowie?

– Głos? – powtórzył za nim Elm.

– Odezwał się do mnie czyiś głos – powiedział Ravyn. – Jakby szeptał mi prosto do ucha.

– Co ci powiedział?

– Powiedział mi, żebym wynosił się z jej głowy. – Ravyn spojrzał na mnie przeszywająco.

Do moich oczu napłynęły łzy, zdradzając mnie, gdy zaczęły spływać po policzkach. Ravyn sięgnął do mojej twarzy.

– Elspeth. – Wymówił pieszczotliwie moje imię. – Cokolwiek to jest, pomogę ci. Po prostu mi powiedz.

– Nie możesz mi pomóc, Ravyn. – Pokręciłam głową.

– Chyba mogę spróbować, prawda?

Nie umiałam wydobyć z siebie tych słów – wypowiedzieć ich na głos przez jedenaście lat. Pogrzebałam prawdę tak głęboko, że nie wiedziałam, jak ją teraz wydobyć.

Wskazałam palcem na burgundowe światło emanujące z jego kieszeni.

– Będzie lepiej, jeśli ci pokażę.

Ravyn trzykrotnie uderzył palcem w Kartę Koszmaru, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. Wtargnięcie do mojego umysłu było równie szorstkie, co ubiegłej nocy – jakbym zanurzyła się w lodowatej, słonej wodzie. Za moimi oczami czekał Koszmar.

Bądź dla niego miły, wyszeptałam.

To było bardzo dziwne uczucie, widzieć siedzącego przede mną Ravyna i wyczuwać jego obecność w swoim umyśle jednocześnie.

Ravyn, odezwałam się.

Elspeth.

Głos Koszmaru był śliski, ociekający jadem.

Ravyn Yew, odezwał się. Przynajmniej, tym razem dostałeś zaproszenie.

Ravyn odskoczył, miał szeroko otwarte oczy.

– O co chodzi? – zapytał Elm, jego ręka spoczywała na ramieniu kuzyna.

– Coś tam jest – wydyszał Ravyn. – Ktoś jeszcze.

– Człowiek?

– Nie, nie człowiek. Nie... nie wiem. – Przyjrzał mi się badawczo. – Co to jest?

Skinęłam głową na Kartę znajdującą się w jego dłoni. Na rewers, tuż poniżej burgundowego aksamitu, gdzie namalowany był potwór.

Koszmar.

Ravyn zamrugął.

– To... – powiedział, trzymając między nami Kartę. – To coś jest w twojej głowie?

Elm zbladł jak ściana, jego oczy zrobiły się szkliste, palce zaciskał na ramieniu Ravyna.

Kim jesteś? Zwrócił się do niego groźnie kapitan, krzycząc w ciemności.

Koszmar ani trochę nie przejął się jego tonem.

Pastuchem cieni. Widmem strachu. Demonem z dnia.
Koszmarem nocą.

Dlaczego znajdujesz się w umyśle Elspeth?

Wspomnienia zawirowały mi przed oczami. Nagle znowu byłam w bibliotece wuja, Karta Koszmaru spoczywała na biurku z wiśniowego drewna. Wpatrywałam się w potwora namalowanego na Karcie. Żółte ślepia – ostre jak brzytwa kły – pasek sierści przebiegający przez jego kręgosłup, zgięta postawa, potwór przyczajony do skoku i wpatrujący się we mnie.

Zobaczyłam swoje małe, dziecięce ręce sięgające po Kartę, a zapach soli wypełnił nagle bibliotekę.

Wszystko spowiła ciemność.

Naprzeciwko mnie twarz Ravyna nie wyrażała niczego, tylko w jego oczach widziałam słabo skrywane przerażenie.

– Nie rozumiem – przyznał. – W jaki sposób dostał się do twojego umysłu?

– Dotknęłam Karty Koszmaru należącej do mojego wuja – wyznałam i zerknęłam na Elma. – To moja umiejętność, moja magia. W chwili, gdy moja skóra dotknie Karty Opatrzności, wchłaniam ofiarę, to, czym musiał za nią zapłacić król Shepherd.

Elm miał trudności ze sformułowaniem kolejnego zdania.

– Co masz na myśli, mówiąc, że „wchłaniasz ofiarę”?

Zazgrzytałam zębami.

– Kiedy król Shepherd tworzył Talię, Duch zażądał zapłaty. Więc za każdą z nich płacił określonym przedmiotem, zwierzęciem...

Elm pokręcił głową, zniecierpliwiony.

– Spindle, bez całej opowieści na dobranoc. Przejdź do rzeczy, z łaski swojej.

– Daj jej mówić – warknął na niego Ravyn.

Przełknęłam głośno ślinę, gardło miałam ściśnięte, słowa niechętnie opuszczały moje usta.

– Kiedy król Shepherd stworzył Kartę Koszmaru, w ramach zapłaty musiał oddać część siebie. – Zamknęłam oczy.

– Swoją duszę. – Głos Ravyna był ostry jak brzytwa.

– Właśnie to wchłonęłam, kiedy dotknęłam Karty Koszmaru wuja. – Pokiwałam głową.

Mężczyźni wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczyli mnie po raz pierwszy w życiu.

– Skoro wymienił swoją duszę za Kartę – wyszeptał Elm – a ty ją wchłonęłaś, to głos w twojej głowie...

Śmiech Koszmaru wypełnił mój umysł, Ravyn słysząc to, drgnął.

Otworzyłam oczy, prawda wreszcie wyrwała się na zewnątrz, kawałek po kawałku.

– To król Shepherd.

W całym Spindle House nie było wystarczająco dużego pokoju, by był w stanie pomieścić ciężką ciszę, która zapadła po moich słowach. Elm wyglądał, jakby miał zaraz zacząć krzyczeć, trzymając rękę na ustach, jego zielone oczy były szeroko otwarte, brwi uniesione w szoku.

Jednak to reakcja Ravyna wstrząsnęła mną o wiele bardziej. Bezruch – jego twarz zastygła, jakby wykuta w kamieniu.

– A co z Kartami Opatrzności? – zapytał. – Naprawdę widzisz ich kolory?

– Ja nie, ale on tak. – Odwróciłam wzrok.

– Chcesz nam powiedzieć, że ta bestia – odezwał się Elm, wskazując na kartę Koszmaru spoczywającej w ręku Ravyna – to tak naprawdę król Shepherd? Że to on wskazywał nam, gdzie są Karty?

– Nie rozmawia ze mną. – Przygryzłam wewnątrz policzka. – A jeśli już to rzadko.

– Ale pomaga ci – wtrącił Elm. Głos księcia przybrał na sile. – Dlatego umiesz walczyć, jesteś szybka i silna. Jak inaczej mogłabyś przetrwać atak swojego ojca na leśnym trakcie? – Odwrócił się do Ravyna. – W taki sposób okaleczyła Hautha i raniła Lindena. On to dla niej zrobił.

– Nie daję mi swojej siły, chyba że go o to poproszę. – Nie próbowałam zaprzeczać.

– Jak miło z jego strony – zakpił Elm. – Wprost cudownie. Robi się coraz lepiej i lepiej. Jak rozumiem te żółte oczy, które wszyscy widywaliśmy u ciebie przez ostatnie tygodnie, należą do niego?

Zacisnęłam mocno zęby, tępy ból głowy był niczym w porównaniu z rozpaczą przygniatającą moją pierś. Chciałam płakać – wślizgnąć się w poduszki i spać przez następne sto lat – ich czujne spojrzenia i pozostałości strachu malujące się na twarzy Ravyna były zbyt bolesne, nie mogłam tego znieść.

– Daj nam chwilę, Elm. – Kapitan przesunął dłonią po moim ramieniu.

Książę zbladł.

– To tylko dowodzi, że wszystko, co ci o niej mówiłem, jest prawdą. Że przez cały ten czas nas okłamywała!

– Proszę. Wyjdź. – Ravyn rzucił kuzynowi ostre spojrzenie.

Elm aż się skrzywił ze złości. Chociaż jego ramiona były rozluźnione, zaciskał mocno szczęki. Pod jego zmarszczonymi brwiami, w zmrużonych oczach dostrzegłam łzy.

Kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem, Ravyn odwrócił się do mnie ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś, Elspeth?

– Sekrety trzymam w ukryciu – powiedziałam, szczękając zębami. – Sekretów mam wiele. Z nikim się nimi nie podzieliłam i nigdy nie podzielę.

Ravyn wpatrywał się we mnie, ściągając brwi.

Widziałeś, tak jak pozostali, wymruczał Koszmar. Dostrzegłeś żółć w jej oczach tej samej nocy, w której zaatakowałaś ją na leśnej drodze. A od tamtej pory widziałeś tę zmianę kilkanaście razy.

Nie miałem prawa domagać się odpowiedzi, odparł Ravyn. **Skąd miałem wiedzieć, że to był jej sekret?** Ścisnął moje ramię.

– Siedzi w twojej głowie od jedenastu lat?

– Uwięziony – przyznałam. – Tak samo jak ja. A teraz staje się coraz silniejszy. Na tym właśnie polega moje wynaturzenie. – Zamrugalam, czując, jakby mój umysł znajdował się daleko ode mnie. – Za każdym razem, gdy proszę go o pomoc, staje się silniejszy.

– Czy kiedykolwiek cię skrzywdził?

Koszmar zasyczał.

Skrzywdził? Ja ją chronilem.

To dlaczego stajesz się silniejszy?, zażądał odpowiedzi Ravyn.

Pazury Koszmaru zastukały o ciemną podłogę mojego umysłu, jak gdyby chodził niespokojnie w tę i z powrotem.

Kiedy Rowan mnie zabił, moja dusza się zachowała, zapieczętowana w Karcie Koszmaru. Czekałem setki lat, trawiony przez wściekłość i sól. Jego głos przylgnął do mnie, jakby był z wosku. Elspeth wyciągnęła mnie z Karty, z mroku. Dlatego chroniłem ją przed światem, by nikt jej nie skrzywdził. Szeptalem jej fragmenty *Starej Księgi Olch*. Była dobra, sprytna i mądra. Ale nauczyłem ją, jak być ostrożną. Dałem jej moje dary – moją siłę. Ale wszystko ma swoją cenę, Ravynie Yewie. Szczególnie magia.

Co się z nią stanie, kiedy staniesz się zbyt potężny? Głos Ravyna przeszedł w ledwie słyszalny szept.

Ale jedyną odpowiedzią Koszmaru był wszechobecny dźwięk kłapiących zębów.

Moje myśli były skąpane w ciemności. Niemal czułam szorstkie futro na grzbiecie Koszmaru, jakbym miała je pod palcami. Jego głos brzmiał jak setka ptaków, miotających się rozpaczliwie w moim umyśle.

– Ruiny w waszym ogrodzie... to był jego zamek. Pierwszy król Rowan spalił go, mordując króla Shepherdę i jego rodzinę. – Spojrzałam na Ravyna, oczami wilgotnymi od łez. – Został pochowany pod kamieniem w komnacie na ziemiach Zamku Yew.

Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili znowu, tym razem bardziej nagłaco.

– Nie teraz – krzyknął Ravyn.

– Król wzywa nas na dół – odezwała się Jespyr po drugiej stronie drzwi. – Natychmiast.

– Powiedz mu, że jestem zajęty.

– Jeśli nie pojawisz się z nami, będzie to wyglądało zbyt podejrzanie, Ravyn.

Ravyn przeciągnął dłońmi po twarzy, cienie pod jego oczami były jeszcze wyraźniejsze w świetle dnia.

– Zaraz przyjdę.

Kroki Jespyr ucichły na klatce schodowej.

– Czego może chcieć król? – zapytałam. – Myślałam, że wszyscy zostają na kolejną noc świętowania.

– Na pewno chce omówić harmonogram patroli – powiedział kapitan. – Mój wuj zarządził częstsze kontrole uzdrowicieli w mieście, odkąd zainfekowany chłopiec i jego rodzice zniknęli. A my zajmujemy się ich ochroną.

Wysunął dłoń z mojej, po czym stuknął trzykrotnie w swoją Kartę Koszmaru, zrywając nasze połączenie. Czułam wiszące między nami napięcie – wahanie.

A kiedy sięgnęłam po niego, był już przy drzwiach.

– Porozmawiamy po moim powrocie – oznajmił. – Odpocznij, Elspeth.

Leżałam w łóżku od pięciu minut, tak zestresowana, że moje nogi bez udziału woli, skopały wszystkie koce.

M u s i s z o d p o c z ą ć, odezwał się Koszmar. T r u c i z n a c i ę o s ł a b i ła.

Zignorowałam go, przesuając nogi na krawędź łóżka.

Zatrzymało mnie pukanie do mojego pokoju.

– Tak?

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem, mój ojciec niezręcznie podszedł do mnie na palcach, jakbym była śpiącym olbrzymem, którego nie należało budzić.

– Nie byłem pewien, czy już nie śpisz – powiedział.

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt pochłonięta światłem, które wydostawało się z jego kieszeni, oślepiające i szafirowoniebieskie. Karta Studni.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

Posłałam mu szybki uśmiech, zmuszając się do zachowania spokoju, chociaż każdą komórką swojego ciała wyczuwałam obecność Karty Studni. Gdy ręce zaczęły mi drżeć z nerwów, musiałam na nich usiąść.

– Czuję się lepiej, jestem tylko zmęczona.

Ojciec zatrzymał się u stóp mojego łóżka, z szeroko rozstawionymi nogami i splecionymi do tyłu rękami, jak zwykle, kawalerzysta do szpiku kości.

– Złapałem Filicka Willow, gdy od ciebie wychodził. Powiedział mi, że używałaś Kielicha. To prawda?

– Książę Hauth używał, nie ja – odpowiedziałam, mój głos był lodowaty. – Znalazłam się tam przez przypadek.

– Hmm. – Niebieskie oczy mojego ojca przesunęły się po pokoju. – Zachowałbym ostrożność w obecności księcia Hautha, Elspeth. Nie jest... Jest bardzo...

– Okropnym człowiekiem?

– Jest nieodrodnym synem swojego ojca. – Kącik ust ojca uniósł się delikatnie.

Nie pytałam, co miał na myśl. Wątpiłam, czy udzieliłby mi odpowiedzi, nawet gdybym go zapytała.

– A co z Ravynem Yewem?

– Co z nim? – Wyprostowałam się jak struna.

Skrzywił się, czuł się wyraźnie nieswojo poruszając ten temat.

– Wydaje się, że cieszy się swoimi zalotami.

Dopóki chłopak nie zorientował się, że martwy od pięciuset lat król, przejmując twój umysł, usłużnie powiedział Koszmar.

– Bardzo go lubię. – Staralam się uśmiechnąć.

Ojciec sięgnął do kieszeni i zeszywniałymi palcami wydobył z niej jaskrawe, niebieskie światło. Położył Kartę w nogach mojego łóżka i odsunął się. Do Karty przymocowano ususzoną łądygę krwawnika.

– Twoja matka podarowała mi tę Kartę, gdy się pobieraliśmy – powiedział niskim głosem. – To ona ją dostała, ale postanowiła oddać ją mnie. „Na co mi Karta Studni?”, powiedziała w swój zwykły beztroski sposób. „Tylko mężczyźni potrzebują Karty, żeby śledzić swoich wrogów”.

Nigdy nie mówił o mojej matce. Kiedy zobaczyłam jego szkliste spojrzenie, poczułam, że coś we mnie pęka.

– Chciałbym, żebyś ją miała – oświadczył, po czym odetchnął, prostując się jeszcze bardziej niż wcześniej. – Nie musisz dawać jej Ravynowi. Nie musisz nikomu jej dawać. Po prostu pomyślałem... – Odwrócił ode mnie twarz, jego wzrok skupił się na światłach padających przez okno, głos był zaledwie szeptem. – Gdybym mógł cofnąć czas i postąpić inaczej, Elspeth, zrobiłbym to.

Nie dał mi czasu na odpowiedź. Tak było lepiej, ponieważ nie miałam pojęcia, co mogłabym mu powiedzieć. Byłam zbyt wzruszona, zbyt poruszona, by powiedzieć coś więcej niż zwyczajne „dziękuję”, które wymamrotałam, gdy zamykał drzwi od mojego pokoju.

Moja czarna suknia leżała porzucona na podłodze. Nawet jeśli pokrywała ją krew, czarna tkanina skutecznie to ukryła. Ubrałam się i zeszłam po schodach na półpiętro, doniosły głos króla niósł się po całym domu, a goście mojego ojca nadal spali.

Chmura ciemności emanowała z parteru. Kawalerzyści nie wyruszyli jeszcze na patrol. Prześlizgnęłam się przez półpiętro, przysiadając na szycie klatki schodowej. Mijali mnie kawalerzyści, Ravyn i Elm szli jako ostatni. Obserwowałam ich, czerwień, fiolet i burgund były jedynymi jasnymi kolorami pośród morza czerni.

Przyciągnięty moim spojrzeniem Ravyn odwrócił się, a jego szare oczy odnalazły mnie na klatce schodowej. Kiedy się zbliżył, dostrzegłam jego nieprzeniknioną twarz. Oparłam się o poręcz, moje długie włosy spływały czarną kurtyną między nami.

– Karta Studni jest w mojej sypialni – wyszeptałam.
– Ukradłaś ją Erikowi? – Ravyn szeroko otworzył oczy.
– Dał mi ją.
– Tak po prostu? – Uniósł brew.
– Dokładnie tak.
– Poślę po Filicka, żeby sprawdził, co u ciebie. Może zabrać ją ze sobą do Zamku Yew. – Zaśmiał się cicho.

Czułam między nami napięcie, to samo, które wyczuwałam w moim pokoju chwilę temu. Sięgnęłam przez drewniane tralki schodów. Udało mi się dotknąć jego ramienia.

– Ja... Przepraszam, Ravynie – szepnęłam. – Przepraszam, że ci tego nie powiedziałam. Nie sądziłam, że po tym mógłbyś mi zaufać. A potrzebowałam twojego zaufania, jeśli mieliśmy odnaleźć Karty i zdobyć lek.

Pokręcił głową, sięgając w górę, by czubkami palców musnąć mój policzek.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Elspeth. To ja złamałem dane ci słowo.

– Powinnaś była powiedzieć ci o tym wcześniej – dodałam. – Tylko nie wiedziałam jak.

– Wiem. – Ravyn posłał mi smutny uśmiech.

Elm zakaszła znacząco, czekając przy drzwiach.

– Kiedy wrócisz? – Mój wzrok padł na usta kapitana.

– Dziś wieczorem – odpowiedział, muskając kciukiem moje wargi, gdy odsuwał rękę.

Chwilę później wyszedł za próg Spindle House, na dziedziniec, depcząc pierwsze krwawe liście, które opadły z wiekowego drzewa.

Pazury Koszmaru drapały mój umysł.

– Bądź bezpieczny – wyszeptałam, moje życzenie uleciało w powietrze, podczas gdy Ravyn Yew zniknął za bramą.

Gdybym wiedziała, że to będą moje ostatnie wypowiedziane do niego słowa, być może dobrałabym je nieco inaczej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Bycie czujnym oznacza bycie ostrożnym – należy zachować ostrożność wobec tych, którzy używają magii w złym celu.

Bycie sprytnym oznacza bycie mądrym – należy mądrze korzystać z Kart i ich nie nadużywać.

Bycie dobrym oznacza bycie pełnym szacunku – należy szanować równowagę – soli w powietrzu – Ducha Lasu.

Bądź czujny. Bądź sprytny. Bądź dobry.

Filick pojawił się i zaraz zniknął wraz z Kartą Studni ukrytą głęboko w jego białych lekarskich szatach. Odprowadziłam go do drzwi, ale nie miałam siły, żeby iść z powrotem do mojego pokoju. Zaległam w salonie, niedaleko kominka. Popijałam przyniesiony przez Baliana rosół, podczas gdy dom wypełniał się głosami podnieconych gości.

Nigdzie nie widziałam Nerium ani moich przyrodnych sióstr i byłam z tego powodu bardzo zadowolona. Miałam jednak nadzieję zobaczyć Ione, tak szybko, jak szybko uda mi się zebrać siły, żeby podnieść się z fotela.

Nie rób tego, powiedziałam, kiedy Koszmar się poruszył. Chcę zostać sama.

W i e l k a s z k o d a, zawołał, prześlizgując się po moim umyśle. K t o ś n a d c h o d z i.

Wsunęłam się głębiej w fotel, modląc się, żeby nikt mnie nie zauważył. Ale kiedy drzwi salonu stanęły otworem, mój wuj był ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć.

Szukał czegoś, kręcąc głową w lewo i prawo. Kiedy zwróciłam się do niego po imieniu, podskoczył.

– Elspeth. – Zakaszłał. – Tutaj jesteś.

– Tak, jestem. – Z trudem podniosłam się na nogi.

– Słyszałem, że jesteś chora. Czujesz się już lepiej?

– Tak, najgorsze minęło. – Pokiwałam głową.

Wuj sprawiał wrażenie, jakby w ogóle mnie nie słyszał, jego spojrzenie wydawało się odległe, skupione na palenisku, z dala ode mnie. Po dłuższej chwili, ponownie się odezwał:

– Twoja ciotka jest tutaj, szuka cię.

Poczułam ciepło rozlewające się po mojej piersi, nieproszony uśmiech pojawił się na ustach.

– Gdzie jest?

– W twoim pokoju. Powiedziałem jej, że cię przyprowadzę. – Popchnął drzwi, jego usta zacisnęły się w wąską linię. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

Szliśmy po schodach w ciszy. Mięśnie mi drżały i musiałam zrobić kilka postoi, osłabiona działaniem trucizny. Wuj szedł tuż za mną, stopnie pod jego stopami skrzypiały, gdy stawiał kolejne kroki, pokonując drogę w górę.

Gdy dotarliśmy na piąte piętro, a do mojego pokoju zostało już tylko kilka schodów, zauważyłam, że drży.

Odwróciłam się, ale spuścił wzrok, jego blade usta wygięły się w wymuszonym uśmiechu.

– Nic mi nie jest – próbował mnie uspokoić. – Po prostu jest mi zimno.

Być może mówił prawdę. W tej części domu zawsze było chłodniej. Mimo to coś w wyrazie jego twarzy nie dawało mi spokoju – jego skóra była upiornie blada, jakby to on połknął truciznę, a nie ja.

W dodatku nadal na mnie nie patrzył. Poczułam nieprzyjemne ukłucie z tyłu umysłu. – Wszystko w porządku, wujku? – Przechyliłam głowę.

– Opal czeka. – Szttywno skinął, wskazując na schody.

C o ś u k r y w a, wymamrotał Koszmar.

Kontynuowałam wspinaczkę po schodach.

Kiedy weszłam do swojej sypialni, wiatr huczał przez otwarte okna. Szare, popołudniowe światło rzucało długie cienie na drewnianą podłogę. Nade mną pomiędzy krokiewiami zwisała pajęczyna, poruszana lekkim przeciągiem. Gdybym nie była tutaj dzisiejszego ranka i gdyby łóżko nadal nie było niepościelone, mogłabym pomyśleć, że pokój jest całkowicie opuszczony, wewnątrz nieruchome, zatęchłe i zimne.

W środku nie czekała na mnie ciotka.

Był za to ktoś inny, skryty w cieniu szafy. Hauth Rowan.

Koszmar zasyczał wściekle, jego pazury wbiły się w ciemność mojego umysłu.

U c i e k a j.

Ale było już za późno. Wuj stanął za mną, zagradzając mi drogę i wpychając głębiej do pokoju.

– Lepiej się czujesz, panno Spindle? – zapytał gładkim głosem Hauth.

– Co ty tutaj robisz? – Cofnęłam się, stając bliżej wuja, czułam narastającą panikę.

Wielki książę się uśmiechnął.

– Poprosiłem twojego wuja, żeby cię przyprowadził. Tak, żebyśmy mogli w spokoju porozmawiać.

– Użyłeś na nim Sierpa? – Spojrzałam przez ramię na wuja.

– Zechcesz odpowiedzieć, Tyrn? – Hauth nadal się uśmiechał.

Twarz wuja powiedziała mi wszystko. Spojrzenie jego orzechowych oczu było spuszczone, pomarszczyło się w poczuciu winy. Wpatrywałam się w niego, czekając, aż się odezwie, aż powie mi, że to kłamstwo, że został zmuszony, by mnie zdradzić i przyprowadzić przed oblicze wielkiego księcia.

Ale nie odezwał się ani słowem.

– Czego chcesz? – zapytałam drżącym głosem, odwracając się z powrotem w kierunku Hautha.

– Chcę poznać prawdę – odpowiedział. – Wiedziałem, że w końcu będę cię miał tylko dla siebie, gdy Ravyn ruszy na patrol. A teraz odpowiedz mi, panno Spindle. – Jego oczy opadły na mój rękaw. – Co ci się stało w rękę?

Zatrzęśłam się z wściekłości, bezradna.

Wielki książę skierował wzrok na mojego wuja.

– Możesz odejść, Tyrn. Gdyby ktoś pytał, zapewnij, że Elspeth nie chce, żeby jej przeszkadzać, i udała się na spoczynek. – Uśmiechnął się do mnie złośliwie. – O ile ktoś zada sobie trud, aby się tobą zainteresować.

– Wujku! – krzyknęłam, łapiąc go za ramię. – Nie odchodź!

Nie mógł się zdobyć na to, żeby na mnie spojrzeć. Wyrwawszy się z mojego uścisku, wyszedł, zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Szybko złapałam za klamkę, ale zdążył już wsunąć klucz do zamka i zamknąć mnie w środku z wielkim księciem.

– Ojczy! – krzyczałam, uderzając dłońmi w drewniane drzwi. – Ktokolwiek! Ione! Balian! Pomo...

Hauth doskoczył do mnie w kilka chwil, zakrył mi usta wielką, szorstką dłonią, tłumiąc moje wołanie.

– Cicho – warknął mi do ucha. – Chcę tylko porozmawiać. Nikomu nie musi stać się krzywda.

Wyswobodziłam się z jego uścisku, odwracając się na tyle szybko, by go spoliczkować, moje paznokcie zahaczyły o jego policzek i szczękę, zrywając strupy ze starych ran, które zadałam mu tydzień temu.

Hauth zaklął, po czym sięgnął do kieszeni, wyciągając Sierp.

– Nie ruszaj się – rozkazał.

Sól zaczęła szczypać mnie w nos, magia była tak silna, że prawie ugięły się pod mną nogi. Nie mogłam drgnąć, mój umysł walczył z wpływem Sierpa. Zazgrzytałam

zębami, zaciskając palce w pięści. Kiedy uniosłam na niego wzrok, jego usta wykrzywiły się w zadowolonym z siebie uśmiešku.

– Nie walcz z tym – powiedział. – Inaczej zrobisz sobie krzywdę.

Zamknęłam oczy, mój oddech był ciężki. Nie był pierwszym księciem, który próbował mnie poskromić, zmusić mnie do kulenia się ze strachu za pomocą czerwonej Karty. *Nic z tego nie jest prawdziwe, mówiłam do siebie, zaciskając mocno zęby. Sierp to tylko ulewny deszcz – burza, która sprawia, że kulę się ze strachu.*

Ani ja, ani Koszmar nie zamierzaliśmy się kulić ze strachu.

Z gardłowym wrzaskiem, przebiłam się przez wpływ Sierpa. Zielone oczy Hautha rozszerzyły się w szoku, szczęka opadła mu z wrażenia. Zaatakowałam dziko, moja pięść trafiła w rękę wielkiego księcia – rękę, którą wcześniej złamał Ravyn. Hauth syknął z bólu, upuszczając Kartę. Znowu uderzyłam, trafiając go pięścią w podbródek, uderzenie odrzuciło jego wykrzywioną bólem twarz. Kiedy otworzył oczy, spojrzenie jego zielonych oczu było nieostre.

Ale tylko przez chwilę. Bowiem wielki książę wciąż miał w kieszeni jeszcze jedną Kartę.

Czarnego Konia.

Błysnęło czarne światło. Dzięki Karcie dającej mu niezwykłą szybkość, nawet nie zauważyłam, kiedy się poruszył. Zaatakowałam, rzucając się w przód, ale chwycił mnie za uszkodzony nadgarstek, wykręcając go to tyłu.

– Puszczaj! – krzyknęłam.

Zaczął ciągnąć mnie przez pokój. Kiedy próbowałam go odepchnąć, rzucił mnie na drewniane krzesło, na którym rano siedział Ravyn. Mocno zacisnął swoją wielką rękę na moim gardle.

– Wiem, że to byłaś ty, tam w lesie – warknął. – Krzyknij jeszcze raz, a tym razem nie złamię ci nadgarstka. Skręcę ci kark.

Podarł pościel z mojego łóżka na długie, wąskie paski, którymi przywiązał mnie do krzesła, moje ręce zostały związane za plecami. Pociągnęłam za sznury, czując, jak mój złamany nadgarstek pulsuje z bólu.

– Czego chcesz? – wysyczałam.

Wielki książę podniósł swój Sierp z podłogi i postukał w nią trzy razy.

– Myślisz, że jestem głupcem, że nie zwróciłem uwagi na twój nadgarstek, złamany i zabandażowany, tamtego dnia na dziedzińcu? – Zgiął swoją uszkodzłą rękę skrytą w rękawicy. – Myślałem, że miałaś jakąś broń w lesie. Sposób, w jaki mnie podrapałaś... – Jego palce przesunęły się po strupach. – Jesteś zainfekowana, prawda, panno Spindle?

Poczułam, jak uchodzi ze mnie życie, zastąpione kipiącą nienawiścią.

Hauth kontynuował:

– Z jakiego innego powodu Ravyn miałby cię tak żarliwie chronić? – Uśmiechnął się okrutnie. – Nie musisz mi mówić. Twój wuj już to potwierdził.

Miałam wrażenie, jakby mnie dusił. Kiedy spróbowałam się odezwać, mój głos był niewyraźny.

– Mój wuj... powiedział ci?

Hauth pokiwał głową, bawiąc się w najlepsze. Schował Czarnego Konia do kiszeni, przypatrując się popołudniowemu światłu wpadającemu przez okno mojej sypialni.

– Będąc całkowicie szczerym, Tyrn nie chciał cię wydać. Ale ukrywanie zainfekowanego dziecka to zdrada, karana straszną, okrutną śmiercią. Cała jego ciężka praca polegająca na odszukaniu Karty Koszmaru, a później wynegocjowanie swojego miejsca na dworze poszłaby na marne. I to dla kogo? – Jego zielone oczy się zwężyły. – Dla zainfekowanej siostrzenicy, za którą odpowiedzialność zrzucono mu na barki jedenaście lat temu? – Pokręcił głową. – Tyrn może zachować swoje ziemie, tytuł i życie. Nie zależy mi na jego dorobku. Ale potrzebowałam jego pomocy. A raczej twojej.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie rozwścieczyło: fakt, że mój wujek – moja rodzina – zdradził moją tajemnicę komuś takiemu jak Hauth Rowan, czy raczej to, że nie byłam tym specjalnie zaskoczona.

– Pomóc ci z czym? – zapytałam.

Hauth założył ręce na piersi.

– Ravyn – odezwał się, wykrzywając pogardliwie usta. – Chcę, żebyś pomogła mi z Ravynem.

Milczałam, syk Koszmaru rezonował w całym moim ciele, paląc mnie w język.

– Ostatnio był nieobecny – kontynuował Hauth. – On, Elm i Jespyr. Znikają w czasie patroli i trzymają się z boku jak złodzieje. – Wyszczерzył się do mnie. – I oczywiście utrzymywali twoją infekcję w tajemnicy. Dlaczego mieliby to robić, jeśli nie dla czegoś większego?

To była pułapka – na Ravyna, Elma i Jespyr. Hauth zapewnił klatkę, mój wuj trzymał rękę na spuście, a ja miałam być ich przynętą.

Poczułam, jakbym zaraz miała zwymiotować

– Ravyn nic ci nie powie – oznajmiłam, szukając w sobie odwagi, której ani trochę nie czułam. – Tracisz czas.

– Doprawdy? – Wielki książę pochylił się nade mną, nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie. – Widziałem, jak na ciebie patrzy. Powiedz, był razem z tobą w lesie w noc, kiedy mnie zaatakowałaś? – Uśmiechnął się. – Jeśli chce powstrzymać mnie przed doniesieniem mojemu ojcu o twojej infekcji, wyśpiewa mi wszystko,

wszystkie swoje plany. Nawet ustąpi z funkcji kapitana. – Złapał mnie za twarz, ściskając ją między szorstkimi palcami. – A potem – powiedział, zaciskając zęby – jeśli będę wystarczająco usatysfakcjonowany, może rozważę pozostawienie waszej dwójki przy życiu.

Mrok zalał mój umysł niczym dym z pieca. Wpatrywałam się w zielone oczy Hautha z taką samą wściekłością, jaką czułam tamtego dnia, gdy okaleczyłam kawalerzystę – gorącą i nieokiełznaną.

Splunęłam w twarz wielkiego księcia.

Przez chwilę nic nie widziałam, gdy pięść Hautha, niczym worek pełen kamieni, zderzyła się z moim policzkiem. Wydałam z siebie cichy jęk, moja twarz pulsowała w miejscu, w które mnie uderzył.

Pomocy, zawołałam w ciemność, mój zraniony nadgarstek płonął, gdy próbowałam wyrwać się z krępujących mnie więzów. *To nie może się tak skończyć.*

Koszmar zwinął się w kącie mojego umysłu.

N i e w i e m, c o s i ę w y d a r z y, E l s p e t h, o z n a j m i ł. T w o j e w y n a t u r z e n i e j u ż p r a w i e d o b i e g ł o k o ń c a.

Z okna mojej sypialni widziałam drzewo trzmieliny rosnące na dziedzińcu. Jego szkarłatne gałęzie kołysały się zalotnie na wietrze. Wyszeptałam pożegnanie, którego nikt nie usłyszał, i zamknęłam oczy, odcinając się od trzmieliny i mojego pokoju z czasów dzieciństwa, dopóki nie pozostało nic poza cieniem. Cieniem i królem Shepherdem.

Proszę o twoją pomoc, powiedziałam pewnym głosem. *Wiem, jaka jest cena.*

Objęła mnie ciemność, przytłumiając moje zmysły. Koszmar siedział w jej sercu, czekając, obserwując. Kiedy od strony drzwi dobiegło groźne pukanie, przesunął się za moje oczy, a głos w umyśle był tak wyraźny, że równie dobrze mógł być moim własnym.

M u s i s z u w o l n i ć r ę c e.

Hauth podszedł do drzwi.

– Kto tam? – warknął.

Po drugiej stronie dało się słyszeć męski głos.

Z całej siły pociągnęłam za sznur przytrzymujący mój nieuszkodzony nadgarstek. Materiał wbijał mi się boleśnie w skórę, ocierając ją. Usłyszałam klucz wsuwany do dziurki i szcęk zamka, gdy drzwi się otworzyły.

S k u p s i ę, rozkazał Koszmar, wysyłając gorącą magię w dół mojego ramienia.

Zacisnęłam zęby i zamknęłam oczy. Siła Koszmaru rozpałała moje mięśnie, gdy skupiałam się na więzach wokół prawego nadgarstka. Szarpnęłam tak mocno, że

zdarłam skórę. Gdy z powrotem uniosłam powieki, przed oczami majaczyły mi białe plamy.

Piekący ból, gorący i mokry przeszył moje ramię. Świeża krew spłynęła po palcach i niżej na podłogę, plamiąc drewno.

Ale moje ręce były wolne.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Usłyszałam brzdęk metalu, a kiedy podniosłam wzrok, spojrzałam na nowo przybyłego – wysokiego, bladego, ubranego na biało. Do jego długich palców było przymocowane urządzenie przypominające rękawicę, a z każdego palca wystawał ostry kolec.

Metalowy pazur.

– Witaj – odezwał się Orithe Willow, wpatrując się we mnie bezdusznymi oczami. – To przyjemność, wreszcie cię poznać, panno Spindle.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Duch nie zna litości, Duch niczego nie daruje. Nieważne kim jesteście i tak nas przywołuje. Obserwuje mgłę, czai się w jej cieniu, czeka aż ktoś ulegnie jej niememu zaproszeniu... A tym, co w sidła jej wpadną, odpłaca się najgorszą magią.

Obserwowałam drzewo trzmieliny ze swojego miejsca na podłodze. Jego cień wydłużał się na kamiennej ścianie, jesienne światło szybko ustępowało nadchodzącemu wieczorowi.

Lada moment wrócę z patrolu, szepnęłam w ciemność swojego umysłu. Mamy coraz mniej czasu.

Stojący nade mną Hauth i Orithe rozmawiali przyciszonymi głosami. Od czasu do czasu uzdrowiciel spoglądał w moim kierunku, jego nienaturalnie jasne oczy były zamglone.

Szybko potwierdził magię płynącą w moich żyłach, moja krew pokrywała całą podłogę. Po tym zostawili mnie w spokoju. Pochylając się ku sobie, dyskutowali o Ravynie, Jespyr i Elmie i o tym, co może oznaczać ich dwulicowość – ich zdrada. Na jakiś czas zapomnieli o moim istnieniu, z moich rąk, z miejsca, gdzie zdarłam skórę więzami, ściekała krew.

Łzy spływały mi po policzkach, zaciskałam zęby, przygotowując się na to, co musiałam zrobić.

Wszystko przepadło, zapłakałam w ciemności łamiącym się głosem. Nawet jeśli Ravyn nie przyzna się do kradzieży Kart lub bycia rozbójnikiem, wiedzą, że zataił wiedzę o mojej infekcji. Jest potępiony. Zabiją go.

R a v y n n i e m u s i u m r z e ć, powiedział Koszmar, niezwykle gładkim głosem. Po czym, tak cicho, że z początku myślałam, że to świst wiatru wlewającego się przez okno, dodał: U f a s z m i E l s p e t h?

Zamrugałam przez łzy.

A mam jakiś wybór?

Moja kochana, zawsze go miałaś.

Otworzyłam szerzej oczy, słysząc dochodzący z dziedzińca dźwięk otwieranej bramy prowadzącej do Spindle House.

– Ravyn – westchnęłam.

Kawalerzyści wrócili z patrolu.

Hauth i Orithe wyglądali przez okno, na ustach księcia pojawił się mały, groźny uśmieszek.

– Zgaś latarnie – polecił uzdrowicielowi. – Trzymaj się blisko dziewczyny. Chcę jasno pokazać Ravynowi, że jeśli spróbuje walczyć, z radością poderzniesz jej to piękne gardło.

Orithe rzucił mi spojrzenie.

– Nie powinniśmy zawiadomić pozostałych kawalerzystów, panie?

– Jeszcze nie – zdecydował Hauth. – Ravyn jest sprytny. Zanim mój ojciec zdążyłby go aresztować za jej ukrywanie, wymyśli kilkanaście kłamstw, odpornych na wszelkie śledztwa, które byłyby wobec niego prowadzone. – Rzucił mi spojrzenie z ukosa. – Ale nie będzie sprawiał żadnych kłopotów. Nie, gdy stawką jest jej życie.

Kroki na dziedzińcu stawały się coraz głośniejsze. Zauważyłam, jak ciemna chmura Czarnych Koni przechodzi pod drzewem trzmieliny, oświetlona zaledwie garstką kolorów, które razem rzucały taki sam ciemnoczerwony kolor, co liście opadłe z rosnącego za ich plecami drzewa.

Czerwony, fioletowy, burgundowy.

Byli już prawie na miejscu.

J u ż c z a s. Głos Koszmaru, przebił się przez moje myśli.

Krzyknęłam. Nawet przez knebel, mój wrzask przedarł się przez pokój – wycie rannego zwierzęcia, schwytanego we wnyki. Zamknęłam oczy, uwalniając ogień kłębiący się w moich płucach, struny głosowe drżały z bólu, gdy moje krzyki nie ustawały w długim, niestrudzonym wezwaniu.

Orithe dopadł mnie pierwszy, ale wyrzuciłam do przodu stopę, trafiając go w kolano. Upadł na podłogę z hukiem. Znowu krzyknęłam, moje zęby drapały o knebel.

– Wystarczy – syknął Hauth, uderzając mnie w twarz, po czym sięgnął po Czarnego Konia. – Przysięgam, że złamię ci szczękę, jeśli nie...

Zerwałam się z krzesła, rzucając się na niego.

Dzięki szybkiemu refleksowi Hauth zdołał odskoczyć na bok. Spróbowałam po raz drugi, moje palce były śliskie od krwi. Tym razem mi się udało, moja pięść zderzyła się z brodą Hautha.

Rąbnął z łoskotem o podłogę.

Obok mnie Orithe podniósł się z oczami wielkimi jak spodki. Podbiegł do Hautha.

– Najjaśniejszy panie! – krzyknął. – Wszystko w porządku?

Dziwnie się czułam, moje ciało było jednocześnie bardzo słabe i niezwykle silne – niszczyielska moc Koszmaru wirowała we mnie niczym tornado. Skoczyłam do drzwi, ale Hauth był już na nogach, z całej siły wbił mi pięść w brzuch.

Zakrztusiłam się, zginając w pół, całe powietrze nagle uleciało z moich płuc.

– Pomóż mi ją przytrzymać – zawołał wielki księżę, chwytając mnie za włosy i zmuszając do wstania.

Krzyknęłam, kiedy czubki pazurów Orithego wbiły się w moje ramię, moja czarna suknia szybko wchłonęła krew, gdy jego narzędzie rozcięło mi skórę.

– Postaw ją w kącie – rozkazał Hauth. – Z dala od drzwi.

Przeciagnęli mnie przez pokój i rzucili o ścianę. Leżałam na podłodze, oszołomiona, moje ciało wibrowało, płonąc od nagromadzonej w nim magii.

W s t a w a j!, zawołał głos z ciemności. W s t a w a j, E l s p e t h.

Królewski uzdrowiciel przykucnął nade mną, jego oczy rozszerzyły się, gdy pociągnął za mój rękaw.

– Twoje żyły ciemnieją, dziecko. Jak jest twoja magia?

Nie odpowiedziałam, cała się trzęsłam.

– Król nie będzie zadowolony, jeśli cię zabiję, zanim mu cię przedstawię – wymruczał Orithe. – Dlatego proszę, dla dobra nas obojga, nie ruszaj się.

Syknęłam, plując krwią na jego idealnie biały płaszcz.

Prawie się uśmiechnął – o ile uśmiech może być gorzki i pełen litości.

– Te oczy... – powiedział. – Takie ciemne. – Wpatrywał się we mnie, nie mrugając.

– Te same oczy, które widziałem za czarną maską w Targowy Dzień, zanim chłopiec zniknął we mgle.

Głowa Hautha podskoczyła.

– Pomogłaś mu uciec? – Splunął na mnie.

Zacisnęłam zęby, nic nie mówiąc, pozwalając, by całą moją nienawiść kłębiącą się w moim sercu, ujawniło spojrzenie, które rzuciłam księciu.

Hauth obserwował mnie, marszcząc brwi. Nagle parsknął śmiechem.

– To na ciebie natknął się Linden we mgle, prawda? Miał takie same ślady – oznajmił, wskazując na popękane strupy na twarzy. – Tyle że jego rany były głębokie do szpiku kości.

Kiedy nadal się nie odzywałam, wyjrzał przez okno, wyglądając poły swojej tuniki.

– Tylko zmarnowałaś swoją energię, Spindle. Tak jak złapałem ciebie, znowu złapię tego chłopca. Nieważne, jutro, za dwa tygodnie, za rok... – Uśmiechnął się do siebie. – Tak czy inaczej będzie płonął.

Chwilę później Hauth zwałił się na ziemię, charcząc, gdy się na niego rzuciłam, przycisnęłam go swoim ciężarem i okładałam go po twarzy, cios za ciosem, moc Koszmaru była tak potężna, że Orithe nie zdążył zarejestrować, kiedy się poruszyłam.

Hauth szarpnął biodrami, zrzucając mnie na podłogę, jednak zanim to zrobił, zdążyłam rozorać mu jedną powiekę. Poderwałam się na równe nogi, mój refleks był lepszy niż kiedykolwiek wcześniej. Hauth otarł wściekle twarz, krew kapłała mu do oka. Jego Sierp spadł między nas. Zanurkował po Kartę i natychmiast uderzył w nią trzykrotnie.

– Nie ruszaj się – rozkazał.

Wydałam z siebie przerażający, zwierzęcy śmiech, moje oczy błędziły między wielkim księciem, a trzymaną przez niego Kartą.

– To ci nie pomoże, nie w starciu ze mną – odezwałam się śliskim głosem, ociekającym jadem. – A kim jesteś bez tego?

Szpony Orithego przecięły powietrze, czubki jego ostrzy zdawały się zaledwie szeptem na mojej twarzy. Niestrudzenie rzucał się na mnie raz za razem, a ja za każdym unikałam jego ciosów.

Blade oczy uzdrowiciela rozszerzyły się, gdy po raz kolejny odskoczyłam; moje ruchy były nienaturalnie szybkie.

– Jaka jest jej magia? – zawołał do Hautha, uderzając w powietrze w miejscu, w którym jeszcze przed sekundą się znajdowałam.

– Tyrn powiedział, że nie ma żadnej magii.

Sięgnęłam do drzwi – moje palce musnęły zamek, droga ucieczki była na wyciągnięcie ręki. Jednak zanim udało mi się je otworzyć, słona woda zalała moje oczy i nos. Zakaszlałam, krztusząc się i zamierając w miejscu.

Karta Koszmaru.

Elsbeth? W mojej głowie rozległ się głos Ravyna. **Jesteś tu?**

Byłam oszołomiona tylko przez chwilę. Ale to było tyle, ile potrzebował Orithe, żeby owinąć swój pazur wokół mojej szyi i pociągnąć.

Zamarłam, jeden ruch jego palca mógł zaważyć o moim życiu lub nagłej śmierci.

– Twój ojciec chciałby się od tym dowiedzieć od razu, panie – wysapał uzdrowiciel.
– Musimy wezwać Kawalerzystów.

– Pierdolona szmata – warknął Hauth, robiąc krok do przodu. – Zaraz sprawię, że przestanie się ruszać.

Elsbeth?

Nie miałam czasu, żeby mu odpowiedzieć. Po chwili zobaczyłam gwiazdy, gdy Hauth brutalnie chwycił mnie za włosy i z całej siły uderzył moją głową o kamienną ścianę.

Upadłam, moje ciało runęło bezwładnie, jak worek kartofli.

Otoczyła mnie ciemność.

Wilgoć ściekała mi po szyi, zbierając się na podłódze wokół moich włosów, gorąca i lepka – ciemna aureola krwi.

– Roztrzaskałeś jej głowę – usłyszałam nad sobą głos Orithego.

– Przeżyje – odpowiedział Hauth, pochylając się nade mną. Jego szorstkie ręce potrząsnęły mnie za ramiona. Kiedy nie dawałam znaku życia, uderzył mnie w twarz. – Spindle! – warknął. – Spindle!

Ale byłam już daleko stąd.

Elsbeth! Słyszysz mnie?! W głosie Ravyna dało się słyszeć panikę.

Świat wymykał mi się z rąk, moje palce zanurzały się coraz głębiej w mrocznej ziemi.

Zobaczyłam twarz mojej ciotki, kiedy kuciała nade mną pod olchą, wpatrując się w moje ręce, brudne od przedzierania się w bezpieczne miejsce z dala od uzdrowicieli. Zobaczyłam Ione – dziką, słodką Ione – wyciągającą do mnie ręce, gdy wędrowaliśmy przez zatłoczone, wybrukowane ulice. Zobaczyłam bukiet krwawnika w wielkiej dłoni mojego ojca, a potem żółte spojrzenie potwora patrzącego na mnie z odbicia w lustrze. Zobaczyłam, jak Ravyn Yew wpatruje się we mnie. Ale w jego jasnoszarych oczach nie było ani strachu ani urazy. Tylko troska – troska i zachwyty.

Ravyn, zawołałam z determinacją, chociaż mój głos stawał się coraz bardziej odległy. *Nie przychodźcie po mnie. Hauth i Orithe wiedzą, czym jestem. Czekają na was.*

Gdzie jesteś, Elspeth? Opanowanie w głosie Ravyna zniknęło, jego słowa były pełne niepokoju.

C h c ą , ż e b y ś z a w i s ł Y e w , o d e z w a ł s i ę K o s z m a r . N i e m o ż e s z j e j j u ż u r a t o w a ć .

Nadal możesz odszukać Bliźniacze Olchy, Ravyn, zawołałam w ciemność. Możesz uratować Emory’ego. Przygryzłam wargę, mój głos drżał. Ale nie kiedy Hauth i Orithe będą na ciebie polować.

– Na drzewa. – Hauth westchnął, potrząsając moją głową, i chwycił mnie za podbródek. – Spindle! Obudź się!

E l s p e t h , z a g r u c h a ł K o s z m a r , m o j e i m i ę b y ł o n i c z y m m i ę d n a j e g o j ę z y k u . W s t a w a j .

Sięgnęłam w mrok, a kiedy mój umysł otarł się o szorstkie futro na jego grzbiecie, nie cofnął się.

Nie mogę, wyznałam, Nie mogę wstać. Nie tym razem. Czułam się ciężka, pogrzebana. Ale ty możesz.

E l s p e t h .

Prędzej czy później to i tak miało się wydarzyć, Koszmarze. Jesteś silny. A ja... ja jestem taka zmęczona. Moja głowa...

P o z w ó ł , ż e c i p o m o g ę . Jego głos był zaledwie szeptem.

Zapadłam się głębiej w ciemności. Przez głowę przelatywały mi nowe obrazy – miejsca i ludzie, których nie rozpoznawałam – nieznajomi o żółtych oczach. Uśmiechali się do mnie, a świat dookoła mnie kołysał się, falował.

Ale tak szybko jak się pojawiły, tak szybko zniknęły. Zobaczyłam biegnącego przez mgłę mężczyznę, za nim podążały dzieci z twarzami pobladłymi z przerażenia. Uciekli z płonącego zamku na szczycie wzgórza, znikając w komnacie pod wysokimi cisami.

Na skraju mgły stał szarooki chłopiec, zwrócony w stronę czerwonego światła Sierpa i ogromnego mężczyzny, który miał na piersi wyszyty symbol Rowanów.

Widziałam skąpany w ogniu zamek, pożerające go płomienie, aż nie zostało nic tylko ruiny. Nagle mój umysł wypełniły obrazy setek dzieci – ich żył ciemnych niczym atrament – krzyczących, gdy zostały wrzucone prosto do piekła. Zobaczyłam, jak mgła wokół Blunder ciemnieje, jak jej macki sięgają coraz dalej, odcinając królestwo od świata.

Nagromadzona przez stulecia wściekłość zagotowała się we mnie, nie rozróżniałam dnia od nocy. Nienawiść zatruła moją krew pochłaniając mnie w ciemności, a ciało zaczęło się wykręcać – łamiąc kości – wyciągając pazury, wykrzywiając spojrzenie, aż moja monstrualna sylwetka odzwierciedlała budzącą grozę nienawiść kłębiącą się w moim sercu.

Ni zwierzę, ni człowiek, stwór ciemności – potężny, mściwy, pełen furii.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, zanim otworzyłam oczy, była mała dziewczynka, nieśmiało wpatrywała się w lustro, w jej czarnych oczach błyszczał strach.

– Czy masz jakieś imię? – wyszeptała.

Uśmiechnąłem się do niej, to wspomnienie chowające się w zakamarkach mojego starożytnego umysłu. Cóż to za niezwykła magia, ten szczerzy, przepiękny zachwyty dzieci, dzieci, które kiedyś znałem.

K i e d y ś t y t u ł o w a l i m n i e p o k r ó l e w s k u , odpowiedziałem, machając ogonem. Ale to było dawno temu.

– Jak więc mam cię nazywać?

N i j a k , d z i e c k o , powiedziałem, wpełzając z powrotem w mrok. J e s t e m tylko wiatrem między drzewami, cieniem i przerażeniem. Szumem liści... i nocnym koszmarem.

Obudziłam się, kaszląc, mój umysł wypełniał głos Ravyna.

Elsbeth!, krzyknął. **Cholera jasna, Elspeth, zaczekaj. Jesteśmy na schodach.** Głos mu drżał. **Nie musisz robić tego w pojedynkę.**

Hauth Rowan stał nade mną, ściskając boleśnie moją głowę.

– No nareszcie – powiedział. – Wciąż żyjesz. – Przez jego twarz przemknęło zdziwienie, pochylił się mocniej, przyglądając mi się uważnie. – Orithe, co jest nie tak z jej oczami?

– Z jej oczami, panie?

– Są żółte. Jak u kota.

Orithe zbliżył się do nas, jego metalowy pazur przesunął się po naszym policzku.

– Dziwne – wymamrotał. – Przed chwilą były ciemne.

Spojrzeliliśmy na uzdrowiciela, nasze usta uniosły się, jakby ktoś pociągnął je niewidzialnym sznurkiem. Kiedy Ravyn znowu nas zawołał, zaciskając zęby, wypędziliśmy go z naszych myśli. *Nie próbuj nas ratować, Ravynie Yewie*, powiedzieliśmy jednym głosem Koszmar i ja. *Nie ma dla nas ratunku.*

Uderzyliśmy bez ostrzeżenia.

Orithe wybałuszył oczy i cofnął się, ale było już za późno. Koszmar użył całej naszej siły, by zerwać rękawicę z dłoni uzdrowiciela, łamiąc mu przy tym kości i zrywając skórę do mięsa.

A potem wepchnęliśmy mu ją prosto do gardła.

Orithe wydał z siebie bulgoczący krzyk, szkarłatna krew trysnęła na jego białe szaty. Osunął się na podłogę, strach i zaskoczenie były ostatnimi emocjami, jakie zabłysły w jego mlecznych oczach, zanim znieruchomiał, a sącząca się z żył krew stanowiła ostatnie znaki uchodzącego życia – ciemna i magiczna.

Hauth odskoczył do tyłu.

– Zatrzymaj się! – rozkazał.

Uśmiechnęliśmy się, a kiedy wstaliśmy z podłogi, otaczający nas świat i czasoprzestrzeń zniknęły. Nie było księcia i króla, dziecka i upiora. Pozostała tylko magia – czarna niczym atrament.

Potężna, mściwa i bardzo, bardzo wściekła.

Odezwaliliśmy się śliskim głosem, Hauth utkwiał spojrzenie w naszych oczach. Ruszyliśmy za nim, przyszpilając go w kącie pokoju.

– Nocą przybyli – powiedzieliśmy. – Rodzinę wyrznęli, mój zamek spalili. Nim trup mój ostygnąć porządnie zdołał, uzurpator wziął koronę i królem siebie tytułował. Zapominając przy tym o prawdzie starej, że nie ma nic za darmo, strach czyha na każdego. Dług ściga nas wszystkich, bogatego czy biednego. Powrót króla prawowitego bieg historii odwróci. Wszystkim Rowanom zada on śmiertelny ból... Niech długo żyje nowy król.

Kość policzkowa roztrzaskała się pod naszą ręką jak skorupka kurzego jajka. Książę upadł na podłogę, jęcząc. Z jego twarzy zniknęły kolory, krew ciekła mu z ust.

Spojrzałam na niego z pogardą.

To koniec prawda?, wymamrotałam, ciemność zaciskała się wokół mnie coraz mocniej. *Czas na mnie. A ty – ty zostajesz.*

To było nieuniknione, zauważył Koszmar, jego głos z każdą chwilą był coraz głośniejszy, wyraźniejszy. Na tym polega twoje zwyrodnienie, Elspeth Spindle. Nie ma nic za darmo.

Powietrze wokół mnie zgęstniało. Zamrugałam, próbując odpędzić ciemność, niczym dziecko walczące z ogarniającą je sennością.

Obiecuj, że pomożesz Ravynowi. Obiecuj, że ocalisz Emory'ego.

Już czas, moja kochana, mruknął, kołysząc mnie do wiecznego snu.

Obiecuj!

Westchnął.

Obiecuję pomagać rodzinie Yew, we wszystkich ich planach.

Zamknęłam oczy, wzdychając po raz ostatni. Historia – nasza historia. Koszmaru i moja.

– Była sobie kiedyś dziewczyna – powiedział – mądra i dobra, co mieszkała w głębi lasu. Był tam też Król, co berło miał pasterskie, który nad magią panował i napisał starą księgę. Ta dwójka była razem, więc byli tacy sami...

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, zanim pochłonęła mnie ciemność, był jedwabisty śmiech Koszmaru, straszny i bezwzględny.

Dziewczyna, Król... i potwór, którym się wspólnie stali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

BLIŹNIACZE OLCHY

Lochy były najzimniejszym miejscem w zamku.

Dochodził świt, a kapitan kawalerzystów i księżę czekali w milczeniu. Ravyn stukał butami o kamienną podłogę, nie chcąc stracić czucia w palcach.

– Spałeś choć trochę? – zapytał Elm, para unosiła się wokół jego nosa i ust, gdy przechadzał się po przedpokoju. Przed nim na podłodze leżały pokruszone kawałki piaskowca, a on, z zapuchniętymi z niewyspania oczami, odkopywał je butem na prawo i lewo.

Ravyn zacisnął zęby, czując, jak supeł zaciska się w jego brzuchu.

– Nadal mam koszmary – powiedział, pocierając oczy wierzchem palców.

Chwilę później odsunął ręce, a żółte ślepie przemknęły mu przed oczami. Nawet teraz, trzy noce później, jaskrawo świeciły w jego myślach. Nie był w stanie przed nimi uciec, noc w Spindle House wypaliła się w jego umyśle ze wszystkimi bolesnymi szczegółami.

Wszystko zdarzyło się tak szybko.

Cienie ścigały ich niczym demony, kiedy wspinali się po krętych schodach w Spindle House. Ravyn parł naprzód, serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Kiedy dotarli do niewielkich drzwi na szóstym piętrze, zaczął uderzać rękami w drewno, uruchamiając Kartę Koszmaru.

Zderzył się z głuchą ciszą.

– Elspeth! – krzyknął, czując dławiący strach.

Elm szarpał na klamkę, jego knykcie zbieleły.

– Wyważ je – warknął Ravyn, odwracając się do Jespyr i Czarnego Konia w jej dłoni.

Potrzeba było trzech kopnięć, by skruszyć drewno, drzazgi latały w powietrzu, niczym sosnowe igły podczas wichury.

– Elspeth! – zawołał Ravyn, wpadając do pokoju, jego buty ślizgały się po ciemnej cieczy, pokrywającej całą drewnianą podłogę.

– Święci... – Elm odetchnął głęboko. – Co tu się stało?

Oczy Ravyna skanowały pomieszczenie, przesuwając się po martwym ciele Orithego, aż dostrzegł dziewczynę opartą o przeciwległą ścianę, wiatr z otwartego okna rozwiewał jej długie, czarne włosy.

– Elspeth! – wykrzyknął, podbiegając do niej. – Elspeth!

Jej skóra była zimna w dotyku. Ravyn przesunął dłoń po jej policzku, czując, że wszystko przewraca mu się w żołądku. Jej twarz była posiniaczona i zakrwawiona. Jej suknia miała rozdarcie na rękawie, a ramię – sztywne od zaschniętej krwi – było poznaczone głębokimi śladami pazurów.

– Facet nie żyje – zawołał Elm, pochylając się nad uzdrowicielem. – Bez wątpienia.

– Elspeth – odezwał się Ravyn, przesuując palcami po jej skórze pod bladą szczęką, szukając pulsu.

Kiedy się poruszyła, wydając z siebie cichy, gwałtowny świst, poczuł się tak lekki jak nigdy dotąd.

– Elspeth. – Ręce, którymi trzymał ją za szczękę, zadrżały. – Wszystko w porządku?

– Hauth nadal żyje – oznajmiła Jespyr z drugiego końca pokoju. – Ledwo. Jego nogi... coś jest z nimi nie tak.

Ravyn był jednak zbyt pochłonięty Elspeth Spindle i jej długimi, ciężkimi oddechami, by zwracać uwagę na cokolwiek innego poza dziewczyną. Przeczesał trzęsącymi się palcami jej włosy, czując ulgę tak słodką, że prawie czuł na języku jej smak.

– Myślałem, że nie żyjesz – wyszeptał.

– Żyję – powiedziała dziwnie spokojnym głosem. – Właśnie... właśnie się budzę.

– Nie siadaj zbyt szybko – ostrzegł ją Ravyn, włosy dziewczyny były ciężkie od krwi. – Nie spiesz się.

– Minęło już wystarczająco dużo czasu – odparła. – Więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Cały czas miała zamknięte oczy, gdy Ravyn podniósł ją, opierając jej ciało o swoje.

– Co się stało? – zapytał, po raz pierwszy dostrzegając panujący wokół chaos.

– Chcieli was wydać – powiedziała wyraźnie. – Przepadłoby wszystko, na co pracowaliście.

– Ty... Ty go zabiłaś? – Jespyr zamrugęła, jak oczy nadal były utkwione w martwym ciele uzdrowiciela.

Elspeth spojrzała w dół na swoje dłonie, jej paznokcie były ciemne, brudne od krwi.

– Jego pazur zapoczątkował rzeź dziesiątek magicznych dzieci – powiedziała, wyginając palce w szpony. – Zasłużył na śmierć.

Głos Elma był bez życia, płaski.

– Zamierzaliśmy użyć jego krwi, by ocalić Emory'ego. A ty właśnie rozlałaś ją po całej podłodze.

Elspeth zachowywała się tak, jakby w ogóle go nie usłyszała. Kiedy się odezwała jej głos był cichy.

– Powinieneś wezwać kawalerzystów. Lepiej, żeby wiedzieli, że to moja sprawa. Tylko moja.

– O czym ty mówisz? – Ravyn wymienił spojrzenie z siostrą.

– Krwawi – mruknął Elm. – Spójrz na jej głowę.

Kapitan sięgnął po Elspeth, desperacko pragnąc przyciągnąć ją bliżej siebie – poczuć ją mocno, bezpieczną w jego ramionach – lecz kiedy jego palce dotknęły jej ramienia, odsunęła się z warknięciem.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała, jej żółte oczy płonęły dziko.

Żółte.

Żółte jak płomień pochodni. Żółte jak monety, które zbierał jako mały chłopiec.

Żółte, a nie czarne.

Ulga, którą odczuwał, przemieniła się w przerażenie.

Elspeth, zawołał w ciemność jej umysłu. **Elspeth!**

Odpowiedziała mu cisza.

Po chwili, niczym wąż wpełzający spod kamieni, przemówił król Shepherd.

Już się nie odezwie, Ravynie Yew. Pozwól jej odpocząć.

Coś ty, kurwa, zrobił?! wydarł się Ravyn, wnikając głębiej w ciemność.

U w o l n i ł a m n i e, jego głos wypełnił umysł Ravyna niczym gęsty dym. Obiecałem jej, że ci pomogę.

Ravyn odsunął się od stworzenia w ciele Elspeth Spindle.

Wypuść ją!, krzyknął, jego głos łamał się ze strachu i wściekłości. **Wypuść ją natychmiast albo przysięgam na Boga, że...**

Ż e c o? Usta Elspeth wykrzywiły się w grymasie niepodobnym do uśmiechów, którymi go obdarzała. J a k m a s z z a m i a r m n i e s k r z y w d z i ć, n i e k r z y w d z a ć p r z y o k a z j i j e j?

Elm zrobił krok do przodu, jego oczy były okrągłe jak spodki, kiedy przyglądał się twarzy Elspeth, jej żółtym, kocim oczom.

– Co się dzieje? – zapytał, zerkając na Ravyna. – Co ona zrobiła?

– To nie jest Elspeth – odparł Ravyn, ręce wyraźnie mu się trzęsły. – To on.

Potwór skrywający się za oczami Elspeth po prostu patrzył przed siebie. Gdy dziewczyna położyła ręce przed sobą, jej palce wybijały rytm do melodii, którą słyszała tylko ona.

– Zabiłam królewskiego uzdrowiciela i okaleczyłam następcę tronu – oświadczyła.

– Jestem zainfekowana. – Przygryzła dolną wargę, posyłając im krzywy uśmiech. – Poddaję się przed kapitanem kawalerzystów i oczekuję na dochodzenie króla.

Elm kopnął pobliski kamień, a ten uderzył prosto w drzwi lochu, huk zderzających się ze sobą przedmiotów zawył w półmroku. Ravyn wzdrygnął się, wyrwany z myśli.

– Król Shepherd czy nie – odezwał się do kuzyna szorstkim, jakby nieużywanym od dawna głosem – wyraził się bardzo jasno, że chce nam pomóc.

– Naprawdę zastanawiasz się, czy mu zaufać? – Elm uniósł na niego wzrok.

– Nie – odgryzł się Ravyn. – Ale wiem, że bez jego wsparcia, to my moglibyśmy być teraz w tamtej celi.

Na korytarzu rozbrzmiało echo zbliżających się kroków, razem z coraz jaśniejszym światłem niesionych przez strażników pochodni.

– Przyszli – powiedział Elm, prostując się.

Król Rowan w otoczeniu kawalerzystów szedł w kierunku lochów, głośno stąpając po kamiennych stopniach. Czoło miał zachmurzone, spojrzenie poważne i zdecydowane. Mimo to nie był w stanie ukryć dowodów własnej bezsenności; cienie okalały jego zielone oczy.

– Zaczynamy? – zapytał, a gniew buchał z każdego jego słowa.

– Kiedy tylko będziesz gotowy, wuju – zapewnił go Ravyn.

Jespyr i drugi kawalerzysta wyciągnęli ze swoich płaszców identyczne klucze. Kiedy przekręcali zamki w drzwiach, najpierw jeden, potem drugi, wokół niesło się złowieszcze echo.

– No to zaczynamy – mruknęła Jespyr, otwierając drzwi.

W północnej części lochu było ciemno. Co gorsza, nigdzie nie dało się słyszeć strażników. Król rozkazał opróżnienie wszystkich pozostałych cel trzy dni temu, obawiając się, że Elspeth Spindle mogłaby zatruć umysły współwięźniów swoją niebezpieczną, mroczną magią.

Gdy dotarli do ostatniej celi, zatrzymali się, zapalając pochodnie na ścianie, żółta poświata padła na skulone we śnie kobiece ciało, spoczywające na lodowatej podłodze.

Ravyn zacisnął dłonie w pięści, przyciskając je mocno do boków, ciasny supeł, w który zamienił się jego żołądek, podszedł mu do gardła, dusząc go. Wyglądała tak spokojnie, tak nieruchomo, jak kobieta, którą tak niedawno trzymał w swoich ramionach.

Ale to nie była ona. Była czymś innym. A myśl, że mogła odejść na zawsze, bolała bardziej niż kiedykolwiek.

Nic z tego nie mógł po sobie pokazać, czy choćby pomyśleć. Stał z pozostałymi kawalerzystami, zmuszając się do zduszenia w sobie całego strachu, bólu i tęsknoty i zmuszając się do ukrycia targających go uczuć głęboko za pękającą, kamienną

ściana, którą otoczył swoje serce. Jego rysy znieruchomiały, z determinacją zaciskał szczęki.

Odnajdzie ostatnią Kartę. Zlikwiduje mgłę. Uratuje Emory'ego.

I wyzwoli Elspeth Spindle z ciemności, która ją pochłonęła.

– Dlaczego nie została skuta łańcuchami? – warknął król.

Kawalerzyści poruszyli się niespokojnie.

– Nie mogliśmy jej okiełznać, panie – odezwał się Gorse. – To było zbyt ryzykowne.

– Jakie ryzyko? Przecież to tylko dziewczyna.

– Jej magia... – odezwał się inny, strach wibrował w jego głosie. – Kilku naszych ludzi zostało wysłanych do uzdrowiciela z głębokimi, szarpanymi ranami.

– Podnieście ją. – Ramiona króla się napięły.

W lochu rozszedł się odgłos szczęknięć metalu uderzającego o żelazne kraty, gdy kawalerzyści dobywali mieczy. Hałas rozbrzmiał w całym pomieszczeniu, złowrogie echo niosło się po korytarzu.

Elspeth poruszyła się i usiadła. Jej długie, czarne włosy były sztywne od zaschniętej krwi. Ciepły oddech unosił się wokół niej jak dym, ale nie drżała z zimna, jak gdyby temperatura już na nią nie wpływała.

Ravyn obserwował ją, gdy długie, czarne źrenice jej żółtych oczu rozszerzyły się w ciemności jak u kota.

– Mój kapitan powiedział, że nie chciałaś z nim rozmawiać – przemówił król. – Że zgodziłaś się rozmawiać wyłącznie ze mną.

Elspeth poruszała głową i wyciągnęła przed siebie ręce, jakby się rozgrzewała przed nadchodzącym wyzwaniem.

– Powiedział mi, że jesteś zainfekowana – kontynuował – i że widzisz Karty Opatrzności.

Kącik jej ust drgnął, kiedy sztywno skinęła głową.

– Powiedział też, że masz dla mnie ofertę, w zamian za oszczędzenie twojego nędznego życia.

Kolejne skinienie głowy, któremu towarzyszył niepokojący dźwięk uderzania o siebie zębami.

Klik. Klik. Klik.

– Ale zabiłaś mojego uzdrowiciela – powiedział król głosem ociekającym jadem. – A mój syn, o ile przeżyje, już nigdy nie będzie taki sam. Jesteś największym wrogiem, największą zmorą tego królestwa. – Oparł się o kraty. – Nie ma nic, co mogłabyś mi zaproponować, nic, co dałoby mi większą satysfakcję niż patrzenie, jak umierasz, powolną, okropną śmiercią.

Elspeth przechyliła na bok głowę, mrużąc żółte oczy.

– Przybyłeś do tego skutego lodem podziemia tylko po to, żeby mi to powiedzieć, uzurpatorze?

Król Rowan uderzył dłońmi w kraty, jego złote pierścienie zabrzęczały o żelazo.

– Przyszedłem, żeby osobiście ci powiedzieć, że jesteś obrzydliwością. – Jego kontrola opadła, zastąpiona niepohamowaną wściekłością. – Chorobą. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ciebie i wszystkich, którzy udzielali ci schronienia wypatroszonych jak zwierzęta.

Ravyn wymienił z Elmem zdesperowane spojrzenia.

Z kolei Elspeth tylko się do niego uśmiechnęła.

– Nie poznawszy wcześniej mojej oferty?

– Nie masz nic, czego mógłbym od ciebie chcieć. – Targającą królem wściekłość dało się słyszeć w jego głosie.

Elspeth podniosła się z podłogi. Chociaż stała, jej kręgosłup był nienaturalnie zgięty, jak gdyby czaiła się do skoku.

– Więc zabij mnie – wymruczała. – Nie ma to żadnego znaczenia. Nie umrę nawet po swojej śmierci. Jestem pastuchem cieni. Widmem strachu. Demonem za dnia. – Spojrzenie jej żółtych oczu przesunęło się na Ravyna. – Koszmarem nocą.

Król chciał coś powiedzieć – jeszcze raz uderzył dłońmi o kraty, ale zatrzymało go coś, co dojrzał w spojrzeniu Elspeth. Wściekłość zniknęła z jego twarzy.

Rzuciła się przez celę, jej ruchy były tak szybkie, że kilku kawalerzystów cofnęło się z przestachem.

Szeroki, niepokojący uśmiech wygiął jej usta.

– Ale zabij mnie, uzurpatorze, a nigdy nie uda ci się zebrać całej Talii, nigdy nie pozbędziesz się infekcji. Mgła nadal będzie się rozprzestrzeniać. Duch Lasu pochłonie Blunder i wszystkich jego mieszkańców. Może i umarłem, a moje ciało gnije, dręczone przez wściekłość i nieubłagalny czas, ale za sto lat to ty zostaniesz zapomniany. Twój zamek obróci się w perzynę. Kości twoich kawalerzystów będą stukać na wietrze, porozrzucane przez dzieci między oknami, strasząc wrony. Twoje imię zniknie tak samo jak Karty Opatrzności. Już to widziałem, Rowanie. I wyczuwam to teraz. Zapach soli w powietrzu... nadchodzą zmiany.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, można było kroić nożem. Król Rowan wpatrywał się w stwora czającego się pod skórą Elspeth, a on odwzajemnił spojrzenie, jego żółte oczy błyszczały przebiegle.

– Czego chcesz? – wyszeptał monarcha.

Elspeth przesunęła palcami po kratkach, zaschnięta krew zebrała się pod jej paznokciami.

– Tego samego, co ty – odezwał się stwór głosem Elspeth. – Chcę zebrać Talię. Ale jeśli mam to zrobić, masz wydać Emory’ego Yewa jego rodzinie.

Ravyn poczuł, jak powietrze uchodzi mu z płuc. Stojący obok niego Elm i Jespyr zastygli w bezruchu, z ich twarzy było coś pomiędzy strachem a zdziwieniem.

– Dlaczego miałbym to uczynić? – Król zrobił krok do tyłu. – Dobrze wiesz, że potrzebuję jego krwi.

– Przekonasz się, że nie – powiedziała Elspeth. – Nie, kiedy będziesz miał moją.

– Oddasz swoje życie za życie tego chłopca?

– To moja oferta.

Ravyn stuknął w swoją Kartę Koszmaru, spoczywającą w kieszeni płaszcza, wnikając w ciemność i szukając jakiegokolwiek śladu po Elspeth. Musiał usłyszeć jej głos – wiedzieć, że nadal tam była.

Ale natrafił na pustkę. Król Shepherd całkowicie odciął go od swojego umysłu.

– A co dostanę w zamian za przedłużenie twojego nędznego żywota aż do przesilenia zimowego? – zapytał król, niepewność zabarwiła jego głos.

Dziewczyna dalej szła wzdłuż ściany celi, zatrzymując się dopiero, gdy stanęła bezpośrednio przed królem.

– Dostaniesz Bliźniacze Olchy – powiedziała.

Każde słowo brzmiało jak otulone jedwabiem, miękko i zwodniczo.

Król Rowan o mało nie zakrztusił się swoimi słowami.

– Bliźniacze Olchy zaginęły setki lat temu – oświadczył. – Dlaczego myślisz, że akurat ty będziesz w stanie je odnaleźć?

Elspeth zniżyła głos do szeptu, zgarbiła się jeszcze bardziej, mrużąc żółte oczy, nikczemne i niezgłębione.

– Bliźniacze Olchy są ukryte w miejscu, gdzie nie włada czas. W miejscu wielkiego smutku, rozlewu krwi i zbrodni. Między pradawnymi drzewami, gdzie mgła przenika cię do szpiku kości. Właśnie tam spoczywa ostatnia Karta, czekając w uśpieniu. Las nie zna drogi, nie widzi ścieżki przez labirynt pułapek. Tylko ja mogę odnaleźć Bliźniacze Olchy... albowiem, to ja je tam ukryłem.

KONIEC

TOMU PIERWSZEGO

¹ Willow (z ang.) – wierzba (przyp. tłum.).

² Spindle (z ang.) – trzmielina (przyp. tłum.).

³ Yarrow (z ang.) – krwawnik (przyp. tłum.).

⁴ Autorka zastosowała grę słów, król Shepherd i shepherd (z ang.) – pasterz (przyp. tłum.).

⁵ Whitebeam (z ang.) – jarząb (przyp. tłum.).

⁶ Hawthorne (z ang.) – głóg (przyp. tłum.).

⁷ Laburnum (z ang.) – złotokap (przyp. tłum.).

⁸ Ivy (z ang.) – bluszcz (przyp. tłum.).

⁹ Linden (z ang.) – lipa (przyp. tłum.).